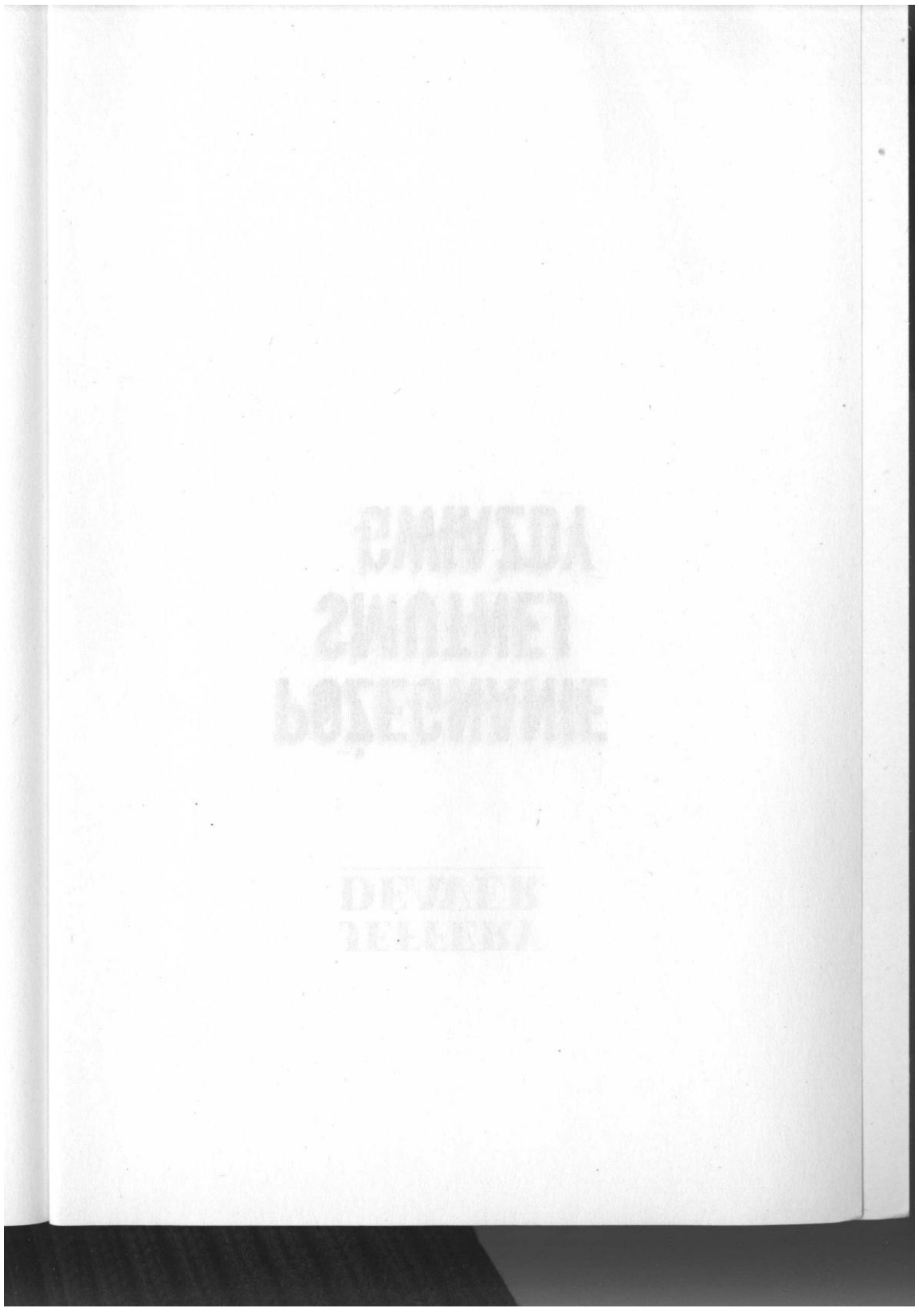

JEFFERY

DEAVER

OŻEGNANIE SMUTNEJ GWIAZDY

Przekład: ALEKSANDRA WOLNICKA

C&T
TORUŃ

"tytuł oryginału:
DEATH OF A BLUE MOVIE STAR

Copyright © 1990, 2000 by Jeffery W. Deaver Copyright © for the Polish edition by „C&T", Toruń 2010
Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Wolnicka

Opracowanie graficzne: EWELINA BARCICKA
Redaktor wydania: PAWEŁ MARSZAŁEK
Korekta:
MAGDALENA MARSZAŁEK Skład i łamanie:
K.T.P. „BORGIS" Toruń, tel. (56) 654-82-04

ISBN 978-83-7470-215-7

Wydawnictwo „C&T" ul. Św. Józefa 79, 87-100 Toruń, tel./fax (56) 652-90-17

Toruń 2010. Wydanie I. Druk i oprawa: Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp. z o.o., ul. Mickiewicza 15, 87-200 Wąbrzeźno.

Wiz, Chris, Charlotte i Isabel
— ta powieść jest dla Was.

Jeśli w naszych czasach istnieje jeszcze coś prawdziwie piekielnego i przeklętego, to artystyczne zadawalanie się formami, zamiast abyśmy byli jak żywcem paleni męczennicy, co dają jeszcze znaki ze swych stosów.

Antonin Artaud „Teatr i jego sobowtór”, tłum. Jan Błoński

Rune minęła budynek kina i była trzy przecznice dalej, kiedy wybuchła bomba.

Nie mógł to być zwykły dynamit używany na placach budowy — *tyle* akurat wiedziała po kilku latach mieszkania na nieustannie remontującym się Manhattanie. Huk był zdecydowanie za duży — ogłuszający niczym eksplozja wybuchającego bojlera. Gęsty czarny dym i dobiegające z oddali krzyki ostatecznie rozwiały jej wątpliwości.

Zaraz się zleszta zaczęło: wycie syren, nawoływania, biegnący ulicą ludzie. Obejrzała się, ale z miejsca, w którym stała, niewiele było widać.

1

Ruszyła w tamtą stronę, lecz zaraz przystanęła i zerknęła na zegarek, jeden z trzech na jej nadgarstku i jedyny, który chodził. Była już spóźniona — miała być w studiu pół godziny temu. A, co tam. Skoro i tak zmyją jej głowę, lepiej mieć w zanadrzu jakąś ciekawą historyjkę dla odwrócenia uwagi...

Tak czy nie?

No, dalej. Śmiało. Ruszyła na południe, żeby przyjrzeć się z bliska jatce.

Siła wybuchu nie była wcale taka wielka. Nie wyrwała w ziemi krateru, a szyby wyleciały z okien tylko w kinie i sąsiadującym z nim barze. Zdecydowanie najgorszy był *pożar*. Płonące fragmenty tapicerki musiały strzelać na wszystkie strony, zupełnie jak amunicja smugowa, którą Rune pamiętała z filmów wojennych, podpalając tapetę, wykładzinę podłogową, włosy widzów i wszystkie zakamarki kina, które właściciel zapewne od lat zamierzał dostosować do obowiązujących przepisów, ale jak widać nie zdążył. Zanim Rune dotarła na miejsce, ogień zrobił swoje i kino Velvet Venus (seanse tylko dla dorosłych, najlepszy repertuar w mieście) było już tylko wspomnieniem.

Na Ósmej Alei, zablokowanej na odcinku od Czterdziestej Drugiej do Czterdziestej Szóstej, panował chaos. Filigranowa Rune, szczuplut

ka i mierząca niecałe metr sześćdziesiąt, z łatwością przepchnęła się przez tłum gapiów. Bezdomni i prostytutki, karciani oszuści i okoliczne dzieciaki świetnie się bawili, obserwując sprawną choreografię mężczyzn i kobiet, którzy wysypali się z około tuzina wozów strażackich, jakie przyjechały na miejsce wypadku. Kiedy zawalił się dach, a na ulicę posypał się deszcz iskier, tłum wydał z siebie westchnienie zachwytu, zupełnie jakby to był pokaz świątecznych fajerwerków nad East River.

Nowojorscy strażacy spisali się na medal i po niecałych dwudziestu minutach pożar został „zdławiony", jak powiedział jeden ze stojących obok Rune strażaków, i dramatyczny spektakl dobiegł końca. Kino, pobliski bar, delikatesy oraz peep show doszczętnie spłonęły.

Tłum przestał szeptać i wszyscy w ponurym milczeniu patrzyli teraz na ratowników, którzy zaczęli wynosić ze środka ciała, a raczej to, co z nich zostało.

Serce Rune zabiło gwałtownie na widok przetaczających się obok na wózkach zielonych worków z grubego plastiku. Nawet goście z pogotowia ratunkowego, którzy jak podejrzewała, niejedno już widzieli, byli cali rozdygotani i zieloni na twarzy, kiedy tak szli z zaciśniętymi ustami i wzrokiem utkwionym przed sobą.

Rune przysunęła się bliżej jednego z ratowników, który rozmawiał właśnie przez krótkofalówkę ze strażakiem. I chociaż młody człowiek starał się robić dobrą minę do złej gry, wyrzucając z siebie słowa z lekceważącym uśmieszkiem, to głos wyraźnie mu drżał. — Cztery trupy, w tym dwa niezidentyfikowane — nie zostało nawet tyle, żeby przeprowadzić analizę dentystyczną.

Rune przełknęła ślinę; przez chwilę mdłości zmagały się w niej z chęcią rozpłakania się.

Nudności wzmogły się, kiedy dotarło do niej coś jeszcze: trzy czy cztery tony dymiącego betonu i tynku pokrywały teraz ten sam chodnik, po którym zaledwie parę minut wcześniej ona sama wędrowała, podskakując jak mała dziewczynka, uważając, żeby nie nadepnąć na szczeliny w popękanych płytach i podziwiając długie blond loki gwiazdy *Napalonych siostrzyczek* na plakacie wywieszonym przed wejściem do kina.

W tym samym miejscu! Kilka minut wcześniej i....

— Co tu się stało? — zagadnęła młodą kobietę o ospowatej twarzy, w obcisłym czerwonym podkoszulku. Głos jej się załamał i musiała powtórzyć pytanie.

— Bomba albo nieszczelny przewód gazowy. — Kobieta wzruszyła ramionami. — A może butla z propanem, kto to może wiedzieć.

Runę wolno skinęła głową.

Gliniarze byli znudzeni i wrogo nastawieni do napierającego tłumu. Kategoryczne głosy monotonnie powtarzały: — Przechodzić, przechodzić, proszę się rozejść.

Runę nawet nie drgnęła.

— Przepraszam, panienko — odezwał się z boku jakiś męski głos. Runę odwróciła się i stanęła oko w oko z kowbojem. — Chciałbym tędy przejść. — Mężczyzna wyszedł przed chwilą ze spalonego budynku kina i najwyraźniej kierował się w stronę grupki funkcjonariuszy stojących na środku ulicy.

Dobre metr dziewięćdziesiąt wzrostu, błękitne dżinsy, robocza koszula i wojskowa kamizelka. Do tego kowbojki. Rzadkie włosy zaczesane do tyłu, wąsy. I twarz, na której malował się wyraz chłodnej powagi. Na rękach miał sfatygowane płócienne rękawice. Runę zerknęła na odznakę przypiętą do szerokiego, poplamionego pasa i cofnęła się.

Mężczyzna schylił się, zanurkował pod żółtą taśmą policyjną i wyszedł na ulicę. Runę prześliznęła się przez tłum w ślad za nim. Kowboj zatrzymał się przy biało-niebieskim kombi z napisem EKIPA PIROTECHNICZNA i oparł o maskę auta. Runę zbliżyła się na tyle, żeby móc swobodnie podsłuchiwać.

— No i co my tutaj mamy? — spytał Kowboja jakiś grubas w brązowym garniturze.

— Wygląda mi na plastik. Jakieś pół kilo. — Mężczyzna zerknął na rozmówcę spod szpakowatych brwi. — Nic z tego nie rozumiem. IRA nie ma tu nic do roboty, poza tym knajpa należała do Greków. — Skinął głową w kierunku baru. — A Syndykat zawsze wysadza lokale po godzinach. Zresztą im chodzi głównie o zastraszanie tych, którzy ociągają się z płaceniem haraczy. Do tego wystarczy trochę dynamitu z placu budowy, ewentualnie jakiś granat ogłuszający — coś, co narobi dużo hałasu. Ale wojskowy plastik? I to tuż obok instalacji gazowej? To nie ma sensu.

— Coś znaleźliśmy. — Do rozmawiających podszedł policjant i wręczył Kowbojowi foliową kopertę. W środku znajdował się nadpalony kawałek papieru. — Nie zdjęliśmy jeszcze odcisków palców, więc proszę ostrożnie się z tym obchodzić...

Kowboj skinął głową i zaczął czytać.

Runę wyciągnęła szyję, usiłując też coś zobaczyć. Dostrzegła staranne pismo i kilka ciemniejszych plam. Przeszło jej przez myśl, że to może być krew.

Kowboj podniósł głowę i zauważył ją. — Słucham?

– Ale ja nic nie mówiłam. — Spróbowała się uśmiechnąć. Nie zareagował na żart, tylko przyglądał się jej krytycznie. Może usiłował stwierdzić, czy ma do czynienia ze świadkiem. Albo z zamachowcem. Runę doszła do wniosku, że nie powinna się wdzięczyć. — Po prostu jestem ciekawa, co tam jest napisane.

– Nie powinno pani tutaj być.

– Ale ja jestem dziennikarką. Zastanawiam się, co się właściwie stało.

Brązowy Garnitur rzucił: — To niech się pani zastanawia gdzie indziej.

To ją naprawdę wkurzyło i już miała mu wygarnąć, że nie powinien tak traktować kogoś, kto go utrzymuje, płacąc regularnie podatki — co nie było prawdą — ale wtedy też Brązowy Garnitur skończył czytać i szturchnął Kowboja w ramię. — Co to za jedni?

Zapominając o Runę, Kowboj odpowiedział: — Pierwszy raz o nich słyszę, ale skoro się przyznają, to możemy im wierzyć na słowo, dopóki nie pojawi się nic ciekawszego. — Coś zwróciło jego uwagę i zrobił krok naprzód, odchodząc na chwilę od samochodu. Brązowy Garnitur patrzył akurat w innym kierunku, więc Runę szybko przebiegła wzrokiem nadpaloną kartkę papieru.

I pierwszy anioł zatrąbił. A stał się grad i ogień — pomieszane z krwią, i spadły na ziemię. A spłonęła trzecia część ziemi…1

Ostrzeżenie Miecza Jezusowego

Chwilę potem wrócił Kowboj, prowadząc ze sobą młodego księdza.

– To właśnie ten list, ojcze. — Kowboj podał mu foliową kopertę.

Czytając, duchowny odruchowo dotykał koniuszka ucha tuż nad koloratką. Zaciskając usta, kiwał głową z wielką powagą, jakby był na pogrzebie. Runę pomyślała, że w zasadzie ta sytuacja bardzo przypomina pogrzeb.

1 Wszystkie fragmenty Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia (przyp. tłum.).

Wreszcie ksiądz odezwał się: — To fragment objawienia świętego Jana. Rozdział ósmy, wers siódmy, może szósty. Nie jestem pewien...

Kowboj zapytał: — O czym to właściwie jest? Objawienie to coś jak grom z jasnego nieba, prawda?

Ksiądz uśmiechnął się uprzejmie, niezobowiązująco, zanim zorientował się, że policjant wcale nie żartuje. — To tekst o końcu świata. O apokalipsie.

W tym samym momencie Brązowy Garnitur zauważył Runę, wyglądającą ciekawie spod łokcia Kowboja. — Hej, ty tam! Zjeżdżaj powiedziałem!

Kowboj odwrócił się, ale nic od siebie nie dodał.

– Mam prawo wiedzieć, o co chodzi. Przed minutą tędy przechodziłam. Też mogłam zginąć.

– Aha — mruknął Brązowy Garnitur — ale nie zginęłaś, więc powinnaś się cieszyć. Słuchaj no, moja panno, mam już dosyć powtarzania, żebyś sobie stąd poszła.

– To świetnie. Bo ja mam dosyć wysłuchiwania tego. — Runę wyszczerzyła zęby. Kowboj z trudem powstrzymał uśmiech.

– No już! — Brązowy Garnitur postąpił naprzód.

– Dobra już, dobra. — Runę odwróciła się i odeszła.

Ale bardzo powoli — żeby pokazać im, że nie pozwoli *aż tak* sobą pomiatać. Ociągała się wystarczająco długo, żeby usłyszeć, jak młody ksiądz mówi do Kowboja i Brązowego Garnituru:

– Nie chciałbym panów martwić, ale jeśli ta kartka ma cokolwiek wspólnego z tym wybuchem, to bardzo źle wróży.

– Dlaczego? — zainteresował się Kowboj.

– Cytat mówi tylko o *pierwszym* aniele. W całej Apokalipsie jest mowa o siedmiu.

– I co z tego? — spytał Brązowy Garnitur.

– Podejrzewam, że czekają nas występy kolejnych sześciu, dopóki Pan Bóg nie uzna sprawy za zakończoną.

W biurze L&R Productions przy Dwudziestej Pierwszej Ulicy Runę wyjęła piwo z lodówki. Był to stary model marki Kenmore, jeden z jej ulubionych sprzętów — drzwiczki zdobił wzór przypominający kratownicę studebakera z 1950 roku, a solidny srebrny uchwyt wyglądał tak, jakby zdemontowano go z włazu łodzi podwodnej.

Przyjrzała się swojemu odbiciu w upstrzonym plamami lustrze wiszącym nad

biurkiem w recepcji. Zobaczyła swą zamgloną, szarozieloną podobiznę podświetloną ostrym blaskiem wszechobecnych świetlówek: dziewczynę w czerwonej minispódniczce w dinozaury, ubraną

w dwa nałożone na siebie podkoszulki na ramiączkach, jeden biały, drugi granatowy. Kasztanowe włosy miała ściągnięte w koński ogon, dzięki czemu jej okrągła twarzyczka wydawała się trochę mniej okrągła. Poza zegarkami, Rúnę miała na sobie jeszcze trzy sztuki biżuterii: kryształ na łańcuszku w kształcie dwóch piramid zetkniętych podstawami, kolczyk ze sztucznego złota będący miniaturką Wieży Eiffla i srebrną bransoletkę z motywem splecionych dłoni, pękniętą i na powrót zlutowaną. Nałożony z rana oszczędny makijaż całkiem się rozpłynął w upale sierpniowego popołudnia; Rúnę nie mogła się powstrzymać, żeby nie wetknąć głowy pod otwarty hydrant przy Trzydziestej Pierwszej. A zresztą i tak nie była fanatyczką malowania się. Uważała, że najlepiej nie zwracać na siebie przesadnej uwagi. Kiedy za bardzo się starała, wyrafinowanie zmieniało się w błazenadę, a elegancja w tanią wulgarność.

Jej prywatna teoria brzmiała: jeśli jesteś niska i tylko czasami zdarza ci się dobrze wyglądać, postaw lepiej na prostotę, bawełniane podkoszulki, botki i dinozaury. A lakieru do włosów używaj tylko do trucia much i wklejania wycinków z gazet do dziennika.

Przycisnęła zimną butelkę do policzka i usiadła za biurkiem.

Wnętrze biura L&R Productions stanowiło idealne odzwierciedlenie kondycji finansowej firmy. Szare, stalowe meble pamiętające rok 1967, odłażące linoleum, sterty pożółkłych faktur, scenopisów, roczników scenograficznych i innych papierów obrosłych przez lata grubą warstwą miejskiego brudu.

Jej szefowie Larry i Bob byli Australijczykami. Kręcili filmy dokumentalne i — zdaniem Rúnę — zazwyczaj zachowywali się tak, jakby brakowało im szóstej klepki. Lata doświadczeń zdobytych przy realizacji filmów reklamowych na zlecenia agencji w Melbourne i Nowym Jorku przyczyniły się do tego, że ego obu panów było rozdęte niczym balon. Twierdzili zgodnie — tu cytat — że są „cholernie dobrzy" w tym, co robią. Jedli jak prosięta, bekali, ślinili się na widok cycatych blondynek i od czasu do czasu z upodobaniem demonstrowali napady złego humoru. W przerwach między kręceniem reklam telewizyjnych realizowali najlepsze dokumenty, jakie kiedykolwiek gościły na kanałach PBS, angielskim Channel 4 czy Film Forum.

Runę zatrudniła się tutaj, mając nadzieję, że spłynie na nią choć odrobina ich geniuszu.

Tymczasem minął już rok od tamtej pory, a efektów jakoś nie było widać.

Larry, współwłaściciel firmy i posiadacz dłuższej brody, wszedł właśnie do biura ubrany w swój codzienny strój służbowy: buty z cholewkami, czarne skórzane spodnie i również czarną, luźną wojskową koszulę, która ciasno opinała jego wydatny brzuch.

– Szkoda, psiakrew, że nie później! Gdzie cię nosiło?

Rune uniosła do góry obiektyw, który odebrała w centrum z wypożyczalni sprzętu Optirental, ale kiedy Larry po niego sięgnął, szybko cofnęła rękę. — Powiedzieli, że zalegasz z płatnościami...

– Z płatnościami? — Larry był wyraźnie dotknięty.

– ...i zażądali większego depozytu. Musiałam wypisać im czek. Prywatny czek.

– Spoko, oddam ci przy następnej wypłacie.

– Zrobisz to raczej *teraz*.

– Słuchaj no, złotko, nie możesz się tak ciągle spóźniać. A gdybyśmy zaczęli już kręcić? — Wziął od niej obiektyw. — Czas to pieniądz, nie?

– Nie, pieniądz to pieniądz — odparowała Rune. — Krucho u mnie z forsą, dlatego zależy mi, żebyśmy się rozliczyli. Dalej, Larry, nie daj się prosić. Potrzebuję tych pieniędzy.

– Weź sobie z kasy podręcznej.

– Od kiedy tutaj pracuję, nigdy nie było w niej więcej niż sześć dolarów. Doskonale o tym wiesz.

– Faktycznie. — Larry przyjrzał się z bliska obiektywowi, imponującemu dziełu niemieckiego przemysłu optycznego.

Rune ani drgnęła. Nie spuszczała z niego wzroku.

Larry zerknął na nią spode łba i westchnął. — Ile to ma być, do cholery?

– Czterdzieści dolców.

– Jezu. — Sięgnął do kieszeni i podał jej dwie dwudziestki.

Uśmiechnęła się krzywo. — Dzięki, szefie.

– Posłuchaj, złotko, mam akurat spotkanie biznesowe...

– Chyba nie kolejna reklamówka, Larry? Nie możesz się tak sprzedawać.

– Dzięki temu mam na czynsz. I na twoją pensję. No więc... przynieś nam cztery kawy. Jedną z mlekiem, jedną czarną i dwie z cukrem. I dwie herbaty. — Rzucił jej łaskawe spojrzenie, jakby wybaczając grzech, jaki popełniła, prosząc o zwrot pieniędzy. — I jeszcze jedno: nie prosiłbym, gdybym

naprawdę nie musiał, ale moja sportowa marynarka... Wiesz, ta czarna? Trzeba ją odebrać z pralni, a ja teraz...

– Żadne takie. Jestem asystentką kierownika produkcji.

– Rune.

– Zapisz to sobie i przeczytaj z kartki: mam ci pomagać przy produkcji filmów, a nie przy odbieraniu twoich rzeczy z pralni.

– Proszę cię.

– Produkcja filmów i pralnia. To dwie całkiem różne rzeczy. Jak noc i dzień.

– Następnym razem pozwolę ci wziąć na miasto kamerę — kusił.

– Nie ma mowy.

– Jezu Chryste...

Rune dopiła piwo. — Larry, mam też do ciebie sprawę.

– Dopiero co dostałaś podwyżkę.

– W centrum Manhattanu ktoś podłożył dzisiaj bombę. Kino z pornosami wyleciało w powietrze.

– Mam nadzieję, że nie bywasz w takich miejscach.

– Akurat tamtędy przechodziłam na chwilę przed wybuchem. Wygląda to na robotę jakichś fanatyków religijnych. Chciałabym zrobić o tym film.

– Iy?

– Dokument.

Kiedy się garbiła — a zwykle tak właśnie było — Rune sięgała Larry'emu do drugiego guzika koszuli od góry. Teraz się wyprostowała i sięgnęła niemal do kołnierzyka. — Przyszłam tutaj, żeby nauczyć się kręcić filmy. Właśnie mija jedenaście miesięcy, a ja nic tylko biegam po kawę, noszę wam sprzęt, zwijam kable na planie, odbieram taśmy z postprodukcji albo wyprowadzam tego parszywego kundla Boba na spacer.

– Myślałem, że go lubisz.

– Ten pies jest fantastyczny, Larry. Nie o to mi chodzi.

Mężczyzna spojrzał na swojego rolexa. — Czekają na mnie.

– Zgódź się. Umieszczę cię w czołówce jako producenta.

– Aleś ty wspaniałomyślna. Co ty właściwie wiesz o filmach dokumentalnych?

Rozciągnęła usta w grymasie udawanego zachwytu. — Prawie rok obserwowałam cię przy pracy.

– Jaja. To wszystko, co masz. Brak ci warsztatu filmowego.

– To dwa do trzech na moją korzyść — wypaliła.

– Posłuchaj mnie, złotko. Nie, żebym zgrywał jakiegoś cholernego geniusza, ale w tej chwili mam na biurku z pięćdziesiąt, sześćdziesiąt

podań od ludzi, którzy daliby się pokroić za przywilej odbierania moich pieprzonych ciuchów z pralni.

– Zapłacę za ten film z własnej kieszeni.

– Dobra. Zapomnij o pralni. Mam u siebie ludzi, którym pilnie potrzeba kofeiny. — Wcisnął Runę do ręki zgnieciony banknot pięcio- dolarowy. — Błagam, *przynieś* nam tę cholerną kawę.

– A będę mogła wziąć sobie kamerę po pracy?

Kolejny rzut oka na zegarek. — Niech to szlag. Dobra, ale tylko be- tacam.

– Larry, daj spokój, kamerę *wideo*?

– Wideo to powiew przyszłości, złotko. Sama też kupujesz cholerne kasety, a ja co wieczór będę sprawdzał, czy reszta sprzętu jest na miejscu. Jeśli zauważę, że czegoś brakuje, natychmiast stąd wylatujesz. I kręcisz po godzinach, zrozumiano? Na nic więcej nie licz.

Runę posłała mu słodki uśmiech. — Życzysz sobie biszkopty do herbaty, skarbie?

Kiedy odwróciła się, żeby wyjść, Larry zawołał za nią: — I jeszcze jedno, mała. Pamiętaj, że wszystkie dzisiejsze dzienniki przemielą ten wybuch w centrum.

Runę skinęła głową. W jego oczach dostrzegła ten sam ogień, który widywała, kiedy pracował na planie albo przerzucał się nowymi pomysłami z Bobem czy operatorem kamery. Nastawiła uszu, a on dodał: — Wykorzystaj wybuch jako haczyk.

– Haczyk?

– Jeśli chcesz zrobić dobry dokument, nakręć film, który będzie opowiadał o zamachu, ale nie o zamachu.

– To brzmi jak jakaś chińszczyzna.

– A żebyś wiedziała. Pieprzone Zen. — Larry wykrzywił się do niej. — Tylko pamiętaj, że piję herbatę z trzema kostkami cukru. Ostatnio zapomniałaś, psiakrew.

Płacąc za kawy i herbaty, Runę przypomniała sobie o Stu. Zdziwiła się, że wcześniej o nim nie pomyślała. Zaraz też zapłaciła gościowi z delikatesów dwa dolary z własnych pieniędzy — ostatecznie reszta wydana z piątki Larry'ego zwyczajnie jej się należała — żeby ktoś dostarczył napoje do biura L&R Productions.

Następnie wyszła na ulicę i powlokła się w stronę stacji metra.

Obok niej wolno przejechał nisko zawieszony, piętnastoletni, beżowy sedan. Rozległ się klakson, a z ukrytego w cieniu

przedniego sie

dzenia dobiegła ją jakaś niezrozumiała zaczepka, na wpół zagłuszona przez klekot diesla. Chwilę potem samochód przyspieszył i zniknął jej z oczu.

Boże drogi, co za upał. W połowie drogi do stacji metra kupiła porcję lodów w papierowym kubku od ulicznego sprzedawcy o latynoskich rysach. Pokręciła głową, kiedy wskazał na pojemnik z syropem, uśmiechnęła się, widząc jego zdumienie, po czym roztarła sobie część lodów na czole, a część na przedzie koszulki. Mężczyzna nie posiadał się z zachwytu. Zostawiła go pogrążonego w myślach; być może odkrył właśnie nowy rynek zbytu dla swego towaru.

Gorąco jak diabli.

Istny piekarnik.

Zanim doszła do stacji metra, lody się roztopiły, a resztki wilgoci wyparowały na długo przed przyjazdem kolejki.

Wagony linii A powiozły ją z powrotem w stronę centrum Manhattanu. Gdzieś nad jej głową tliły się teraz zgliszcza kina Velvet Venus. Rune z uwagą wpatrywała się w okno. Ciekawe, czy ktoś mieszka w tym podziemnym labiryncie? Może gdzieś tam koczują całe plemiona bezdomnych, rodziny, które znalazły dom w nieużywanych tunelach. To też byłby świetny temat na dokument. *Podziemne miasto*.

Jej myśli zaczęły krążyć wokół „haczyka" do filmu.

O zamachu, ale nie o zamachu.

Nagle ją olśniło. Jej dokument powinien mieć jednego bohatera. Najlepiej, żeby był to ktoś, kto ucierpiał wskutek podłożenia bomby. Pomyślała o wszystkich filmach, które jej się podobały — żaden z nich nie opowiadał o abstrakcyjnych problemach czy ideach. Wszystkie były o ludziach. Ale kogo by tu wybrać? Widza, który został ranny w zamachu? Nie, nikt się na to nie zgodzi. Kto chciałby się publicznie przyznać, że został ranny w kinie porno? W takim razie może właściciel kina albo producent pornosów? Przyszedł jej do głowy przymiotnik „plugawy". Co do jednego Rune nie miała żadnych wątpliwości: widzowie muszą się emocjonalnie identyfikować z głównym bohaterem. Jakaś szumowina na usługach mafii czy kto tam kręci tego rodzaju filmy miał marne szanse zaskarbić sobie przychylność widowni.

O zamachu, ale nie o zamachu...

Kolejka pędziła naprzód i im więcej Rune rozmyślała o swoim projekcie, tym bardziej była podekscytowana. Oczywiście, film taki jak ten nie zapewni jej sławy, ale — jak to się mówi? — doda jej *wiarygodności*. Lista jej przypadkowych zajęć była długa: kasjerka, kelnerka,

ekspedientka, sprzątaczka, dekoratorka wystaw sklepowych... Praca nie była jej mocną stroną. Kiedy jeden jedyny raz zdarzyło jej się wejść w posiadanie większej sumy pieniędzy, Richard, jej ówczesny chłopak, miał dziesiątki pomysłów na bezpieczną inwestycję: założenie firmy, kupno akcji... Pech chciał, że zostawiła teczkę z tymi jego dokumentami na karuzeli w Central Parku. Nie, żeby miało to jakieś znaczenie, bo i tak większość pieniędzy wydała na nowe mieszkanie.

Powiedziała mu wtedy: — Nigdy nie byłam praktyczna.

Jej pasją od lat było to samo — bajki i filmy. W tym była naprawdę dobra i wbrew nieustannie powtarzanym napomnieniom matki („Żadna porządna dziewczyna nie utrzyma się z filmów"), prawdopodobieństwo zrobienia kariery w kinie wydawało jej się większe niż gdyby chodziło o bajki.

Doszła do wniosku, że jest wprost stworzona, żeby kręcić filmy, a pomysł, który tak niespodziewanie pojawił się w jej głowie — na prawdziwy dorosły film (*dokument* — podstawa poważnej kinematografii) — teraz zaprzątał ją bez reszty. Nie mogła się od niego uwolnić, jak od huku, który wypełniał wagon pędzącej tunelem kolejki. Tak czy inaczej ten film musiał powstać.

Znowu spojrzała w okno. Bez względu na to, jakie społeczności zamieszkiwały to podziemne królestwo, będą musiały jeszcze parę lat poczekać, zanim opowie o nich światu.

Kolejka w pędzie mijała na zmianę ciemne sylwetki albo szczury, albo sterty śmieci, ale przez cały ten czas Rune nie myślała o niczym innym, jak tylko o swoim filmie.

...ale nie o zamachu.

W biurze Belvedere Post-Production nie działała klimatyzacja.

– Nie do wiary — mruknęła Rune.

Stu machnął ręką, nie odrywając wzroku od wydania magazynu smakoszy *Gourmet*.

– Co to za nora? — narzekała. — Jak ty tu wytrzymujesz?

Podeszła do okna i spróbowała pchnąć brudną, zabezpieczoną gęstą siatką szybę, ale wypaczona rama ani drgnęła, unieruchomiona warstwami starej farby i odłażącymi paskami kitu. Szarpiąc się z oknem, utkwiła spojrzenie w zielonkawej tafli rzeki Hudson. W końcu mięśnie jej ramion zaczęły drżeć. Jęknęła głośno. Stu pojął aluzję i nie ruszając się zza

biurka, popatrzył krytycznie na okno. Następnie ciężko dźwignął się z krzesła. Był młody i zwalisty, ale mięśni używał

głównie do wyrabiania chleba albo ubijania białek w miedzianych miseczkach. Po kolejnych trzech minutach zasapany musiał przyznać się do porażki.

– Zresztą na zewnątrz jest tak samo gorąco. — Wrócił za biurko, zrobił kilka notatek do przepisu i zmarszczył brwi. — Masz u nas coś do odebrania? Chyba nie robiliśmy ostatnio niczego dla L&R.

– Nie, chciałam tylko o coś zapytać. To osobista sprawa.

– No?

– Kim są wasi klienci?

– I to ma być ta *osobista sprawa*? Głównie agencje reklamowe i niezależni producenci. Od czasu do czasu także sieci telewizyjne i duże wytwórnie, ale...

– Kim są ci niezależni?

– No wiesz, małe studia kręcące filmy dokumentalne albo nisko- budżetowe fabuły. Jak L&R... Coś ty dziś wdzięczysz się i uśmiechasz — jest takie powiedzenie o cichej wodzie, która coś tam robi, nie pamiętam co, ale chyba do ciebie pasuje. Co jest grane?

– Montujecie czasem filmy dla dorosłych?

Stu wzruszył ramionami. — Pornosy? Pewnie. Mamy tu tego całe mnóstwo. Myślałem, że interesują cię jakieś tajemnice handlowe...

– Mógłbyś mi podać namiar na kogoś, kto się tym zajmuje?

– No, nie wiem, czy przypadkiem nie wchodzi tutaj w grę kwestia etyki zawodowej, poufności danych klienta albo...

– Stu, rozmawiamy o studiach kręcących filmy, które są prawdopodobnie nielegalne w większości krajów świata, a ty się przejmujesz etyką zawodową?

Stu wzruszył ramionami. — Jeżeli nikomu nie powiesz, że to ja cię przysłałem, możesz spróbować w Lame Duck Productions. To największy gracz w tym biznesie. Ich siedziba jest parę przecznic od was.

– Od L&R?

– Aha. Przy Dziewiętnastej, niedaleko Piątej.

Otworzył swój pękaty kołonotatnik, rozsiewając przy tym zatęchłą, biblioteczną woń i zapisał jej na kartce adres.

– Mają u siebie jakąś aktorkę, która byłaby sławna w tej branży?

– W jakiej branży?

– Pornograficznej.

– Dobre pytanie. Nie mam zielonego pojęcia.

– Kiedy montujecie czołówki w czasie postprodukcji, nie zwracasz uwagi na nazwiska? Żadne się nie powtarza?

Stu zastanawiał się przez chwilę. — Nie wiem, czy ona jest sławna czy nie, ale faktycznie jest jedna, której nazwisko stale się powtarza w produkcjach Lame Duck. Niejaka Shelly Lowe.

Nazwisko wydało się Rune znajome.

– Blondynka, pociągła twarz?

– Chyba tak. Nie patrzyłem zbyt uważnie na jej ***twarz.***

Rune zmarszczyła brwi. — Stary świntuch.

– Znasz ją? — zaciekawił się Stu.

– Przy Times Square ktoś podłożył bombę w kinie wyświetlającym pornosy... Słyszałeś o tym?

– Nie.

– Dzisiaj, zaledwie parę godzin temu. Wydaje mi się, że grała w jednym z filmów, które wyświetlali, kiedy to się stało.

Idealnie.

Rune schowała kartkę z adresem do torebki w lamparcie cętki.

Stu zakołysał się na krześle.

– No? — rzuciła.

– Co no?

– Nie ciekawi cię, dlaczego tak mnie to interesuje?

Stu uniósł w górę dłoń. — Spoko. Czasami lepiej za dużo nie wiedzieć. — Otworzył leżące przed sobą czasopismo i zapytał: — Robiłaś kiedyś ***tarte aux marrons?***

Kontrasty.

Rune siedziała na przestronnym poddaszu, na którym znajdowała się recepcja Lame Duck Productions, i patrzyła na dwie młode kobiety, które właśnie podchodziły do biurka stojącego po przeciwnej stronie. Nad ich głowami wolno obracały się wielkie wentylatory, rozprowadzając wydmuchiwane przez klimatyzator chłodne powietrze po całym pomieszczeniu.

Kobieta idąca przodem poruszała się tak, jakby miała dyplom z chodzenia. Czubki palców skierowane naprzód, plecy wyprostowane, biodra nieruchome. Włosy barwy miodu miała związane z tyłu plecionką ze sznurków we wszystkich kolorach tęczy. Ubrana była w biały dres, w którym

wyglądałaby tandetnie gdyby nie fakt, że zamiast wy

sokich botków miała na nogach sandały, a na biodrach cienki pasek z brązowej skóry.

Runę przyjrzała jej się uważnie, ale wciąż nie była pewna, czy ma przed sobą tę samą osobę, którą widziała na plakacie przed kinem. Twarz na tamtym zdjęciu była perfekcyjnie umalowana, a ta kobieta miała poszarzałą cerę i wyglądała na bardzo zmęczoną.

Jej towarzyszka była zdecydowanie młodsza i niższa, jej twarz błyszczała, a strój ciasno opinał jej pełną figurę. Miała ogromny, sterczący, niewątpliwie sztuczny biust i szerokie ramiona. Czarny podkoszulek bez rękawów uwydatniał wcięta talię, a minispódniczka odsłaniała szczupłe nogi. Tyle że ta nie zdołała uchronić się przed tandetą: nosiła szpilki z noskiem w szpic, natapirowane, puszyste włosy spryskała brokatem, a powieki pomalowała fioletowym i brązowym cieniem, który miał tę jedną zaletę, że zmniejszał optycznie jej szeroki, słowiański nos.

Byłaby całkiem niebrzydka, pomyślała Runę, gdyby matka nauczyła ją lepiej się ubierać.

Kobiety stanęły przed nią. Niższa uśmiechnęła się, a wysoka blondynka zapytała: — To ty jesteś tą dziennikarką z tego, jak mu tam, *Erotic Film Monthly*! — Pokręciła głową. — Myślałam, że znam wszystkich pismaków z tej branży. Jesteś u nich nowa?

Runę już chciała ciągnąć swoje kłamstwo, ale pod wpływem nagłego impulsu odpowiedziała: — Szczerze mówiąc, skłamałam.

Niewyraźny uśmiech. — Tak?

– Okłamałam waszą recepcjonistkę. Żeby mnie wpuściła. To ty jesteś Shelly Lowe?

Zmarszczenie brwi. Po chwili jednak kobieta uśmiechnęła się z zaciekawieniem i odparła: — Tak. Ale to nie jest moje prawdziwe nazwisko.

Jej uścisk dłoni był mocny, męski, pełen pewności siebie.

Jej koleżanka odezwała się: —Ja mam na imię Nicole. Jest prawdziwe, w przeciwieństwie do nazwiska, D'Orléans. — Wymówiła je z francuska. — Ale pisze się tak jak to miasto.

Runę ostrożnie ujęła jej dłoń — Nicole miała dwuipółcentymetro- we, fioletowe paznokcie.

– Rune.

– Interesujące imię — zauważyła Shelly. — Prawdziwe?

Rune wzruszyła ramionami. — Tak jak i twoje.

– W naszej branży większość ludzi używa pseudonimów — rzuciła Shelly. — Czasem się w tym gubię. No dobrze, to teraz powiedz mi, dlaczego skłamałaś.

– Bałam się, że mnie stąd wykopią, jeśli powiem prawdę.

– Dlaczego ktoś miałby to robić? Jesteś może jakąś prawicową wariatką? Bo nie wyglądasz.

– Chcę zrobić o tobie film.

– A to ciekawe.

– Słyszałaś o podłożeniu bomby?

– Coś okropnego — wtrąciła Nicole, udając, że wstrząsa się z przerażenia.

– Wszyscy tu o tym słyszeli — odparła Shelly.

– Chciałabym to wykorzystać jako punkt wyjściowy swojego filmu.

– A ja miałabym być jego gwiazdą? — spytała Shelly.

Rune rozważała przez chwilę jej słowa, pomyślała, że powinna zaprzeczyć, ale odrzekła: — Mniej więcej o to chodzi.

– Dlaczego ja?

– Kwestia przypadku, jeśli mam być całkiem szczera. W chwili wybuchu w kinie leciał akurat twój film.

Shelly powoli skinęła głową. Rune przyłapała się na tym, że się w nią wpatruje. Na wzmiankę o wybuchu i zabitych w kinie Nicole skrzywiła swoją szeroką, błyszczącą twarz, przymknęła oczy i nieomal się przeżegnała, Shelly zaś po prostu słuchała oparta o kolumnę, z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

Rune miała metlik w głowie. Pod bacznym spojrzeniem Shelly czuła się młoda i głupia, jak rozpuszczony dzieciak.

Nicole wyjęła z kieszeni paczkę gumy bez cukru, odwinęła jeden listek ze sreberka i zaczęła żuć. Rune odchrząknęła. — No, więc właśnie coś takiego chciałabym zrobić.

– A wiesz coś o tej branży?

– Pracowałam kiedyś w wypożyczalni kaset wideo. Szef zawsze powtarzał, że w tym biznesie filmy dla dorosłych przynoszą największe zyski.

Poczuła się bardzo dumna z siebie, że przyszło jej to do głowy. *Biznes. Zyski.* Dojrzały sposób mówienia o rozbieranych filmach.

– Faktycznie, da się na tym zarobić. — Spojrzenie Shelly paliło ją jasnym światłem, niczym bladoniebieska wiązka lasera. W tej

chwili było niezwykle intensywne, ale Runę wyczuła, że to tylko poza, a Shel-

ly potrafi w ułamku sekundy zmienić jego natężenie. Jedno drgnienie nerwu i jej wzrok stawał się badawczy, gniewny albo mściwy. Doszła też do wniosku, że raczej nie ma szans, aby te oczy kiedykolwiek rozbłysły poczuciem humoru i że musi być sporo rzeczy, których nikt nigdy z nich nie wyczyta. Postanowiła, że zacznie swój dokument od zbliżenia oczu Shelly.

Aktorka w milczeniu zerknęła na Nicole, która z przejęciem żuła gumę.

– Zdarza się wam, hm, robić to razem? — Rune spłonęła ceglastym rumieńcem.

Kobiety popatrzyły po sobie i wybuchnęły śmiechem.

– No, ja miałam na myśli... — zaczęła Rune.

– Pytasz, czy razem pracujemy? — podsunęła Nicole.

– Czasami tak — odparła Shelly.

– Jesteśmy też współlokatorkami — dodała Nicole.

Rune omiotła spojrzeniem żelazne kolumny i blaszany sufit pomieszczenia. — Interesujące miejsce na wytwórnię.

– Kiedyś była tu szwalnia halek.

– Tak? A na co komu halka? — wtrąciła Nicole.

– Jako dobra damska bielizna — skwitowała Shelly, nie odrywając wzroku od sufitu.

Shelly jest wysoka, ale nie jest olśniewającą pięknością. Robi wrażenie swoją figurą (i oczami!). Ma niskie kości policzkowe, a jej cera fakturą i bladym odcieniem przypomina letnie, zachmurzone niebo. „Jak trafiłam do tej branży? W wieku dwunastu lat zostałam zgwałcona. Molestował mnie wujek. Jestem uzależniona od heroiny — niezle się z tym kryję, prawda? Porwali mnie robotnicy sezonowi w Michigan...

Nicole zapaliła papierosa. Jednocześnie cały czas rytmicznie żuła gumę.

Shelly oderwała spojrzenie od metalowych paneli i przeniosła je na Rune. — Więc to miałby być dokument?

– Taki jak te na PBS.

Nicole wtrąciła: — Kiedyś jeden taki chciał, żebym zagrała u niego w dokumencie. Ale domyślacie się, o co mu naprawdę chodziło.

– Nadal tak gorąco na dworze? — spytała Shelly.

– Upał jak nie wiem co.

Nicole zaśmiała się z cicha, chociaż Rune nie wiedziała, co ją mogło rozbawić.

Shelly stanęła w miejscu, gdzie chłodne powietrze lało się z klimatyzatora na posadzkę. Odwróciła się i uważnie przyjrzała Rune. — Wydajesz się być pełna entuzjazmu. Masz go chyba więcej niż talentu. Wybacz, to tylko moje zdanie. A co do filmu, muszę się zastanowić. Powiedz, jak mogę się z tobą skontaktować.

– Bo widzisz, to będzie super rzecz. Mogłabym...

– Muszę się zastanowić — powtórzyła spokojnie Shelly.

Rune zawahała się i przez dłuższą chwilę nie spuszczała wzroku z wyniosłej twarzy kobiety. Potem sięgnęła do swojej torby w cętki, ale zanim odnalazła w niej długopis, Shelly podała jej ciężkie, lakierowane pióro marki Mont Blanc. Biorąc je do ręki, Rune poczuła ciepło plastiku. Starała się pisać powoli, ale spojrzenie Shelly tak ją krępowało, że stawiała nierówne, koślawe litery. Wreszcie podała jej kartkę ze słowami: — Tutaj mieszkam. Przy Christopher Street, na samym końcu. Nad rzeką. Na pewno trafisz. — Urwała. — Przyjdziesz?

– Może — odrzekła Shelly.

Lala, zrób ze mnie gwiazdę!

– Hej, ty tam, chcesz sfilmować mojego fiuta? Ale do tego musiałabyś mieć szerokokątny obiektyw.

– Gówno prawda. Chyba mikroskop!

– Wal się, człowieku.

Kierując się w stronę wyjścia ze stacji metra przy Times Square Rune, zignorowała swoich przypadkowych wielbicieli i zarzuciwszy ciężką kamerę na ramię, ruszyła wzdłuż peronu. Po drodze minęła z pół tuzina żebraków, kręcąc głową w odpowiedzi na ich prośby o trochę drobnych. Wrzuciła jednak dwie dwudziestopięciocentówki do pudełka stojącego przed latynoską parą dającą pokaz tanga do wtóru ogłuszającej muzyki z przenośnego magnetofonu.

Była ósma wieczór, mijał właśnie tydzień od dnia, kiedy po raz pierwszy spotkała się z Shelly i Nicole. W tym czasie Rune zdążyła już dwa razy zatelefonować do Shelly. Początkowo aktorka wykręcała się jak mogła od udziału w filmie, ale za drugim razem

zapytała: — Czy *gdybym* się zgodziła, mogłabym autoryzować wersję reżyserską?

Dzięki doświadczeniu zdobytemu w L&R i swojemu zamiłowaniu do filmów Rune wiedziała, że wersja reżyserska — ostateczna wersja filmu pokazywana później w kinach — to święty Graal przemysłu filmowego. Tylko producenci i elitarna garstka reżyserów miała wpływ

na finałowy kształt filmu. Żaden aktor w historii Hollywoodu nigdy nie autoryzował wersji reżyserskiej.

Mimo to odpowiedziała: — Jasne — czując instynktownie, że to jedyny sposób, żeby przekonać Shelly Lowe.

— Za dzień lub dwa dam ci znać, co postanowiłam.

A teraz Rune poszukiwała materiału na zdjęcia, które budowałyby klimat filmu, oraz planów ogólnych — długich ujęć, dzięki którym widzowie mogą się zorientować, z jakim miastem czy okolicą mają do czynienia.

Czego jak czego, ale klimatu to tutaj nie brakowało. Tętniące życiem okolice Tenderloin i Times Square — to tutaj biło serce nowojorskiej dzielnicy porno. Rune poczuła podniecenie na myśl, że oto zbiera materiały do swojego pierwszego filmu, zaraz jednak przypomniała sobie słowa swego mentora Larry'ego. Kiedy tego wieczoru wychodziła z pracy, powiedział: — Tylko nie przesadź, Rune. Byle dureń potrafi zmontować dziewięćdziesiąt minut klimatycznych ujęć. Najważniejsza jest ***historia.*** Nie zapomnij o tym, do cholery. Historia.

Wmieszała się w rozedrgany, hałaśliwy, kolorowy tłum wypełniający Times Square przy skrzyżowaniu Siódmej Alei, Broadwayu i Czterdziestej Drugiej. Czekając na krawężniku na zmianę świateł, wpatrywała się w zatopiony w asfalcie pod swoimi stopami oryginalny kolaż: nakrętka od butelki, kawałek zielonego szkła, mosiężny klucz, dwa centy. Zmrużyła oczy; w przypadkowym ułożeniu przedmiotów dostrzegła zarys oblicza diabła.

Naprzeciwko niej na betonowej wysepce otoczonej ze wszystkich stron szerokimi ulicami wznosił się biały wieżowiec. Piętnaście metrów ponad jej głową, na szerokim ekranie, w blasku migotliwych światełek przesuwały się dzisiejsze wiadomości: *SOWIECI LICZĄ NA...*

Światło się zmieniło, więc nie dowiedziała się, na co konkretnie. Przeszła przez ulicę i minęła przystojną, ciemnoskórą kobietę w żółtej, bawełnianej sukience z paskiem, która krzyczała do mikrofonu: — W niebie czeka na was prawdziwe szczęście! Amen! Porzućcie swoje grzeszne życie! Amen! Możecie wygrać na loterii, zostać milionerami, miliarderami i mieć wszystko, czego dusza zapragnie. Ale to i tak nie może się równać z tym, co czeka na was w niebie. Amen! Porzućcie swoje grzechy,

swoje żądze... Jeśli dziś w nocy przyjdzie mi umrzeć, to będę chwalić dobrego Boga, bo wiem, co to znaczy! To znaczy, że jutro będę w niebie. Amen!

Kilka osób jej zawtórowało, większość mijała ją obojętnie.

Północny kraniec placu prezentował się bardziej szykownie — w okolicy punktu, gdzie za pół ceny można było kupić bilety na każdy show na Broadwayu i gdzie już z daleka widać było wielkie tablice reklamowe, dobrze znane wszystkim oglądającym telewizję przyjezdnym. To tam mieściła się restauracja „Lindy's", gdzie sprzedawano słynny i koszmarnie drogi sernik. Tam też znajdował się Brill Building i słynna Tin Pan Alley. Dalej wznosiło się kilka nowoczesnych biurowców i nowe kino.

Rune jednak to wszystko nie interesowało, jej celem była południowa część Times Square. Tam, gdzie było rozrywkowe centrum Manhattanu.

Mijając sklepy, butiki i kina, zwracała uwagę na liczne tablice krzyczące: „NIE" DLA PROJEKTU REWITALIZACJI TIMES SQUARE! Chodziło o wielkie plany wyburzenia dotychczasowych przybytków rozrywki i postawienie w ich miejsce biurowców oraz drogich restauracji i teatrów. O oczyszczenie dzielnicy z szumowin. Wyglądało na to, że pomysł nie ma zbyt wielu zwolenników, ale nikt też nie palił się do zorganizowanych protestów. Na tym właśnie polegał paradoks Times Square — tutaj dominowała energiczna apatia. Wokół dużo się działo, a mimo to człowiek miał wrażenie, że okolica podupada. Wiele sklepów plajtowało, jak choćby „Nedick's" — bar z hot dogami jeszcze z lat czterdziestych; już wkrótce miał go zastąpić połyskujący lustrami, elegancki lokal „Mike's Hot Dogs and Pizza". Zaledwie garstka legendarnych kin przy Czterdziestej Drugiej Ulicy — gdzie dawniej w większości królowała burleska — wciąż była otwarta. Ich repertuar ograniczał się jednak do pornosów, filmów kung-fu czy krwawych horrorów.

Rune spojrzała przez ulicę na wielki budynek starego Amsterdam Theatre w stylu art deco, cały zabity deskami. Wskazówki na łagodnie zaokrąglonym cyferblacie zegara zatrzymały się za pięć trzecia. Którego dnia, którego miesiąca, którego roku? Nie wiedziała. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch w bocznej uliczce. Miała wrażenie, że ktoś się jej przygląda, ktoś w czerwonej kurtce. I w kapeluszu, jak ze zdumieniem stwierdziła. Chwilę potem straciła go z oczu.

Ta paranoja. Dopadła ją w najlepszym możliwym miejscu.

Ruszyła przed siebie, mijając po drodze dziesiątki sklepików handlujących sztuczną biżuterią, elektroniką, lateksowymi ciuchami, tanim obuwiem sportowym, pamiątkami, podrabianymi perfumami i fałszywkami zegarków znanych marek. W niektórych można było zrobić

sobie zdjęcie do dowodu albo prawa jazdy. Wszędzie sterczeli naganiacze, wciągający do środka ogłupiałych turystów.

Popatrzcie, popatrzcie tylko... Mamy wszystko, czego wam trzeba, spodoba wam się nasz towar. Popatrzcie...

Witryna jednego z lokali zamalowana była czarną farbą, a pod szyldem „Art's Novelties" widniała informacja: PRODUKTY REKREACYJNE. TYLKO DLA OSÓB POWYŻEJ 21 LAT.

Rune spróbowała zajrzeć do środka. Co to u diabła jest „produkt rekreacyjny"?

Szła dalej, uginając się pod ciężarem kamery. Pot spływał jej po twarzy, karku i plecach.

Otaczała ją woń czosnku, tłuszczu, uryny, zepsutej żywności i spalin. I jeszcze te tłumy... Skąd się ci wszyscy ludzie brali? Nadciągali całymi stadami. Gdzie był ich dom? W mieście? Na przedmieściach? Co ich tu sprowadzało?

Zeszła z drogi dwóm nastolatkom w dżinsach i podkoszulkach bez rękawów; szli szybko, kołysząc ramionami i przekrzykując się ochryple. — Może sobie, kurwa, być moim szefem, ale nie będzie mi, kurwa, mówił, co mam robić. Kumasz, stary?

– Pewnie, kurwa. Nie będzie żadnemu z nas mówił, co ma robić.

– Jak jeszcze raz spróbuje, to go, kurwa, puknę. No puknę go, kurwa...

Minęli ją, ją i jej kamerę, rejestrującą żywą historię Times Square.

Nie ma drugiego takiego miejsca w Nowym Jorku.

Times Square...

Każde Zaczarowane Królestwo musi mieć swój Mordor czy Hades, więc tego wieczoru, maszerując przez plac, Rune nie czuła większego niepokoju. Wyruszyła na wyprawę, żeby nakręcić film. *O zamachu, ale nie o zamachu.* Nie musiała się nikomu tłumaczyć z wyboru tak szemranej okolicy ani martwić o kogokolwiek poza sobą, a przecież potrafiła się o siebie zatroszczyć.

Naraz z tyłu dobiegło ją głośne końskie parsknięcie.

Fantastycznie! Rycerze!

Rune skierowała obiektyw kamery na dwóch policjantów na koniach. Siedzieli w siodłach wyprostowani jak struna, a ich konie kołysały

łbami i przestępowały podkutymi nogami w stercie nawozu.

– Do mnie, sir Gawainie! — zawołała. Zerknęli w jej stronę i najwyraźniej uznali, że nie warto z nią poflirtować, bo zaraz się odwrócili

i dalej patrolowali ulicę, rzucając chłodne spojrzenia spod daszków ja- snobłękitnych hełmów.

Odrywając wzrok od rosłego wierzchowca o kasztanowatym uma- szczeniu, Rune znowu dostrzegła czerwoną kurtkę, która tym razem znikła jej z oczu jeszcze szybciej niż poprzednio.

Pomimo upału przeszedł ją dreszcz.

Kto to może być?

Nikt. Po prostu jeden z dziesięciu milionów mieszkańców Zaczarowanego Królestwa. Zapomniała o nim natychmiast, jak tylko skręciła w Osmą Aleję i ruszyła tam, gdzie niegdyś mieściło się kino Velvet Venus.

Po drodze naliczyła sześć kin wyświetlających filmy porno i kiosków z czasopismami dla dorosłych. Niektóre oferowały występy tancerek, inne peep show, gdzie po wrzuceniu dwudziestopięciocentówki albo żetonu można było obejrzeć filmik w ciasnej kabinie. Wycelowała obiektyw kamery w drzwi jednego z takich przybytków i zdążyła sfilmować tabliczkę informacyjną (ZGODNIE Z NASZYMI PRZEPISAMI W KABINIE MOŻE PRZEBYWAĆ TYLKO JEDNA OSOBA. ŻYCZYMY PAŃSTWU MIŁEGO DNIA), zanim sprzedający żetony wielkolud ją przegonił.

Następnie nakręciła kilka udanych ujęć ludzi spieszących po pracy do portu, skąd promy rozwoziły ich do podmiejskich domów w New Jersey. Niektórzy spoglądali przez okna, większość wpatrywała się przed siebie szklanym wzrokiem. Pojedynczy biznesmeni skręcali i szybko znikali w ciemnym wnętrzu kin, bez chwili wahania, jakby gwałtowny podmuch wiatru wepchnął ich przez drzwi.

Wiatr rzeczywiście wiał, ale jego gorące powiewy niosły w jej stronę kwaśny odór spalenizny. Domyśliła się, że to woń pogorzeliska. Wyłączyła kamerę i ruszyła żwawo ulicą.

Czuła strach. Jej paranoja znowu dawała o sobie znać. W uszach wciąż miała okropny huk wybuchu. Pamiętała, jak ziemia zadrżała jej pod stopami, powróciło wspomnienie ciał, *fragmentów* ciał. Koszmarne żniwo eksplozji i ognia. Obejrzała się, ale nikt jej nie śledził.

Szła dalej przed siebie, myśląc: „Dziennikarze wycisnęli z tej tragedii tyle, ile się dało". *News At Eleven* poświęciło wydarzeniu całe dziesięć minut, *Times* wykorzystał je jako pretekst dla artykułu oma-

wiającego trendy w kinie dla dorosłych („Ciężkie czasy dla przemysłu porno?"), a *Village Voice* zrobił to samo w tekście przedstawiającym zamach jako naruszenie Pierwszej Poprawki („Nieposzanowanie religii

i ograniczanie wolności prasy"). Jednak, tak jak przewidział Larry, wszystkie relacje ograniczały się do twardych faktów albo sensacji. Nikogo nie zainteresował ludzki wymiar tragedii.

Zgódź się, Shelly — pomyślała. Jesteś kluczem do tego filmu. Potrzebuję cię...

Zbliżywszy się do wypalonych ruin kina, Rune przystanęła i oparła dłoń na żółtej policyjnej taśmie. Smród spalenizny był teraz gorszy niż w dniu wybuchu. Powietrze niemal ją dławiło, przepełnione ciężką wonią mokrej, zwęglonej tapicerki. I było coś jeszcze — dziwny, słodka- wy odór. Rune domyśliła się, że musi pochodzić ze spalonych ciał. Ze wszystkich sił starała się odegnać cisnące się przed oczy obrazy.

Po przeciwnej stronie ulicy wznosił się budynek innego kina. Kolorowy neon obwieszczał: NAJLEPSZY WYBÓR ROZRYWKI DLA DOROSŁYCH. KLIMATYZOWANE, WYGODNE I BEZPIECZNE SALE. Ruch był niewielki, więc Rune doszła do wniosku, że podświetlona deklaracja nie zdołała przekonać potencjalnych klientów.

Odwróciła się w stronę pogorzeliska, bo zaskoczył ją tam nagły ruch. Jej pierwszą myślą było: „Cholera, to znowu on!" Ten sam, który śledził ją na Times Square.

Męska twarz...

Ogarnęła ją panika. Już miała obrócić się na pięcie i rzucić do ucieczki, kiedy jej zmrużone oczy wydobyły z mroku sylwetkę prześladowcy. Mężczyzna miał na sobie dżinsy i granatową kurtkę z logo nowojorskiej policji na piersi. Kowboj, policyjny pirotechnik.

Przymknęła powieki i powoli wypuściła z płuc powietrze, próbując opanować drżenie rąk. Kowboj siedział na rozkładanym krzesełku i wpatrywał się w białą kartkę, którą po chwili złożył i wsunął do kieszeni. Rune zauważyła niewielką brązową kaburę na jego prawym biodrze. Podniosła kamerę i nakręciła niecałą minutę materiału, otwierając szerzej przesłonę, żeby złapać ostrość w przedwieczornej szarówce.

Nagle mężczyzna spojrzał prosto w obiektyw. Myślała, że każe jej się zmywać, ale on tylko wstał i zaczął przechadzać się po zgliszczach. Tu kopnął jakiś kamień, tam nachylił się, żeby lepiej się czemuś przyjrzeć, kierując światło długiej, czarnej latarki na ściany i posadzkę.

Obraz w wizjerze ciężkiej kamery stał się zamazany. Zmrok zapadł błyskawicznie — a może po prostu nie zwróciła uwagi, że się ściemnia. Otworzyła przesłonę najszerzej jak się dało, ale obraz wciąż był niewyraźny, a ona nie miała ze sobą żadnego oświetlenia. Wiedziała, że jest za ciemno, żeby dalej kręcić. Wyłączyła kamerę i zdjęła ją z ramienia.

Kiedy znowu spojrzała na pogorzelisko, Kowboj zniknął.

Gdzie on się podział?

W pobliżu rozległy się szybkie kroki.

Coś ciężkiego upadło na ziemię.

– Halo?

Cisza.

– Jest tam kto? — zawołała Rune.

Nikt jej nie odpowiedział. Odwracając się w stronę ciemniejących zgliszczy, krzyknęła: — Dlaczego za mną łazisz? Panie władzo, ktoś za mną szedł, czy to pan?

Tylko odgłos ciężkich kroków na chodniku. Dobiegał gdzieś z bliska, jednak nie potrafiła go zlokalizować.

Warkot zapuszczanego silnika. Obróciła się na pięcie, szukając wzrokiem niebiesko-białego kombi z napisem EKIPA PIROTECHNICZNA, ale nigdzie go nie dostrzegła.

Z bocznej alejki wyjechał ciemny samochód i zniknął w głębi Ósmej Alei.

Znowu poczuła się nieswojo. Akurat, nieswojo. — z jakiegoś powodu była zwyczajnie przerażona. Ale kiedy spojrzała na przelewający się Aleją tłum, zobaczyła tylko nieszkodliwych przechodniów. Ludzi idących do kina albo teatru, zamkniętych w swoim własnym świecie. Żaden z klientów pobliskich kafejek czy barów nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Minął ją tabun turystów, najwyraźniej zdziwionych, czemu u diabła przewodnik prowadzi ich w takie zakazane okolice. Groźnie wyglądający nastoletni Latynos próbował ją niewinnie podrywać, ale odszedł, kiedy go zignorowała, życząc jej udanego wieczoru. Po przeciwnej stronie ulicy jakiś człowiek w kapeluszu z szerokim rondem i torbą sklepu odzieżowego Lord&Taylor w ręce wpatrywał się w wystawę kiosku z czasopismami dla dorosłych.

Nikogo w czerwonej kurtce, kto by ją szpiegował.

Paranoja. Po prostu mam paranoję.

Mimo to spakowała kamerę, schowała kasetę do torebki w lamparcie cętki i ruszyła w kierunku stacji metra. Wystarczy tych „miejskich klimatów" jak na jeden wieczór.

W bocznej uliczce niemal naprzeciwko spalonego kina Velvet Venus, przy śmietniku,

siedział bezdomny i pociągał piwo z butelki. Widząc u wylotu uliczki sylwetkę mężczyzny, zmrużył czujnie oczy.

Cholera, pewnie będzie chciał się tutaj odlać. *Wszyscy* tak robili. Szli na piwo z kumplami, a potem nie dawali rady dojść do Penn Sta-tion, więc skręcali w jego uliczkę i sikali. Zastanawiał się, jak tamten by się poczuł, gdyby nagle ktoś wszedł do jego salonu i chciał się tam odlać.

Ale mężczyzna nie rozpiął spodni. Zatrzymał się u wylotu uliczki i przez chwilę wyglądał na Ósmą Aleję, marszcząc brwi, jakby kogoś wypatrywał.

Ciekawe, czego tutaj szuka i dlaczego ma na głowie taki staromodny kapelusz z szerokim rondem. Bezdomny pociągnął kolejny łyk piwa i z brzękiem odstawił butelkę na chodnik.

Mężczyzna natychmiast się odwrócił.

– Masz drobne? — zapytał bezdomny.

– Wystraszyłeś mnie. Myślałem, że nikogo tutaj nie ma.

– Masz drobne?

Mężczyzna sięgnął do kieszeni. — Jasne. Wydasz to na piwo?

– Raczej tak — odparł bezdomny. Zdarzało mu się napastować ludzi na stacjach przesiadkowych metra, wołając: „Pomóżcie ślepemu, pomóżcie ślepemu... Będę za was pił, dopóki nie oślepnę!" Ludzie śmiali się i dawali mu więcej pieniędzy tylko dlatego, że ich rozbawił.

– Doceniam twoją szczerość, przyjacielu. Trzymaj. — Mężczyzna podał mu monetę.

Bezdomny wyciągnął rękę, ale zanim zdołał ją pochwycić, poczuł, jak lewa dłoń mężczyzny zaciska się na jego przegubie.

– Co jest...?!

Mężczyzna nie zwlekał. Bezdomny poczuł na szyi lekkie pieczenie. Potem jeszcze jedno, z drugiej strony. Mężczyzna puścił jego nadgarstki. Bezdomny uniósł ręce do szyi i poczuł pod palcami dwa luźno zwisające płaty skóry. Dopiero wtedy zauważył w dłoni nieznajomego nóż sprężynowy. Zakrwawione ostrze właśnie znikało w rękojeści.

Bezdomny próbował wzywać pomocy, ale krew lała się wartkim strumieniem z dwóch ran na jego szyi. Pociemniało mu przed oczami. Chciał się podnieść, ale runął jak długi na bruk. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak tamten sięga do torby na zakupy od Lorda&Taylora, wyciąga czerwoną wiatrówkę i zakłada ją, po czym szybkim krokiem wychodzi z uliczki, jakby spieszył się na podmiejski pociąg do domu.

Następnego ranka Runę leżała na łóżku — a właściwie na koi — nasłuchując odgłosów rzeki, kiedy z zamyślenia wyrwało ją stukanie do drzwi.

Pospiesznie wciągnęła dżinsy i czerwone, jedwabne kimono i przeszła na dziób. Otworzyła drzwi od kabiny i zobaczyła przed sobą plecy Shelly Lowe. Stojąc na wąskim trapie pomalowanym na kanarkową żółć, aktorka wpatrywała się w chlupoczącą w dole wodę. Odwróciła się i pokręciła głową z niedowierzaniem. Runę uśmiechem skwitowała dobrze sobie znaną reakcję.

– To barka. Mieszkasz na barce!

– Dawniej żartowałam, że mam wodę w piwnicy, ale ile można. Nie ma zbyt wielu dowcipów o barkach.

– Nie masz choroby morskiej?

– Rzeka Hudson to nie Przylądek Horn. — Runę cofnęła się, przepuszczając Shelly przez wąskie przejście. W oddali, ponad dachami budynków północnej części nabrzeża, mignęło coś czerwonego, budząc w jej umyśle jakieś niepokojące skojarzenia. Nie mogła sobie jednak przypomnieć, o co chodzi.

Podążyła za Shelly do środka.

– Oprowadzisz mnie?

Wystrój wnętrza utrzymany był w żeglarskim, podmiejskim stylu połowy lat pięćdziesiątych. Na dole znajdowały się salon, kuchnia i łazienka. Wąskimi schodkami wchodziło się na piętro do dwóch niewielkich pomieszczeń: sterówki oraz sypialni. Na zewnątrz zabezpieczony relingiem pokład otaczał całą część mieszkalną.

Pachniało olejem silnikowym i mieszanką suszonych płatków kwiatów.

Runę zaprezentowała Shelly swój najnowszy nabytek: sześć przezroczystych akrylowych przycisków do papieru z zatopionymi w środku kawałkami kolorowego plastiku. — Pasjonują mnie antyki. Te tutaj na sto procent pochodzą z 1955 roku. Moja matka twierdzi, że to doskonały rocznik.

Shelly skinęła głową z uprzejmym zainteresowaniem i rozejrzała się po reszcie salonu. Jej uprzejmość była tu wystawiona na próbę: turkusowe ściany, malowany wazon (scenka przedstawiała kobietę w rybaczkach z pudlem na smyczy), lampy — butelki wypełnione magmą, która po włączeniu żarówki roztapiała się, dając niezwykły efekt, pla

stikowe stoliki w kształcie nerki, abażury z kartonów po środkach czyszczących, czarne, płócienne krzesła, w których człowiek zapadał się jak w hamaku i stara konsola telewizyjna.

A poza tym: kolekcja lalek w bajkowych strojach, pluszowe zwierzątka oraz regały zastawione starymi książkami.

Shelly zdjęła z półki rozpadający się, wysłużony egzemplarz bajek braci Grimm, przekartkowała go i odłożyła na miejsce.

Runę przyglądała jej się przez zmrużone powieki. Przyszła jej do głowy pewna myśl. Roześmiała się. — Ale numer! Przecież ja mam twoje zdjęcie.

– Moje zdjęcie?

– No, w pewnym sensie. Popatrz.

Zdjęła z półki zakurzoną książkę i otworzyła. *Przemiany*.

– Pewien stary Rzymianin napisał to dawno temu.

– Rzymianin? — powtórzyła Shelly. — Tak jak Juliusz Cezar?

– Zgadza się. Spójrz na ten rysunek.

Shelly popatrzyła na kolorową ilustrację przedstawiającą piękną kobietę wyprowadzaną z ciemnej groty przez mężczyznę grającego na lirze. Podpis pod spodem informował: „Orfeusz i Eurydyka".

– Widzisz, wyglądasz zupełnie jak ona. Eurydyka.

Shelly pokręciła głową, zmrużyła oczy, wreszcie roześmiała się. — Faktycznie. To zabawne. — Zerknęła na grzbiet książki. — To coś z rzymskiej mitologii?

Runę przytaknęła. — Bardzo smutna historia. Eurydyka umarła i trafiła pod ziemię do Hadesu. Wtedy Orfeusz — ten z lirą, jej mąż — postanowił ją uratować. Romantycznie, nie?

– Zaczekaj. Przecież ja to znam. Była o tym opera. Chyba coś poszło nie tak?

– No. Ci rzymscy bogowie wymyślali dziwne zasady. Chodziło o to, że mógł ją wyprowadzić z podziemia pod warunkiem, że nie obejrzy się i na nią nie spojrzy. Zupełnie bez sensu, nie? Tak czy inaczej, Orfeusz obejrzał się i wszystko schrzanił. Eurydyka musiała wrócić do Hadesu. Ludziom wydaje się, że mity i bajki zawsze dobrze się kończą, ale to nieprawda.

Shelly przez chwilę wpatrywała się w obrazek. — Ja też zbieram stare książki.

– Jakie? — Runę podejrzewała, że erotyczne.

Ale Shelly odparła: — Głównie dramaty. W liceum szefowałam kółku teatralnemu. Byłam *artystką*. — Roześmiała się. — Za każdym ra

zem, kiedy opowiadam o tym komuś z branży — mam na myśli branżę porno — pytają mnie, kogo musiałam przelecieć. — Pokręciła głową. — W moim zawodzie nie ma miejsca na subtelności.

Rune włączyła ultrafioletowe światło. Fluoroscencyjny plakat przedstawiający statek żeglujący wokół księżyca zrobił się nagle trójwymiarowy. Obok wisiały batiki ufarbowane na fioletowo i pomarańczowo. — . Lubię mieszać style. Człowiek nie powinien się ograniczać do jednej epoki, prawda? Grunt, to nie być zbyt dosłownym. To moje motto.

– Święta racja. — Shelly wdrapała się do sterówki i pociągnęła za sznur od gwizdka. Nie wydał żadnego dźwięku. — Można się tym wybrać w rejs?

– Niestety, ten pojazd nie jeździ — odparła Rune. — Czekaj, powinnam zdaje się powiedzieć *ona*, bo to przecież barka. Ona nie jeździ.

– Nie jeździ?

– Dobra, nie pływa czy jak tam sobie chcesz. Jest nawet silnik, ale nie działa. Jechaliśmy kiedyś z moim byłym brzegiem Hudson i znaleźliśmy go — to znaczy *ją* — przycumowaną w pobliżu Bear Mo- untain. Była na sprzedaż. Poprosiłam właściciela, żeby nas przewiózł, ale odparł, że silnik nie działa i można ją jedynie holować. Zaczęliśmy się targować, ale kiedy zdecydował się dorzucić jeszcze laminowany komplet do jadalni, musiałam się zgodzić.

– Płacisz za cumowanie w tym miejscu?

– Aha, zarządowi portu. Wciąż pobierają opłaty za doki, chociaż nie ma już takiego ruchu, jak kiedyś. To dość kosztowna impreza i chyba nie będę mogła zostać tu na zawsze. Ale póki co daję sobie radę.

– Nie jest tu niebezpiecznie?

Rune wskazała jej teren rozciągający się za jednym z bulajów. — Przystań wciąż funkcjonuje, więc cały teren jest odgrodzony. Kumplu- ję się z ochroniarzami. Mają oko na barkę, a ja odwdzięczam im się na Gwiazdkę. Naprawdę fajnie jest mieć własny dom. I nie trzeba kosić trawnika.

Shelly posłała jej kolejny blady uśmiech. — Masz w sobie tyle... entuzjazmu. I na dodatek mieszkasz na barce na Manhattanie. To niesamowite.

Oczy Rune rozbłysły. — Chodź, pokażę ci coś naprawdę niesamowitego. — Wyszła na wąski, pomalowany szarą farbą pokład i

chwyciwszy się relingu, zanurzyła stopę w ciemnej, oleistej wodzie.

– Będziesz się kąpać? — spytała Shelly niepewnie.

Rune zamknęła oczy. — Wiesz, że dotykam w tej chwili tej samej wody, która obmywa wyspy Galapagos, Wenecję, Tokio, Hawaje i Egipt? Super, nie? Poza tym... Jeszcze do tego nie doszłam, ale niewykluczone, że to ta sama woda, która uderzała o dzioby *Niny*, *Pinty* oraz *Santa Marii* i niosła okręty Napoleona. Ta sama, która zmyła krew po ścięciu Marii Antoniny... Myślę, że to całkiem prawdopodobne... chociaż całkowitej pewności nie mam. Czy woda w ogóle umiera? Pamiętam, że była o tym mowa na zajęciach z geografii. Chyba po prostu krąży w przyrodzie.

Shelly westchnęła. — Ty to masz wyobraźnię.

– Już mi to mówiono. — Rune wskoczyła z powrotem na pokład. — Masz ochotę na kawę? Albo na coś do jedzenia?

– Wystarczy sama kawa.

Usiadły w sterówce. Podczas gdy Rune smarowała swojego tosta masłem orzechowym, Shelly popijała czarną kawę. Ta kobieta mogła być gwiazdą pornobiznesu, ale dziś wyglądała jak zwykła gospodyni domowa z Connecticut. Dżinsy, botki, biała bluzka i lekki, błękitny sweterek narzucony na ramiona.

– Trafiłaś bez problemu? — zagadnęła ją Rune.

– Nie było to takie trudne. Zadzwoniłabym, żeby cię uprzedzić, ale nie zostawiłaś mi swojego numeru.

– Nie mam telefonu. Kiedy próbowałam załatwić sobie podłączenie, goście z New York Bell przyjechali i roześmiali mi się w nos.

Po chwili milczenia Shelly odezwała się: — Myślałam o tym twoim filmie. Najpierw nie chciałam w to wchodzić, nawet kiedy zgodziłaś się na autoryzację. Ale coś spowodowało, że zmieniłam zdanie.

– Zamach?

– Nie — odparła Shelly. — Pokłóciłam się z jednym z gości, dla których pracuję. Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale na pewne sprawy spojrzałam trochę inaczej. Zrozumiałam, że mam już dosyć tej branży. Zbyt długo w niej siedzę. Najwyższy czas coś zmienić. Pomyślałam, że może jeśli ludzie o mnie usłyszą i przekonają się, że nie jestem głupim kociakiem, to może uda mi się znaleźć jakąś normalną pracę.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, obiecuję!

– Miałam nosa co do ciebie. — Z oczu Shelly wystrzeliła bladonie- bieska laserowa wiązka. — Wygląda na to, że jesteś właściwą osobą, żeby opowiedzieć moją historię. Kiedy możemy zacząć?

– Może od razu? Mam dzisiaj wolne.

Shelly pokręciła głową. — Teraz mam parę rzeczy do załatwienia, ale możemy się spotkać po południu. Powiedzmy o piątej? Wieczorem jest impreza u jednego z wydawców. Większość wydawnictw publikujących czasopisma dla dorosłych działa jednocześnie w branży filmowej. Będzie tam mnóstwo ludzi z pornobiznesu. Mogłabyś z nimi pogadać.

– Fantastycznie! To gdzie będziemy kręcić?

Shelly rozejrzała się po salonie. — Może tutaj? Dobrze się tu czuję.

– To będzie wywiad pierwsza klasa!

Shelly uśmiechnęła się. — I może nawet będę szczera.

Po wyjściu Shelly Rune podeszła do okna. Po drugiej stronie wąskiego przesmyku, na dachu zabudowań przystani, znowu mignęło jej coś czerwonego.

Nagle ją olśniło.

Taki sam kolor miała kurtka czy wiatrówka człowieka, który — tak jej się przynajmniej wydawało — śledził ją od Times Square.

Weszła do łazienki, żeby się ubrać.

Pięć minut później na brzegu wciąż coś się czerwieniło. Minęło kolejne pięć minut i Rune była już w drodze na przystań. Biegła nisko pochylona, jak żołnierz na tajnej misji. Na szyi kołysał jej się spory chromowany gwizdek z rodzaju tych, których używają sędziowie piłkarscy. Mogła wydobyć z niego co najmniej 120 decybeli i napędzić strachа każdemu, kto szukałby kłopotów.

Tyle że to było dobre na drobnych cwaniaczków. Na innych Rune miała w zanadrzu co innego — niewielki, okrągły pojemnik zawierający 113 gramów wojskowego gazu łzawiącego CS-38. Jego dotyk na udzie dodawał jej odwagi.

Szła szybko poboczem autostrady. Od rzeki ciągnęło zgnilizną; jej woń zalegała w ciężkim, wilgotnym powietrzu, które napłynęło do miasta wraz z niskimi chmurami pokrywającymi teraz już całe niebo. Nie wiał nawet najlżejszy wietrzyk. Gdzieś w oddali zaczęły bić dzwony. Właśnie minęło południe.

Rune przecisnęła się przez dziurę w ogrodzeniu z siatki i powoli zbliżyła do zabudowań przystani. Przed sobą miała dwupiętrowy budynek o fasadzie tak zniszczonej, że tu i ówdzie widać było gołe deski. U góry z trudem odczytała część nazwy

linii żeglugowej; granatowa farba kojarzyła jej się ze staroświeckimi pociągami. Jedno ze słów brzmiało „Ameryka". Obok widać było — albo tak jej się tylko wydawało — spłowiałą niebieską gwiazdę.

Ponadtrzyipółmetrowe drzwi robiły wrażenie, ale ledwie trzymały się w zawiasach. Rune z łatwością prześliznęła się przez szparę między nimi a framugą, zanurzając się w ciemnościach.

Wewnątrz było ponuro i nieprzyjemnie. Niegdyś z tego nabrzeża odpływały do Europy wielkie statki pasażerskie. Później zawijały tu statki towarowe, dopóki większość żeglugi nie przeniosła się do doków Brooklynu i New Jersey. Obecnie przystań była już w dużej mierze reliktem przeszłości. Jednego dnia, kiedy Rune była w pracy, przybiła tu barka wielkości boiska do futbolu i zacumowała tuż obok jej łodzi. Ale to byłoby na tyle, jeśli chodzi o komercyjną żeglugę w tej okolicy.

Rune była tu już kilka razy od czasu, kiedy zacumowała barkę na tym odcinku rzeki. Przechadzała się po przystani, wyobrażając sobie luksusy dziewiętnastowiecznych liniowców. Była ciekawa, czy niektóre z nich przewoziły kontrabandę (stawiała na sztabki złota), której nigdy nie odnaleziono. Wiedziała, że dawniej, niedaleko stąd, na rzece Hudson grasowali piraci. Nie zdziwiła się, nie znalazłszy nigdzie w budynku skrzyń pełnych złota. Jedyne, na co się natknęła, to puste kartony, kawałki desek i zardzewiałe fragmenty jakichś ogromnych maszyn.

Stwierdziwszy, że nie może liczyć na żaden cenny łup, Rune zaczęła wpadać tu od czasu do czasu z przyjaciółmi, żeby urządzić piknik na dachu i obserwować obłoki w kształcie olbrzymów. Kibicowała ich zmaganiom, dopóki wiatr nie przewiał ich hen, nad Brooklyn i Queens. Zdarzało jej się też przychodzić tu samotnie, żeby siedzieć i w spokoju karmić mewy.

Najbardziej wysunięta nad wodę część zabudowań stanowiła istny labirynt. Były to dawne biura i doki wyładunkowe, obecnie nieczynne i zabite deskami. Jeśli do środka wpadało w ogóle jakieś światło dzienne, działo się tak dlatego, że jakiś cieśla odwalił fuszerkę. Znajdowały się tam rozklekotane schody prowadzące na dach budynku.

Tam też wśliznęła się teraz Rune. Przeszła przez położone w głębi budynku pomieszczenie i wolno ruszyła w stronę schodów. U ich podnóża stara drewniana podłoga załamała się i ziała w niej szeroka na prawie metr ciemna czeluść o poszarpanych brzegach. Z dołu dobiegał chlupot wody i czuć

było przenikliwy odór. Rune zajrzała w mroczną głębinę i ostrożnie ominęła wyrwę.

Wspinając się na górę, nie przestawała nasłuchiwać, ale jedynymi dźwiękami były odległe odgłosy ulicy, chlupot fal uderzających o drewniane słupy i szum wiatru zwiastujący nadchodzącą burzę. U szczytu

schodów przystanęła, wyciągnęła z kieszeni biały pojemnik z gazem łzawiącym i pchnęła zamknięte drzwi.

Dach był pusty.

Wyszła na zewnątrz i przeszła na sam skraj, ostrożnie stąpając po przegniłych smołowanych deskach, uważnie badając każdy metr kwadratowy. Znalazłszy się przy krawędzi dachu, ruszyła ku frontowi budynku, do miejsca, gdzie — jak jej się wydawało — widziała śledzącego ją mężczyznę.

Zatrzymała się i popatrzyła w dół.

No dobra, to już *nie mógł* być wytwór jej wyobraźni. Pod swoimi stopami dostrzegła odciśnięte w smole ślady butów. Były całkiem spore — męski rozmiar — i miały gładkie podeszwy, jak buty konserwatywnego biznesmena, nie tenisówki czy adidasy. Poza tym nic — żadnego popiołu z papierosa, żadnych opróżnionych butelek, żadnych tajemniczych wiadomości.

Stojąc tam, poczuła na skórze pierwsze, delikatne krople deszczu. Zawróciła i zaczęła powoli schodzić na dół, szukając stopą oparcia w egipskich ciemnościach.

W tej samej chwili usłyszała jakiś hałas.

Na piętrze przystanęła i przez otwarte drzwi weszła do ciemnego, opustoszałego biura. Zacisnęła palce na pojemniku z gazem. Jej źrenice, zwężone pod wpływem dziennego światła, nie były w stanie przeniknąć mroku.

Znów usłyszała jakiś szmer. Zamarła w bezruchu.

To on! Jest tutaj!

Ktoś był w pomieszczeniu.

Nie zaalarmowało jej nic konkretnego: skrzypienie desek, szept ani szuranie nogami. Może wyczuła jego obecność węchem, a może szóstym zmysłem. Dość, że w ułamku sekundy w jej umyśle zapaliła się czerwona lampka: uważaj, mała — ten facet jest wielki i jest naprawdę blisko.

Runę nie poruszyła się. Tamten również ani drgnął, chociaż dwukrotnie usłyszała, jak wciąga przez zęby powietrze. Jej wzrok powoli oswajał się z ciemnością. Wypatrując celu, uniosła w górę pojemnik z gazem.

Ręce jej się trzęsły.

Okazało się, że jest ich dwóch.

Wyglądali jak duchy.

Dwie blade sylwetki. Niewyraźne, zamazane, ledwie przypominające człowieka. Obaj patrzyli prosto na nią, a jeden trzymał w dłoni białą gumową pałkę.

Wycelowała w nich pojemnik. — Jestem uzbrojona!

– Cholera! — rozległ się męski głos.

Drugi głos, również męski, zawołał: — Weź sobie portfel! Weź nasze *oba* portfele!

Obraz nieco się wyostrzył, a zjawy okazały się dwoma nagimi, ostrzyżonymi na jeża mężczyznami po trzydziestce. Przyjrzała się lepiej domniemanej policyjnej pałce i wybuchnęła śmiechem — teraz wydawała jej się znacznie mniejsza.

– Wybaczcie — jęknęła.

– Więc to nie jest napad?

– Naprawdę bardzo mi przykro.

W głosie mężczyzny zabrzmiało święte oburzenie. — Wiedz, że o mało nie umarliśmy ze strachu. Tak się składa, że ten pokój jest zarezerwowany.

– Długo tutaj jesteście? — zapytała.

– Najwyraźniej za długo.

– Jakąś godzinę?

Gniew zastąpiła nieskrywana ulga. Jeden z mężczyzn skinął w kierunku swojego towarzysza i odparł: — Jest dobry, ale nie aż tak.

Tamten rzucił poważniejszym tonem: — Czterdzieści pięć minut.

– Coś koło tego.

– Nie zauważyliście, czy ktoś nie schodził z dachu?

– Owszem. Będzie przed kwadransem. Potem ty weszłaś i ze- szłaś. Zupełnie jak na jakimś cholernym dworcu.

– Przyjrzeliście mu się?

– Byliśmy *poniekąd* zajęci...

– Proszę, to naprawdę ważne.

– Myśleliśmy, że szuka okazji, ale nie byliśmy pewni. W takim miejscu lepiej nie ryzykować.

No jasne. Nie wiadomo, na jakich degeneratów można się natknąć, kiedy człowiek uprawia seks na opuszczonej przystani.

– Woleliśmy siedzieć cicho.

– Jak wyglądał?

– Średniego wzrostu. Więcej nie pamiętam.

— Mężczyzna zwrócił się do swojego

towarzysza: — Może ty...? Nie, nie mamy pojęcia.

Runę nie rezygnowała. — Zauważyliście, jak był ubrany? Miał na sobie kurtkę?

– Czerwoną wiatrówkę. I kapelusz, taki staromodny. Do tego chyba ciemne spodnie — odrzekł jeden.

– Opięte. — To ten drugi.

– No tak, akurat *to* zdążyłeś zauważyć.

– Okej, dzięki — rzuciła.

Odchodząc, słyszała, jak szepczą między sobą. Coś o popsutym nastroju. — No, ale chyba *możesz* spróbować...

Runę zaczęła schodzić na dół.

Jej serce z wolna się uspokajało.

Zaśmiała się pod nosem. *Ten pokój jest zarezerwowany*. Że też nie wybrali jakiegoś bardziej romantycznego...

Zaskoczył ją od tyłu.

U podnóża schodów, w chwili gdy usiłowała ostrożnie obejść dziurę w podłodze, czyjaś ręka chwyciła ją za spięte w kucyk włosy i szarpnęła. Runę zobaczyła, że do jej szyi sięga dłoń w rękawiczce, ściskająca nóż do rozcinania kartonów. Chwyciła nadgarstek napastnika i z całej siły zatopiła w nim swoje krótkie paznokcie. Udało jej się odepchnąć nóż i przez chwilę walczyli ze sobą o niego. Wiedziała, że jeśli tylko puści poręcz, upadnie, ale nie miała szansy sięgnąć po gaz drugą ręką. Pojemnik tkwił zbyt głęboko w kieszeni.

Puściła nadgarstek mężczyzny, natarła na niego całym ciałem, jednocześnie wyciągając pojemnik i nie celując, rozpyliła gaz. Powstała w ten sposób chmura oślepiła ich oboje. Runę krzyknęła z bólu, a napastnik odwrócił się gwałtownie, zakrywając rękoma twarz.

Nie poddał się jednak tak łatwo i już po chwili Runę poczuła, że ciągnie ją za sobą. Nie otwierając oczu, zaczęła wywijać rękoma, ale jej dłonie trafiały w próżnię. Przerażona i oszołomiona runęła na podłogę. Padając płasko na plecy, poczuła, że powietrze niemal rozsadza jej płuca. Przekręciła się na brzuch, przyklękła na jedno kolano i spróbowała mu się wyrwać. Mężczyzna jednak błyskawicznie się nachylił i chwycił ją za kark. Nie był silny, ale jego przewagą było zaskoczenie — i desperacja. Kopnął ją w splot słoneczny, ponownie pozbawiając tchu. Zwinęła się w kłębek, z trudem chwytając ustami powietrze. Jak przez mgłę widziała, że tamten znowu chwyta nóż. Jej nozdrza wypełniała woń starego drewna, słonej wody, oleju silnikowego i zgnilizny. W

ustach czuła słony smak — może to były łzy, a może krew.

Chryste, ależ te oczy pieką. Jakby ktoś chlusnął w nie spirytusem.

Rozpaczliwie zaczęła szukać swojej broni, macając w panice wokół siebie w poszukiwaniu pojemniczka z gazem łzawiącym.

Napastnik zrezygnował z użycia noża. Zamiast tego spojrzał na ziejącą w pobliżu czeluść w drewnianej podłodze. Chwycił Runę za kołnierz i pociągnął w tym kierunku. Uszy wypełnił jej szum rwącego nurtu. Mężczyzna wepchnął do dziury najpierw jej głowę, a potem ramiona. Później chwycił ją za pasek, a Runę poczuła, że osuwa się w dół...

Runę zamachnęła się nogą. Niewiele brakowało, a kopnęłaby go w krocze, ale nie trafiła. Musiało go jednak zaboleć, bo stęknął gniewnie i uderzył ją pięścią w plecy.

Z jej ust wyrwał się zduszony krzyk. Łzy płynęły jej po twarzy. Bijący od wody ohydny, rybi odór dławił ją i nie pozwalał oddychać.

Napastnik kopniakami spróbował poszerzyć otwór w podłodze. Kawałki desek poleciały w dół i zniknęły w ciemnościach. Coraz głębiej spychał ją do środka.

Zdołała chwycić się poręczy schodów i z całej siły zacisnęła na niej palce. Jej opór na nic się jednak nie zdał — wystarczył jeden kopniak w rękę, żeby puściła poręcz.

Dopłynę do brzegu... Ale jak zdołam dojrzeć światło? A jeśli nie da się stąd wypłynąć na powierzchnię, jeśli pode mną jest rów głęboki na trzydzieści metrów?

Mężczyzna osunął się na kolana, jedną ręką chwycił ją za włosy, a drugą oparł na krawędzi wyrwy, żeby móc lepiej się zaprzeć i zepchnąć ją do wody.

– Halo? Jest tam kto? Chryste Panie!

Nad ich głowami rozległ się męski głos.

Napastnik znieruchomiał.

– Jezu, co tu się dzieje?! — To ten drugi z góry. Najwyraźniej zrezygnowali z dalszych amorów albo skończyli je i zeszli, zaalarmowani hałasem.

Mężczyzna puścił Runę i spojrzał na schody. Skorzystała z okazji, żeby się uwolnić i odskoczyć do tyłu, a następnie gnana paniką przetoczyła się aż do podnóża schodów. Kiedy napastnik się odwrócił i wyciągnął rękę, zamiast Runę ujrzał przed sobą maleńką syczącą dyszę.

Strumień gazu trafił prosto w jego nozdrza.

Wdychaj to, draniu, wdychaj!

Mężczyzna sapnął, zasłonił oczy i zamachnął się na nią z wściekłością. Runę rozpyliła kolejny obłok gazu. Potykając się, napastnik runął w jej kierunku i z całej siły popchnął w stronę dziury prowadzącej do rzeki, po czym wbiegł do magazynu.

Jego dudniące kroki ucichły w oddali. Zniknął.

Runę wydobyła się z dziury i padła jak martwa na podłogę, zaciskając powieki z bólu. Oczy paliły ją żywym ogniem, podobnie jak gardło i nos. Przycisnęła twarz do drewnianych desek, czekając, aż oddech jej się wyrówna. Po pewnym czasie poczuła, że wraca jej powonienie, a nozdrza wypełnia woń smaru i chłód świeżego powietrza.

– Dobry Boże — odezwał się jeden z tamtych mężczyzn. Teraz już obaj byli ubrani. — Dobrze się czujesz? Kto to *był*?

Pomogli jej się podnieść.

– Zdążyliście mu się przyjrzeć? — zapytała.

– Nie, widzieliśmy tylko kurtkę — odparł jeden z mężczyzn.

– Była czerwona — dodał jego towarzysz. — Tak jak mówiłem. No i jeszcze ten kapelusz.

– Musisz wezwać policję... Co to za smród? Coś okropnego.

– Gaz łzawiący.

Chwila milczenia. — *Kim* ty właściwie jesteś?

Runę powoli się podniosła, podziękowała swoim przypadkowym wybawicielom, po czym potykając się, wyszła z mroków magazynu na światło dzienne.

Dotarła do najbliższej budki telefonicznej i zadzwoniła na policję. Nawet szybko przyjechali, ale tak jak podejrzewała, niewiele mogli zrobić. Nie potrafiła podać im dokładnego rysopisu sprawcy. Najprawdopodobniej był to mężczyzna, średniej budowy ciała. Nie widziała koloru jego włosów, oczu, ani żadnych znaków szczególnych. Miał na sobie czerwoną wiatrówkę, jak w *Nie oglądaj się teraz* — niesamowitym dreszczowcu nakręconym na podstawie opowiadania Daphne du Mau- rier. Jednak widząc ich pusty wzrok, Runę domyśliła się, że żaden z gliniarzy go nie czytał ani nie widział filmu.

Poinformowali ją, że się tym zajmą, ale nie byli zadowoleni, słysząc, że nosi przy sobie pojemnik z CS-38, którego użycie było w mieście zabronione.

– Domyśla się pani, dlaczego ktoś mógłby chcieć ją skrzywdzić?

Runę podejrzewała, że ma to coś wspólnego z jej filmem, wysadzonym kinem i Mieczem Jezusowym. Ale kiedy im to oznajmiła, wyczytała z ich twarzy, że ten trop to ślepy zaułek. Zatrzasnęli notesy i rzucili, że radiowóz będzie regularnie patrolował tę okolicę.

Zapytała jeszcze, ilu ludzi zajmie się dochodzeniem, ale funkcjonariusze tylko spojrzeli na nią chłodno i dodali, że przykro im z powodu tego, co się stało.

A później skonfiskowali jej gaz łzawiący.

Po tym, jak się umyła, zdezynfekowała zadrapania wodą utlenioną i wyciągnęła ze skrytki pod umywalką nowy pojemnik gazu łzawiącego, Runę poszła do pracy.

– No, no... Co my tu mamy? — Bob przyjrzał się uważnie jej twarzy.

Nie miała zamiaru przyznawać się, że jej wygląd ma coś wspólnego z kręconym przez nią dokumentem — zwłaszcza że gdyby dosięgła ją na ulicy seria z automatu, to należąca do firmy kamera wideo mogłaby ulec zniszczeniu.

– Jeden taki mnie zaczepiał, ale dałam mu popalić.

– Akurat — mruknął sceptycznie Bob.

– Słuchaj, po pracy znowu będę musiała pożyczyć kamerę. I jakieś oświetlenie.

Bob, najwyraźniej w nastroju do prawienia kazań, odparł: — Czy ty wiesz, co to jest, Runę? — Pieścił przy tym masywną kamerę z takim uczuciem, jakby to był kuper jakiejś blondynki.

– Larry się zgodził. Już wcześniej ją brałam.

– Zrób to dla mnie, złotko i odpowiedz: czy wiesz, co to jest?

– To kamera wideo typu betacam, Bob, wyprodukowana przez Sony, z deckiem Ampexa. Miałam ją w ręku z pięćdziesiąt razy.

– A wiesz, ile taka kamera kosztuje?

– Założę się, że więcej, niż mi kiedykolwiek zapłacicie za moją ciężką pracę.

– Ha! To cacko jest warte czterdzieści siedem tysięcy dolarów... — Bob zrobił dramatyczną pauzę.

– Larry już mi to mówił, kiedy pierwszy raz mi ją pożyczał. Nie przypuszczam, żeby od tego czasu straciła na wartości.

– Jeżeli ją zgubisz, zniszczysz albo przypalisz obudowę, zapłacisz za nią z własnej kieszeni.

– Będę uważać, Bob.

– A ty w ogóle wiesz, co można kupić za czterdzieści siedem tysięcy dolarów? — Bob uderzył w filozoficzny ton. — Mając taką sumę, można wyjechać do Gwatemali i żyć jak król do końca swoich dni.

– Będę uważać. — Rune pochyliła się nad scenopisem najnowszej telewizyjnej reklamy, o której realizację Larry i Bob mieli walczyć w przyszłym tygodniu, i zaczęła numerować kolejne rysunki.

– Jak król, do końca swoich dni! — krzyknął jeszcze Bob, znikając w studiu.

Rune ustawiła kamerę na pokładzie barki, obok 400-watowej lampy. Z dużej rolki oderwała kawałek szerokiej taśmy samoprzylepnej i z jej pomocą przytwierdziła różową folię zmiękczającą do metalowych skrzydeł reflektora, dzięki czemu na twarz Shelly padło łagodne, ciepłe światło.

Żeby być mistrzem w robieniu filmów, złotko, trzeba najpierw opanować sztukę właściwego oświetlenia — przypomniała sobie słowa Larry'ego.

Za plecami Shelly umieściła jeszcze światło dopełniające.

Zerknęła w obiektyw i zobaczyła, że w tle, ponad głową aktorki, widoczne są światła miasta. Żadnej poświaty, żadnych odbić.

Patrząc w okular kamery, pomyślała: „Idealnie!"

A na dodatek wygląda to tak, jakbym znała się na tej robocie, dodała w myślach. Bardzo chciała zrobić dobre wrażenie na swojej rozmówczyni.

Jeszcze w studiu, pakując scenopisy do kopert, Rune obmyślała pytania do Shelly, notując swoje pomysły na samoprzylepnych karteczkach. Teraz jednak, gdy włączyła reflektory i uruchomiła kamerę, ogarnęły ją wątpliwości. Lista pytań skojarzyła jej się z kursem dziennikarstwa w szkole średniej.

Hm, jak trafiłaś do tej branży?

Hm, jakie są twoje ulubione filmy, poza filmami dla dorosłych?

Chodziłaś do college'u? Co studiowałaś?

Okazało się, że Shelly nie potrzebuje żadnych pytań. Rune nakręciła pierwsze ujęcie dokładnie tak, jak to sobie wcześniej zaplanowała, zaczynając od maksymalnego zbliżenia przeszywających, błękitnych oczu

aktorki, po czym odsunęła się z kamerą do tyłu. Shelly uśmiechnęła się i po prostu zaczęła mówić. Miała niski, przyjemny dla ucha głos i sprawiała wrażenie całkowicie opanowanej i pewnej siebie, jak

te charakterne senatorki czy maklerki, które widuje się w talk sho- wach na kanale PBS.

Przez pierwszą godzinę Shelly opowiadała o przemyśle pornograficznym w chłodny, rzeczowy sposób. Filmom dla dorosłych groziła nieunikniona śmierć. Nie były już tak modne i „na czasie", jak w latach siedemdziesiątych. Zniknął dreszczyk związany z kosztowaniem zakazanego owocu. Religijna prawica i konserwatyści coraz bardziej się uaktywniali. Z drugiej strony, wyjaśniła Shelly, pojawiło się kilka czynników wspierających podupadającą branżę. Jednym z nich była z pewnością groźba AIDS. — W dzisiejszych czasach bezpieczniej jest oglądać seks na ekranie, niż go uprawiać. — Poza tym ostatnio coraz więcej osób stawiało na wierność. Mniej skoków w bok oznaczało, że pary częściej eksperymentowały w zaciszu własnych sypialni. Nie trzeba już było szukać wrażeń w jakimś obskurnym kinie w podejrzanej dzielnicy. Żeby obejrzeć seksualne wygibasy, człowiek nie musiał nawet wychodzić z łóżka.

Zmieniła się również technologia oglądania filmów pornograficznych. — Dzięki magnetowidowi takie produkcje zyskały na popularności. — Shelly uważała, że technika wideo to przyszłość tej branży. — Piętnaście lat temu, w okresie rozkwitu, budżety na realizację pornosów sięgały czasami kilku milionów dolarów. — Były to czasy wyszukanych efektów specjalnych, specjalnie budowanych planów, drogich kostiumów i dziewięćdziesięciostronicowych scenariuszy, których aktorzy uczyli się na pamięć. Filmy kręcono na 35-milimetrowej taśmie i w technicolorze. Producenci *Za zielonymi drzwiami* próbowali nawet powalczyć o Oscara.

Obecnie pornosy były w większości kręcone metodą chałupniczą przez dziesiątki małych wytwórni. Nagrywało się je na kasetę wideo, a nie na taśmę filmową. Producentem mógł być każdy, kto miał w kieszeni pięć tysięcy dolców, dostęp do koki i sześciu chętnych znajomych. Prawdziwe gwiazdy można policzyć na palcach jednej ręki: John Holmes, Annette Haven, Seka czy Georgina Spelvin. Shelly Lowe to tylko jedno z wielu nazwisk (w tym miejscu, patrząc twardo w obiektyw, dodała: — A przecież, cholera, mam w swoim dorobku

pięćset filmów). Ale sława gwiazd rzadko sięgała poza granice Nowego Jorku i Kalifornii. W środkowych stanach Shelly Lowe była tylko jeszcze jedną twarzą na okładce kaset ukradkiem wyciąganych spod lady w rodzinnych wypożyczalniach wideo. Gdyby jej kariera przypadła na lata sie

demdziesiąte, swoją obecnością uświetniałaby kinowe premiery porno w całym kraju. Teraz mogła o tym już tylko pomarzyć.

Kręcenie filmów dla dorosłych to bułka z masłem: trzyosobowa ekipa wynajmuje albo pożycza na dwa dni czyjeś mieszkanie, rozstawia przenośne kamery telewizyjne, światła i mikrofony, kręci sześć do dziesięciu scen łóżkowych, do tego jakieś dwadzieścia minut „wypełniaczy". Cały scenariusz mieści się na dziesięciu stronach. Dialogi są improwizowane. Podczas postprodukcji montuje się dwie wersje, ostrzejszą, która idzie do kin, sprzedaży wysyłkowej, peep showów i wypożyczalni wideo oraz łagodniejszą, którą kupują sieci kablowe oraz hotele. Kina przestały być głównym dostawcą rozrywki dla dorosłych; część splajtowała, inne zainwestowały w projekcje wideo i dopiero potem splajtowały. Jednak ludzie nadal wypożyczają pornosy do oglądania w domu. Każdego roku kręci się cztery tysiące rozbieranych filmów. Stały się towarem jak każdy inny.

– Masowa produkcja. Weszliśmy w epokę pornografii a la volkswagen.

– A jak to było z tobą? — zapytała Rune. — Ktoś cię zmusił, porwał, molestował kiedy miałaś dziesięć lat?

Shelly roześmiała się. — Nic z tych rzeczy. Sama tego chciałam. A może powinnam raczej powiedzieć, że działałam pod delikatną presją. Rozpaczliwie chciałam grać, ale nie dostawałam żadnych przyzwoitych propozycji. Nic, z czego dałoby się wyżyć. Jedynym wyjściem była branża pornograficzna. Szybko okazało się, że nie tylko gram, ale na dodatek świetnie zarabiam. Nareszcie mogłam o czymś decydować, nie tylko w sensie kreatywnym, ale i w seksie. Coś takiego potrafi zawrócić w głowie.

– Nie czułaś się wykorzystywana?

Shelly ponownie się zaśmiała i pokręciła głową. Spojrzała prosto w obiektyw kamery. — Na tym polega mit pornografii. Nie, żadna z nas nie była naiwną wieśniaczką, którą sprzedano w niewolę. W normalnym przemyśle filmowym to mężczyźni sprawują kontrolę, ale w pornosach jest na odwrót. Tak samo, jak w prawdziwym życiu: w seksie to *kobiety* kontrolują sytuację. Mamy to, czego pragną mężczyźni, a oni są gotowi za to

zapłacić. Zarabiamy więcej od nich i dyktujemy im warunki. To my jesteśmy na górze, jeśli mogę tak powiedzieć — zażartowała.

Rune nie posiadała się ze zdumienia. — Więc ty lubisz tę pracę?

Chwila wahania, a po niej szczere spojrzenie prosto w błyszczące oko kamery: — Nie do końca. Jest pewien problem. W tych filmach brakuje... piękna. Ludzie nazywają je erotykami, ale nie ma w nich nic erotycznego. Erotyka to jednoczesna stymulacja emocjonalna i fizyczna. Dlatego zbliżenia pieprzących się ludzi nie są erotyczne. Chyba już ci mówiłam, że w moim zawodzie nie ma miejsca na subtelności.

– To dlaczego się nie wycofałaś?

– Ostatnio grywam trochę w teatrze. Nie za wiele, od czasu do czasu. Największa kwota, jaką udało mi się tam zarobić, to cztery tysiące rocznie. W pornobiznesie w ubiegłym roku zarobiłam sto dwanaście tysięcy. Życie kosztuje. Można powiedzieć, że wybrałam linię najmniejszego oporu.

Shelly lekko się przygarbiła. Rune zrozumiała, że twarda, zalotna kobieta, z którą zaczynała rozmowę, tamta Shelly od statystyk i faktów, Shelly zgrywająca prezenterkę telewizyjną i ta, którą miała teraz przed sobą, to dwie całkiem różne osoby. Ta Shelly była łagodniejsza, wrażliwsza, dużo bardziej refleksyjna.

Aktorka wyprostowała się, założyła nogę na nogę i spojrzała na zegarek. — Słuchaj, jestem kompletnie wykończona. Może skończymy na dzisiaj?

– Jasne.

Jaskrawe światła zgasły; stygnąc, reflektory wydawały ciche, suche trzaski. Rune i Shelly owionął wieczorny chłód.

– Jak twoim zdaniem poszło? — zapytała Rune. — Jak dla mnie było super.

Shelly odparła: — Dobrze się z tobą rozmawia.

– Nawet nie zadałam żadnego ze swoich pytań. — Rune usiadła w pozycji kwiatu lotosu i zakołysała kolanami w górę i w dół, jakby to były skrzydła motyla. — Mam już tyle materiału... a właściwie nie zaczęłyśmy jeszcze rozmawiać o tobie. Jesteś po prostu rewelacyjna.

– Jeśli nadal masz ochotę, możemy pójść na tę imprezę.

– Pewnie!

– A mogę skorzystać z twojego telefonu?

– Zapomniałaś? Przykro mi, ale jestem Miss Niepodłączona.

– Radionadajnik. To by ci się przydało. W takim razie wstąpimy na moment do studia,

dobrze? Muszę sprawdzić, czy mam jutro jakieś zdjęcia... — Shelly zauważyła niewielką kamerę JVC z wbudowanym magnetowidem. — Może ją ze sobą zabierzesz? Będziesz mogła sfilmować ludzi na imprezie.

– Świetny pomysł. — Rune wrzuciła sprzęt do torby. — Myślisz, że nie będą mieli nic przeciwko temu?

Shelly uśmiechnęła się i jednocześnie pokręciła głową. — Nie zapominaj, że będziesz tam z prawdziwą gwiazdą.

Studio zdjęciowe Lame Duck Productions znajdowało się trzy przecznice od studia Rune.

Oba ulokowały się w Chelsea, dzielnicy o wielu obliczach — podczas gdy L&R sąsiadowało z koszmarnie drogą, snobistyczną restauracją, Lame Duck przycupnęło przy szarej, brudnawej ulicy między koreańskimi sklepikami, hurtowniami i kawiarniami. Rune pociągnęła nosem, wyczuwając w powietrzu woń czosnku i zjełczałego tłuszczu. Przez dziurawy asfalt prześwitywała kostka brukowa. Poobijane samochody i furgonetki dostawcze odpoczywały przy krawężnikach przed kolejnym dniem walki o życie w Nowym Jorku.

Weszły do holu budynku, którego posadzkę zdobiła brudna mozaika niestarannych pociągnięć mopem. Shelly powiedziała: — To nie potrwa długo. Muszę tylko rzucić okiem na tablicę z harmonogramem zdjęć. Może w tym czasie nakręcisz coś na zewnątrz? Czy jest już za ciemno? — Ruchem głowy wskazała kamerę.

Rune odparła, że tak właśnie zrobi.

Ochroniarz pilnujący wejścia wtrącił: — Panno Lowe, ktoś zostawił dla pani wiadomość. Podobno to coś pilnego.

Shelly wzięła od niego różową karteczkę i przeczytała krótką notatkę, po czym rzuciła w stronę Rune: — Zaraz będę z powrotem.

Rune wyszła na zewnątrz i wolnym krokiem ruszyła przed siebie chodnikiem. Uniosła do góry kamerę, ale widząc migającą kontrolkę natężenia oświetlenia, wyłączyła ją i schowała z powrotem do torby. Wszechobecny zapach czosnku sprawił, że poczuła głód. Ciekawa była, co też podają na imprezach w branży pornograficznej.

Zlituj się, dziewczyno — na pewno normalne jedzenie, jak wszędzie. A co myślałaś? Przecież Shelly jest taka jak wszyscy. Jest...

– Hej, Rune! — Głos Shelly odbił się echem na opustoszałej ulicy.

Rune zadarta do góry głowę, ale w zapadającym zmroku nie od razu zauważyła, skąd dobiega wołanie. Dopiero po chwili rozpoznała sylwetkę Shelly w oknie na drugim piętrze. Odkrzyknęła: — Co?

– Jutro o jedenastej mam zdjęcia. Chcesz się poprzyglądać?

– Chyba tak — odparła szybko i równie szybko uświadomiła sobie, że wcale nie ma na to ochoty. — A będę mogła?

— Zostaw to mnie. Jeden telefon i zaraz do ciebie schodzę. — Shelly zniknęła w środku.

A to dopiero! Ciekawe, jak wygląda plan zdjęciowy pornosa. A ekipa? Czy będą znudzeni, jak to zwykle bywa na planie filmowym? A może takie sesje kończą się jedną wielką orgią? Może ktoś będzie ją molestował — chociaż jeśli wszystkie aktorki są równie wysokie, jasnowłose i piękne jak Shelly, to nie powinno być z tym problemu. Ciekawe, czy kobiety i mężczyźni przechadzają się po planie nago, czy raczej...

Kula ognia wyglądała jak wielkie, poszarpane słońce i była tak oślepiająco jasna, że Runę odruchowo zasłoniła oczy rękoma, chroniąc w ten sposób twarz przed odłamkami betonu, szkła i drewna, które posypały się na ulicę w ślad za hukiem tak głośnym, że odczuła go całym swoim ciałem, jakby spadły na nią dziesiątki bolesnych razów.

Runę krzyknęła, przerażona ogłuszającym wybuchem, a zaraz potem z bólu, kiedy podmuch rzucił ją na maskę zaparkowanego przy krawężniku wiekowego chevroleta.

W niebo wzbił się słup dymu i języki ognia...

Przez jakiś czas Runę leżała w rynsztoku, z głową opartą o betonowy krawężnik i twarzą w oleistej kałuży. W uszach dzwoniło jej tak bardzo, że miała wrażenie, jakby tuż przy niej eksplodowała rura pod ciśnieniem.

Boże święty, co to było?! Gdzieś obok spadł samolot?

Powoli dźwignęła się i usiadła. Potarła uszy. Jakby ktoś zapchał je watą albo popiołem. Strzeliła palcami, ale nie usłyszała żadnego dźwięku. I nic dziwnego, bo nie słyszała też, jak jakieś trzy metry od niej z piskiem opon zahamował wóz straży pożarnej, którego syrena musiała przecież wyć wniebogłosy.

Wstała, opierając się o furgonetkę. Kręciło jej się w głowie. Odczekała chwilę, żeby zawroty ustąpiły, a kiedy tak się nie stało, zastanowiła się, czy nie doznała przypadkiem wstrząśnienia mózgu.

Przyszła jej do głowy jeszcze jedna myśl, a mianowicie, czy coś nie stało się z jej wzrokiem. Stwierdziła bowiem, że widzi tak samo wyraźnie dwie różne rzeczy — jedną tuż przed sobą, a drugą oddaloną.

Przed sobą miała skrawek papieru o złoconych krawędziach, zapisany wymyślnym pismem. Spłynął z góry, muskając jej lekko policzek, i oddalił się, gnany silniejszym podmuchem wiatru.

Drugą rzeczą, którą widziała aż nazbyt wyraźnie pomimo ściany gęstego, czarnego dymu, była czeluść ziejąca na drugim piętrze budynku

— ciemna wyrwa w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą było biuro, skąd Shelly wykrzyczała do Runę ostatnie jak się okazało słowa w swoim życiu.

5

Twarze mieli jak wyciosane z kamienia.

Runę siedziała na tylnym siedzeniu policyjnego radiowozu i wychylona na zewnątrz ocierała z twarzy łzy. Wiedziała, że stojący obok dwaj mężczyźni ją obserwują, ale ignorowała ich spojrzenia.

Ogień już ugaszono. Powietrze przepełniał teraz ohydny, chemiczny odór, a nad ulicą na podobieństwo gęstej mgły wciąż unosił się dym.

Twarz i łokcie Runę zostały zdezynfekowane przez sanitariuszy z karetki, którzy nakleili jej plastry opatrunkowe. Sądziła, że użyją czegoś bardziej profesjonalnego, ale oni tylko przetarli jej zadrapania płynem dezynfekującym, zakleili beżowymi paskami i poszli na górę. Nie spieszyli się — nikt tam już nie potrzebował ich pomocy.

Ostatni raz przycisnęła do oczu zmiętą papierową chusteczkę i spojrzała na ubranych w ciemne garnitury mężczyzn. — Ona nie żyje, prawda?

— Nie ma potrzeby tak krzyczeć — odparł jeden z detektywów.

Runę nie słyszała własnego głosu — wciąż miała zatkane uszy. Powtórzyła pytanie, starając się mówić trochę ciszej.

Mężczyźni wyglądali na zaskoczonych. Na twarzy jednego pojawiło się nawet coś na kształt uśmiechu. Powiedział coś, czego nie dosłyszała, poprosiła więc o powtórzenie. Detektyw odparł: — Jeszcze jak nie żyje!

Ciężko się z nimi rozmawiało. Wyłapywała niektóre słowa, innych wcale. Musiała patrzeć im na usta, żeby się zorientować, o co ją pytają.

— Co się stało? — zapytała.

Jedyną odpowiedzią, jaką uzyskała, było rzucone szorstko pytanie: — Jak się nazywasz, panienko?

Przedstawiła się.

— Nie chodzi nam o twój sceniczny pseudonim, skarbie, ten, pod którym fikasz na srebrnym ekranie, tylko o prawdziwe

nazwisko. — Detektyw przyglądał jej się chłodno.

– Naprawdę mam na imię Rune. Zaraz... To wy myślicie, że pracowałam razem z Shelly?

– *Pracowałaś*? IV to nazywasz *pracą*? Czy twoja matka w ogóle wie, czym się zajmujesz?

Jej twarz spłonęła rumieńcem gniewu. — Nie jestem aktorką porno!

Drugi detektyw uśmiechnął się kpiąco: — Dlaczego mnie to nie dziwi? — Otaksował ją wzrokiem. — W takim razie co tam robiłaś? Parzyłaś kawę? Byłaś makijażystką? Robiłaś aktorom laskę, zanim weszli na plan?

– Słuchaj no pan... — Runę poderwała się z miejsca.

– Siadaj! — Gestem osadził ją na miejscu. — Mam ciekawsze rzeczy do roboty niż gadać z takimi jak ty. — Jego partner chyba nie był aż tak wkurzony, ale nie miał zamiaru przerywać gniewnej tyrady kumpla. — Chcesz sobie spieprzyć życie, zachęcając przy tym innych, żeby złapali jakąś francę? Twoja sprawa. Żyjemy w wolnym kraju. Ale nie spodziewaj się, że będę się na tobą litował, bo twoją przyjaciółeczkę diabli wzięli. Co to, to nie. Chcę tylko usłyszeć odpowiedzi na swoje pytania i wynieść się stąd w cholerę. Więc powiedz mi łaskawie, co widziałaś.

Policjant otworzył notes.

Runę ponownie zaniosła się łkaniem i pociągając nosem, opowiedziała im, co się wydarzyło: o imprezie, na którą się obie wybierały, o tym, że ktoś zostawił dla Shelly wiadomość i Runę miała zaczekać na nią na dole.

– Widziałam ją w oknie, a potem wszystko eksplodowało. — Zamknęła oczy. Pod powiekami w zwolnionym tempie przesuwały jej się stopklatki z wybuchu, więc szybko je otworzyła. Mimo to nie mogła pozbyć się sprzed oczu tamtej koszmarnej sceny. — Ten huk... Był taki *głośny*.

Detektyw, który notował — ten bardziej agresywny — pokiwał głową i schował notes do kieszeni. — Widziałaś kogoś jeszcze?

– Nie.

Odwrócił się do kumpla, udając, że poważnie się nad czymś zastanawia. — Może powinniśmy wziąć ją na górę, żeby zidentyfikowała ciało?

– Świetny pomysł. Dlaczego koroner ma się męczyć. Mała mogłaby mu pomóc. No, amatorko mocnych wrażeń, myślisz, że dasz radę to dla nas zrobić? — Detektyw chwycił ją za ramię i wyciągnął z radiowozu.

Jego partner wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Wybuch niemal obdarł ją ze skóry, a to, co zostało, też jest nieźle osmalone. — Mówiąc to, pchnął Runę w kierunku wejścia.

Za ich plecami rozległ się głos: — Witam, panowie. Kogo tam maglujecie?

Na chodniku stał Kowboj. Musnął palcami daszek czapki, zerknął na Runę i zaraz przeniósł wzrok na dwóch detektywów.

Jeden z nich skinął w jej stronę. — Naocznego świadka. Zamierzaliśmy właśnie...

Runę wyszarpnęła się i zrobiła krok w stronę Kowboja. — Zamierzali zaciągnąć mnie na górę, żebym obejrzała ciało Shelly.

Kowboj uniósł do góry brew. — Naprawdę?

Jeden z gliniarzy wzruszył ramionami, uśmiechając się krzywo.

Kowboj dodał: — Przecież ludzie z biura koronera już ją zabrali, jakieś dziesięć minut temu. Musieliście ich widzieć.

Detektywi wyszczerzyli zęby w uśmiechu. — Chcieliśmy się tylko trochę zabawić, Sam. To wszystko.

Kowboj pokiwał głową. Nie wyglądał na zirytowanego, ale nie był też zachwycony. — Skończyliście już z nią?

– Chyba tak.

– Mógłbym teraz ja z nią pogadać?

– Jest twoja. — Gliniarz odwrócił się do Runę: — Będziesz musiała podpisać zeznanie. Jak możemy się z tobą skontaktować?

Podała mu numer telefonu do pracy.

Wsiadając do nie oznakowanego radiowozu, ten bardziej agresywny rzucił jeszcze w jej stronę: — Mam nadzieję, że to będzie dla ciebie ważna lekcja, mała. Zastanów się lepiej nad swoim życiem.

– Kiedy ja wcale... — zaczęła, ale oni trzasnęli drzwiczkami i odjechali.

Kowboj przyjrzał się jej twarzy. — Całkiem nieźle.

– O czym pan mówi?

– O tych zadrapaniach. Miałaś dużo szczęścia. Gdyby bomba wybuchła na parterze, nie byłoby co zbierać.

Runę utkwiła spojrzenie w ciągle jeszcze dymiącej czeluści. Strażacy podłączali lampy w osłonach z siatki do osmalonych przewodów i kabli.

– Jak się nazywała? — spytał Kowboj.

– Shelly Lowe. Ale to był pseudonim. Występowała w filmach pornograficznych.

– A tutaj mieściła się wytwórnia?

– Studio Lame Duck Productions.

Skinął głową, spoglądając w górę na wyrwę w ścianie budynku. — Kolejna bomba w miejscu związanym z pornobiznesem.

– Tamci dwaj — Rune skinęła głową w kierunku, w którym znikneli glinIarze — myśleli, że też tutaj pracowałam.

– Zastosowali wobec ciebie terapię szokową. Zawsze tak robią, kiedy przyłapią jakiegoś dzieciaka z prochami, zatrzymają prostytutkę albo pijanego kierowcę. Liczą na to, że jeśli ich upokorzą, to zejdą ze złej ścieżki i wrócą do szkoły, na łono Kościoła i tak dalej. Sam tak robiłem, kiedy byłem jeszcze krawężnikiem.

– Kim?

– Patrolowałem ulice.

Rune zrobiła kilka kroków w stronę budynku, nie odrywając oczu od wyrwy w ścianie budynku. — Nie pracowałyśmy razem. Kręciłam
0 niej dokument. Nie mam nic wspólnego z branżą porno.

– Chyba już cię gdzieś widziałem.

– Byłam przed tym kinem, które wyleciało w powietrze, tam się widzieliśmy. I jeszcze raz wczoraj wieczorem.

– Wydawało mi się, że zauważyłem wtedy kogoś z kamerą, ale cię nie poznałem.

– Zawołałam do pana, ale mi pan nie odpowiedział.

– Nie słyszałem — odparł i dotknął ucha. — Kiepsko u mnie ze słuchem. Od ładnych paru lat mam do czynienia z bombami.

– Mam na imię Rune. — Wyciągnęła do niego rękę.

Jego palce były szczupłe i szorstkie od nagniotków. — Sam Healy.

Dał jej znak, żeby się odsunęła i przepuściła radiowozy, które właśnie opuszczały miejsce eksplozji. Rune zauważyła, że większość policyjnych aut już odjechała. Na miejscu zostało sześć wozów strażackich
1 niebiesko-biała furgonetka ekipy pirotechnicznej.

Tymczasem Kowboj, podparłszy się pod boki, taksował wzrokiem pokiereszowaną ścianę budynku. Przeszedł kilka kroków wzdłuż muru, zawrócił.

– Gdzie się wszyscy podziali? — spytała go.

Healy nie odrywał oczu od cegieł. — Widziałaś błysk eksplozji? — zapytał.

– Błysk? Ajakże!

– Jakiego koloru był ogień?
– Nie pamiętam. Chyba czerwony albo pomarańczowy.

— Może wyczułaś jakiś drażniący, chemiczny zapach? Coś jak gaz łzawiący?

— Strasznie śmierdziało, ale poza tym... Nie, raczej nie.

— I nikt nie wrzucił niczego przez okno?

— Granatu ręcznego?

— Czegokolwiek — odparł.

— Nie. Shelly zawołała mnie z góry, chciała o coś zapytać. Potem poszła zadzwonić. Minutę później wybuchła bomba, może nawet szybciej.

— Poszła zatelefonować?

— Ktoś zostawił wiadomość, żeby się z nim skontaktowała. Może ochroniarz będzie wiedział, kto. Ale policja na pewno już z nim rozmawiała.

Healy zmarszczył brwi i powiedział cicho: — Puścili ochroniarza do domu. Niczego nie wiedział i nic nie mówił o żadnej wiadomości. A przynajmniej tak twierdzili detektywi. Możesz tu chwilę zaczekać?

Jego długie nogi szybko poniosły go w kierunku furgonetki. Przez kilka minut rozmawiał przez radiotelefon. Potem Rune zobaczyła, że odkłada aparat na deskę rozdzielczą. Jakiś młody funkcjonariusz podszedł też do niego i podał mu foliową torebkę.

Kiedy wrócił do niej, zapytała: — Drugi anioł?

Roześmiał się, zaskoczony.

— Tydzień temu zaglądałam ci przez ramię.

Pokiwał głową. Przez chwilę się nad czymś zastanawiał, po czym pokazał jej zawartość torebki.

I drugi anioł zatrąbił: i jakby wielka góra płonąca ogniem została w morze rzucona, a trzecia część morza stała się krwią...

I tym razem autorem listu był Miecz Jezusowy. Kowboj wsunął kartkę do swojej walizeczki.

Rune odezwała się: — Pytałam, gdzie się wszyscy podzieli? Wygląda na to, że jesteś jedynym gliną, który został na miejscu.

— Wieść zdążyła się już rozejść. — Healy znowu popatrzył na wyrwę w murze.

— Jaka wieść?

Ruchem głowy wskazał dymiący budynek. — Gdyby w tym miejscu zginął dajmy na to policjant, dziecko, zakonnica albo kobieta w ciąży, wówczas, no cóż, roiłoby się tu od policji i agentów FBI. — Spojrzał na nią tak, jak rodzice patrzą na swoje pociechy, kiedy usiłują im wytłu

maczyć, skąd się biorą dzieci — żeby się przekonać, czy wszystko zrozumiały.

Rune miała dziwną minę, więc Healy wyjaśnił: — Rozeszło się, kto tutaj zginął. Policji szkoda czasu na takich jak ona. Rozumiesz? Na ludzi z pornobiznesu.

– To jakiś absurd. — Oczy Runy rozbłysły gniewem. — A co z tymi, którzy zginęli w kinie? Oni też was nie obchodzą?

– Obchodzą, tyle że nie za bardzo. Chcesz poznać smutną prawdę o klientach Velvet Venus? Kilku z nich to przypadkowi gapie, to fakt. Ale dwaj byli wcześniej oskarżeni o handel narkotykami, jeden to skazany przestępca, który złamał warunki zwolnienia warunkowego, a jeszcze inny miał przy sobie półmetrowy tasak.

– Ale gdyby w chwili wybuchu obok kina przechodziła zakonnica, zginęłaby tak samo, jak Shelly Lowe.

– To prawda. Dlatego też wcale nie mówię, że *nie będzie* dochodzenia. Będzie. Tyle że nie będziemy w nie angażować zbyt wielu ludzi.

Rune nerwowo obracała wokół nadgarstka srebrną bransoletkę. — Mówisz tak, jakby Shelly nie była człowiekiem. Była. I ktoś ją zabił.

– Nie twierdzę, że sam tak uważam.

– Czy to by coś zmieniło, gdybym powiedziała, że chciała się wycofać z tej branży?

– Rune...

– Ktoś kogoś morduje i to jest przestępstwo. Ktoś morduje Shelly Lowe, a policja uważa to za rewitalizację obszarów miejskich. Do dupy z takim podejściem.

Zbliżył się do nich inspektor straży pożarnej. W czarno-żółtym kombinezonie wyglądał jak bohater komiksu. — Sam, zanim ktokolwiek wejdzie na górę, trzeba będzie ustawić podpory.

– Muszę przeprowadzić wstępne oględziny.

– Będziesz musiał zaczekać z tym do jutra.

– Wolałbym uwinąć się z tym już dzisiaj.

Rune odwróciła się i odeszła, rzucając przez ramię. — Pewnie. Wystarczy przecież pięć minut, żeby zebrać wszystkie dowody.

– Rune!

– A potem będzie można znowu ratować zakonnice.

Healy zawołał za nią: — Stój! — W jego głosie zabrzmiał rozkaz.

Rune nie zareagowała.

– Proszę...

Zwolniła kroku.

– Chciałbym ci zadać parę pytań.

Zatrzymała się i odwróciła w jego stronę, wiedząc, że w migającej poświacie reflektorów straży pożarnej zauważy łzy płynące jej po twarzy. Uniosła do góry dłoń i odparła gniewnie: — Dobra, ale nie dzisiaj. Nie w tej chwili. Muszę coś załatwić i jeśli teraz tego nie zrobię, to już chyba nigdy. Tamci dwaj mają mój numer.

Wydawało jej się, że Healy coś jeszcze do niej zawołał. Nie była pewna; w tej chwili jej słuch na pewno szwankował bardziej niż jego. Poza tym zaprzątała ją już inna sprawa: myśl o tym, dokąd idzie, i pytanie, jak ma sobie poradzić z czekającym ją zadaniem.

Okazało się jednak, że Nicole D'Orléans już wie o wszystkim.

Rune stała w drzwiach mieszkania w wieżowcu w Tribeca i spoglądała na opartą o framugę, przygniecioną smutkiem kobietę. Jej twarz była spuchnięta od płaczu. Wraz ze łzami spłynęła część makijażu, przez co jej rysy wydawały się asymetryczne.

W końcu Nicole wyprostowała się. — Przepraszam cię. Wejdź.

Wewnątrz było chłodno i ciemno. Rune poczuła zapach skóry, perfum i słabą woń wódki, którą pocieszała się Nicole. Na ścianach dostrzegła barwne plamy nowoczesnych obrazów i plakaty teatralne. Zauważyła też kilka oprawionych autografów. Wydało jej się, że rozpoznaje podpis George'a Bernarda Shawa. Inne nazwiska nic jej nie mówiły.

Przeszły do obszernego salonu, zastawionego meblami z czarnej skóry. Nie wyglądał wcale tandetnie, czego można by się spodziewać po mieszkaniu gwiazdy porno; przypominał raczej salon chirurga plastycznego, który dorobił się milionów. Na środku stał masywny szklany stolik do kawy z blatem grubości kilku centymetrów. Stopy Rune miękko zapadały się w biały dywan. Widząc zastawione książkami regały, przypomniała sobie, że jeszcze tego samego ranka razem z Shelly przeglądały jej własny księgozbiór, i zebrało jej się na płacz. Siłą woli powstrzymała łzy, ponieważ Nicole sama była o krok od histerii.

Na stoliku aktorka zdążyła już zgromadzić zestaw pierwszej pomocy w żałobie: pudełko chusteczek higienicznych, butelkę wódki, szklankę i fiolkę koki. Teraz skuliła się w zagłębieniu kanapy.

– Zapomniałam, jak masz na imię. Ruby?

– Rune.

– Ciągle nie mogę w to uwierzyć. Co za dranie! Podobno tacy religijni, a wcale nie postępują po chrześcijańsku. Pieprzyć ich.

– Jak się dowiedziałaś? — spytała Rune.

– Policja zawiadomiła jednego z producentów, a on obdzwonił wszystkich z firmy... Dobry Boże... — Nicole starannie wydmuchała swój szeroki nos i zapytała: — Napijesz się czegoś?

Rune odparła: — Nie, chciałam ci tylko powiedzieć, co się stało. Chciałam zadzwonić, ale pomyślałam, że tak nie wypada. Wydawałyście się bardzo zżyte.

Nicole zalała się łzami, co wszakże nie odebrało jej tchu, bo kiedy się odezwała, jej głos był spokojny. — Byłaś z nią, kiedy to się stało? — Najwyraźniej nie dosłyszała odmowy Rune albo postanowiła ją zignorować, bo zaczęła wlewać wódkę do szklanki z na wpół rozpuszczonym lodem.

– Czekałam na nią na ulicy. Miałyśmy pójść razem na imprezę.

– Tak, wiem.

To wspomnienie wywołało kolejny potok łez.

Nicole podała jej szklankę. Rune miała ochotę odmówić i wyjść, ale aktorka patrzyła na nią tak błagalnie swoimi zapłakanymi oczyma, że usiadła na kanapie i przyjęła proponowanego drinka. Skórzane poduchy wydały lekki syk.

– Och, Rune... Shelly była jedną z moich najlepszych przyjaciółek. Nie mogę w to uwierzyć. Jeszcze dzisiaj rano tu była, wygłupiałyśmy się, gadałyśmy o tej imprezie — żadna z nas nie miała szczególnej ochoty tam iść. A potem zrobiła śniadanie.

Co ja mam jej powiedzieć? — zastanawiała się Rune. Że wszystko będzie dobrze? Oczywiście, że nie będzie. Że czas leczy rany? Bzdura. Niektóre nigdy się nie zabliźniają. Pomyślała o swoim ojcu przed laty, leżącym w domu pogrzebowym w Shaker Heights. Śmierć na zawsze zmienia życie człowieka.

Pociągnęła łyk przejrzystego, cierpkiego płynu.

– Wiesz, co jest niesprawiedliwe? — zapytała po chwili Nicole. — Shelly była inna niż ja. Okej, ja też jestem niezła w tym, co robię. Mam wielkie cycki, więc faceci lubią mnie oglądać. Myślę, że potrafię fajnie się kochać i lubię swoją pracę. Dobrze zarabiam, mam nawet swoich fanów, od których dostaję

setki listów. Ale Shelly nie cierpiała tej branży. Zawsze wyglądała, jakby dźwigała na ramionach jakiś ciężar. Gdyby tylko ktoś dał jej szansę, robiłaby coś zupełnie innego. A te religijne oszołomy... To nie fair, że wybrali akurat ją.

Przez chwilę Nicole wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w regał z książkami. — Wiesz, poszłyśmy kiedyś do kina na film o jednej dziwce, która śpiewała bluesa. Miała ciężkie życie i była tak strasznie smutna... Shelly powiedziała wtedy, że jej życie jest tak samo smutne. Widziałyśmy ten film dwa razy i za każdym razem płakałyśmy.

Teraz też się rozpłakała.

Runę odstawiła wódkę i objęła ją. Niezła z nas para, pomyślała. Nie ma to jak tragedia, żeby obudzić siostrzane uczucia.

Rozmawiały jeszcze przez godzinę, dopóki Runę nie rozbolała głowa, a zadrapania na twarzy nie zaczęły pulsować. Wtedy powiedziała, że musi już iść. Nicole zdążyła tymczasem upić się na smutno i raz po raz zalewała się łzami, jednak było widać, że w kilka minut uśnie. Na pożegnanie z całej siły przytuliła Runę i zapisała sobie jej numer telefonu do pracy.

Runę wcisnęła przycisk windy, która miała zwieźć ją do lśniącego marmurami holu budynku.

Czekając, myślała, jakie to smutne, że teraz, po śmierci Shelly, nie może już nakręcić filmu, z którego wszyscy dowiedzieliby się, jaka naprawdę była — poważna, pomimo tego, w jaki sposób zarabiała na życie — i jak bardzo chciała coś osiągnąć.

Nagle uderzyła ją pewna myśl. A właściwie dlaczego nie?

Dlaczego *nie miałaby* nakręcić tego filmu?

W zasadzie nic nie stało na przeszkodzie.

Przypomniała sobie słowa Nicole o smutnej dziwce śpiewającej bluesa i ją olśniło. Wiedziała już, jak zatytułuje swój dokument. Zastanawiała się jeszcze przez chwilę, po czym stwierdziła, że to jest to: *Pożegnanie smutnej gwiazdy*.

Kiedy drzwi windy wreszcie się otworzyły, Runę weszła do środka i oparłszy czoło o chłodną, mosiężną tablicę z przyciskami, pozwoliła łagodnie ponieść się w dół.

6

Rób wrażenie pewnej siebie, a nikt cię nie zatrzyma — przeciwnie, otworzą przed tobą wszystkie drzwi.

Runę nie od dzisiaj wiedziała, że sukces to kwestia odpowiedniego nastawienia.

Miała na sobie niebieską ortalionową kurtkę. Z tyłu, na plecach, widniały białe litery układające się w napis NOWY JORK, który własnoręcznie wymalowała rano farbą akrylową. Z kamerą na ramieniu przemaszerowała obok umundurowanego policjanta stojącego w holu studia Lame Duck Productions. Mijając go, z roztargnieniem skinęła głową — chłodne, rzeczowe powitanie — pewna, że mężczyzna ją przepuści.

On jednak kazał jej się zatrzymać.

– Pani do kogo? — zapytał. Wyglądał jak — jak on się nazywał? — Eddie Haskell, bohater „Wiercipięty".

– Ekipa filmowa.

Funkcjonariusz z powątpiewaniem popatrzył na jej czarne leginsy i trampki.

– Pierwsze słyszę. A z którego komisariatu?

– Z policji *stanowej* — odparła. — A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu... Mam dziś do zrobienia jeszcze trzy emzety.

– Emzety? — „Eddie" ani drgnął.

– Miejsca zbrodni.

– Jasne, emzety. — Gliniarz pokiwał głową. —A odznaka jest? — upewnił się.

Sięgnęła do torebki i machnęła mu przed nosem skórzaną oprawką na dokumenty. Widniała w niej błyszcząca, złota odznaka policyjna i służbowa legitymacja ze zdjęciem, na którym Rune miała bardzo ponurą minę. Pod spodem było napisane: „Sierżant Rune Randolf (gość, który przed godziną sprzedał jej tę fałszywkę w pasażu przy Times Square, nie mógł się nadziwić: — Masz na imię Rune? Za moich czasów też dawali dzieciakom dziwaczne imiona. Jakaś Sunshine na przykład...).

Eddie zerknął na odznakę i wzruszył ramionami. — Trzeba wejść po schodach. Winda jest popsuta.

Rune wspięła się klatką schodową na drugie piętro. Smród spalenizny wypełnił jej nozdrza, przyprawiając o mdłości. Weszła do pomieszczenia, gdzie wcześniej mieściło się biuro, uniosła ciężką kamerę i zaczęła kręcić. Nie tego się spodziewała. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż w filmach, gdzie po wybuchu zostają osmalone ściany, parę przewróconych krzeseł i rozbite szkło.

To, co miała przed sobą, można było opisać tylko dwoma słowami: totalna demolka.

Z mebli, które przecież musiały tu stać, zostały tylko drewniane drzazgi, kawałki metalu i plastikowe odłamki. Nie zdołała rozpoznać żadnego sprzętu z wyjątkiem spękanej od ognia szafki na dokumenty wyglądającej tak, jakby spadła na nią czyjaś olbrzymia pięść. Po podwieszanym suficie nie było nawet śladu, z góry zwieszały się kawałki przewodów, a posadzkę zaścielała gruba czarna warstwa papierów, śmieci i gruzu. Na ścianach pęczniały bąble poczerniałej farby, a ze sterty mokrych, spalonych szmat i dokumentów wciąż buchał żar.

Rune wolno przesuwała obiektyw kamery z miejsca na miejsce.

To tutaj dobiegło kresu życie Shelly Lowe. Tak się skończyło. W płomieniach i...

Za jej plecami rozległ się męski głos: — Szukasz tu czegoś?

Rune szybko opuściła kamerę i wyłączyła ją. Odwróciła się i ujrzała Sama Healy'ego. Stał w drugich drzwiach prowadzących do biura i popijał kawę z niebieskiego, tekturowego kubka. Spodobało jej się, że nie zapytał: „Czego tu szukasz, do cholery?", chociaż prawdopodobnie miał do tego pełne prawo.

Odparła: — To wygląda jak Hades. Podziemny świat.

– Piekło?

– Właśnie.

Healy ruchem głowy wskazał korytarz. — Jak udało ci się tutaj wejść?

– Potrafię być bardzo przekonująca.

Healy podszedł do Rune i obrócił ją plecami do siebie. Przeczytał napis na kurtce. — Sprytne. Przebrałaś się tak, bo lubisz?

– Po prostu zbieram materiały.

– Prawda. Do twojego dokumentu.

Zerknęła na stojącą obok na podłodze walizeczkę. — A ty co tutaj robisz? Myślałam, że policja miała się w to nie angażować. Już zapomniałeś?

– Jestem zwykłym najemnikiem. Zbieram dowody. Co z nimi zrobi prokurator, to już nie moja sprawa.

Spojrzała na stertę plastikowych torebek, leżących obok jego walizeczki. — O jakich dowodach mó...

Przerwał jej czyjś okrzyk: — To ona!

„Eddie" gliniarz.

Akcent na „ona" skojarzył jej się ze wszystkimi naganami, które aż nazbyt często słyszała od nauczycieli, rodziców i byłych pracodawców.

Runę i Healy obejrzeli się. Obok „Eddiego" stał jakiś krępy facet. Wyglądał znajomo. Ależ tak, to jego widziała na miejscu pierwszej eksplozji, przed kinem. Brązowy garnitur.

– Cześć, Sam. — Mężczyzna skinął głową Healy'emu, po czym przedstawił się Runę: — Detektyw Begley. Jak rozumiem, jest pani z nowojorskiej policji stanowej. Czy mógłbym zobaczyć odznakę?

Runę zmarszczyła brwi. — Nic podobnego nie mówiłam! Powiedziałam tylko, że chcę ***sfilmować*** policję stanową. Dla telewizji.

„Eddie" gwałtownie pokręcił głową. — Pokazała mi odznakę!

– Zdajesz sobie sprawę, panienko, że posługiwanie się taką odznaką jest przestępstwem?

– A tylu was się nią posługuje...

– Ona jest ze mną, Artie — wtrącił Healy. — Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Sam, dobrze wiesz, że nie można latać po mieście z fałszywą odznaką. — Begley odwrócił się do Runę: — Proszę otworzyć torebkę, albo zabierzemy panią na komisariat.

– Ale...

„Eddie" bez słowa wyrwał jej torebkę w lamparcie cętki i podał Be- gleyowi, który zanurzył rękę w pobrzękującym morzu rozmaitych rupieci. Szperał w nim przez minutę czy dwie, po czym skrzywił się i wysypał zawartość na podłogę. Odznaki nie było.

Runę wywróciła też wszystkie kieszenie. Były puste.

Begley spojrzał na „Eddiego", który zawołał: — Widziałem ją na własne oczy!

Healy rzucił uspokajająco: — Będę ją miał na oku, Artie.

Begley odchrząknął, podał torebkę „Eddiemu" i kazał mu pozbierać rzeczy z podłogi.

– Ale ona naprawdę miała odznakę! — upierał się tamten.

Ignorując go, Begley zwrócił się do Healy'ego: — Analiza dentystyczna umożliwiła identyfikację ciała. To rzeczywiście ta Lowe. Nikt inny nie ucierpiał. Chciałeś wiedzieć, do kogo wczoraj dzwoniła?

Healy przytaknął.

– Ochroniarz nie pamięta, kto zostawił wiadomość. A centrala telefoniczna cały czas przeczesuje swoje rejestry, żeby ustalić, kto do kogo dzwonił. Dam ci znać, jak tylko dowiem się czegoś nowego.

– Dzięki.

Begley wyszedł. „Eddie" skończył zbierać rozsypane drobiazgi i podążył za nim, na odchodnym rzucając Runę lodowate spojrzenie.

Odwróciła się i zobaczyła, że Healy pochyla się nad jej odznaką.

– „Sierżant" to już jakiś stopień.

Wyciągnęła rękę, on jednak szybko uniósł odznakę do góry, żeby nie mogła jej dosięgnąć.

– Begley ma rację. Gdyby ktoś cię z tym przyłapał, byłoby to wykroczenie. A za pyskowanie policjantowi dostałabyś maksymalny wymiar kary.

– Wyciągnąłeś mi ją z torebki!

Healy schował fałszywkę do kieszeni. — Pirotechnik musi mieć sprawne ręce. — Dopił kawę.

Rune skinęła głową w kierunku, gdzie zniknął Begley. — Prosiłeś ich, żeby sprawdzili połączenia? Coś mi się wydaje, że nie jesteś zwykłym najemnikiem.

Odpowiedziało jej nonszalanckie wzruszenie ramion. — Wyłącz kamerę, to pokażę ci, co znalazłem.

– Okej.

Podeszli do otworu w betonowej posadzce. Rune zwolniła kroku. Wyrwę otaczały rozchodzące się promieniście białe i szare ślady. Nad ich głowami wybuch zniszczył podwieszany sufit — w jego miejscu ziała czarna dziura. Na wprost zaś znajdowała się pusta przestrzeń po zniszczonej zewnętrznej ścianie.

Healy wskazał jej wyrwę w posadzce. — Zmierzyłem ją. Na tej podstawie można obliczyć wielkość użytego ładunku. — Uniósł w górę niewielką fiolkę z kawałkiem waty w środku. — To coś wchłania pozostałości substancji chemicznych z powietrza w miejscu wybuchu. Wyślę to do policyjnego laboratorium przy Drugiej Alei.

Rune czuła, że pocą jej się dłonie, a żołądek skręca się w supeł. To tutaj musiała stać Shelly, kiedy odwróciła się, żeby wykonać telefon. Może nawet w tym samym miejscu. Nogi się pod nią ugięły i powoli się wycofała.

Healy mówił dalej: — Osobiście uważam, że mamy tu do czynienia z C-4.

– Kojarzy mi się z Bejrutem.

– To numer jeden u terrorystów na całym świecie. Produkowany dla celów ściśle wojskowych. Nie można go kupić z demobilu. Z wyglądu przypomina przybrudzony, białawy kit, nieco tłusty w dotyku. Jest bardzo plastyczny.

– Podłączyli go do budzika czy coś w tym rodzaju?

Healy podszedł do swojej walizeczki i podniósł jedną z foliowych torebek. W środku znajdowały się osmalone kawałki metalu i jakieś przewody.

– Same śmieci. — Runę wzruszyła ramionami.

– Bardzo *ważne* śmieci. Dzięki nim wiem dokładnie, jak była skonstruowana bomba i jak zginęła twoja znajoma. Ładunek wybuchowy był ukryty w telefonie, z którego dzwoniła. Aparat stał na drewnianym biurku, o tam. — Pokazał jej miejsce na posadzce w pobliżu wyrwy. — Nowy tajwański model, z importu. To ważne, bo w starych aparatach Western Electric większość miejsca wewnątrz zajmują przewody, a w nowych modelach w środku jest dużo wolnej przestrzeni. Zamachowiec zdołał upchnąć tam trochę ponad dwieście gramów C-4.

– To niewiele.

Healy uśmiechnął się ponuro. — Wręcz przeciwnie. W składzie C-4 około dziewięćdziesięciu jeden procent stanowi RDX, prawdopodobnie najsilniejszy obok nuklearnego materiał wybuchowy na świecie. Cy- klotrimetylenotrinitroamina.

Runę przytaknęła, nie mając zielonego pojęcia, o czym mowa.

– Miesza się ją z sebacynianem, izobutylenem i odrobiną oleju silnikowego. Odpowiadają za stabilność mieszanki, żeby przypadkiem nie wybuchła, kiedy w pobliżu ktoś kichnie. Wystarczy niewielka ilość, żeby spowodować naprawdę potężną eksplozję. Maksymalna prędkość detonacji to około ośmiu kilometrów na sekundę. W przypadku dynamitu wynosi ona zaledwie nieco ponad kilometr.

– Skąd wiesz, że to C-4, skoro nie wysłałeś tego jeszcze do laboratorium?

– Wiedziałem już w momencie, kiedy tutaj wszedłem. Wyczułem charakterystyczny zapach. Stawiałem na C-4, ewentualnie na czeski semtex. Znalazłem też kawałek plastikowego opakowania z numerem seryjnym amerykańskiej armii. A więc to musiał być C-4 i to dosyć stary, bo nie wybuchł w całości.

– Co go zdetonowało?

Healy zamyślony przypatrywał się osmalonym kawałkom metalu i plastiku, naciskając je przez foliową torebkę i przesuwając z miejsca na miejsce.

— Zamachowiec okleił C-4 elektryczną spłonkę połączoną z zabudowanym źródłem zasilania oraz odbiornikiem radiowym. Osobny przewód biegł do zapalnika zamykającego obwód w aparacie telefonicznym — w ten sposób ładunek pozostawał nieuzbrojony, dopóki

ktoś nie podniósł słuchawki. To częsty problem z detonacją za pomocą sygnału radiowego. Nigdy nie można być pewnym, czy jakaś przypadkowa osoba, policja, straż pożarna albo operator CB-radia nie wejdzie przypadkiem na naszą częstotliwość i nie zdetonuje bomby jeszcze w momencie jej podkładania. Ten sam kłopot pojawia się w sytuacji, kiedy w pomieszczeniu znajduje się ktoś, kogo nie chcemy zabić.

– Więc Shelly podniosła słuchawkę, wybrała numer, a ten, kto odebrał telefon, zdetonował ładunek za pomocą — czego? — krótkofalówki?

– Coś w tym rodzaju. — Healy spojrzał w okno.

– To dlatego twój kumpel próbuje ustalić, o jaki numer chodzi.

– Tyle że brakuje mu mojego entuzjazmu.

– Rzeczywiście, nie dało się nie zauważyć... Tam na rogu widać budki telefoniczne! — Runę skinęła w stronę okna. — Czy to znaczy, że on był gdzieś blisko? Musiał przecież wiedzieć, kiedy Shelly będzie w biurze.

– Widzę, że jest z ciebie urodzony detektyw — zauważył Healy.

– Wolałabym być urodzonym filmowcem.

– Z samego rana skontaktowałem się z twoim wydziałem.

– Z moim wydziałem?

Healy popatrzył znacząco na jej kurtkę. — Z kryminologami badającymi miejsce zbrodni. Poprosiłem, żeby sprawdzili odciski palców we wszystkich budkach, skąd widać ten budynek.

Zdecydowanie nie był najemnikiem. Ani wyrobnikiem. Teraz mówił jak prawdziwy glina.

Runę zmieniła temat. — Ktoś śledził nas, kiedy tutaj szłyśmy. Mnie i Shelly. Zauważyłam go niedaleko miejsca, gdzie mieszkam. Poszłam wtedy sprawdzić, a on na mnie napadł.

Healy odwrócił się ku niej gwałtownie, marszcząc niespokojnie brwi. — Zgłosiłaś to?

– Tak, ale nie potrafiłam podać szczegółowego rysopisu.

– Zapamiętałaś coś? Cokolwiek?

– Kapelusz z szerokim rondem, taki brązowawy. Facet był średniego wzrostu i miał na sobie czerwoną kurtkę. Wydaje mi się, że już go wcześniej widziałam. W pobliżu kina, tamtego wieczoru, kiedy spotkałam cię na pogorzelisku. Tydzień po pierwszym zamachu.

– Młody, stary...?

– Nie mam pojęcia.
– Czerwona kurtka... — Healy zapisał sobie coś w notesie.

Rune dźgnęła palcem zawartość foliowej torebki, którą trzymał w ręce. — Wiesz, co jest ciekawe?

Healy podniósł wzrok znad notesu. — To, że takie pułapki zastawia się, chcąc zlikwidować konkretną osobę? To miałaś na myśli?

– Owszem. Co do słowa.

Healy skinął głową. — Tak postępuje Mossad, OWP i zawodowi zabójcy. Jeśli jakaś organizacja, na przykład Front Wyzwolenia Narodowego czy ten cały Miecz Jezusowy, chce zwrócić uwagę na jakiś problem, podkłada bombę zegarową w biurowcu albo w kinie.

– Czy ta bomba różni się jakoś od tej z kina?

– Trochę. Tę zdetonowano za pomocą sygnału radiowego, tamta miała zapalnik czasowy. Materiał wybuchowy też był inny: tutaj użyto C-4, tam C-3. Moc jest porównywalna, ale C-4 wydziela niebezpieczne gazy i trudniej się z nim pracuje.

– Nie wydaje ci się to podejrzane? Dwa różne materiały wybuchowe?

– Niekoniecznie. W Stanach trudno jest znaleźć dobrej klasy materiał wybuchowy. Dynamit to co innego — na Południu można go kupić w sklepach z artykułami żelaznymi — ale, jak już mówiłem, C-3 i C-4 są produkowane wyłącznie na użytek wojska i dostępne tylko na czarnym rynku. Dlatego zamachowcy korzystają z tego, co akurat mają pod ręką. Wielu terrorystów seryjnie podkładających bomby używa różnych materiałów wybuchowych. Tym, co łączy ze sobą oba zamachy, są cel i przesłanie. Po rozmowie ze świadkiem będę wiedział coś więcej...

– Jakim świadkiem?

– Facetem, który został ranny w pierwszym zamachu. Był akurat w kinie i oglądał film.

– A kto to, jak on się nazywa...?

– O nie, nic z tego. Nie rozdaje się nazwisk świadków na prawo i lewo. W ogóle nie powinienem o tym z tobą rozmawiać.

– To dlaczego to robisz?

Healy wyjrzał przez wyrwę w murze. Ulicą wolno sunął sznur samochodów. Trąbiły klaksony, kierowcy gestykulowali, wszyscy się dokądś spieszyli, na chodniku zebrało się z pół tuzina gapiów, którzy z zadartymi głowami oglądali zrujnowane piętro budynku. Potem odwrócił się i przez chwilę przyglądał jej badawczo, aż Rune poczuła się nieswojo. — To, co się tutaj stało — Healy skinął w

kierunku zniszczonej posadzki — zostało bardzo sprytnie zaplanowane. Profesjonalna

robota. Na twoim miejscu poszukałbym sobie innego tematu na film. Przynajmniej do czasu, aż namierzymy ten cały Miecz Jezusowy.

Rune ze spuszczoną głową bawiła się przyciskami kamery. — Muszę zrobić ten film.

– Przez piętnaście lat pracowałem w oddziale saperów. Bomba to nie broń palna. Żeby zabić człowieka, nie trzeba spojrzeć mu prosto w oczy. Nie trzeba być nawet w pobliżu swojej ofiary. Zamachowiec nie przejmuje się tym, że może skrzywdzić niewinne osoby. Krzywdzenie niewinnych osób to *część* jego strategii.

– Obiecałam Shelly, że zrobię ten film, i dotrzymam słowa. Nic mnie nie powstrzyma.

Healy wzruszył ramionami. — Mówię tylko, czego bym sobie życzył, gdybyś była moją dziewczyną. Albo coś w tym rodzaju.

– A mogę dostać z powrotem moją odznakę?

– Nie. Pozwól, że *sam* pozbędę się obciążających cię dowodów.

– Kosztowała mnie pięćdziesiąt dolców!

– Tyle dałaś za tę fałszywkę? — Healy roześmiał się. — Nie tylko złamałaś prawo, ale na dodatek pozwoliłaś się okantować. A teraz spadaj stąd i przemyśl to, co ci powiedziałem.

– O Mossadzie, bombach i C-4?

– Nie. O nowym pomyśle na dokument.

Co *za sukinsyn*...

Wieczorem, po powrocie z pracy, stojąc w drzwiach do kajuty Rune usiłowała ogarnąć rozmiar zniszczeń. Wszystkie szuflady były powyciągane. Włamywacz nawet nie próbował zachowywać pozorów — wyrzucił jej ubrania na podłogę, gdzie utworzyły bezładną stertę, otworzył każdy notes, przetrząsnął komody i szafki, zajrzał nawet pod materac. Ciuchy, papiery, książki, kasety, jedzenie, naczynia, pluszowe zwierzątka... wszystko to poniewierało się bezładnie dokoła.

Co za sukinsyn.

Z szafki przy wejściu Rune wydobyła kolejny pojemnik z gazem łzawiącym i rozpoczęła obchód swojej posiadłości.

Włamywacz zdążył już opuścić barkę.

Przystanęła na środku splądrowanej kajuty i schyliła się, żeby podnieść kilka rzeczy — parę skarpetek, książkę z baśniami braci Grimm. Zaraz jednak przygarbiła się i odłożyła je z powrotem na podłogę. Za dużo tego było. Dzisiaj i tak nie da rady wszystkiego po-sprzątać.

— Cholera.

Odwróciła przewrócone krzesło i usiadła. Zrobiło jej się niedobrze. Ktoś dotykał tych skarpetek i książki, bielizny, a może nawet szczoteczki do zębów... Pomyślała, że będzie musiała wszystkie te rzeczy wyrzucić, i wzdrygnęła się na myśl o dokonanym zbezczeszczeniu.

Dlaczego?

Miała co prawda kilka cennych przedmiotów: pięćdziesiąt osiem hinduskich monet, które strasznie jej się podobały i musiały być coś warte. Do tego jakieś trzysta dolarów w gotówce, zawinięte w folię i schowane w starym kartonie po płatkach śniadaniowych. Parę starych książek, które mogły być łakomym kąskiem. I magnetowid.

Nagła myśl jak błyskawica rozjaśniła jej umysł. Cholera, kamera...

Betacam Sony wypożyczony z pracy!

Psiakrew, kosztowała czterdzieści siedem tysięcy dolarów. Niech to wszyscy diabli, Larry pozwie mnie do sądu!

Można wyjechać do Gwatemali i żyć jak król do końca swoich dni.

Niech to szlag trafi...

Ale sfatygowany sprzęt leżał w tym samym miejscu, gdzie go zostawiła.

Rune posiedziała jeszcze z dziesięć minut, żeby ochłonąć, po czym zabrała się za sprzątanie. Godzinę później udało jej się w znacznej mierze przywrócić porządek na barce. Włamywacz nie całkiem się starał, żeby wejść do środka, wybił kamieniem szybę w jednym z bulajów wychodzących na Jersey. Rune zmiotła rozbite szkło i zabiła otwór kawałkiem sklejki.

Przyszło jej do głowy, że powinna wezwać gliny, ale właściwie jak mieliby jej pomóc?

Szkoda zachodu. Na pewno będą zbyt zajęci pilnowaniem zakonnic, brata burmistrza i nowojorskich celebrytów.

Właśnie kończyła sprzątać, kiedy jej spojrzenie ponownie padło na kamerę.

Kieszeń była otwarta, a ze środka zniknęła kaseta z wywiadem z Shelly.

Mężczyzna w czerwonej kurtce jednak zdołał ją obrabować.

Na moment ogarnęła ją panika... dopóki nie pobiegła do sypialni i nie znalazła kopii, którą wcześniej zrobiła. Żeby mieć całkowitą pewność, włożyła ją do magnetowidu i włączyła podgląd. Na ekranie mignęła twarz Shelly.

Runę wyjęła kasetę, włożyła ją do foliowego worka na śmieci i ukryła w kartonie po płatkach obok swoich oszczędności.

Następnie pozamykała wszystkie drzwi i okna i zgasiła światła na pokładzie. Zrobiła sobie talerz muesli, usiadła na łóżku, pod poduszkę wsunęła pojemnik z gazem łzawiącym, położyła się i ze wzrokiem wbitym w sufit zaczęła jeść.

Na zewnątrz rozległ się niski, wibrujący dźwięk syreny przepływającego holownika. Odwróciła się, żeby na niego popatrzeć, i kątem oka dostrzegła zabudowania przystani. Natychmiast wróciło wspomnienie napaści i mężczyzny w czerwonej wiatrówce.

Przypomniała sobie straszliwy huk wybuchu i gorący podmuch na swojej twarzy. Oczyma wyobraźni ujrzała jasną głową Shelly odwracającą się na spotkanie śmierci.

Straciła apetyt i odstawiła talerz. Wstała z łóżka i weszła do kuchni, gdzie otworzyła książkę telefoniczną, wyszukała nagłówek: „Wyższe uczelnie" i zaczęła uważnie studiować numery telefonów.

7

Najgorsze było to, że jego głos co chwila milkł, kiedy odpowiadał na pytania, i wtedy zapadała cisza.

Zupełnie, jakby wszystko, co mówił, przywodziło mu na myśl coś innego, nad czym trzeba się było zastanowić.

– Panie profesorze? — Nie wytrzymywała wówczas Rune.

– Tak, tak... — Mężczyzna podejmował przerwaną wypowiedź i mówił przez kilka kolejnych minut, po czym znowu odpływał myślami nie wiadomo dokąd.

W jego gabinecie musiało być chyba ze dwa tysiące książek. Okno wychodziło na czworokątny trawnik, za którym tętnił życiem Harlem. W dole przechadzali się studenci, sprawiający wrażenie zamyślonych i bujających w obłokach. Profesor V.C.V. Miller odchylił się do tyłu na trzeszczącym drewnianym krześle.

Obecność kamery w najmniejszym stopniu go nie peszyła. — Występowałem już kiedyś w telewizji — oznajmił jej, kiedy zadzwoniła. — Udzieliłem wywiadu programowi *Sixty Minutes*. — Był ekspertem w dziedzinie religii i autorem naukowej rozprawy poświęconej sektom. Gdy Rune powiedziała mu, że kręci dokument o ostatnich zamachach, odparł: — Z

radością z panią porozmawiam. Mówi się, że jestem znawcą tematu. — Zabrzmiało to tak, jakby to *ona* powinna się cieszyć, że zgodził się na rozmowę.

Miller miał ponad sześćdziesiąt lat i rozwichrzone siwe włosy. Przez cały czas siedział zwrócony bokiem do kamery, chociaż jego oczy patrzyły prosto w obiektyw — do czasu, gdy jego głos cichł i zamierał, a on spoglądał w okno, usiłując pochwycić jakąś ulotną myśl. Jego wiekowy tabaczkowy garnitur jak łupieżem usiany był popiołem z wypalonych papierosów. Żółty odcień zębów przywodził jej na myśl posążki Buddy z kości słoniowej, podobnie jak pożółkły kciuk oraz palec wskazujący, w których trzymał papierosa, chociaż od kiedy włączyła kamerę, ani razu się nie zaciągnął.

Rune stwierdziła właśnie, że w swoim monologu profesor zapędził się aż na Haiti. Z każdym kolejnym słowem dowiadywała się nowych, fascynujących rzeczy o obrzędach voodoo i religii zachodnioafrykań- skich Dahomejczyków.

– Słyszała pani o zombie?

– Pewnie. Widziało się parę filmów — odrzekła Rune. — Gość jedzie na Karaiby, tam spotyka chodzącego trupa, prawdziwe obrzydli- stwo, całego w robactwie, ten go gryzie, gość wraca do domu i zaczyna gryźć swoich znajomych, a potem...

– Miałem na myśli prawdziwe zombie.

– Prawdziwe zombie. — Jej palec dyskretnie zwolnił przycisk kamery.

– One rzeczywiście istnieją. W haitańskiej kulturze chodzący trup to coś więcej niż zwykły mit. Odkryto, że *lioungans* i *mambos* — kapłani i kapłanki — są w stanie wprowadzić człowieka w stan śmierci klinicznej, podając mu środki zwalniające akcję serca. Ofiara pozornie umiera, podczas gdy w rzeczywistości jej funkcje życiowe ulegają zatrzymaniu.

„Pamiętaj, Rune — mawiał Larry — że prowadzący wywiad musi kontrolować swojego rozmówcę. Nigdy o tym nie zapominaj". Zaproponowała: — Może wrócimy do Miecza Jezusowego?

– Tak, tak, oczywiście. Twierdzi pani, że to oni stoją za zamachami wymierzonymi w branżę pornograficzną?

– Co panu o nich wiadomo? — zapytała.

– Absolutnie nic, moja droga.

– Jak to? — Jej wzrok spoczął na wypełnionych książkami regałach. Znawca tematu, dobre sobie.

– Niestety. Nigdy o nich nie słyszałem.
– Ale przecież powiedział pan, że zna większość sekt.

– Bo znam. Co nie znaczy, że oni nie istnieją. W tym kraju istnieją tysiące sekt religijnych. Miecz Jezusowy może mieć stu członków, którzy czytają razem Biblię i podniecają się gadaniem o siarce i wiecznym ogniu — a jednocześnie odpisują sobie dziesięcinę od podatku dochodowego.

Strząsnął popiół do stojącej na biurku okrągłej, ceramicznej popielniczki, zanim ten zdążył spaść na podłogę.

– Powiedzmy, że jednak istnieją. Co mógłby mi pan powiedzieć o ich metodach działania?

– No cóż... — Głos profesora znowu ucichł, a spojrzenie pobiegło w stronę okna.

– Panie profesorze?

– Przepraszam, ale to jest naprawdę zdumiewające.

– Co takiego?

– Te zabójstwa. Ta cała przemoc.

– Dlaczego?

– Widzisz, moja droga, w Ameryce nie potrafimy uwolnić się od tradycji tolerancji religijnej. Jesteśmy z niej cholernie dumni. Można oczywiście zlinczować kogoś, bo jest czarny, prześladować go, bo jest komunistą, albo traktować jak śmiecia, bo jest biedakiem, Irlandczykiem czy Włochem, ale z powodu wyznawanej przez niego religii? Nigdy! W przeciwieństwie do Europejczyków my, Amerykanie, nie mamy tego rodzaju uprzedzeń. A wiesz dlaczego? Bo tutaj religia tak naprawdę nikogo nie obchodzi.

– A Jim Jones? Był Amerykaninem.

– Ludzie mogą zabijać *w obronie* swojej religii. Członkowie Miecza Jezusowego, o ile w ogóle istnieją, bez wątpienia wywodzą się z konserwatywnych środowisk wojskowych, kochają broń i polowania. Z pewnością mogliby mordować zwolenników aborcji, bo to byłoby działanie w obronie życia. Ale zabijać tylko po to, żeby głosić własne zasady moralne...? Spodziewałbym się tego raczej po jakichś islamskich fundamentalistach, wyznawcach prymitywnych kultów, ale nie po rzekomo chrześcijańskiej amerykańskiej organizacji. Nie zapominajmy, że to chrześcijanom zawdzięczamy krucjaty. Nie przysporzyły im one popularności, a oni potrafili wyciągnąć z tego wnioski.

– Jak mogłabym się dowiedzieć, czy naprawdę istnieją?

– Młoda damo, rozmawia pani z największym autorytetem w tej dziedzinie.

Obawiam się, że nie mogę pani pomóc. Czy to pójdzie w sieci ogólnokrajowej?

Rune uśmiechnęła się. — Może nawet będzie pokazywane w kinach.

Gąsienica popiołu spadła z papierosa prosto na wyświecone spodnie profesora. Ten strącił ją na podłogę, gdzie dołączyła do innych szarych szczątków. — Mam stały etat, wie pani, ale każdy dodatkowy grosz się liczy. A teraz, jeśli ma pani jeszcze trochę czasu, może zechciałaby pani posłuchać o ceremonii Tańca Słońca u Siuksów?

Z radosnym australijskim zaśpiewem Larry oznajmił: — Chodzi o to, że chcemy dać ci podwyżkę.

Rune wyłączała oświetlenie w studiu. Właśnie skończyli wywiady do dokumentu o miejskich żłobkach i przedszkolach. Rune była wyczerpana. Do trzeciej nad ranem ślęczała nad książkami na temat sekt religijnych — w żadnej nie znalazła wzmianki o Mieczu Jezusowym — a w przerwach przeglądała taśmę z niewiele wnoszącym wykładem profesora Millera. Teraz znieruchomiała i z trudem tłumiąc ziewanie, popatrzyła na swojego szefa.

Przed nią stał Larry we własnej osobie. A może miała omamy?

Zdarzało się, że nie potrafiła ich odróżnić — kiedy miała kaca, była zmęczona albo było bardzo wcześnie rano. Musiała sobie wtedy przypominać, że Bob jest trochę niższy, ma krótszą brodę oraz zamiłowanie do beżów i brązów, podczas gdy Larry toleruje wyłącznie czerń.

– Podwyżkę?

– Doszliśmy do wniosku, że pora zwiększyć twój zakres obowiązków — odparł.

Żołądek ścisnął jej się z podniecenia. — Awans? Będę operatorem kamery?

– Coś w tym rodzaju.

– Jak *bardzo* w tym rodzaju?

– Myśleliśmy raczej o stanowisku *administratorki*.

Rune zwijała kable w zgrabne pętle. Po chwili odezwała się: — Pracowałam kiedyś dla pewnej administratorki. Miała koczek, nosiła okulary na łańcuszku i bluzki z haftowanymi pieskami. Po około trzech godzinach wylała mnie z roboty. Czy to o kimś takim myśleliście?

– Mówię o poważnych zadaniach, złotko.

– Zwalniacie Cathy i chcecie, żebym była waszą sekretarką. No nie, Larry, po prostu brak mi słów.

– Rune...

– Zapomnij o tym.

Jego usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Zaczerwieniłby się, gdyby wiedział, jak to wygląda. — Cathy rzeczywiście nas opuszcza. Tutaj masz rację.

– Larry, ja chcę robić filmy! Nie umiem pisać na maszynie ani pilnować dokumentacji. *Nie chcę* być administratorką.

– Trzydzieści dolców więcej tygodniowo.

– A ile zaoszczędzicie, zwalniając Cathy?

– Wcale jej nie zwolniłem, do cholery. Po prostu znalazła sobie coś lepszego.

– Zasiłek dla bezrobotnych?

– Bardzo śmieszne. Posłuchaj, dostaniesz czterdzieści dolców więcej tygodniowo za to, że trochę pomożesz nam w biurze. W wolnych chwilach. Chodzi o to, żebyśmy nie utonęli w papierach.

– Larry...

– Rune, właśnie wygraliśmy przetarg na wielką kampanię reklamową. Tę, na której tak nam zależało. Dla House 0'Leather. Musisz nam pomóc. Zostaniesz pierwszym asystentem kierownika produkcji. Pozwolimy ci nakręcić część materiałów.

– Kolejna reklama? Nie powinieneś się tak rozmieniać na drobne, Larry. Co z twoimi dokumentami? Są takie *prawdziwe*.

– Może i są prawdziwe, złotko, ale ta agencja płaci nam dwieście tysięcy plus piętnaście procent zysków. Błagam cię... Bez ciebie nie damy rady.

Rune odczekała chwilę, po czym przywołała na wargi szelmowski uśmiech. — Larry — powiedziała — wiesz, że pracuję teraz nad dokumentem. Tym o zamachu, ale nie o zamachu.

– Tak, pamiętam. — Kąciki jego ust wygięły się niemal niezauważalnie.

– Jak już skończę, może pogadałbyś z kimś z działu programowego w telewizji. W końcu znasz tylu ludzi. Mógłbyś szepnąć o mnie dobre słowo.

– Rune, myślisz, że możesz wysłać swój film do PBS, a oni go puszczą? Tak po prostu?

– Coś w tym stylu.

– Najpierw sam muszę go zobaczyć. Jeśli materiał będzie w porządku, moglibyśmy nad nim popracować.

– Nie *nad nim*, Larry. *Ze mną*.

– Jasne, to właśnie chciałem powiedzieć.

– A przedstawisz mnie dystrybutorom?
– Aha. Czemu nie.
– Dobra, niech będzie. Potrzebna wam administratorka, tak? Oto jestem, do usług.
Larry uściskał ją. — Mądra dziewczynka.
Rune dokończyła zwijanie kabli. Pilnowała, żeby pętle były ściśle, ale nie za bardzo. Była to jedna z cennych rzeczy, których nauczyła się w L&R Productions — jak dbać o sprzęt.
Larry zapytał: — To jaki haczyk wymyśliłaś do tego swojego filmu? Skoncentrujesz się na historii dziewczyny, która zginęła?
– Tak *było,* ale teraz mam inny pomysł.
– To o czym to będzie?
– O poszukiwaniu mordercy.

Siedziała na kanapie Nicole D'Orléans. Tak głęboko zapadła się w poduszki obciągnięte luksusową skórą, że jej stopy zwisały swobodnie nad podłogą.
– Wiesz, że to prawie jak pozycja embrionalna? Powinni sprzedawać takie meble psychoterapeutom. Człowiek ma wrażenie powrotu do łona matki.
Tego dnia Nicole miała na sobie fioletową minisukienkę z głębokim wycięciem sięgającym dobre piętnaście centymetrów w głąb jej imponującego dekoltu, błyszczące fioletowe pończochy i białe szpilki. Chodząc na nich, pochylała się niezgrabnie do przodu. Jedyny żałobny akcent stanowiła wielka czarna kokarda we włosach. Dopiero co wróciła z nieformalnej uroczystości zorganizowanej ku pamięci Shelly przez ludzi z Lame Duck Productions. — Nigdy nie widziałam, żeby tyle osób na raz płakało. Wszyscy ją kochali.
Wspomnienie przyprawiło ją o łzy, ale tym razem zdołała opanować łkanie. Rune patrzyła, jak kręci się po salonie. Jakiś czas wcześniej Nicole zaczęła — najwyraźniej obsesyjnie — pakować rzeczy Shelly. Ponieważ jednak jej współlokatorka nie miała żadnej bliskiej rodziny, aktorka nie wiedziała, co ma z nimi zrobić. W rezultacie w sypialni piętrzyły się teraz na wpół wypełnione kartony.
Przez firanki wlewały się promienie słońca, tworząc na dywanie jasny wzór. Rune, mrużąc oczy, czekała, aż Nicole skończy ustawiać pudła i nakładać na nie wieka. W końcu westchnęła i usiadła.
Wówczas Rune oznajmiła: — Uważam, że Shelly została zamordowana.

Przez chwilę Nicole wpatrywała się w nią pustym wzrokiem. — No tak. Przez ten cały Miecz Chrystusowy

– Jezusowy.

– Wszystko jedno.

– Tyle że ich nie ma — rzuciła Rune. — Nie istnieją.

– Ale przecież podrzucili te listy o aniołach zagłady i tak dalej.

– To zwykła przykrywka.

– Czytałam o nich w *Newsweeltu*. To *musi* być prawda.

Rune zerknęła na misę stojącą na środku stołu. Była głodna i zastanawiała się, czy znajdujące się w niej jabłka nie są przejrzałe — nie znosiła zbyt miękkich jabłek. Gdyby jedno nadgryzła, nie wypadałoby go odłożyć i musiałaby zjeść je do końca. Powiedziała: — Nikt o nich nie słyszał, nigdzie nie ma nawet najmniejszej wzmianki na ich temat. Zastanów się — załóżmy, że chcesz kogoś zabić. Załatwiasz to tak, żeby wyglądało na robotę terrorystów. To świetna przykrywka.

– Ale dlaczego ktoś miałby zabijać Shelly?

– Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć. O tym będzie teraz mój film. Znajdę mordercę.

– A co myśli policja? — spytała Nicole.

– Oni nie myślą. Po pierwsze, mają gdzieś, dlaczego zginęła. Powiedzieli... Zresztą nieważne. Krótko mówiąc, nie mają zbyt dobrego zdania o ludziach z waszej branży. Po drugie, nie podzieliłam się z nimi swoją teorią i nie zamierzam tego robić. Gdybym im powiedziała i okazałoby się, że miałam rację, każdy mógłby nakręcić o tym film. A ja chcę mieć wyłączność...

– Ale morderstwo?

– Jak myślisz, Nicole? Czy był ktoś, komu śmierć Shelly byłaby na rękę?

Niemal słyszała, jak pod kopułą tapirowanych, obficie spryskanych lakierem i obsypanych srebrzystym brokatem jak ze świątecznej pocztówki włosów obracają się kiepsko naoliwione trybiki.

Wreszcie Nicole pokręciła głową.

– Spotykała się z kimś?

– Z nikim na poważnie. Widzisz, w tym biznesie uprawiamy — jak to się mówi? — kazirodztwo. Nie można, ot tak, poderwać faceta na przyjęciu, bo prędzej czy później zapyta, jak zarabiasz na życie. W dzisiejszych czasach, kiedy szaleje AIDS i zapalenie wątroby typu B, takie pytanie to najszybszy

sposób, żeby dziewczyna straciła adoratora. Nie mamy więc innego wyjścia, jak spotykać się z innymi ludźmi

z branży. Umawiamy się na randki, wprowadzamy do faceta, w końcu nawet bierzemy z nim ślub. Ale Shelly była inna. Ostatnio spotykała się z takim jednym. Andy... jakiś tam. Miał dziwne nazwisko, nie pamiętam jakie. Nigdy tu nie przychodził. Wyglądało na to, że to luźna znajomość.

– Mogłabyś się dowiedzieć, jak się nazywał?

Nicole weszła do kuchni i spojrzała na ścienny kalendarz. Odszukała krótką notatkę i ze smutkiem musnęła paznokciem pismo Shelly.

– Andy Llewellyn. Aż cztery litery „L" w nazwisku, dlatego uważałam, że jest dziwne.

Rune zapisała je sobie, po czym sama przyjrzała się kalendarzowi.

– A to kto? — Wskazała palcem wpis „A. Tucker". Jego nazwisko powtarzało się od kilku miesięcy niemal w każdą środę. — Może jakiś lekarz?

Nicole wydmuchała zaczerwieniony nos w ręcznik kuchenny. — Jej nauczyciel aktorstwa.

– Nauczyciel aktorstwa?

– Tym, co robimy, można zarobić na utrzymanie. Ale Shelly najbardziej na świecie uwielbiała prawdziwy teatr. To było takie jej hobby – chodzenie na przesłuchania. Granie drobnych ról. Nigdy nie załapała się na nic poważniejszego. Wystarczyło, by dowiedzieli się, co robi, i zaraz słyszała: „Proszę do nas nie dzwonić, to my zadzwonimy do pani". Zobacz tutaj... — Nicole gestem zaprosiła Rune z powrotem do salonu, w pobliże regałów z książkami. Rune odczytała kilka tytułów, przechylając w bok głowę. Wszystko o teatrze. Teatr na Bali, Stanisławski, Szekspir, nauka dialektów i dramatopisarstwa, historia teatru. Dłoń Nicole odszukała jedną z pozycji, a niewiarygodnie czerwone paznokcie zastukały w grzbiet. — Tylko wtedy była naprawdę szczęśliwa. Kiedy próbowała jakąś rolę albo czytała o teatrze.

– Tak... — Rune przypomniała sobie słowa Shelly. — Mówiła mi, że grała i nawet miała z tych ról trochę pieniędzy. — Zdjęła książkę z półki. Autorem był jakiś Antonin Artaud. *Teatr i jego sobowtór*. Egzemplarz był sfatygowany, cały w oślich uszach. Sporo podkreśleń. Jeden z rozdziałów oznaczony był gwiazdką. Tytuł brzmiał „Teatr okrucieństwa".

– Czasami brała wolne i jeździła z gościnnymi występami po całym kraju. Zawsze mówiła, że prowincjonalne teatry grają

najciekawszych autorów. Same ambitne rzeczy. Próbowałam nawet czytać niektóre z nich. Rany, mówię ci — jak widzę tekst typu: „A potem rozbie

rają się i pieprzą", to jeszcze się nie gubię. — Nicole roześmiała się. — Ale to, co interesowało Shelly, zwyczajnie mnie przerastało.

Rune odstawiła książkę na półkę i zanotowała nazwisko Tuckera obok Andy'ego Llewellyna.

– Shelly powiedziała mi, że do nakręcenia dokumentu skłoniła ją kłótnia z kimś z branży. Wiesz może, o kogo chodziło?

Nicole zawahała się. — Nie.

Rune widziała jej popisy w *Napalonych siostrzyczkach*. Nicole grała równie kiepsko, jak kłamała.

– Nicole, nie wygłupiaj się.

– Nie chcę, żebyś sobie Bóg wie co pomyślała...

– Nie pomyślę.

– Po prostu nie chcę nikomu narobić kłopotów.

– Mnie możesz powiedzieć. Kto to był?

– Właściciel studia.

– Lame Duck Productions? — upewniła się Rune.

– Tak. Danny Traub. On i Shelly bez przerwy się kłócili. Tak było od samego początku, kiedy zaczęła u nas pracować ładnych parę lat temu.

– O co się kłócili?

– O wszystko. Danny to szef z piekła rodem.

Kolejny wpis do notesu. — Okej. Ktoś jeszcze?

– Nikt, z kim by pracowała.

– To może ktoś spoza studia?

– Jest taki jeden... Tommy Savorne. Jej były.

– Mąż?

– Chłopak. Kilka lat mieszkali razem w Kalifornii.

– On tam został?

– Tak. Tyle że od paru tygodni jest w mieście. Ale jestem pewna, że nie miał z tym nic wspólnego. To najsłodszy facet, jakiego można sobie wyobrazić. Wygląda trochę jak John Denver.

– Dlaczego się rozstali? Z powodu tego, jak zarabiała na życie?

– Shelly rzadko o nim mówiła. Kiedyś kręcili razem pornosy. Tommy sporo brał, ale z drugiej strony, kto z nas nie bierze drugów? Potem jednak wyszedł na prostą. Wycofał się z branży, zafundował sobie odwyk w jakiejś bajeranckiej klinice, jak ta Betty Ford — program dwunastu kroków, te rzeczy — i zaczął kręcić normalne filmy. Wideo aerobik i

tak dalej. Wydaje mi się, że Shelly miała mu to za złe. W pewien sposób to było dla niej jak policzek. Chyba wiercił jej dziurę

w brzuchu, żeby zostawiła pornobiznes, ale ona nie mogła sobie na to pozwolić. W końcu od niego odeszła. Nie wiem, dlaczego nie chciała znowu się z nim zejść. Taki z niego przystojniak. I na dodatek nieźle zarabia...

– Kłócili się?

– Ostatnio nie. Rzadko się kontaktowali. Ale dawniej często im się to zdarzało. Słyszałam, jak wrzeszczała na niego przez telefon. Tommy chciał, żeby do niego wróciła, ona odmawiała — wiesz, jak wyglądają takie rozmowy z byłymi facetami. Na pewno sama nie raz to przerabiałaś.

Rune, której życie uczuciowe praktycznie nie istniało od czasu odejścia Richarda — a i przed nim było dość nieciekawe — przytaknęła skwapliwie z udawaną babską solidarnością. — Setki razy. Tysiące.

– Tak było kilka miesięcy temu — dodała Nicole. — Jestem pewna, że nie mógłby jej skrzywdzić. Widuję go od czasu do czasu, to naprawdę miły facet. Poza tym byli kiedyś dobrymi przyjaciółmi. Gdybyś ich razem widziała... Nie pozwoliłby, żeby w jego obecności włos spadł jej z głowy.

– Powiesz mi, gdzie go mogę znaleźć?

W uszach słyszała głos Sama Healy'ego: *Przez piętnaście lat pracowałem w oddziale saperów. Bomba to nie broń palna. Żeby zabić człowieka, nie trzeba spojrzeć mu prosto w oczy. Nie trzeba być nawet w pobliżu swojej ofiary.*

8

Okna hotelu wychodziły na park Gramercy, zadbany prywatny ogród u wylotu Lexington Avenue, ogrodzony płotem z kutego żelaza.

Hol hotelowy, cały w złocie i czerwieni, zdobiła połyskująca brokatem tapeta w królewskie lilie. Boazerię pokrywały niezliczone warstwy farby, a z dywanu wydobywał się słodko-kwaśny zapaszek. Jedna z wind była popsuta, wyglądało na to, że od zawsze.

W absolutnej ciszy Rune czekała na przyjazd drugiej windy. Jakaś kobieta po pięćdziesiątce, w zielonozłotej sukience i z twarzą pokrytą gładką warstwą pudru, obserwowała ją spod długich, uczernionych rzęs. Muzyk w średnim wieku, o brudnych, brązowych włosach, siedział ze stopą opartą na sfatygowanym futerale

gitary i czytał *Posta*.

Pokój Tommy'ego Savorne'a znajdował się na czternastym piętrze, które — jak stwierdziła Rune — było w rzeczywistości trzynaste, ale w hotelach budowanych w latach trzydziestych i czterdziestych trzynastkę uważano za pechową liczbę. Miało to nawet dla niej pewien urok — czuła, że tylko ludzie niedosłowni mają skłonność do wiary w przesądy. Zbytnia dosłowność uchodziła w jej oczach za grzech śmiertelny.

Odszukała właściwy numer i zastukała.

Rozległ się brzęk łańcuchów i szczęk zamków, po czym ciężkie drzwi otworzyły się na oścież i stanął w nich mężczyzna — rumiany na twarzy, przystojny i rzeczywiście trochę podobny do Johna Denvera, chociaż zdaniem Rune wyglądał raczej jak żywcem przeniesiony z ran- cza. Szczupła sylwetka, poważna twarz, błękitne dżinsy, robocza koszula. Zauważyła, że ma na sobie tylko jedną skarpetkę. Drugą trzymał w ręce. Na jego jasnej głowie panował artystyczny nieład.

– Cześć, mogę ci w czymś pomóc?

– Tommy Savorne?

Mężczyzna przytaknął.

– Jestem Rune, znajoma Shelly. Od Nicole dowiedziałam się, że jesteś w mieście, więc pomyślałam, że wpadnę, żeby ci powiedzieć, jak strasznie mi przykro z powodu tego, co się stało.

Nie była pewna, co powie potem, ale to nie miało znaczenia. Tommy skinął głową i gestem zaprosił ją do środka.

Pokój był niewielki — kremowe ściany, złoty dywan. Uderzyła ją woń pleśni. Co to mogło być? Zepsute jedzenie? Stary tynk? A może po prostu zapach przedwojennego hotelu schodzącego na psy. Na szczęście Tommy palił sandałowe kadzidełka, więc dało się wytrzymać. Dwie stołowe lampy rzucały poświatę łososiowej barwy. Zauważyła, że przed jej przyjściem czytał książkę kucharską, jedną z tuzina piętrzących się na wyszczerbionym, laminowanym blacie brązowego biurka.

– Siadaj. Napijesz się czegoś? — Tommy rozejrzał się po pokoju. — Nie mam żadnego alkoholu. Coś gazowanego? Wody mineralnej? Aha, zapomniałem o baba ghanoush.

– To coś jak sasafras? Piłam też kiedyś żeńszeniową colę. Paskudztwo.

– Nie, to sos z bakłażanów. Według mojego własnego przepisu. — Pokazał jej plastikowy pojemnik z brązowozieloną papką.

Runę pokręciła głową. — Dzięki, ale nie jestem głodna.

Savorne usiadł na łóżku, a Runę klapnęła na obity skajem fotel. Boki były popękane i ze środka wylewało się brudnobiałe wypełnienie.

– Byłeś facetem Shelly? — upewniła się.

Zmrużył lekko oczy i pokiwał głową. — Shelly i ja rozstaliśmy się ponad rok temu, ale nadal byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Na stałe mieszkam w Kalifornii. Kiedyś razem tam mieszkaliśmy... Przyjechałem tutaj w interesach.

– Kalifornia — powtórzyła z marzeniem Rune. — Nigdy tam nie byłam. Chciałabym kiedyś pojechać, usiąść pod palmą i przez cały dzień oglądać gwiazdy filmowe.

– Ja mieszkam na północy. W Monterey, dobre sto sześćdziesiąt kilometrów na południe od San Francisco. Ciężko tam wypatrzeć jakąś gwiazdę, z wyjątkiem Clinta Eastwooda.

– Jak dla mnie bomba.

Tommy starannie naciągał skarpetkę na swoją dużą stopę. Nawet jego stopy wyglądały na opalone i zadbane, Rune przyjrzała im się uważnie. No nie! Gość miał zrobiony pedicure. W otwartej szafie zauważyła kowbojki i kilka kowbojskich kapeluszy.

Tommy westchnął ciężko. — Nie mogę uwierzyć, że Shelly nie żyje. — Ospale sięgnął pod łóżko i wyciągnął spod niego czarny mokasyn. Wsunął w niego stopę. Poszukał drugiego i zamarł z butem w dłoni. — Jak wy się poznałyście?

– Kręciłam o niej film — odparła Rune.

– Film?

– Dokument.

– Nic o tym nie wspominała.

– Zaczęłyśmy zdjęcia w dniu, kiedy zginęła. Byłam z nią, kiedy to się stało.

Savorne przyjrzał się jej twarzy. — To stąd te zadrapania?

– Byłam na zewnątrz, kiedy wybuchła bomba. To nic wielkiego.

– Wiesz, chociaż już nie byliśmy razem, wciąż często rozmawialiśmy. Nie daje mi spokoju myśl, że już nie będę mógł do niej zadzwonić. Już nigdy więcej...

– Długo się znaliście?

– Od pięciu, sześciu lat. Dawniej... — Tommy odwrócił wzrok. — No cóż, pracowałem kiedyś w tej samej branży, co ona. Mam na myśli filmy.

– Jako aktor?

Zaśmiał się nerwowo. — Brak mi warunków. — Znowu śmiech. Jego twarz poczerwieniała. — Mówię o muskulaturze, nie o... wyposażeniu.

Rune uśmiechnęła się, on zaś ciągnął: — Pracowałem jako operator kamery i reżyser. Czasami zajmowałem się też montażem. Przez kilka lat studiowałem w szkole filmowej na Uniwersytecie Kalifornijskim, ale to nie było dla mnie. Radziłem sobie z kamerą i nie miałem ochoty godzinami przesiadywać w klasie z tymi wszystkimi jajogłowymi. Pożyczyłem trochę kasy, kupiłem starą kamerę szesnastkę i otworzyłem własne studio. Miałem być drugim Georgem Lucasem albo Ste- venem Spielbergiem, ale nie dotarłem nawet do pierwszej bazy. Po trzech miesiącach splajtowałem. Wtedy znajomy zadzwonił z propozycją zdjęć do rozbieranego filmu. Pomyślałem: „Mam filmować nagie laski i jeszcze mi za to zapłacą? Dlaczego nie?" Muszę przyznać, że liczyłem na trochę wrażeń. Wszyscy w ekipie mają nadzieję wyrwać panienkę, ale nigdy im się nie udaje. Ale kiedy za dwie godziny roboty zapłacili mi stówę gotówką, postanowiłem zostać w tej branży na stałe.

– Jak poznałeś Shelly?

– Przeniosłem się do San Francisco i zacząłem kręcić własne filmy. Shelly chodziła wtedy na przesłuchania do teatrów w North Beach — normalnych teatrów. Prawdę mówiąc, poderwałem ją w barze. Zaczęliśmy się spotykać. Kiedy mówiłem jakiejś dziewczynie, co robię, większość od razu znikała, ale Shelly to zainteresowało. Coś w tej branży podziałało na jej wyobraźnię. Może poczucie władzy... Oczywiście z początku miała pewne opory, ale kiedy okazało się, że nie ma szans na karierę teatralną, udało mi się ją przekonać, żeby zaczęła dla mnie pracować.

A może raczej pozwoliła ci myśleć, że ją przekonałeś? Pytanie, jak dobrze znałeś swoją dziewczynę. Rune jakoś nie potrafiła wyobrazić sobie, żeby ktoś mógł przekonać Shelly do czegokolwiek wbrew jej woli.

– Widziałam jeden z jej filmów — odezwała się. — Zaskoczyło mnie, że była naprawdę dobra.

– Dobra? Dziewczyno, to mało powiedziane! Była przede wszystkim prawdziwa. *Prawdziwa*. Jeśli grała osiemnastoletnią cheerleader- kę, to *była*

cheerleaderką. Kiedy dostawała rolę trzydziestopięcioletniej bizneswoman, widzowie wierzyli, że naprawdę nią jest.

– No tak, ale czy ludzie oglądający tego rodzaju filmy w ogóle zwracają uwagę na takie rzeczy?

– Dobre pytanie. Ja uważałem, że nie. Shelly była innego zdania. Dla niej wszystko się liczyło. Potrafiliśmy skakać sobie z tego powodu do oczu. Shelly żądała dodatkowych prób. Chryste, zrobienie jednego filmu zajmowało cały dzień, a przecież tam praktycznie nie ma dialogów. Szkic scenariusza liczy zaledwie kilka stron, więc po co zawracać sobie głowę próbami? Potrafiła się też przyczepić do oświetlenia — musiało być idealne. Traciłem przez nią pieniądze. Przekraczaliśmy budżet i czas zdjęciowy, dystrybutorzy z opóźnieniem dostawali materiał... Teraz myślę, że jednak miała rację, w sensie artystycznym. Niektóre jej filmy były po prostu genialne, o wiele bardziej zmysłowe niż to, co się zwykle widuje... Miała taką teorię, że artysta musi się dowiedzieć, czego ludzie oczekują, i im to dać, nawet jeśli oni sami *nie wiedzą,* czego chcą. „Filmy kręci się dla widzów, nie dla siebie". Słyszałem to od niej z milion razy.

– A ty? Na dobre wycofałeś się z branży?

Tommy pokiwał głową. — Tak. Dawniej w pornobiznesie pracowali ludzie z większą klasą. Inteligentni, autentyczni. Było zabawnie. Teraz za dużo jest narkotyków. Kiedy kolejni znajomi zaczęli umierać z przedawkowania albo na AIDS, stwierdziłem, że pora zwijać manat- ki. Chciałem, żeby Shelly odeszła razem ze mną, ale... — Kolejny blady uśmiech. — Jakoś nie potrafiłem jej sobie wyobrazić w mojej nowej firmie.

– Czym się teraz zajmujesz?

– Robię filmy wideo o zdrowej kuchni. — Ruchem głowy wskazał sos z bakłażanów. — Słyszałaś o inforeklamach?

– Nie.

– Wykupujesz pół godziny czasu antenowego — zwykle w sieci kablowej — i puszczasz taki niby-program, z którego widz ma się dowiedzieć czegoś pożytecznego. Ale chodzi przede wszystkim o to, żeby sprzedać produkt. Niezła zabawa.

– Jak ci idą interesy?

– Może niezbyt rewelacyjnie w porównaniu z branżą porno, ale przynajmniej nie wstydzę się przyznać, czym się w życiu zajmuję. — Tommy umilkł. Wstał, podszedł do okna i odsunął poplamioną pomarańczową zasłonę. — Shelly — szepnął. — Żyłaby, gdyby wtedy

rzuciła tę cholerną robotę. Ale nie chciała mnie słuchać. Była uparta jak osioł.

Runę przypomniała sobie przenikliwe spojrzenie błękitnych oczu.

Wargi Tommy'ego zadrżały. Grube, spalone słońcem palce dotknęły twarzy. Chciał coś powiedzieć, ale głos mu się załamał i na chwilę spuścił głowę, pozwalając łzom płynąć w milczeniu. Runę odwróciła wzrok.

Po pewnym czasie uspokoił się i pokręcił głową.

Runę odezwała się: — Była naprawdę wyjątkowa. Wielu osobom będzie jej brakowało. Dopiero co ją poznałam, a już za nią tęsknię.

Ciężko było patrzeć, jak ten rosły, zdrowy, pogodny mężczyzna ugina się pod ciężarem bólu.

Ale przynajmniej znalazła odpowiedź na pierwsze z dwóch pytań: wszystko wskazywało na to, że Tommy Savorne jednak nie zabił Shelly. Nie był chyba aż tak utalentowanym aktorem.

Zadała więc drugie ze swoich pytań: — Nie wiesz, kto mógłby chcieć ją skrzywdzić?

Savorne podniósł głowę i spojrzał na nią zdziwiony, marszcząc brwi. — Przecież to ta sekta...

– Załóżmy, że Miecz Jezusowy nie istnieje.

– Tak sądzisz?

– Nie wiem. Ale zastanów się.

Pokręcił głową, jakby sama myśl, że ktoś mógłby pragnąć śmierci Shelly, wydała mu się absurdalna. Zaraz jednak znieruchomiał. — To pewnie nic wielkiego, ale... Rzeczywiście jest ktoś taki. Facet, u którego pracowała.

– Danny Traub?

– Skąd wiesz?

Coś ci powiem i to będzie szczera prawda — padło. — Kochałem Shelly Lowe. Kochałem ją jako artystkę i jako człowieka.

Danny Traub był niski i chudy, ale żylasty, muskularny. Miał okrągłą twarz i gęstą czuprynę brązowych loków. Głębokie bruzdy biegnące od nosa w dół sprawiały, że jego usta wyglądały jak wzięte w nawias. Ubrany był w czarne, workowate spodnie i białą bluzę z rysunkiem semafora. Najwyraźniej lubił obwieszać się biżuterią: dwa łańcuchy, bransoleta, sygnet z szafirem, a do kompletu Rolex Oyster Perpetual.

Runę stwierdziła, że ten zegarek musiał kosztować więcej niż pierwszy dom jej rodziców.

Traub bez przerwy się rozglądał, jakby otaczał go tłum publiczności. Na wargi co rusz

wypływał mu nieszczery uśmieszek. Nieustannie

gestykulował i unosił do góry brwi. Rune przychodziło do głowy tylko jedno określenie: „klasowy błazen".

Siedzieli w rezydencji Trauba w Greenwich Village. Był to dwupoziomowy segment urządzony w jasnym drewnie, o kremowych ścianach, pełen miniaturowych drzewek i roślin doniczkowych. — Zupełnie jak w dżungli — zauważyła, wchodząc do środka. Traub kazał jej zostawić kamerę i akumulator w głównym holu, po czym oprowadził ją po swoim królestwie i pochwalił się kolekcją indonezyjskich rzeźb, zwłaszcza figurek bożków płodności. Jedna szczególnie jej się spodobała: mierzący niecałe półtora metra królik z tajemniczym uśmiechem na pyszczku. — Słodki jesteś! — zawołała, podchodząc bliżej.

– No, tak. Wokół same fiutki i cycki, a ona woli rozmawiać z królikiem — oznajmił światu Traub, zerkając do tyłu przez ramię, jakby zwracał się do niewidzialnej publiczności.

Potem pokazał jej na wskroś nowoczesne obrazy przedstawiające barwne, jaskrawe plamy, rzeźbę wykonaną ze szkła i metalu, ogromne kamienne dzbany, mosiężne figurki Buddy i kolejne egzemplarze egzotycznych roślin (w całym pomieszczeniu pachniało jak w szklarni). Na piętrze jedne z drzwi były uchylone. Gdy je mijali, Traub szybko je zamknął, ale Rune zdążyła zauważyć plątaninę bezwładnych kończyn. Doliczyła się co najmniej trzech ramion i była pewna, że widziała dwie jasne głowy.

W głębi apartamentu okna wychodziły na dziedziniec z fontanną z brązu, pokrytą zielonkawą patyną. Tam też usiedli, a Rune wyjaśniła, że kręci film o Shelly Lowe.

Danny Traub popatrzył w bok — prosto w oczy swoich wyimaginowanych widzów — i puścił ten swój tekst o tym, jak to szczerze kochał Shelly Lowe.

Zrobił to na siedząco, ale nie wytrzymał długo w bezruchu. Opowiadając o Shelly, w pewnej chwili poderwał się jak dźgnięty ostrogą i zaczął się kołysać na piętach, wymachując przy tym ramionami do przodu i do tyłu. Potem znów klapnął na fotel, gdzie co rusz zmieniał pozycję, osuwając się coraz niżej, aż w końcu prawie półleżał, z nogami przerzuconymi przez oparcie.

– Tylko jedno słowo może oddać, jak się wtedy czułem: *załamany*. Byłem, kurwa, załamany tym, co się stało. Na planie byliśmy

jak te papużki nierozłączki. Nie mówię, że we wszystkim się ze sobą zgadzaliśmy — oboje byliśmy indywidualistami. Ale można powiedzieć, że stanowiliśmy zgrany zespół. Dam ci przykład, żeby nie być gołosłow

nym. W dzisiejszych czasach najtaniej i najszybciej jest nagrywać film wprost na wideo.

— Kamerą z wbudowanym magnetowidem.

Traub rozciągnął wargi w uśmiechu, prezentując Runę niewidzialnej publiczności. — Bystra laska, no nie? Tak jest, panie i panowie. — Odwrócił się do Runę. — Tak czy inaczej, Shelly upierała się, żebym kręcił ją na pieprzonej 35-tce! Na taśmie *filmowej*! Wolne żarty! Mój budżet to dziesięć kawałków na *cały* film. Miałbym wydać z tego osiem na samą taśmę i obróbkę? I to zakładając, że jakiś żydek w laboratorium zrobiłby to za pół ceny, nie mówiąc już o postprodukcji... Koniec końców udało mi się wybić Shelly z głowy tę 35-tkę. Minęło trochę czasu, a ta zaczyna mi suszyć głowę o 16-tkę. Jakość faktycznie jest lepsza, więc nie protestowałem. Krótko mówiąc, tak to wyglądało — rozumiesz, spory dwojga artystów. Ale zawsze okazywaliśmy sobie szacunek.

– Czyje było zwykle na wierzchu?

– Zawsze ja wygrywałem. No, może z małymi wyjątkami. Parę filmów faktycznie nakręciliśmy na 16-tce. Jeden dostał nawet nagrodę dla filmu roku. — Wskazał jej przypominającą Oskara statuetkę na kominku.

– A czym właściwie zajmuje się producent?

– Ludzie, ta mała chyba urwała się z talk showu, zadaje pytanie za pytaniem... No dobra. W tej branży producent wypróbowuje aktorki. Żartuję... Robię to samo, co inni producenci — finansuję film, dobieram obsadę i ekipę, kontaktuję się ze studiem robiącym postprodukcję. Zabezpieczam projekt od strony biznesowej. Zdarza mi się też reżyserować. Jestem w tym naprawdę dobry.

– Mogę pana sfilmować, jak mówi pan o Shelly?

Uśmiech przygasł na chwilę, ale szybko powrócił. — Sfilmować? Mnie? Sam nie wiem...

– To może kogoś mi pan poleci? Muszę pogadać z kimś wysoko postawionym w tej branży. Z człowiekiem sukcesu. Więc jeśli ktoś przychodzi panu do głowy...

Rune obawiała się, że jej prowokacja jest zbyt grubymi nićmi szyta, ale Traub gładko połknął haczyk.

– No, nie... Ta dziewczyna pyta, czy odniosłem sukces... I to jaki! Astronomiczny! Jakieś dziesięć metrów stąd w garażu stoi moje

ferrari. Mam własny pieprzony garaż. W centrum Nowego Jorku!

– Fajnie.

– Ona mówi: „fajnie". Pewnie, że fajnie. Mam ten apartament i przez wszystkie wieczory w roku mógłbym jadać w każdej restauracji na Manhattanie. Mam — nie podnajmuję, ale *posiadam na własność* – dom w Killington. Jeździsz na nartach? Nie? Mógłbym cię nauczyć.

– Jest pan też właścicielem studia Lame Duck?

– Mam pakiet kontrolny. Są jeszcze inni współwłaściciele.

– Mafia? — upewniła się Rune.

Uśmiech nawet na chwilę nie opuścił twarzy Danny'ego Trauba. — Lepiej ich tak nie nazywać. Powiedzmy, że to cisi wspólnicy.

– Myśli pan, że mogli mieć coś wspólnego z podłożeniem bomby?

Kolejny nieszczery uśmiech. — Było parę telefonów... Zadano pytania komu trzeba. Nikt... z drugiego brzegu rzeki, tak to ujmijmy, nie miał z tym nic wspólnego. To sprawdzona informacja.

Rune domyśliła się, że ma na myśli Brooklyn albo New Jersey, siedzibę przestępczości zorganizowanej.

– A wracając do rzeczy — chętnie udzielę ci wywiadu. Usłyszysz historię całego mojego życia. Od ośmiu, dziewięciu lat robię w tej branży. Zaczynałem jako kamerzysta, potem nawet trochę grałem. Jeśli chcesz, mam tutaj kilka kaset...

– Dzięki, ale...

– Możesz wziąć którąś do domu.

Do salonu wparadowała, pociągając nosem, półprzytomna blondynka — prawdopodobnie podbój ostatniej nocy. Miała na sobie jedwabny, czerwony kombinezon rozpięty aż do pępka. Traub uniósł w górę dłoń, jakby dawał znak kelnerowi. Kobieta zawahała się, po czym podeszła do nich, rozczesując palcami sięgające niemal do pasa włosy. Rune nie mogła oderwać od nich wzroku — były platynowozłote. Ani Bóg, ani natura nie mogli stworzyć takiego odcienia.

Traub odwrócił się do Rune: — To na co masz ochotę? Na odrobinę koki? Mam najlepszy towar. — Pomachał przed nią solniczką, ale Rune pokręciła głową.

Kolejna uwaga skierowana do wyimaginowanej publiczności: — Trafiła nam się purytanka. Boże, zlituj się. — Traub spojrzał na Rune.

– Szkocka?

Rune zmarszczyła nos. — Smakuje jak mydło w płynie.

– Kochana, ja ci proponuję dwudziestojednoletnią słodową single malt.

– Stare mydło nie jest lepsze od nowego.

– Dobra, mów, co lubisz. Bourbona? Piwo?

Rune, zagapiona na włosy blondynki, odparła: — Martini. — Była to pierwsza rzecz, jaka przyszła jej do głowy.

Traub rzucił: — Dwa razy martini. Tylko szybko!

Teraz to blondynka zmarszczyła nosek: — Nie jestem kelnerką.

– Fakt — przyznał Traub, zwracając się do Rune. — Żadna z niej kelnerka. Kelnerki są bystre, szybkie i nie wylegują się do południa. — Odwrócił się do tamtej. — Z ciebie jest zwykła leniwa zdzira.

Kobieta zesztywniała. — Ty...

– Po prostu przynieś nam te cholerne drinki — warknął.

Rune poruszyła się. — Naprawdę nie trzeba. Ja...

Traub posłał jej lodowaty uśmiech; zmarszczki znaczące jego twarz jeszcze bardziej się pogłębiły. — Jesteś moim gościem. To żaden kłopot.

Blondynka skrzywiła się w grymasie anemicznego protestu i szurając nogami poszła do kuchni, mamrocząc przy tym coś, czego Rune nie dosłyszała.

Traub przestał się uśmiechać. — Mówiłaś coś? — zawołał za nią.

Ale kobiety już nie było.

Mężczyzna odwrócił się do Rune. — Fundujesz takim kolacje, prezenty, zapraszasz do domu, a one nie umieją się zachować.

Rune odparła chłodno: — W dzisiejszych czasach ludzie nie wiedzą, co to dobre wychowanie. Kto jeszcze pamięta Emily Post?

Traub zupełnie nie załapał, że chodzi o autorkę takich poradników. — Masz na myśli tę pilotkę? Tę, która próbowała obleciec świat dookoła? Zrobiłem kiedyś film o samolocie. Zatytułowaliśmy go *Samolot miłości*, przez skojarzenia ze *Statkiem miłości* — uwielbiałem ten serial. Oglądałaś go? Nie? Na cały dzień wyczarterowaliśmy boeinga. Cholernie droga zabawa i na dodatek koszmarnie niewygodnie się w nim kręciło. To było w marcu, siedzieliśmy w tym hangarze normalnie sini z zimna... Nie wyobrażasz sobie, jak ciasny jest samolot, dopóki nie spróbujesz położyć na siedzeniach trzech-czterech par. Jedynym rozwiązaniem były szerokokątne obiektywy. I to te typu „rybie oko". Ale i tak nie wyszło to najlepiej. Wszyscy faceci mieli ptaki długości trzech centymetrów i szerokości siedmiu.

Blondynka wróciła, niosąc drinki. Rune zagadnęła Trauba: — To jak będzie? Pomoże mi pan? Proszę. Tylko parę słów na temat Shelly.

Mężczyzna wahał się. Blondynka podała im kieliszki i postawiła na grubym, szklanym blacie stolika zakręcony słoiczek oliwek. Traub skrzywił się. Kobieta odwróciła się do niego z taką miną, jakby miała się zaraz rozpłakać. — *Nie mogłam* go otworzyć!

Rysy Trauba złagodniały. Przewrócił oczyma. — Dobrze już, dobrze, mała. Chodź tutaj i daj mi buziaka. No, już.

Zawahała się i pochyliła nad nim. Traub cmoknął ją w policzek.

– Masz towar? — zakwiliła.

– Jeżeli ładnie poprosisz...

– Danny...

– Powiedz: poproszę.

– Poproszę — powtórzyła.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni spodni i podał jej solniczkę pełną — jak się domyśliła Rune — kokainy. Kobieta wzięła ją i oddaliła się jak w transie, nie odezwawszy się do Rune choćby słowem. Ta zwróciła się do Trauba: — To jakaś aktorka?

– O, nie. Chce zostać modelką, jak wszystkie laski w tym mieście. Nakręci dla nas parę filmów, potem wyjdzie za mąż, rozwiedzie się, przeżyje załamanie nerwowe, znowu wyjdzie za mąż, tym razem jej się uda i za dziesięć lat będzie sprzedawać telefony w New Jersey albo pracować w jakimś koncernie farmaceutycznym.

Rune poczuła na sobie jego taksujące spojrzenie. Wrażenie było równie nieprzyjemne, jak wtedy, kiedy jej pierwszy narzeczony w wieku dziesięciu lat wsadził jej wielkiego ślimaka za koszulę. Traub odezwał się: — Jest w tobie coś, sam nie wiem, *niebanalnego*. Każdego dnia widuję dziesiątki kobiet — szalowe blondynki, zabójcze rudzielce. Są olśniewające, wysokie...

No, stary, z tym wzrostem to już przesadziłeś.

– ...mają solidne wyprzedzenie. Ale ty jesteś inna.

Westchnęła.

– Mówię zupełnie szczerze. Pojedziesz ze mną do Atlantic City? Poznasz fantastycznych ludzi.

– Raczej nie.

– Bzykam się jak mało kto.

– Nie wątpię.

– Będzie sporo drągów.

– Dzięki, ale nie.

Traub popatrzył na zegarek. — Okej, wiesz co? Znaj wujka Dan- ny'ego. Chcesz zaliczyć ze mną wywiad, że tak powiem? Proszę bardzo. Byle szybko, bo czeka mnie pracowity dzień.

Dziesięć minut zajęło Runę przygotowanie sprzętu. Wsunęła do kamery nową kasetę. Traub rozsiadł się wygodnie, rozciągnął dłonie,

aż chrupnęło, i uśmiechnął się. Sprawiał wrażenie całkowicie zrelaksowanego.

– Co mam powiedzieć?

– Wszystko, co przyjdzie panu do głowy w związku z Shelly.

Rozejrzał się na boki, po czym popatrzył prosto w obiektyw i przywołał na twarz smutny uśmiech. — Przede wszystkim muszę przyznać, że jestem kompletnie załamany śmiercią Shelly Lowe. — Jego uśmiech zbladł, oczy się zamgliły. — Kiedy odeszła, straciłem nie tylko gwiazdę. Straciłem jedną z moich najdroższych przyjaciółek...

Nieoczekiwanie na policzku Danny'ego pojawiło się coś, co wyglądało jak łza. Rune nie miała pojęcia, skąd się tam wzięła.

9

Szorstki mężczyzna po sześćdziesiątce, o bujnych siwych włosach i chłodnym spojrzeniu popatrzył z góry na Rune.

– A więc wydaje ci się, że potrafisz grać? — zapytał ją srogo.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odwrócił się i wszedł z powrotem do biura, zostawiając niedomknięte drzwi. Były to staroświeckie, przeszklone drzwi biurowe z wielką taflą matowego szkła. Na tabliczce złocone litery głosiły: ARTHUR TUCKER, WARSZTATY AKTORSKIE I PRACA Z GŁOSEM.

Rune przestąpiła próg i znieruchomiała. Nie wiedziała, czy właśnie zaproszono ją do środka, czy odprawiono z kwitkiem. Kiedy Tucker usiadł za biurkiem, weszła głębiej i zamknęła za sobą drzwi. Mężczyzna miał na sobie luźne, ciemne spodnie, białą koszulę i krawat. Jego lakierki były mocno znoszone. Drobnej budowy ciała, wyglądał na młodszego, niż był w rzeczywistości. Miał szczupłe nogi, rzeźbioną, przystojną twarz i siwe, krzaczaste brwi. I jeszcze to przeszywające spojrzenie zielonych oczu... Ciężko było je wytrzymać. Gdyby Tucker był aktorem charakterystycznym, mógłby zagrać prezydenta albo króla. Albo samego Boga Ojca.

– Nie wiem, czy potrafię grać, czy nie — odparła Rune, podchodząc do jego biurka. — Dlatego tutaj jestem.

Biuro na rogu Broadwayu i Czterdziestej Siódmej wyglądało jak muzeum teatralne.

Ściany pokrywały oprawione w tanie ramki fotosy aktorów i aktorek. Niektóre nazwiska znała z filmów, inne ze słyszenia, ale żadne nie było jakoś wyjątkowo sławne. Mężczyźni wyglądali

na takich, których obsadza się zwykle w rolach najlepszych kumpli głównego bohatera, a kobiety przypominały stare wariatki, które pojawiają się w filmach w ramach komicznego przerywnika. Słowem: gwiazdy trzeciego planu, żyjące z reklam telewizyjnych i występów na proszonych kolacjach.

Wisiały tam również różne rekwizyty, oprawione fragmenty kurtyny z dawno nieistniejących słynnych teatrów oraz naklejone na tekturę plakaty ze starych przedstawień. Gdzie nie spojrzeć, setki książek. Rune zauważyła kilka znanych sobie tytułów; były identyczne z tymi, które widziała u Shelly Lowe. Jej uwagę przyciągnęło nazwisko Artauda i przypomniała sobie tamte słowa: teatr okrucieństwa. Żołądek ścisnął jej się boleśnie.

Tucker oddał się skomplikowanemu rytuałowi zapalania fajki i już po chwili pokój wypełniła chmura dymu o wiśniowym zapachu.

Gestem wskazał jej krzesło. Rune usiadła. Uniesiona brew zdawała się oznaczać: „Mów dalej".

– Chcę zostać sławną aktorką.

– Tak jak połowa Nowego Jorku. Druga połowa chce być sławnymi aktorami. Gdzie się uczyłaś?

– W Shaker Heights.

– Gdzie?!

– To w Ohio, niedaleko Cleveland.

– Nie słyszałem, żeby były tam jakieś akademie teatralne czy wytwórnie filmowe.

– Miałam na myśli szkołę średnią. I wystąpiłam na akademii z okazji Święta Dziękczynienia.

Tucker przyglądał jej się w milczeniu, najwyraźniej czekając na ciąg dalszy.

– Kompletny brak poczucia humoru, stwierdziła. — Żartowałam.

– Aha.

– Poza tym byłam kiedyś Śnieżynką. A w liceum pomagałam malować dekoracje do musicalu *Południowy Pacyfik*... To też był żart. Niech pan posłucha, ja po prostu chcę grać.

– Jestem tylko nauczycielem — odparł Tucker. — To wszystko. Mogę ulepszać, ale nie stwarzać. Idź do szkoły, zacznij studiować aktorstwo i wróć za jakiś czas. Zobaczę, czy będę mógł ci pomóc. A tymczasem... — Gestem wskazał jej drzwi.

Rune nie rezygnowała. — Ale moja przyjaciółka mówiła, że jest pan najlepszy w mieście.

– Znasz któregoś z moich uczniów?

– Shelly Lowe — odrzekła i wcisnęła przycisk niewielkiej kamery JVC, którą miała ukrytą w torebce. Obiektyw był skierowany w górę i wycelowany prosto w Tuckera. Wiedziała, że nie zdoła objąć pełnego kadru, ale to musiało jej wystarczyć. Poza tym stwierdziła, że wąski czarny pasek może stanowić interesujący efekt.

Tucker odwrócił się i spojrzał w okno. Na pobliskim placu budowy kafar wbijał dźwigar w skałę, na której wznosił się Manhattan. Rune naliczyła siedem uderzeń, zanim mężczyzna się odezwał. — Słyszałem, co ją spotkało. — Czerwona twarz Tuckera zwróciła się w jej stronę. Spojrzał na nią spod swoich krzaczastych brwi. Ciekawe, czy specjalnie je czesze. Rune doszła do wniosku, że lepiej wypadłby w roli czarodzieja niż prezydenta. Na przykład Gandalfa albo Merlina.

Powiedziała: — Cokolwiek by o niej nie mówić, była dobrą aktorką.

Po dłuższej chwili Tucker odrzekł: — Shelly Lowe była moją najlepszą uczennicą. — Posłał Rune blady, smutny uśmiech. — Ale była też dziwką.

Rune aż zamrugała, słysząc tak zjadliwą uwagę.

Tucker ciągnął: — I to ją zabiło. Zwyczajnie się sprzedała.

– Długo się u pana uczyła?

Niechętnie odparł, że od dwóch lat. Wcześniej nigdzie się nie kształciła, co w dzisiejszych czasach, kiedy uczelnie takie jak Yale, Northwestern czy Uniwersytet Kalifornijski zapełniają rynek zawodowymi aktorami i aktorkami, było dość niespotykane. Shelly miała znakomitą pamięć. Była jak kameleon; wchodząc w rolę, zachowywała się jak ktoś opętany przez ducha granej akurat postaci. Miała ucho do dialektów i akcentów. — Mogła być barmanką z północno-wschodniego Londynu, a zaraz potem nauczycielką z Cotswald. Zupełnie jak Meryl Streep.

Powiedział to z podziwem i smutkiem w oczach.

– Kiedy się pan dowiedział, że grywa w *takich* filmach?

W jego głosie znów pojawiła się gorycz. — Przed miesiącem. Wcześniej nie wspomniała o tym choćby słowem. Byłem w szoku. — Zaśmiał się drwiąco. — Najśmieszniejsze, że

kiedy na zwykłych przesłuchaniach proponowano jej rolę, jeszcze grymasiła. Nie chciała grać w reklamach ani komediach. Nie godziła się na prywatne występy na przyjęciach. Nie chciała wyjeżdżać do Hollywood. Interesowały ją tylko poważne sztuki. Pytałem ją: „Shelly, dlaczego jesteś taka uparta? Mogłabyś być pełnoetatową aktorką, gdybyś tylko chciała". A ona na to, że

nie zamierza się *prostytuować*... I pomyśleć, że przez cały ten czas kręciła te wszystkie... filmy. — Zamknął oczy i pokręcił swoją wielką głową, jakby chcąc się pozbyć szczególnie niemiłego wrażenia. — Dopiero miesiąc temu odkryłem prawdę. Ktoś zwracał akurat kasetę do wypożyczalni, z której korzystam. Rzuciłem okiem na okładkę i zobaczyłem ją. Co więcej, występowała pod własnym nazwiskiem, Shelly Lowe! Nawet nie zadała sobie trudu, żeby wymyślić jakiś pseudonim! Trudno opisać, jak bardzo czułem się zdradzony. Tylko w ten sposób mogę to opisać. Jako zdradę. Kiedy zjawiła się na kolejnej lekcji, okropnie się pokłóciliśmy. Kazałem jej się wynosić, powiedziałem, że nie chcę jej więcej widzieć... — Ponownie odwrócił się do okna. — Każde pokolenie ma swoich kandydatów na geniuszy. Shelly mogła być jednym z nich. Moi pozostali uczniowie... — Zatoczył ręką krąg, jakby siedzieli za plecami Rune. — Wszystko to bardzo utalentowani ludzie i chciałbym wierzyć, że dzięki mnie stali się lepszymi aktorami. Ale daleko im do Shelly. Kiedy grała, człowiek jej *wierzył*.

Rune przypomniała sobie, że to samo mówił Tommy Savorne.

– Kiedy stała na scenie, nie widziałaś Shelly Lowe, tylko postać stworzoną przez Tennessee Williamsa, Arthura Millera, greckich klasyków, Ionesco, Ibsena... Tyle brakowało, żeby zagrała główną rolę w nowym spektaklu Michaela Schmidta. — Palcami pokazał, jak niewiele dzieliło Shelly od sukcesu.

Rune zmarszczyła brwi. — Tego znanego producenta? Tego, o którym rozpisują się gazety?

Tucker skinął głową. — Była z nim umówiona...

– Tak?

– Na przesłuchanie organizowane przez związki zawodowe. Dwa razy spotkała się ze Schmidtem osobiście.

– I mimo to nie dostała roli?

– Na to wygląda. To się zdarzyło na krótko przed naszą sprzeczką. Potem już się z nią nie kontaktowałem. — Tucker przesunął ustnikiem fajki po dolnych zębach. Kiedy znów się odezwał, mówił jakby do siebie: — Sam nigdy nie osiągnąłem wiele jako aktor. Moim przeznaczeniem było uczyć innych. Myślałem, że pozostawię po sobie naprawdę genialne

odkrycie. Że Shelly będzie moim wkładem w historię amerykańskiego teatru...

Jego wzrok spoczął na jednym z fotosów wiszących na przeciwległej ścianie. Rune była ciekawa, na którym.

– Taka zdrada — wyszeptał z goryczą. Odwrócił się do Runę, która poczuła się nagá pod przenikliwym spojrzeniem jego oczu ukrytych pod krzaczastymi brwiami. — Młodo wyglądasz. Też występujesz w tych okropnych filmach? Tak jak Shelly?

– Nie — odparła. Zamierzała coś wymyślić, podać jakieś przyzwoite zajęcie, którym mogłaby się parać dziewczyna w jej wieku, ale jego wzrok palił ją niczym wiązka lasera — zielona, nie błękitna, w odróżnieniu od Shelly — więc tylko jeszcze raz cicho zaprzeczyła.

Przez chwilę Tucker przyglądał jej się uważnie. — Żaden z ciebie materiał na aktorkę. Wybacz moją szczerość, jednak powinnaś poszukać sobie jakiejś innej pracy.

– Ale ja tylko to...

On jednak machnął ręką. — Uwierz mi, zrobiłbym ci krzywdę, gdybym cokolwiek owijał w bawełnę. A teraz, jeśli pozwolisz...

Przysunął do siebie scenariusz i pochylił się nad nim.

Lista nie przedstawiała się zbyt imponująco.

Runę siedziała przy biurku Cathy — wysłużonym, poobijanym szarym meblu z wyprzedaży. Przysunęła je tak, żeby siedzieć jak najbliżej popękanej obudowy klimatyzatora, który niestety pracował z jedną dziesiątą nominalnej mocy. Zamknęła książkę telefoniczną Manhattanu.

W spisie abonentów znalazła tylko dwóch A Llewellynów i żaden z nich nie miał na imię Andy. Co oznaczało, że zostaje jej do sprawdzenia raptem dwadzieścia milionów mieszkańców Westchester, New Jersey i Connecticut.

Wyglądało na to, że na razie nie uda jej się przesłuchać ostatniego chłopaka Shelly.

Wchodzący do biura Larry rzucił jej bystre spojrzenie. — Co robisz, złotko?

– Muszę coś sprawdzić.

– Co?

– Coś ważnego.

– A mogłabyś się z tym trochę wstrzymać? Mam dla ciebie *naprawdę* ważną robotę.

– Kolejne listy do napisania?

– No cóż, nie chciałem o tym mówić, ale te, które ostatnio przepisywałaś, aż roiły się od błędów.

– Mówiłam ci, że nie jestem maszynistką.

– Ale żeby w jednym cholernym liście to samo imię napisać z trzema różnymi błędami?

– Chodzi ci o tego Hindusa? Dziwacznie się nazywał, więc...

– Na imię miał James, Rune. James.

– Postaram się bardziej uważać... Znalazłeś już dla mnie dystrybutora?

– Jeszcze nie, złotko, mam teraz na głowie ludzi od tego kontraktu reklamowego, pamiętasz? Czekają tu obok. Skończyłaś dla mnie kosztorys?

– Jest już gotowy.

– Pytałem, czy go im wysłałaś.

Rune odparła cierpliwie. — Zaraz to zrobię.

– Więc jeszcze go nie dostali?!

– Nie. Co nie znaczy, że nie jest gotowy.

– Rune, oni już tu są! Mamy dziś omawiać konkretne koncepcje. Powinni byli dawno dostać ten kosztorys!

– Wybacz. Zaraz im go przyniosę.

Larry westchnął. — Chodź, przedstawię cię wszystkim. Jeśli zapytają, powiemy, że celowo wstrzymaliśmy się z kosztorysem do dzisiejszego spotkania.

– Larry, nie powinieneś zawracać sobie głowy reklamami. To zwykłe...

– Aha, dzwonił któryś z twoich absztyfikantów.

– Naprawdę? Który?

– Healy czy coś w ten deseń. Chciał, żebyś oddzwoniła.

– Sam do mnie dzwonił? Ekstra. To muszę zaraz...

– Później.

– Ale...

Larry przytrzymał jej drzwi, złowieszczo się przy tym uśmiechając. — Panie przodem.

Nazwisko tamtego natychmiast wyleciało jej z głowy.

Larry nie przestawał ględzić, recytując z pełną podziwu miną:

– ...drugi największy producent portfeli i aktówek w Stanach Zjednoczonych...

Rune odparła uprzejmie: — To wspaniale.

Właściciel firmy i posiadacz banalnego nazwiska — Rune postanowiła nazywać go w myślach Panem Portfelem — miał około pięćdziesiątki, bystre spojrzenie i wydatny brzuch. Miał na sobie lniany garni

tur i obficie się pocił. Stał ze skrzyżowanymi ramionami obok pulchnej kobiety pod trzydziestkę, która również skrzyżowała ramiona i ciekawie zerkała na porozstawiane wszędzie reflektory, kamery oraz wózki. Była jego córką i również pracowała w firmie. Okazało się, że ma wystąpić w przygotowywanej właśnie reklamie.

Larry udał, że nie widzi, jak Rune wznosi oczy do góry, słysząc tę nowinę.

Była tam jeszcze jedna kobieta o końskiej twarzy, prostej fryzurze na pazia i szorstkim głosie, która przedstawiła się Rune: — Mary Jane Collins, dyrektor działu reklamy w House 0'Leather. Będę nadzorowała zdjęcia.

– Rune.

Mary Jane wyciągnęła do niej kościstą dłoń; zabrzęczały ozdobne bransoletki. Rune krótko ją uścisnęła.

Córka Pana Portfela powiedziała: — Trochę się denerwuję. Podkładałam już wcześniej głos, ale jeszcze nigdy nie występowałam przed kamerą.

Jej ojciec odparł: — Na pewno sobie poradzisz, kochanie. Po prostu nie myśl o tym, że... — Spojrzał na Mary Jane: — Ilu ludzi będzie to oglądać?

– Kampania w mediach obliczana jest na jakieś piętnaście milionów widzów.

Pan Portfel ciągnął: — ...że piętnaście milionów ludzi będzie śledzić każdy twój poczek... To znaczy każdy twój kroczek! — Roześmiał się.

– Tato! — Kobieta uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami.

Mary Jane przerzuciła kilka dokumentów i zwróciła się do Lar- ry'ego. — Kosztorys. Nie dostałam od was poprawionego kosztorysu.

Larry popatrzył znacząco na Rune, która odpowiedziała: — Jest już prawie gotowy.

Larry spiorunował ją wzrokiem, powtarzając bezgłośnie: — *Prawie?!*

Ciemne włosy Mary Jane zafalowały, gdy spojrzała w dół na Rune. — Prawie?

– Mały problem z maszyną do pisania.

– Ach, tak. — Mary Jane zaśmiała się ze zdziwieniem. — No tak, rozumiem. Tylko że... Po prostu *spodziewałam* się, że dostaniemy go przed tym spotkaniem. Wydawało mi się logiczne, że go dzisiaj omówimy. I tak jesteśmy już do tyłu z czasem.

– Jeszcze kilka godzin. Dopiero co przykleiłam klawisz super klejem.

Larry odchrząknął. — Rune, może jednak sprawdzisz, co z tym kosztorysem.

– Myślałam, że będziemy omawiać koncepcję kampanii...

– Och. — Mary Jane spojrzała na nią z góry. — Nie sądziłam, że odpowiadasz za kwestie kreatywne.

– No...

– Czym się właściwie zajmujesz?

Larry odpowiedział za nią: — Runę jest asystentką kierownika produkcji.

Mary Jane zmierzyła ją wzrokiem. — Ach, tak. — I uśmiechnęła się jak przedszkolanka.

Pan Portfel przyglądał się tymczasem ogromnej płachcie prospektu szerokości sześciu metrów, pokrytej barwnymi maźnięciami a la Jackson Pollock. — To jest coś. Myślicie, że dałoby się to wykorzystać? Jak myślisz, Mary Jane?

Kobieta rzuciła okiem i odparła: — Dlaczego nie. Trzeba będzie zrobić burzę mózgów. — Pochyliła się nad biurkiem i otworzyła swoją teczkę: — Przygotowałam harmonogram z wypunktowanymi terminami. — Wyciągnęła do Runę rękę z plikiem dokumentów. — Mogłabyś to skserować?

Larry wziął od niej harmonogram i podał Runę. — Oczywiście, że mogłaby. — Spojrzał na nią przez zmrużone powieki.

Rune wzięła od niego papiery.

– Już biegnę. Na jednej nodze.

– Tatku, a dadzą mi kogoś od charakteryzacji? Chyba nie będę musiała sama się malować...?

Rune znikła za drzwiami. Larry podążył za nią.

– Mówiłaś, że ten cholerny kosztorys jest już gotowy.

– Pożałowałeś kasy na lepszą maszynę, więc nie dziw się, że odpadło „e". A to najczęściej używana litera w języku angielskim.

– To idź i kup nową, do diabła! Za pół godziny kosztorys ma być gotowy.

– Sprzedajesz się, Larry.

– Nie mam czasu wysłuchiwać teraz twoich kazań, Rune. Jestem twoim szefem. Skseruj szybko te papiery i przygotuj ten przeklęty kosztorys.

– Pozwalasz im rozstawiać się po kątach. Chodzi mi o twój honor, Larry. Nikt inny się o niego nie zatroszczy.

– Trzeba z czegoś żyć, kochanie. Zasada numer jeden w biznesie brzmi: zarabiaj. Jak nie będziesz mieć forsy, do niczego nie dojdziesz.

– Jesteś okropny.

– Taka jest prawda.

– Ale on śmierdzi!

– Bredzisz.

– *Ktoś* tam w każdym razie śmierdzi jak diabli. A ta baba, Mary Jane, to zwykła megiera.

– A kto to jest, do cholery?

– Właśnie ktoś taki jak ona. To taka...

Drzwi uchyliły się i wyjrzała przez nie uśmiechnięta twarz Mary Jane. — Czy to ty odpowiadasz za nasz lunch?

Rune wyszczerzyła zęby. — A któżby inny.

– To chyba najwyższa pora się tym zająć... Myśleliśmy o sałatkach. A co z tym ksero?

Rune zasalutowała. — Już się robi.

Nazajutrz o wpół do dwunastej Sam Healy zgarnął ją spod biura L&R Productions i ruszyli na północ.

– To zwyczajna furgonetka. — Rune, lekko rozczarowana, rozejrzała się po wnętrzu samochodu.

Sam odparł: — Ale za to policyjna. — Biało-niebieski wóz miał z boku wielki biały napis: EKIPA PIROTECHNICZNA, a w środku pustą w tej chwili klatkę, która — jak wyjaśnił Sam — służyła do przewożenia psów wywąchujących ładunki wybuchowe. — A czego się spodziewałaś?

– Sama nie wiem. Jakichś nowoczesnych gadżetów. Jak na filmach.

– Życie jest z reguły znacznie mniej ekscytujące niż to, co pokazują w Hollywood.

– To fakt.

Opuścili Manhattan, kierując się na poligon na półwyspie Rodman's Neck w Bronksie, miejsce pracy pirotechników z nowojorskiej Policji.

– O rany, jak tu fajnie! Po prostu rewelacja.

To, co się przed nimi rozciągało, przypominało złomowisko, tyle że bez złomu. Stopy Rune wybijały radosny rytm o podłogę, kiedy furgo

netka mijała bramę w ogrodzeniu z siatki, dodatkowo zabezpieczonym u góry drutem kolczastym.

Po ich lewej stronie znajdowała się policyjna strzelnica. Runę dobiegły pojedyncze, krótkie odgłosy wystrzałów z pistoletu. Po prawej zauważyła kilka niewielkich, czerwonych baraków. — Tutaj trzymamy własne materiały wybuchowe — wyjaśnił jej Healy.

– Własne?

– Najczęściej nie rozbrajamy już ładunków na miejscu. Przywozi się je tutaj i detonuje.

Runę sięgnęła po kamerę i akumulator, leżące na tylnym siedzeniu. Był tam też zielony kombinezon, którego wcześniej nie zauważyła. Spróbowała go unieść, ale okazał się zadziwiająco ciężki. Od hełmu odchodziła z tyłu zielona rura, biegnąca w dół wzdłuż pleców i prawdopodobnie służąca do oddychania. Wyglądało to jak głowa kosmity.

– O kurczę, co to jest?

– Kombinezon sapera. Ognioodporna tkanina wzmocniona kevla-rem.

– Zakładasz to do rozbrajania bomb?

– Nie mówi się: bomb.

– Ajak?

– Ajdików. Taki angielski skrót od improwizowanych ładunków wybuchowych. Nasz wydział trochę przypomina wojsko. Lubimy posługiwać się skrótami.

Weszli do niskiego budynku z pustaków, na kilometr pachnącego budżetówką. W kącie postękiwał sfatygowany klimatyzator. Healy skinął głową dwóm umundurowanym funkcjonariuszom. W ręku trzymał niebieską sportową torbę zapinaną na suwak.

Uwagę Runę zwrócił plakat przedstawiający zasady wygotowywania nitrogliceryny z dynamitu.

Było ich tu więcej, każdy z wypunktowanymi procedurami. Chłodny, kliniczny język przyprawiał ją o dreszcze.

Po detonacji należy w miarę możliwości podjąć próbę odszukania oderwanych części ciała...

Jezu Chryste...

Sam zauważył, co czyta, i zapytał, być może chcąc odwrócić jej uwagę od makabrycznych szczegółów: — Masz ochotę na mały wykład o pracy policyjnego pirotechnika?

Runę oderwała wzrok od fragmentu mówiącego o zakładaniu prowizorycznych opatrunków uciskowych. — Czemu nie.

– Pirotechnikowi przyświecają dwie zasady. Po pierwsze, uniknąć strat w ludziach. Zdetonować ładunek albo rozbroić go na odległość, jeśli to tylko możliwe. Po drugie, unikać niszczenia mienia. Na co dzień ekipy pirotechniczne zajmują się sprawdzaniem podejrzanych przesyłek i przeszukiwaniem konsulatów, lotnisk oraz klinik aborcyjnych. Tego rodzaju rzeczami.

– Mówisz jak rutyniarz.

– Większość z nas to rutyniarze. Oczywiście od czasu do czasu zdarzają się inne zlecenia, jak to przed paroma tygodniami. Jakiś dzieciak kupił na Brooklynie sześćdziesięciomilimetrowy pocisk z moździerza z wojskowego demobilu. Zabrał go do domu, gdzie razem z bratem rzucali nim na podwórku jak piłką. Sprzedawca twierdził, że to sama łuska z usuniętym ze środka prochem. Na szczęście ojciec małego walczył w Wietnamie i zaczął coś podejrzewać. Zaniósł pocisk na najbliższy posterunek, gdzie okazało się, że to niewybuch.

– O cholera!

– Zajęliśmy się nim... Trafia się też sporo fałszywych alarmów, tak samo jak w straży pożarnej. Ale co jakiś czas... bingo. Walizka pozostawiona bez opieki na lotnisku, laska dynamitu albo rurobomba. Wtedy wkraczamy do akcji.

– Któryś z was się podczołguje i przecina przewody?

– Zapomniałaś już, jak brzmi pierwsza zasada?

Rune uśmiechnęła się szeroko. — Nie pozwolić, żeby ktokolwiek wyleciał w powietrze.

– Właśnie. Dlatego najpierw ewakuujemy teren i ustalamy martwą strefę.

– Martwą strefę?

– Strefę bezpieczeństwa, w promieniu około kilometra. Potem gdzieś na jej granicy za workami z piaskiem rozkładamy stanowisko operacyjne. Mamy zdalnie sterowane roboty pirotechniczne wyposażone w kamery wideo, promienie rentgenowskie i stetoskopy. Wysyłamy jednego z nich na miejsce, żeby przyjrzał się z bliska ładunkowi.

– I posłuchał, czy coś w środku nie tyka?

– Jakbyś zgadła. — Sam skinął głową. — Oglądając hollywoodzkie filmy, można uwierzyć, że wszyscy używają teraz cyfrowych zapalników czasowych na baterie, ale

dziewięćdziesiąt procent ładunków, [2] jakimi mamy do czynienia, to amatorska, chałupnicza robota. Ruro- bomby, czarny proch i proch bezdymny, dynamit... Większość zamachowców korzysta ze starych, dobrych budzików z wyprzedaży. Wy

starczy połączyć ze sobą dwa kawałki metalu, żeby zamknąć obwód i uruchomić zapalnik. Czy może być coś lepszego, niż ręcznie nakręcany budzik z dzwonkiem i przyciskiem na wierzchu? Dlatego rzeczywiście najpierw pglądamy i nasłuchujemy. Jeśli się potwierdzi, że mamy do czynienia z ładunkiem wybuchowym, który można rozbroić bez większego ryzyka, robimy to. Jeżeli podejrzewamy coś bardziej skomplikowanego albo obawiamy się, że ładunek może eksplodować, przenosimy go do specjalnego pojazdu przystosowanego do transportu niewybuchów i niewypałów. — Ruchem głowy wskazał puste pole obok jednego z baraków. — Potem przewozimy tutaj i wysadzamy w powietrze.

Wyszli na zewnątrz. Jakieś sto metrów od nich w jednym z trzech głębokich rowów przecinających pole stało dwóch młodych mężczyzn. Owijali kwadratowy, pomalowany na kolor khaki pojemnik czymś, co przypominało plastikową linkę do suszenia prania.

Rune rozejrzała się dokoła. — Wygląda zupełnie jak Podziemie.

Healy zmarszczył brwi. — Masz na myśli ruch oporu?

– Nie, Hades. No wiesz, piekło.

– Aha, już sobie przypominam. Twoja analiza miejsca ostatniego zamachu. — Healy obejrzał się na stojących w okopie mężczyzn, po czym zwrócił się do Rune: — Musisz coś wiedzieć, jeśli chodzi o ładunki wybuchowe. Żeby spełniły swoją rolę, powinny być tak skonstruowane, by wybuchać wyłącznie w określonych warunkach. Jeżeli zmajstrujesz coś, co wylatuje w powietrze od jednego krzywego spojrzenia, wówczas niewielki z tego pożytek, prawda? Większość materiałów wybuchowych można zniszczyć przez zwykłe spalenie; nie wybuchają, tylko po prostu się palą. Żeby spowodować wybuch, niezbędny jest ładunek pośredni. To on odpowiada za siłę eksplozji całego materiału wybuchowego. Pamiętasz tamten C-4 użyty podczas drugiego zamachu? Gdyby nie co najmniej centymetr C-4 wokół zapalnika, ładunek mógłby w ogóle nie wybuchnąć.

Rune usłyszała entuzjazm w jego głosie. Pomyślała, że wspaniale musi być znaleźć w życiu coś, w czym jest się naprawdę dobrym i co się lubi robić, a potem się z tego utrzymywać.

— Tego zawsze szukamy — mówił dalej Healy. — Słabego punktu każdego ładunku. Większość zapalników odpala się elektrycznie. Wtedy rzeczywiście wystarczy przeciąć odpowiedni przewód i jest po sprawie. Jeśli ktoś chce być bardziej wyrafinowany, może użyć zapalnika rtęciowego — wtedy nawet jeśli odetnie się zapalnik czasowy, naj

mniejszy ruch może zdetonować ładunek. Niektóre bomby są wyposażone w magistralę. Do obwodu podpięty jest galwanometr. Przecinasz przewód, odcinasz dopływ prądu i wskaźnik opada do zera, detonując bombę. Najbardziej wymyślny ładunek, jaki widziałem, miał zapalnik ciśnieniowy. Całość znajdowała się w szczelnie zamkniętym metalowym kanistrze wypełnionym sprężonym powietrzem. Wywierciliśmy w nim maleńki otwór, żeby sprawdzić, czy czujnik wychwyci azotany — w taki sposób szuka się materiałów wybuchowych na lotniskach. Oczywiście w środku znaleźliśmy całą masę materiału wybuchowego i zapalnik ciśnieniowy. Gdybyśmy otworzyli kanister, powietrze wydostałoby się na zewnątrz i nastąpiłby wybuch.

– O Boże! I co zrobiliście?

– Przewieźliśmy całość tutaj i już mieliśmy zdetonować, kiedy z centrali dotarła informacja, że chcą zbadać elementy bomby pod kątem odcisków palców. Wstawiliśmy więc kanister do komory hiperba- rycznej, wyrównaliśmy ciśnienie na zewnątrz i wewnątrz, otworzyliśmy go i rozbroiliśmy ładunek. W środku był prawie kilogram semte- xu, otoczony stalowymi bolcami. Coś jak szrapnel. Skonstruowany ewidentnie z myślą o spowodowaniu maksymalnych szkód w ludziach przez jakiegoś wrednego sukinsyna.

– I co? Wpuściliście do komory robota, żeby rozbroił ładunek?

– Prawdę mówiąc nie. Sam to zrobiłem.

– IV?!

Wzruszył ramionami i ruchem głowy wskazał okop, gdzie dwaj mężczyźni skończyli owijać pojemnik i właśnie wycofywali się do betonowego bunkra ukrytego za workami z piaskiem.

– Ćwiczą odpalanie wojskowych ładunków. To, co tam widzisz, to M 118. Prawie kilogram C-4. Służy do wysadzania mostów, budynków, a nawet drzew. Owinęli go lontem detonującym, a teraz odpalą za pomocą zdalnego sterowania.

Z głośnika popłynął głos: — Okop numer jeden, ogień na dole! Ogień na dole!

– O co im chodzi? — spytała Rune.

– Tak się wołało dawniej w kopalniach, podpalając lont dynamitu. Ekipy pirotechniczne nadal korzystają z tego ostrzeżenia, kiedy ma nastąpić eksplozja.

Nagle niebo rozjaśnił silny pomarańczowy błysk. Pojawił się dym, a chwilę później ogłuszył ich potężny huk.

– Wodniacy nas za to nienawidzą — odezwał się Healy. — A miasto dostaje setki skarg w związku z popękanymi szybami w oknach.

Rune wybuchnęła śmiechem.

Healy popatrzył na nią. — Co się stało?

– Nic, tylko to dziwne. Wiozłeś mnie taki kawał drogi po to, żeby zrobić mi wykład o rozbrajaniu bomb.

– Właściwie to nie był jedyny powód — odparł po namyśle.

– W takim razie po co mnie tutaj zaprosiłeś?

Healy na moment odwrócił wzrok i odchrząknął. Na co dzień był rumiany, ale Rune odniosła wrażenie, że właśnie się zaczerwienił. Otworzył swoją walizeczkę i wyjął z niej dwie puszki dietetycznej coli, dwie kanapki i torebkę chipsów. — Tak naprawdę to miała być randka.

10

Może i wyglądał jak kowboj, ale na pewno nie był typem milczącego samotnika.

Detektyw Sam Healy miał trzydzieści osiem lat. Niemal połowa jego kumpli pirotechników wylądowała w oddziałach saperskich, on jednak poszedł całkiem inną drogą: najpierw pracował jako krawężnik, patrolując pieszo ulice, następnie dostał posadę w peerze.

– Patrolu radiowym. To znaczy, że dostałem własny radiowóz.

– No, tak. To wasze upodobanie do skrótów.

– Nie zapominaj o tym, kiedy rozmawiasz z wujotem — uśmiechnął się Sam.

– Czy to jakiś stopień pokrewieństwa?

– Czyli funkcjonariuszem wyspecjalizowanych jednostek.

Kilka lat później Healy dołączył do oddziału antyterrorystycznego nowojorskiej policji, a następnie wylądował w ekipie pirotechnicznej. Odbył wówczas miesięczne szkolenie w Akademii Pirotechnicznej FBI w Huntsville w stanie Alabama, po czym dołączył do policyjnego zespołu. W college'u zrobił dyplom inżyniera elektryka, a obecnie studiował prawo karne na Uniwersytecie Nowojorskim.

Z entuzjazmem opowiadał Rune o swoim domowym warsztacie, wynalazkach, przy których majstrował jako dzieciak, i trwającej nieprzerwanie od dwudziestu lat subskrypcji

czasopisma *Scientific American*. Raz udało mu się nawet opracować skład substancji chemicznej neutralizującej pewien wysoce niebezpieczny materiał wybuchowy;

niewiele brakowało, a udałoby mu się ją opatentować, ale ubiegła go duża firma produkująca na zlecenie wojska.

Nigdy dotąd nie strzelał ze swojej służbowej broni poza strzelnicą i dokonał tylko czterech aresztowań. Zawsze nosił przy sobie wizytówkę sklepu rusznikarskiego na Brooklynie z wypisanym na odwrocie tekstem formuły ostrzeżenia, jakie zgodnie z amerykańskim prawem musi usłyszeć każdy zatrzymany, nie miał bowiem żadnych wątpliwości, że w razie potrzeby pamięć go zawiedzie. Kilka razy przełożeni wzywali go na dywanik za to, że nie nosi broni na służbie.

Kiedy rozmowa zeszła na tematy osobiste, Sam nieco przycichł, chociaż Rune wyczuwała, że ma ochotę na zwierzenia. Przed ośmioma miesiącami opuściła go żona, bezprawnie przejmując opiekę nad ich synem.

— Chcę o niego walczyć, ale jakoś nie mogę się do tego zmusić. Myśl, że Adam miałby przechodzić przez coś takiego, odbiera mi całą ochotę do działania. A zresztą, który sędzia powierzy opiekę nad dziesięciolatkiem komuś takiemu jak ***ja?*** Całymi dniami majstruję przy ładunkach wybuchowych.

– To dlatego żona cię zostawiła?

W odpowiedzi Healy wyciągnął rękę, wskazując poligon. Z głośników ponownie rozległo się przerywane, metaliczne ostrzeżenie. Nastąpił kolejny oślepiający błysk, po którym w niebo wystrzelił wysoki na kilkanaście metrów słup dymu. Rune poczuła na twarzy falę uderzeniową, niczym podmuch gorącego wiatru. Policjanci wetknęli palce do ust i zagwizdali. Rune zerwała się na nogi i zaczęła klaskać.

– Azotan amonu — stwierdził Healy, obserwując dym.

– Coś fantastycznego!

Healy pokiwał głową i spojrzał na nią. Kiedy ich oczy się spotkały, szybko odwrócił wzrok.

– Miałaś na myśli moją pracę? — zapytał.

Rune zdążyła już zapomnieć, o co go pytała. Zaraz jednak sobie przypomniała. — No tak. To z tego powodu od ciebie odeszła?

– Nie wiem. Chyba po prostu za rzadko bywałem w domu. To znaczy, psychicznie. Mieszkam w Queens, mam tam dom z laboratorium w piwnicy. Pewnego wieczoru pracowałem na dole, kiedy żona przyszła

powiedzieć, że kolacja gotowa. Ja jednak byłem tak pochłonięty tym, co robiłem, że nie zwracając na nic uwagi, zacząłem opowiadać Jej o swoim eksperymencie i w końcu wypaliłem: „Wiesz co, chyba nigdy nie czułem się lepiej". A ona na to: „To może tu zamieszkasz?"

Runę odparła: — Nie bądź dla siebie zbyt surowy. Do tego tanga trzeba dwojga.

Sam przytaknął w milczeniu.

– Nadal ją kochasz, co?

– No skąd — odrzekł szybko.

– Akurat.

– Poważnie!

Przez moment słychać było tylko wiatr hulający po strzelnicy. Sam milczał i trudno było się zorientować, o czym myśli.

Coś takiego musiało niezle wkurzać jego żonę. Niemożność dotarcia do niego, kiedy się tak zamykał.

Po chwili odezwał się: — Dla mnie to było jak grom z jasnego nieba. Pewnego dnia po prostu mi oznajmiła, że nie może dłużej ze mną być. Że jestem jednym wielkim problemem, nie rozumiem jej i nigdy mnie przy niej nie ma. Stałem jak wmurowany. W pewnym sensie sam się o to prosiłem — naciskałem na nią, powtarzałem, jak bardzo ją kocham i jak strasznie mi przykro, mówiłem, że się zmienię... Odpowiedziała, że tylko ją dręczę. Wtedy trochę mi odbiło.

– To się zdarza, kiedy się kogoś kocha — wtrąciła Rune.

Healy ciągnął: — Dam ci przykład. Odchodząc, Cheryl zabrała ze sobą telewizor, więc już nazajutrz przez cały dzień chodziłem opętany myślą o kupnie nowego. Wyszedłem z domu, kupiłem *Poradnik konsumenta* i przeczytałem wszystko o dostępnych modelach. Chciałem kupić najlepszy telewizor na rynku. To było jakieś szaleństwo. W końcu poszedłem do sklepu i wydałem — do dziś nie mogę w to uwierzyć — tysiąc sto dolarów...

– Rany, to musiał być jakiś kosmiczny telewizor.

– Tak było. A teraz najlepsze: nigdy nie oglądam telewizji. Nawet jej nie *lubię*. Ale wtedy często zdarzało mi się podobnie zachowywać. Miałem regularną depresję. Aż pewnego dnia dostaliśmy wezwanie do rurobomby. Są dosyć niebezpieczne, ponieważ zwykle wypełnia się je prochem strzelniczym, który jest potwornie niestabilny. Cholerstwo ważyło dobre trzynaście i pół kilograma i było podłożone w jednym z dużych banków w centrum. Na klatce schodowej. Nie dało się posłać tam robota, więc wskoczyłem w kombinezon i poszedłem się przyjrzeć. Mogłem po prostu przenieść tę bombę do

miejsca, skąd zabrałby ją robot i umieścił w specjalnym pojeździe do przewozu niewybuchów i niewypałów. Pomyślałem jednak: „A co mi tam. Wszystko jedno, czy zginę", i postanowiłem samodzielnie ją rozbroić. Zacząłem od odkręcenia

pokrywki. Okazało się, że odrobina prochu dostała się pod uszczelkę i tarcie zainicjowało wybuch.

– O Boże, Sam...

– Na szczęście to był czarny proch, nie bezdymny, czyli najsłabszy materiał wybuchowy, jaki można sobie wyobrazić. Poza tym większość ładunku zamokła i nie wybuchła. W rezultacie wylądowałem jedynie na tyłku i poparzyłem sobie dłonie. Ale po tej akcji powiedziałem sobie: „Healy, przestań zachowywać się jak dupek". Bardzo mi to pomogło, co widać na załączonym obrazku.

– Zapomniałeś o niej...

– Właśnie.

Po namyśle Rune powiedziała: — Małżeństwo to bardzo dziwna rzecz. Podejrzewam, że wręcz szkodliwa dla zdrowia. Moja mama robi co może, żeby mnie wydać za mąż. Ma nawet listę potencjalnych kandydatów. Sami mili chłopcy, synowie jej przyjaciółek. Nie ma żadnych uprzedzeń — może być żyd, biały protestant... wszystko jedno. Co prawda istnieje pewna segregacja z uwagi na wykonywany zawód — lekarze są oczywiście na pierwszym miejscu — ale właściwie nie ma to dla niej większego znaczenia. Grunt, żebym koniec końców była bogata i ciężarna. No i szczęśliwa. Zależy jej na moim szczęściu. Mam być bogatą, szczęśliwą matką. Uwierz mi, mam bogatą wyobraźnię, ale jednego nie jestem w stanie sobie wyobrazić — siebie z obrączką na palcu.

Healy odrzekł: — Cheryl była bardzo młoda, kiedy się pobraliśmy. Miała dopiero dwadzieścia dwa lata. Ja miałem dwadzieścia sześć. Uważaliśmy, że najwyższa pora się ustatkować. Widocznie czasy się zmieniają.

Między nimi zapadło milczenie. Rune poczuła, że oboje zabrnęli za daleko w swoje osobiste sprawy. Healy lekceważąco wzruszył ramionami. Rozejrzał się, zauważył jakiegoś znajomego mundurowego i zagadnął, co się stało z granatem znalezionym w Bronksie.

– Leży u kapitana na krześle.

– Na krześle?

– Najpierw wyjęliśmy ze środka cały proch...

Healy odwrócił się do Rune. Żeby przerwać milczenie, zapytała: — Rozmawiałeś już z tamtym świadkiem?

Healy wypił niemal całą colę, ale nie tknął kanapki. — Z jakim świadkiem?

– Gościem, który został ranny w pierwszym zamachu. Tym od pierwszego anioła..

Nagły powiew wiatru przywiał w ich stronę dym z okopu.

– Tak.

– Aha — rzuciła Rune. — I co, powiedział coś ciekawego?

Healy zatknął kciuki za swój szeroki pas. Teraz wyglądał już zupełnie jak prawdziwy kowboj.

– Nie powiesz mi, czego się dowiedziałeś?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo to cię nie dotyczy.

– Po prostu to odfajkowałeś i już?

– Wcale nie. — Healy przez chwilę się nad czymś zastanawiał. W końcu powiedział: — Ten świadek nie okazał się zbyt pomocny.

– Więc nie ma żadnych poszlak.

– Są.

– Ale nikt ich nie bada — rzuciła cynicznie. — Z powodu opinii, jaką ma wasza centrala o pornobiznesie.

– *Ja* je badam.

– Co takiego? — Rune aż się poderwała. — Mów! — Przeszło jej przez myśl, że Sam może uznać tę randkę za całkiem chybiony pomysł.

– Sprawdziłem odciski palców z automatu telefonicznego, z którego zamachowiec dzwonił do Shelly tuż przed wybuchem.

– No i?

– Na razie nic. Próbuję też wyśledzić, skąd pochodził materiał wybuchowy. Pamiętasz opakowanie, o którym ci wspominałem? Chyba uda nam się namierzyć źródło.

– Nie boisz się, że cię za to zwolnią? W końcu stanowisko centrali jest dosyć jasne.

– Koordynator akcji i komendant znają mój numer telefonu. Gdyby chcieli, żebym przestał, zawsze mogą zadzwonić.

Rune dotknęła dłonią jego ramienia i poczuła, że ogarniają ciepło. Po części musiała to być wdzięczność za to, że chce mu się samotnie szukać zabójcy Shelly, po części coś całkiem innego.

Na razie jednak postanowiła skupić się na dochodzeniu. — Posłuchaj, Sam. Ja ci pomogę.

– W czym?

– W schwytaniu mordercy.

– Nie ma mowy.

– Zgódź się, stworzymy zespół!
– Rune...
– Mogłabym robić to, czego tobie nie wolno. Bo przecież ty musisz postępować zgodnie z prawem, nie?
– Rune, to nie jest zabawa.
– Wcale nie uważam tego za zabawę. Ty chcesz złapać sprawcę. — Położyła szczególny akcent na ostatnie słowo, żeby zrozumiał, że wie co nieco o świecie przestępczości. I dodała: — A ja chcę nakręcić swój film. — Ściągnęła usta. — To już nie zabawa.

Jej oczy płonęły. Healy zauważył to, ale nic nie powiedział.

Po chwili Rune poprosiła: — Powiedz mi tylko jedną rzecz.
– Co?
– Ale obiecaj, że odpowiesz.
– Nie.
– Proszę!
– Może — ustąpił.
– Co z odciskami palców?
– Już mówiłem. Nie ma ich w bazie.
– Nie chodzi mi o te z telefonu — odparła — tylko z listów. Tych od Miecza Jezusowego, o aniołach i tak dalej.

Sam zamyślił się, po czym odrzekł: — Ten, kto je pisał, robił to w rękawiczkach.
– A skąd pochodził papier?
– Powiedziałem, że odpowiem na jedno pytanie.
– Powiedziałeś: „może", co znaczy, że nie wykluczyłeś dwóch odpowiedzi.
– To ja ustalam zasady. Masz swoją odpowiedź. A teraz obiecaj mi, że nakręcisz ten swój film i nie będziesz się wtrącać do dochodzenia.

Rune odgarnęła z oczu grzywkę i wyciągnęła rękę. — Zgoda. Pod warunkiem, że będę miała wyłączność.
– Umowa stoi. — Jego duża, szorstka dłoń zamknęła się wokół jej palców. Sam nie zwalniał uścisku i przez pewien czas jedynym dźwiękiem był szum wiatru na poligonie. Wiedziała, że chciałby ją pocałować, i była gotowa ów pocałunek odwzajemnić, w całkowicie niezobowiązujący sposób. Ale chwila minęła i Sam puścił jej dłoń. Jeszcze przez moment patrzyli na siebie, po czym on odwrócił się w stronę okopu.
– Chodź — powiedział. — Pozwolę ci rzucić granatem, jeśli chcesz.

– Naprawdę? — odparła podekscytowana.
– Na razie tylko ćwiczebnym.
– Może być — odparła Rune. — Z czasem na pewno awansuję.

Stając w szerokim przejściu prowadzącym na zaplecze sceny, Rune ujrzała plac budowy, a nie salę teatralną.

Otoczyła ją woń świeżo piłowanego drewna oraz drażniący zapach farby i lakieru. Deski stale zmieniały miejsce, przenoszone to tu, to tam przez krzepkich mężczyzn w podkoszulkach z nadrukami reklamującymi dawno zapomniane przedstawienia. Na zakurzonej, poobijanej scenie wiły się zwoje kabli.

Głośne nawoływania, stukot młotków, przenikliwy jazgot pił elektrycznych, świdrów i wiertarek.

Rune stanęła w kulisach. Naprawdę malowała kiedyś dekoracje do szkolnego przedstawienia, tak jak powiedziała Arthurowi Tuckerowi. I wystąpiła na kilku akademiach. Ale nigdy jeszcze nie była za kulisami prawdziwej sceny teatralnej i nie zdawała sobie sprawy, że za kurtyną może być aż tyle wolnego miejsca.

Ani jak brzydka, brudna i zniszczona jest ta przestrzeń.

Przepastna pieczara, ciemna niczym otchłań Podziemia. Rune przeszła niezauważona na sam przód sceny. W pierwszym rzędzie nad scenariuszem pochylały się trzy osoby, dwóch mężczyzn i kobieta. Prowadzili ożywioną dyskusję. Najwyraźniej się ze sobą nie zgadzali.

Rune postanowiła im przerwać. — Przepraszam... Czy pan Mi- chael Schmidt?

Mężczyzna wyglądający na jakieś czterdzieści pięć lat podniósł głowę i odruchowo zdjął okulary do czytania — połówkowe soczewki w metalowej oprawie.

– Tak?

Pozostali — krępy mężczyzna w roboczej koszuli i kobieta o ponurym wyrazie twarzy, łapczywie zaciągająca się papierosem, nawet nie zaszczycili jej spojrzeniem. Wpatrywali się w tekst z takim przejęciem, jakby identyfikowali ciało w kostnicy.

Rune rzuciła tonem wyjaśnienia: — W pańskim biurze powiedziano mi, że tu pana znajdę.

– Czyżby? Chyba będę musiał z kimś tam poważnie porozmawiać. — Schmidt był niski, nabity i najwyraźniej w świetnej kondycji. Rune zwróciła uwagę na jego biceps, wyłaniające się z krótkich rękawów opiętego podkoszulka. Chociaż był muskularny, jego cera wyda

wała się niezdrowa, a oczy były czerwone i załzawione. Może cierpiał na jakąś alergię.

A może to efekt gazu łzawiącego, pomyślała.

Zerknęła, czy na siedzeniu obok producenta nie leży przypadkiem czerwona wiatrówka i kapelusz, ale niczego takiego nie zauważyła.

Nie wyglądało też, żeby rozpoznał w niej osobę, na którą miałby napaść na przystani. Chociaż w zasadzie jego praca polegała na tworzeniu teatralnej ilużji...

– Czego chcesz? — zapytał ostro.

– Mogę prosić pana o autograf?

Schmidt aż zamrugał z wrażenia. — Jakim cudem przedarłaś się przez ochronę?

– Po prostu sobie weszłam. Bardzo proszę. Zawsze chciałam mieć pański autograf.

Westchnął.

– *Proszę*... — dodała.

Spojrzał na swoich towarzyszy, nadal szepczących coś ponuro nad scenariuszem. Wstał i wtedy zobaczyła, że utyka. Syknął z bólu, wdrapując się po poplamionych stopniach na scenę.

Wyciągnęła do niego rękę, ale tylko popatrzył na nią oczyma bez wyrazu i minął obojętnie. Podszedł do ekspresu i nalał sobie duży kubek kawy. Następnie wrócił na skraj sceny, jeszcze raz obrzucił spojrzeniem spierających się autorów, czy kim tam oni byli, i powiedział: — No dobra.

– Ale fajnie! Dzięki. — Runę podała mu kartkę i kolorową kredkę.

– Dla kogo to ma być?

– Dla mojej mamy.

Nabazgrał kilka nieczytelnych słów i oddał jej kartkę. Runę wzięła ją i popatrzyła na niego. Schmidt pociągnął nosem, wydmuchał go w lnianą chusteczkę i zapytał: — Coś jeszcze, miła Runę? — Stał z biodrem wypchniętym na bok i czekał, przyglądając się jej uważnie.

– Okej. — Schowała autograf do torby. — Skłamałam.

– Domyśliłem się.

– To znaczy naprawdę chciałam dostać pański autograf. Ale chciałam też zadać panu kilka pytań.

– Nie organizuję castingów. Prześlij swój życiorys...

– Ale ja nie chcę zostać aktorką.

. Zamrugał powiekami, po czym roześmiał się. — W takim razie jesteś w tym mieście jedyną kobietą poniżej dwudziestki piątki, która o tym nie marzy.

– Robię film o pewnej aktorce, którą pan przesłuchiwał. O Shelly Lowe.

Czy jej się zdawało, czy też jego spojrzenie na ułamek sekundy umknęło w bok jak u spłoszonej wiewiórki? Może teraz ją rozpoznał?

Odparł: — Nie przypominam sobie żadnej Shelly Lowe.

– Na pewno pan sobie przypomina. Podobno prawie zaproponował jej pan rolę w tej sztuce.

Mężczyzna zaśmiał się zaskoczony. — Na pewno sobie przypominam? Zdziwisz się, młoda damo, ale chyba jednak nie.

– Miała zagrać główną rolę.

– Setki aktorek ostrzyły sobie ząbki na rolę w tej sztuce. Ostatecznie wybraliśmy jedną i nie była to pani Lowe. A teraz żegnam...

– Ona nie żyje.

. Wyglądało na to, że producent myślami jest już gdzie indziej. Jego wzrok spoczął na jakimś elemencie konstrukcji sceny. — Przykro mi to słyszeć.

Rune nie miała najmniejszych wątpliwości, że wcale nie jest mu przykro. Nic jednak nie powiedziała, tylko nadal na niego patrzyła.

. Wreszcie Schmidt zapytał: — Kręcisz jej biografię?

– Coś w tym rodzaju. Proszę, tak wyglądała, — Rune podała mu zdjęcie, które dostała od Nicole. Zerknął na nie tylko, jak znudzony gliniarz z drogówki na prawo jazdy, i oddał jej fotkę. — Nie przypominam sobie. Dlaczego uważasz, że była u mnie na przesłuchaniu?

– Tak słyszałam.

– Ach, tak. —. Schmidt uśmiechnął się. — Zakulisowe plotki. Nie należy im wierzyć.

– Więc może od pana dowiem się, jak było. Naprawdę jej pan nie pamięta?

. – Rune, proszę mnie zrozumieć. Po pierwsze, sam nie prowadzę wstępnych castingów. Za to odpowiada nasz kierownik obsady...

– A jak on się...?

– ...który już tutaj nie pracuje i nie wiem, gdzie go można znaleźć. Po drugie, większość osób twierdzących, że przesłuchiwał je Michael Schmidt, w rzeczywistości przysyła nam przez swojego agenta zdjęcie portretowe wraz z życiorysem albo bierze udział w przesłucha-

niach organizowanych przez związek zawodowy aktorów, które trwają

góra dziesięć sekund. Czy pani Lowe kiedykolwiek była u nas przesłuchiwana? Szczerze w to wątpię. Czy kiedykolwiek była przesłuchiwana *przeze mnie*? Z całym szacunkiem dla zmarłej, ale... Jeśli twoja przyjaciółka mówiła, że prawie dostała tę rolę — uniósł w górę otwarte dłonie — to niestety kłamała.

W pobliżu rozległ się głośny łoskot. To maszynista przewrócił wysoką stertę desek. Schmidt odwrócił się z twarzą wykrzywioną wściekłością. — *Co* ty wyprawiasz?

— Przepraszam, panie Schmidt, ja tylko...

— Mamy opóźnienie, bo tacy kretyni jak ty nie wiedzą, co robią. Jeszcze jeden błąd i wylatujesz z roboty.

— Przecież przeprosiłem — bronił się osiłek. — To był wypadek.

Schmidt spojrzał na Rune. — Otaczają mnie sami idioci... Następnym razem, jak będziesz chciała pogadać, zadzwoń do mnie do biura i umów się na spotkanie. Chociaż — odwrócił się i ruszył w stronę schodów — mam szczerą nadzieję, że nie będzie następnego razu.

Rune jeszcze przez chwilę mu się przyglądała. Było jasne, że dla Michaela Schmidta właśnie przestała istnieć. Przeszła za kulisy i przystanęła, żeby popatrzeć, jak rozgniewany młody maszynista układa rozrzucone deski.

Ziewnęła tak szeroko, że aż jej chrupnęła żuchwa, a z oczu pociekły łzy.

Była dziesiąta wieczór. Rune siedziała w studiu L&R Productions przy wiekowej maszynie montażowej i przewijała film ze zdjęciami do reklamówki House 0'Leather. Larry nakręcił niemal godzinę taśmy, na której brzydka córka szefa firmy powtarzała swoją kwestię na tle dropiatego tła. Rune montowała zdjęcia zgodnie z pisemną instrukcją Boba.

Mary Jane — która, jak stwierdziła Rune, byłaby doskonałą administratorką — zostawiła jej własną długą listę poprawek, jakie należało wprowadzić do kosztorysu. Pod spodem znajdował się dopisek następującej treści: „Przygotuj to proszę na 8.30. I pamiętaj, jutro wielki dzień. Wszyscy mamy być wyspani. Ciao! M.J.C."

Drzwi otworzyły się i wszedł Bob. Stanął przy płaskiej, szarej maszynie i utkwił wzrok w ekranie. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił. — I jak ci idzie, złotko?

– Na rano będzie gotowe — odparła. Odsunął jej dłoń z gałki i sam zaczął nią obracać, obserwując przesuwające się na ekranie sce

ny. Runę utkwiła spojrzenie w jego bransolecie z 18-karatowego złota i zagadnęła: — Nie wiedziałam, że osobiście przeglądasz materiały zdjęciowe do zwykłej reklamy.

– To zlecenie wymaga od nas trochę więcej — jak to się mówi? — skrupulatności. Budżet i tak dalej, chyba rozumiesz.

– Jak kolacja z klientami?

– Gość to stary piernik, a ta jego córeczka... Chryste. Niezłe z niej ziółko, wiesz, co mam na myśli? Najpierw masowała mnie stopą po udzie, a potem chciała, żebyśmy poszli razem na drinka, tylko we dwoje. Musiałem udawać, że jestem wykończony, żeby się uwolnić od tej wariatki. A aktorsko ta Mary Jane to prawdziwy sopel lodu... — Pokręcił gałką i zmarszczył brwi. — Dodaj jeszcze dwie sekundy z nią przed ściemnieniem. Stary uważa ją za drugą księżnę Dianę.

– Ale ja już skończyłam to ujęcie.

– To skończ je jeszcze raz.

– Czy choć raz pomyślałeś, że siedzę tutaj głodna, kiedy opychałeś się tymi wszystkimi smakołykami?

– Byłbym zapomniał. Mam dla ciebie prezent.

Podał jej zatłuszczoną papierową torebkę.

– Co ty nie powiesz?

Otworzyła ją. W środku było zawiniątko z folii aluminiowej.

– O rany, wziąłeś mi coś na wynos!

– Hm, no tak.

Runę odwinęła folię i zamarła.

– Resztki, Bob? To nie jest danie na wynos, tylko cholerne resztki.

– Pomyślałem, że może coś ci zasmakuje.

Runę dźgnęła zawartość zawiniątka ołówkiem. — Zielona fasolka z ziemniakami. I to by było na tyle. Co do tego podali?

– Nie pamiętam. Chyba stek. — Bob przeciągnął się i przez ułamek sekundy wyglądał jak uroczy, niewinny chłopak, którym nigdy nie był. Podszedł do drzwi. — Widzimy się jutro o wpół do dziewiątej, laleczko. Stary lubi rogaliki, więc kup parę po drodze, dobra?

Drzwi zamknęły się za nim.

Runę zawinęła zimne ziemniaki i już miała je wyrzucić, kiedy poczuła burczenie w żołądku i zawahała się.

– Niech to szlag trafi!

Odwinęła folię i zerkając w szybę, żeby sprawdzić, czy Bob sobie poszedł, wsunęła własną kasetę do wideoedytora Sony, stojącego

obok

maszyny montażowej, i włączyła odtwarzanie. Nie odrywając oczu od ekranu, pałaszowała ziemniaki i fasolkę, posługując się dwoma ołówkami zamiast pałeczek.

Nagrana rozmowa z Dannym Traubem utwierdziła ją tylko w przekonaniu, że producent pornosów jest głupim, egoistycznym i wiecznie napalonym gnojem. Ujęcia Michaela Schmidta, nakręcone ukrytą kamerą wideo, nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do tego, że jest inteligentnym, nieszczerym i egoistycznym gnojem, który też może być napalony albo nie, ale przynajmniej nie pozwala, żeby miało to wpływ na jego pracę.

Runę przypomniała sobie błysk w jego oku, kiedy wspomniała o Shelly Lowe. Niemal niezauważalne drgnienie źrenicy. O czym wtedy pomyślał? Co sobie *przypomniał?*

Nie wiedziała. Jak powtarzał jej Larry: „Kamera nie kłamie, złotko, ale to nie znaczy, że mówi całą prawdę".

Nie, materiał ze Schmidtem nie wnosił wiele do sprawy. Ale Arthur Tucker... to już całkiem inna sprawa.

Pierwsza rzecz, na którą zwróciła uwagę, to fakt, że rozmawiając z nią, nauczyciel Shelly przez dobrych kilka minut od niechcenia usiłował ukryć coś, co znajdowało się na jego biurku. Mógł to być plik papierów albo maszynopis. Był przy tym naprawdę dyskretny, więc podczas tej wizyty u niego w gabinecie Runę niczego nie zauważyła. Czego miała nie zobaczyć? Przewinęła taśmę do tyłu i zatrzymała obraz, ale nadal nic nie było widać.

Nagle na ścianie za plecami Tuckera dostrzegła pamiątkową tablicę z rzędem medali. Nie były to jednak te zamawiane z katalogu i upamiętniające durne wydarzenia w rodzaju „Przełomowych Momentów Rewolucji Przemysłowej", wyrabiane przez firmę Franklin Mint. Te wyglądały na autentyczne wojskowe odznaczenia, obok których znajdowały się inne pamiątki, między innymi złoty krzyż.

Runę przyglądała im się przez zmrużone powieki, przywołując w pamięci jeden ze swoich ulubionych filmów, czarno-białą produkcję z lat pięćdziesiątych wytwórni Metropolitan. Film nosił tytuł *Waleczni Rangersi* i opowiadał o drugiej wojnie światowej. Jeden z głównych bohaterów — sympatyczny chłopak ze Środkowego Zachodu

grany Przez kogoś podobnego do Audiego Murphy'ego — śmiertelnie boi się brać udział w bitwie. Nie potrafi przewidzieć, czy w kluczowym momencie nie zabraknie mu odwagi. W końcu jednak przekrada się za li

nię wroga i sam jeden wysadzą most, żeby Niemcy nie mogli wezwać posiłków.

Rune przypomniała sobie naszywkę w kształcie malutkiego półksiężyca z nazwą specjalnego pułku spadochronowego — RANGERS — widoczną na ramieniu głównego bohatera, kiedy ten kona w ostatniej scenie filmu. Wyglądała zupełnie jak ta, którą Arthur Tucker miał na swojej tablicy z medalami. Musiał służyć w tym samym pułku.

Przypomniała sobie jeszcze jedną, wcześniejszą scenę z tego filmu, w której jakiś żołnierz pyta głównego bohatera, czy ten wie, jak zainstalować na moście ładunki wybuchowe.

I odpowiedź, która brzmiała: „Jasne, sierżancie. Wszyscy w naszym pułku wiedzą, jak podkładać bomby. Uczyli nas tego na szkoleniu".

11

Arthur Tucker czuł się staro.

Siedząc przy biurku w swoim zakurzonym gabinecie przy Times Square, włożył do wyszczerbionego kubka grzałkę pokrytą białawym nalotem. Rozległ się głośny szum, a potem bulgotanie. Kiedy woda zaczęła wrzeć, wyjął grzałkę i wrzucił do środka dwukrotnie zaparzaną, wyschniętą torebkę herbaty Lipton. Ostre światło wpadało do pokoju przez spłowiałe zasłony, na których słońce rok w rok zostawiało ślady swojej wędrówki po niebie. Z pobliskiego placu budowy dobiegał hałas przypominający bitewny zgiełk.

Czuł się staro.

Oglądając na scenie któregoś ze swoich młodych protegowanych, nigdy się tak nie czuł. Przeciwnie, wierzył niemal, że znów ma dwadzieścia pięć lat i ubrany w zatęchły kostium Rosencrantza, Benvolia czy młodego księcia Hala czeka na swoje wejście z prawej strony kulis.

Ale dziś było inaczej. Coś obudziło w nim to chorobliwe poczucie starości, kiedy wysiadł z metra na rogu Ósmej Alei i Pięćdziesiątej Ulicy i ruszył wolno, lekkim zygzakiem, w stronę swojego biura. Po drodze przyglądał się markizom wieńczącym wejścia do teatrów. Wiele z nich mieściło się obecnie na parterze biurowców; ze świecą by **szukać** samodzielnie stojących budynków, takich jak legendarny gmach teatru Helen Hayes, Martina Becka albo

Majestic. Pomyślał, że to dość znamienne — teatr będący częścią biurowca. Kiedy wspominał dawne

markizy — ogromne, sięgające daleko nad chodnik trapezoidalne płachty rozświetlone dziesiątkami żarówek — przychodziły mu na myśl głównie tytuły komedii muzycznych. Skąd brały się te skojarzenia? Nigdy nie przepadał za tego rodzaju przedstawieniami i rzadko je oglądał, w przeciwieństwie do sztuk Millera, O'Neilla, Ibsena, Strind- berga czy Mameta, których uważał za geniuszy.

To na pewno dlatego, że się starzeję — stwierdził.

Pomyślał o swoich uczniach. Co się teraz z nimi działo? Jakiś tuzin występował na Broadwayu i w produkcjach off-Broadway. Sześciu czy siedmiu grało w telewizyjnych serialach komediowych i przygodowych. Dwa tuziny usiłowały robić karierę w Hollywood.

A setki innych zarabiały na życie jako księgowi i prawnicy, stolarze, pracownicy reklamy czy hydraulicy.

Setki tych, którzy byli niewystarczająco dobrzy z punktu widzenia systemu — systemu gwiazd, tej przeklętej piramidy, na której szczycie było tak niewiele miejsca.

Arthur Tucker pociągnął łyk herbaty, zastanawiając się, czy przegrał życie.

A teraz jeszcze ta sprawa z Shelly Lowe. Nie był wcale pewien, czy...

W gabinecie rozległ się dzwonek telefonu — denerwujący, metaliczny dźwięk. Tucker podniósł słuchawkę i powiedział: — Halo?

Po drugiej stronie jakaś zdyszana młoda osoba z prędkością karabinu maszynowego mówiła coś o czekach. Zrozumiał, że zaszła jakaś pomyłka z korespondencją. Dziewczyna dzwoniła z parteru budynku; czeki na jego nazwisko zostały omyłkowo dostarczone do jej biura. Tyle że Tucker nie spodziewał się żadnych czeków. Większość uczniów płaciła gotówką pod koniec każdej lekcji, wręczając mu szeleszczące, nowiutkie dwudziestki prosto z bankomatu.

— Wie pan, *wyglądają* jak czeki. Jestem tu całkiem sama, więc nie mogę ich panu przynieść. Ale wychodząc, mogę je zostawić przed drzwiami naszego biura.

Tucker uznał, że to kiepski pomysł — w pięć minut nie byłoby po nich śladu.

— Dobrze, w takim razie zaraz zejdę. Które to biuro?

— Numer sto trzy. Gdybym nie otwierała, to znaczy, że rozmawiam przez telefon. Będzie pan musiał chwilkę zaczekać.

Tucker nałożył tweedową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach i podartą satynową podszewką. Kapelusz zostawił. Wyszedł na

ciemny korytarz i zamknął za sobą drzwi na klucz. Następnie nacisnął duży, czarny guzik windy i całe trzy minuty czekał na jej przyjazd. Potem wszedł do środka i przy akompaniamencie metalicznych zgrzytów rozpoczął mozolną podróż na parter.

Runę postanowiła zrobić to wykałaczką.

Kupiła ją u aptekarza, który nie okazał szczególnego zdziwienia, słysząc, że ktoś w fosforyzujących trampkach i minispódniczce ozdobionej wzorem w pterodaktyle interesuje się higieną jamy ustnej. Później wróciła na barkę, gdzie wzięła się za otwieranie zamków kolejnych wewnętrznych drzwi. Poszło jej to całkiem sprawnie. Nie zdążyła poćwiczyć na drzwiach wejściowych, które miały gałkę i zasuwę, bo zabrakło jej cierpliwości. Zresztą, doszła do wniosku, zasady na pewno są takie same.

Nie były.

Spocona, czując narastającą panikę, już od pięciu minut mocowała się z drzwiami biura Arthura Tuckera. I nic, żadnych rezultatów. Wsadzała wykałaczkę do zamka i obracała, słysząc rozmaite szczęknięcia, trzaski i dźwięki przeskakujących zapadek. Wszystko to brzmiało bardzo obiecująco.

Ale na tym koniec. Drzwi ani drgnęły.

Wreszcie odsunęła się. Czas uciekał. Obliczyła, że Tucker powinien być z powrotem za jakieś trzy, cztery minuty.

Rozejrzała się po korytarzu. Na piętrze urzędowało jeszcze tylko dwóch innych najemców: kancelaria prawnicza, z tabliczką na drzwiach w języku angielskim i koreańskim, oraz jakaś firma importowa. W żadnym z biur nie paliło się światło.

— Raz kozie śmierć...

Łokciem wybiła szybę; do pokoju wpadł duży, trójkątny odłamek szkła. Szybko wsunęła rękę do środka i odsunęła zasuwę.

Cztery minuty... Masz tylko cztery minuty.

Okazało się, że to aż nadto.

To, czego szukała, leżało na środku biurka Tuckera — gruby stos kartek, który tak starannie usiłował przed nią ukryć. Nie były to jednak byle jakie kartki, ale tekst sztuki zatytułowanej *Doręczone kwiaty*. Wyglądało na to, że Tucker notował na marginesie swoje uwagi — dopiski, skreślenia, didaskalia. Nie było tego wiele, parę słów tu i tam. Runę

zauważyła tylko jedną drastyczną zmianę. Nie w tekście samej

sztuki, ale na stronie tytułowej. Tucker wykreślił: „Autorstwa Shelly Lowe" i wpisał w to miejsce swoje nazwisko.

Zmieniona także została notatka o prawach autorskich; również tam Tucker zastąpił nazwisko Shelly swoim własnym.

Powyżej widniała jeszcze jedna odręczna uwaga: „Teatr Haymar- ket w Chicago — zainteresowany".

Shelly nie żyje raptem od kilku dni, pomyślała z gniewem Rune, a ten fiut już zdążył ukraść jej sztukę i komuś ją sprzedać.

Powinnam ją zabrać, pomyślała. To dowód przestępstwa.

Wtedy jednak Tucker zorientowałby się, co się święci. Zajrzała za biurko, gdzie na niskiej komodzie piętrzyły się teksty innych sztuk, podobnie zbindowane. Poszperała w stercie i znalazła jeszcze jeden maszynopis, w którym Tucker wykreślił nazwisko Shelly i wpisał własne.

Wrzuciła tekst do torby w lamparcie cętki i wyszła z biura. Za jej plecami, w głębi korytarza, rozległ się głośny szczęk.

Przeliczyła się — Tucker nie czekał na dole tak długo, jak się spodziewała. A może ktoś mu wyjaśnił, że firma, która zajmowała biuro, dawno się stamtąd wyniosła. Tak czy inaczej drzwi windy otworzyły się dokładnie w momencie, kiedy Rune znalazła się na klatce schodowej. Usłyszała odgłos kroków, które gwałtownie się zatrzymały, a zaraz potem zduszone: — O, nie... — gdy zauważył rozbitą szybę. Wyślizgnęła się wyjściem przeciwpożarowym i zbiegając po dwa, trzy stopnie, znalazła się na parterze.

Na ulicy przed budynkiem dostrzegła policjanta. W pierwszym odruchu chciała rzucić się do ucieczki, ale uświadomiła sobie, że Arthur Tucker w żadnym wypadku nie zawiadomi policji. Przecież w najlepszym razie był złodziejem, w najgorszym — mordercą. ✓

Światła reflektorów przypominały małe, oślepiające słońca.

Stojąc w odległości niemal dziesięciu metrów za przybrudzonym filarem, Rune czuła bijący od nich żar i nie mogła zrozumieć dwóch rzeczy. Po pierwsze, dlaczego oświetleniowiec użył 800-watowych żarówek, zdecydowanie za mocnych dla tej wielkości planu?

To była jedna sprawa, która nie dawała jej spokoju. Drugie pytanie, jakie sobie zadawała,

brzmiało: co też musi się dziać w głowie Nicole D'Orleans, gdy tak leży naga na różowej, satynowej pościeli, obmacywana przez wysokiego, szczupłego, ciemnowłosego mężczyznę, z całej siły zaciska swoje długie, doskonałe nogi wokół jego talii?

– O tak, skarbie, tak, właśnie tam, och... Wiesz, co lubię, wiesz, czego chcę, daj mi to, rżnij mnie, o tak, o tak...

Kiedy już zmęczyło ją wygłaszanie tego rodzaju kwestii, Nicole zaczynała jęczeć i zawodzić. Leżący na niej mężczyzna po prostu postękiwał.

Oblewając się potem, często zmieniali pozycje; wyglądało na to, że ta na misjonarza jest już zdecydowanie *passe*. Niektóre były tak wymyślne, że męczące nawet dla patrzącego. Na szczęście zarówno Nicole jak i jej partner byli wysportowani.

Jezu, pomyślała Rune. Nie zadarłabym nóg tak wysoko, nawet gdyby mi zapłacili...

Odgłosy ich miłosnych zmagań niknły w mrocznych zakątkach studia Lame Duck.

Ubrany w podkoszulek operator podszedł jeszcze bliżej, jakby wszystkowidzący obiektyw kamery wideo był trzecim uczestnikiem tego *menage a trois*. Pozostali członkowie ekipy nie kryli znudzenia. Podpierali statywy reflektorów i kamer, ospale popijając kawę. Na granicy ciemności i kręgu jaskrawego światła otaczającego materac Danny Traub — tego dnia w roli reżysera — niecierpliwie gestykulował, przesuwając operatora z miejsca na miejsce. — Jak przegapisz szczytowanie, będzie po tobie!

– Nie przegapię.

– Wczoraj noga Sharon weszła ci w kadr i gówno było widać.

– Niczego nie przegapię. — Operator przysunął się jeszcze bliżej spółkującej pary.

Rune ponownie się zadumała. O czym teraz myśli Nicole? Robili to już od przeszło pół godziny. Sprawiała wrażenie podnieconej, ale może udawała? Ciekawe, czy koncentrowała się na...

Nagle na planie zrobiło się małe zamieszanie.

Aktor występujący razem z Nicole przestał poruszać biodrami i wstał. Miał półprzytomne oczy i ciężko oddychał. Nicole popatrzyła w dół na jego krocze i w lot pojęła, na czym polega problem. Pochyliła się i zaczęła pracować ustami. Robiła wrażenie profesjonalistki, ale mimo to mężczyzna nie reagował. Nagle gwałtownie wycofał się poza krąg światła. Nicole usiadła i narzuciła na siebie szlafrok, który podała jej młoda asystentka. Aktor rozejrzał się w poszukiwaniu

ręcznika, znalazł jakiś i owinął się nim wokół bioder.

– To koniec — zawołał i wzruszając ramionami, uniósł w górę otwarte dłonie.

Danny Traub westchnął i zaczął wyszczekiwać komendy dla ekipy. Zgasły światła, wyłączono kamerę. Oświetleniowcy i pracownicy obsługi technicznej zeszli z planu.

– To już trzeci raz w tym tygodniu, Johnny — syknął Traub.

Aktor chciwie zaciągnął się camelem. — Cholernie tu gorąco. Co z tą klimatyzacją?

– Z klimatyzacją? — Traub odwrócił się do wyimaginowanej widowni: — Koleś musi mieć zero stopni, żeby mu stanął!

Johnny wbił wzrok w podłogę. — Jestem zmęczony.

– Płacę ci tysiąc dolców za twardego fiuta. Już tydzień temu film powinien być gotowy.

– To nie rób zbliżeń. Albo wstaw gotowe przebitki.

– Johnny — Traub przybrał taki ton, jakby mówił do sześciolatka. — Ludzie oszczędzają, żeby móc wypożyczać kasety z tobą i twoim wackiem. Chcą widzieć magiczną różdżkę w akcji, rozumiesz, o czym mówię?

– Jestem *zmęczony*.

– Jesteś nawalony i tyle, a wiesz, co koka robi z twoim Yin i Yang. Możesz być prawnikiem, lekarzem, muzykiem, nawet cholernym pilotem odrzutowca, sztachać się dzień i noc i nadal robić, co do ciebie należy. Ale ktoś, kto żyje z pornosów, nie może brać tyle, co ty.

– Daj mi parę godzin.

– To już lepiej od razu cię wyleję. Spieprzaj.

Przez cały ten czas Nicole obserwowała ich, siedząc na brzegu łóżka. Teraz wstała i zrobiła krok w ich stronę. — Danny...

Traub ją zignorował.

Johnny, mamrocząc coś pod nosem, przeszedł w kąt hali. Ze skórzanej torby na ramię wyjął błękitną, szklaną fiolkę. Traub podszedł do niego i wytrącił mu ją z ręki; uderzyła o ścianę, spadła i przez chwilę kręciła się na podłodze.

– Kurwa, Danny, co ty...?

Traub z całej siły pchnął Johnny'ego na ścianę i rozejrzał się z wrednym uśmiechem. — Jemu się chyba wydaje, że ja żartuję. Tak, gość ma mnie za błazna... Nie stać mnie na ciebie, stary.

– Daj spokój!

– Zamknij się! — Słowa te zostały wykrzyczane wrzaskliwym, Przenikliwym falsetem. Wszyscy na planie doskonale je słyszeli, ale woleli odwrócić wzrok, pochylając się nad harmonogramami zdjęcio

wymi, fakturami czy scenopisami. Ewentualnie wpatrywali się w swoje kubki z kawą czy herbatą, intensywnie w nich mieszając.

Johnny wyrwał się Traubowi, usiadł na łóżku i zaczął po omacku szukać swoich ubrań.

Nicole podeszła do miejsca, gdzie leżała porzucona fiolka kokainy, podniosła ją i niepewnie podała Johnny'emu. Jednak Traub zrobił szybki krok naprzód i wyrwał ją z jej dłoni.

– IV durna suko! Nie słyszałaś, co właśnie powiedziałem?

– Ja tylko chciałam...

Traub zwrócił się do Johnny'ego. — Zapłaciłem ci za tydzień z góry. Masz mi oddać połowę.

Nicole wtrąciła: — Danny, przestań. Daj mu spokój.

Traub odwrócił się do niej i rzucił jadowicie: — Prawdziwa aktorka wiedziałaby, jak go podkręcić. Jesteś, kurwa, do niczego.

Nicole wyraźnie się go bała. Przełknęła ślinę i odwróciła wzrok, uciekając przed przeszywającym spojrzeniem jego wściekłych oczek. — Nie wyrzucaj go, Danny. Proszę cię. Wiesz, że miał problemy ze znalezieniem pracy.

Twarz Trauba pociemniała i wykrzywił ją małpi grymas. — Taki gwiazdor porno-impotent nie może znaleźć roboty? Chyba żartujesz, mała.

– Przechodzi teraz trudny okres, to wszystko.

Traub obrzucił Johnny'ego pogardliwym spojrzeniem. — Pieprzyć forsę. Po prostu się stąd wynoś.

Johnny odwrócił się gwałtownie i wyszedł.

– Dupek — szepnęła Nicole.

Traub obrócił się na pięcie, chwycił ją za natapirowane włosy i brutalnie przyciągnął jej głowę do swojej. — Nigdy... tak o mnie... nie mów.

Nicole zakwiliła: — Przepraszam, przepraszam, przepraszam...

Traub aż poczerwieniał z wściekłości i zamierzył się na nią pięścią, ale w ostatniej chwili się zreflektował i rozejrzał dokoła. Umięśniony asystent w ciasnym podkoszulku drgnął, a operator zrobił krok w ich stronę. Traub odczekał chwilę i puścił Nicole.

Dziewczyna podniosła rękę i potarła obolałą skórę głowy. Traub posłał jej fałszywy

uśmiech i poklepał po policzku. Wzdrygnęła się, oczekując uderzenia. On jednak roześmiał się i wsunął jej fiolkę koki za dekolt. — Grzeczna...

Nicole odrzuciła włosy do tyłu i odeszła.

– ...dziewczynka! — zawołał za nią Traub.

Buty — odparła Nicole. — Najczęściej myślę o butach.

– O butach? Tak po prostu?

– No tak. O butach.

Siedziały w garderobie w studiu Lame Duck. Nie było to osobne pomieszczenie, ale kąt wydzielony przy pomocy noszącego ślady myszich zębów przepierzenia z płyty gipsowej. Znajdowały się na trzecim piętrze budynku, piętro wyżej od miejsca, gdzie wybuchła bomba. Nicole powiedziała, że firma postanowiła nie zmieniać siedziby, co jej zdaniem było cholernie w złym guście — w końcu Shelly zginęła dokładnie pod nimi. — Danny mówi, że mamy złoty układ z właścicielem, cokolwiek to znaczy.

Rune przemknęła się do garderoby zaraz po zajściu z Johnnym. Ustawiła kamerę i zrobiła zbliżenie twarzy Nicole. Następnie, zniżając głos jak Faye Dunaway w filmie *Sieć,* spytała: — Kiedy jesteś na planie, przed kamerą i robisz to z mężczyzną, o czym wtedy myślisz?

– Kiedy jestem tylko z jednym mężczyzną?

– Z kimkolwiek.

– Bo Danny bardzo lubi kręcić mnie z dwoma mężczyznami...

Rune odparła: — Okej, powiedzmy, że jesteś na planie z dwoma mężczyznami.

Nicole skinęła głową na znak, że rozumie pytanie, i zaczęła mówić o butach.

– Najczęściej myślę o szpilkach. Dzisiaj, przed tą awanturą z Johnnym, wyobrażałam sobie taką cudną parę. Z boku miały maleńką kokardkę, naprawdę słodką. — Nicole była ubrana w srebrny kombinezon z szerokim białym paskiem, a na nogach miała kowbojki nabijane metalowymi nitami. Wysoko utapirowała włosy; Rune zauważyła zaczerwienienie w miejscu, gdzie chwycił ją Traub. — Uwielbiam buty, mam ich ze sześćdziesiąt par. Nie wiem, dlaczego. Chyba z jakiegoś powodu działają na mnie uspokajająco.

– Sześćdziesiąt? — szepnęła zdumiona Rune.

– TVm różniłyśmy się z Shelly. Ja wydaję wszystko, co zarobię — ona inwestowała w akcje, obligacje, takie rzeczy. Ale co poradzę, że lubię ciuchy?

– Widziałam kilka twoich filmów. Wyglądałaś na podnieconą, jakby cię to kręciło. Naprawdę udawałaś?

Nicole wzruszyła ramionami. — Jestem kobietą, miałam mnóstwo okazji, żeby nauczyć się udawać.

– Ale chyba zdarza ci się myśleć jeszcze o czymś poza butami?

– No wiesz, trzeba uważać na różne techniczne szczegóły. Czy leżę pod dobrym kątem, czy patrzę prosto w kamerę, czy ogoliłam pachy, czy się za bardzo nie powtarzam?

– Kto wam pisze dialogi?

Nicole nerwowo zerknęła w obiektyw i odchrząknęła. — Z reguły improwizujemy. Mogłoby się wydawać, że to nic trudnego patrzeć w kamerę i mówić, ale wcale tak nie jest. Normalnie cię zatyka. Wiesz, *co* masz powiedzieć, znasz wszystkie kwestie, ale najtrudniejsze jest *jak* to zrobić. Przynajmniej dla mnie.

– Moim zdaniem brzmiałaś bardzo naturalnie. A widziałam cię w paru filmach.

– Naprawdę? — Nicole zwróciła ku Runę twarz błyszczącą, fiole- towo-beżowym makijażem. — Co widziałaś?

– *Tyłem naprzód*, *Łóżkowe potyczki*. Aha, i *Napalone siostrzyczki*.

– No tak, to stary film, już prawie klasyka. Przy tej okazji pisali o mnie w *Hustlerze*. Muszę przyznać, że nieźle wtedy wypadłam. Próby trwały tydzień, bo Shelly się uparła.

Runę wyjrzała ostrożnie na pusty korytarz.

– Czy Shelly pisała sztuki?

– Sztuki? Tak, to było jeszcze jedno jej hobby. Wysyłała je potem do różnych teatrów, ale zawsze wracały z odmową.

– Czy którykolwiek z jej tekstów został gdzieś wystawiony?

– Nie, nie wydaje mi się. Chociaż kilka miesięcy temu napisała coś, co było chyba naprawdę dobre. Jakiś teatr był poważnie zainteresowany.

Teatr Haymarket z Chicago, pomyślała Runę, przypominając sobie dopisek na stronie tytułowej egzemplarza sztuki z biurka Tuckera.

– *Doręczone kwiaty?*

– Chyba tak. To mogło być to.

– Wiesz, o czym była?

– Nie.

– Zrobiłam wywiad z Dannym Traubem. Rozmawialiśmy o Shelly — powiedziała Rune.

– Aha.

– Twierdzi, że ją uwielbiał. Podobno tworzyli zgrany duet.

– Danny tak powiedział?

– Owszem.
– Kłamie — stwierdziła Nicole.
– Też miałam takie wrażenie.
– Shelly gówno go obchodziła. Danny'ego interesuje tylko on sam. Powiedział ci może, ile razy próbował zaciągnąć ją do łóżka? I że stale musiała się od niego opędzać?
– Nie. Może *ty* mi o tym opowiesz?
Nicole zerknęła na kamerę. — Jeżeli to wyłączysz.
Rune nacisnęła przycisk.
– Danny ciągle ją...
– Molestował?
Nicole wzruszyła ramionami, jakby zaczepki od molestowania dzieliła bardzo cienka granica. — Nie chodzi o to, że ją prześladował, ale faktycznie był na nią napalony. Shelly uważała go za świnię. Nie znosiła, że tak paraduje po planie i wszystkich poniża, mądrzy się i obraża ludzi. Widziałaś, jak on się zachowuje. Mówi o *tobie*, ale nie *do ciebie*, nawet jeśli stoisz tuż obok niego. Ale ponieważ dobrze płaci — co ja mówię, bardzo dobrze — ludzie to tolerują.
– Ale nie Shelly.
– O, nie. Nie Shelly. Ależ ona się z niego nabijała! Parę tygodni temu Danny zaczął rozstawiać po kątach reżysera, więc Shelly nazwała go wrednym konusem. Ja bym nie potrafiła, a ty? Tak czy owak, wygarnęła mu i zaraz zeszła z planu. Kurczę, ale się wtedy wściekł. Wszystkie żyły mu wyszły i myślałam, że dostanie zawału.
– Widziałam waszą dzisiejszą sprzeczkę.
– Moją i Danny'ego? Widziałaś to? Właściwie trudno to nazwać sprzeczką. — Wzięła do ręki szczotkę i zaczęła rozczesywać włosy. Szło jej opornie z powodu grubej warstwy lakieru podtrzymującej fryzurę. — Johnny to kochany chłopak, po prostu jest teraz w kiepskiej formie. Nałogowo pije, poza tym bierze o wiele za dużo koki. Powinien już przejść na emeryturę. Parę lat temu był prawdziwą gwiazdą. Jest dość hojnie wyposażony, no wiesz.
– Tak, widziałam.
– Ale Danny ma rację, Johnny już się do niczego nie nadaje. Lame Duck to jedyne studio, które jeszcze go zatrudnia. Nikt inny go nie chce. Ale chyba Danny stracił w końcu do niego cierpliwość. Rozumiesz, w tej branży od faceta wymaga się jednego: żeby stawał na wysokości zadania. — Nicole wzruszyła

ramionami. — To w zasadzie warunek wykonywania tego zawodu.

Runę zamyśliła się. Gdzieś w pobliżu kapała woda. Na zewnątrz jakiś motocyklista testował silnik na najwyższych obrotach. Runę nachyliła się bliżej i zapytała szeptem: — Myślisz, że on mógł zabić Shelly?

– Danny? — Nicole roześmiała się i już miała pokręcić głową, ale znieruchomiała. Jej uśmiech zbladł i zaczęła szukać czegoś nerwowo w torebce. — Chcesz się sztachnąć? — W jej dłoni mignęła błękitna fiolka. — Johnny zawsze ma dobry towar.

Runę pokręciła głową.

Nicole wciągnęła kreskę i siąknęła nosem. Po chwili zapytała: — Ale dlaczego miałby to zrobić?

Runę przyglądała się przepierzeniu z płyty gipsowej — nierównym krawędziom, powyginanym gwoździom, krzywym kątom. Nagle odezwała się: — Wiesz, co jest dziwne?

– Co?

– To, że kiedy to powiedziałam — że Danny mógł zabić Shelly — w ogóle cię to nie zaskoczyło.

Nicole przez moment się zastanawiała. — Nie lubię Danny'ego. Jest wstrętny, myśli wyłącznie o dupczeniu, dragach i swoich samochodach. Ale z drugiej strony, ja myślę tylko o ciuchach i dragach, więc nie powinnam, no wiesz, rzucać kamieniem. — Jej spojrzenie uciekło w bok. Wyraźnie się nad czymś zastanawiała.

– No, dalej — zachęciła ją Runę, zniżając głos. — Mam wrażenie, że chcesz mi coś powiedzieć.

Nicole spojrzała na zegarek i nachyliła się. Runę poczuła zapach perfum, kremu do twarzy i płynu do płukania ust. — Pokażę ci coś, tylko obiecaj, że nikomu nie powiesz.

Wstała i pchnęła wypaczoną płytę pełniącą rolę drzwi. Wyszły na obskurny korytarz i ruszyły w stronę windy towarowej. — Zejdziemy do piwnicy — oznajmiła Nicole, zasuwając harmonijkową kratę i wciskając przycisk ze słowem „Parter".

Wysiadły w brudnym holu, gdzie Nicole otworzyła drzwi prowadzące do piwnicy.

– Zupełnie, jakbyśmy schodziły do lochu — zauważyła Runę.

Nicole zaśmiała się sarkastycznie. — Bo to *jest* loch.

Przez chwilę wpatrywała się w ciemność, po czym zaczęła schodzić w dół. — Chyba nikogo tam nie ma. A przynajmniej mam taką nadzieję.

Droga była długa i nieprzyjemna. Schodziły dobrą minutę, za całe oparcie mając rozklekotaną, drewnianą poręcz schodów. Jedynym źródłem światła były dwie słabe żarówki umieszczone w czymś, co wyglądało jak druciana klatka i było najwyraźniej przeznaczone dla dużo większych lamp. Przegniłe stopnie uginały się pod ich stopami.

U podnóża schodów zaczynał się korytarz, przechodzący w ciemny, niski tunel o kamiennych ścianach tu i ówdzie maźniętych cementem. Posadzkę znaczyły kałuże oleistej wody. Gdzieniegdzie ze ścian sterczały stalowe pręty. Lata temu, prawdopodobnie w celach ostrzegawczych, ktoś zamalował miejsca wokół nich czerwoną farbą, która wyglądała jak krew. W rogach zwisały pajęczyny pełne zasuszonych owadzich zwłok. Rune musiała kilka razy odkaszlnąć; powietrze cuchnęło olejem napędowym i pleśnią.

Szły długo mrocznym tunelem.

– Kiedyś była tu kotłownia albo magazyn — wyjaśniła Nicole, wchodząc do jakiegoś pomieszczenia i zapalając światło. Świetlówki nad ich głowami zamigotały i zalały pokój ostrym światłem. Rune i Nicole musiały zmrużyć oczy. Ściany pomieszczenia przypominały te z tunelu — ten sam kamień, te same niechlujne maźnięcia cementu. Z sufitu zwieszały się zakończone obręczami łańcuchy. W rogu stał kozioł z poplamionym skórzanym obiciem, a jedna ze ścian zajmowało skomplikowane urządzenie przypominające drewnianą drabinkę.

– Macie tu siłownię? — zdziwiła się Rune. Podeszła do trapezu zbudowanego z drewna i chromowanej stali. — Ciągle sobie powtarzam, że powinnam zacząć ćwiczyć, ale jakoś brak mi motywacji. Lubię, kiedy wysiłek przynosi wymierne efekty, jak wtedy, kiedy ucieka się przed kimś, kto chce cię stłuc na kwaśne jabłko.

– To nie jest siłownia, Rune — odparła cicho Nicole.

– Nie?

Aktorka podeszła do wysokiej, poobijanej metalowej szafki, otworzyła ją i wyjęła ze środka długi, cienki kawałek drewna. Wyglądał trochę jak wskaźnik, którego nauczyciele używają w szkole.

– Widzisz, czasami odgrywamy w filmach udawane sceny sado- maso. Używamy pejczów ze sznurka albo szpicruty owiniętej pianką.

Niektórych podnieca, kiedy dziewczyna w skórzanym staniku, podwiązkach i czarnych pończochach każe facetowi lizać obcasy swoich butów. Ale to tylko wygłupy. Prawdziwy fan sado-maso odniósłby taki film do wypożyczalni i zażądał zwrotu pieniędzy. Prawdziwe dominy używają czegoś takiego.

Nicole zamachnęła się i z całej siły uderzyła w kozioł. Drewno wygięło się, ze świstem przecinając powietrze; rozległ się głośny trzask przypominający odgłos wystrzału. Runę zamrugała powiekami.

– Hikora — wyjaśniła Nicole. — Nieźle wygląda, ale zostawia głębokie ślady. Potrafi przeciąć skórę. Można tym kogoś zabić, jeżeli bije się wystarczająco długo. Słyszałam, że takie rzeczy się zdarzały.

– Chcesz powiedzieć, że Danny'ego to podnieca?

– Zeszłam raz na dół i widziałam, jak kręci jeden z tych swoich filmików. Sprzedaje je na lewo. Standardowe produkcje Lame Duck chyba przestały mu wystarczać. Potrzebuje czegoś mocniejszego, żeby mu stanął.

– Co się wtedy działo?

– To było straszne. Bił jakąś dziewczynę, wbijał w nią igły — co prawda jednorazowe, ale zawsze... O Jezu. Potem ona zaczęła błagać, żeby przestał, ale jemu na to jeszcze bardziej odwaliło. Zupełnie stracił nad sobą kontrolę. Chyba naprawdę chciał ją zabić. W końcu dziewczyna zemdlała, a dwóch asystentów odciągnęło Danny'ego i zawiozło ją do szpitala. Chciała pójść z tym na policję, ale zapłacił jej, aby milczała. — Nicole rozejrzała się dokoła. — Pytasz, czy mógłby zabić Shelly? Nie wiem. Ale mogę ci powiedzieć, że uwielbia krzywdzić ludzi.

Runę wzięła do ręki cienki łańcuszek zakończony z obu stron ostrymi jak szczęki zaciskami. Pokrywała je zaschnięta krew. Runę szybko go odłożyła.

Nicole zgasiła światło. Ruszyły w drogę powrotną.

Były już przy schodach, kiedy z ciemności dobiegł jakiś dziwny hałas.

Runę wyszeptała: — Słyszałaś? Co to było?

Nicole przystanęła na drugim stopniu od dołu. — Co?

– Coś słyszałam, gdzieś za nami. Jest tam więcej takich pomieszczeń?

– Jeszcze kilka w głębi. Ale wszędzie było ciemno, nie pamiętasz? Nie widziałyśmy żadnych świateł.

Odczekały chwilę.

– Nic nie słychać. — Zanim Runę zdążyła postawić stopę na najniższym stopniu, Nicole była już w połowie schodów. Wtedy po raz drugi usłyszała ten sam dźwięk.

Stwierdziła, że tak naprawdę były to dwa dźwięki. Jeden skojarzył jej się z tym, co wcześniej słyszała: ze złowrogim świstem hikorowej witki, uderzającej o skórzany grzbiet kozła.

Drugi mógł być po prostu sykiem wydostającego się z rury powietrza czy pary pod ciśnieniem albo odległym szumem ulicy.

Ale mógł być też tym, o czym w pierwszej chwili pomyślała — odgłosem tłumionego, męskiego śmiechu.

Konewka z boku przeciekała, ale poza tym, jak stwierdziła Runę, była naprawdę znakomitym pomysłem.

Zadzwoniła do drzwi apartamentu Danny'ego Trauba i nie zdziwiła się, widząc na progu szałową brunetkę w jedwabnym bieliźnianym komplecie. Jej piersi były tak wysoko uniesione i sterczące, że Runę mogłaby swobodnie pod nimi przejść.

Króliczek znad Amazonki... Boże, dopomóż.

Runę minęła ją bezceremonialnie. Kobieta zamrugała powiekami i cofnęła się.

– Przepraszam, ale wczoraj zwyczajnie nie daliśmy już rady. Trzeba było dostarczyć tonę rododenbratków do biura w centrum, do jednego z wieżowców Trumpa. Cała ekipa miała pełne ręce roboty.

– Chyba rododendronów?

Runę skwapliwie przytaknęła. — Otóż to.

Musiała być ostrożniejsza. Króliczek najwyraźniej nie był całkiem pozbawiony inteligencji.

– Uważaj — odezwała się brunetka. — Ta konewka ci przecieka. Chyba nie chcesz, no wiesz, zniszczyć podłogi.

– Skądże znowu. — Runę wzięła się ochoczo do pracy, podlewając rośliny Trauba i przycinając nożyczkami liście, które następnie starannie upychała w kieszeni. Na jej zielonej kurtce, kiedy ją kupowała w sklepie z używanymi ciuchami, widniał napis „Mobil". Runę wycięła logo firmy i zastąpiła ją naszywką amerykańskiego departamentu leśnictwa.

Wcześniej zatelefonowała do studia Lame Duck Productions. Od recepcjonistki dowiedziała się, że Traub spędzi tego dnia kilka godzin na planie filmowym i że nie wolno mu przeszkadzać. Jej jedynym zmartwieniem było to, że napatoczy się na kobietę, która wcześniej podawała im martini.

Fakt, przyjście tu było ryzykowne — ale co w życiu takie nie jest?

Wyglądało jednak, że tego dnia jedynym gościem Trauba jest ciemnowłosa koszykarka.

Kobieta nie sprawiała wrażenia przesadnie podejrzliwej, już prędzej *zainteresowanej* poczynaniami Rune. Z uwagą obserwowała każdy jej gest, który — Rune nie miała co do tego żadnych wątpliwości — zwiastował zagładę wszystkim roślinom, których się dotknęła. Na ogrodnictwie znała się jak kura na pieprzu.

– Dużo czasu zajęło ci nauczenie się tego wszystkiego? Na temat roślin? — zagadnęła Amazonka.

– Niezbyt dużo.

– Aha. — Kobieta przyglądała się, jak Rune podcina nożycami korzenie fiołka afrykańskiego.

Rune odparła: — Trzeba zapewniać im wodę, byle nie za dużo. I *trochę* światła, byle...

– Też nie za dużo.

– Właśnie.

Brunetka skinęła głową, odnotowując tę informację gdzieś pod burzą swoich błyszczących, podbarwionych henną włosów.

– Nie wycinać za dużo liści — ciągnęła Rune — i używać tylko odpowiednich nożyc. To niezmiernie ważne. Powinny być ostre.

Kolejne skinienie głowy; twardy dysk w mózgu Amazonki z szumem przetwarzał dane.

– Można się z tego utrzymać?

– Jeszcze jak — odparła Rune.

– A trudno się tego wszystkiego nauczyć?

– Trzeba mieć odrobinę talentu, ale jeśli ktoś się bardzo stara...

– Jestem aktorką — oznajmiła niespodziewanie Amazonka, po czym wciągnęła kreskę kokainy i zasiadła przed telewizorem, żeby obejrzeć jakąś operę mydlaną.

Dziesięć minut później Rune zdołała pozbawić liści połowę roślin Trauba i ostrożnie zakradła się na górę do jego gabinetu.

Był pusty. Rune rozejrzała się po korytarzu, ale nikogo nie zauważyła. Weszła do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi. W środku nie było żadnej szafki na dokumenty, stało za to wielkie biurko, a szuflady nie były zamknięte.

Wewnątrz poniewierały się rachunki, katalogi modnych gadżetów, sztuczny penis bez baterii, z tuzin niemieckich ilustrowanych czasopism sado-maso, fifki do skrętów i elementy fajki wodnej, pudełka zapałek, długopisy i żetony z kasyna. Nic, co mogłoby jej się przydać...

– Może dziś też jakieś martini? — zapytał naraz czyjś chłodny głos.

Rune zamarła i odwróciła się powoli. W drzwiach stała blondynka – ta sama, która tamtego dnia podała jej i Traubowi drinki, ta sama, której miała nadzieję tu nie spotkać.

No cóż, z góry było wiadomo, że ryzykuje, przychodząc tutaj.

– Ja tylko...

Kobieta minęła ją obojętnie i otworzyła inną szufladę, zawierającą na oko jakiś tysiąc w wymiętych banknotach dziesięcio- i dwudziesto- dolarowych. — Nie krępuj się. — Po czym odwróciła się i wyszła z gabinetu.

Rune zatrzasnęła szufladę. — Zaczekaj! Możemy chwilę pogadać?

Blondynka nie zatrzymała się. Dopiero kiedy Rune ją dogoniła, rzuciła: — Jestem Crystal. A ty?

– Rune.

– Chcesz się wkręcić do filmu czy po prostu okraść mojego chłopaka?

– Naprawdę jest twoim chłopakiem?

Crystal nie odpowiedziała.

Wyszły na dach. Na zewnątrz Crystal zdjęła szlafrok i górę od bikini, po czym wyciągnęła się na leżaku przykrytym puszystym, różowym ręcznikiem. W piersi, ramiona i nogi wtarła aloesowy balsam do opalania, oparła się wygodnie i zamknęła oczy.

Rune rozejrzała się. — Szykowne miejsce.

Crystal wzruszyła ramionami, najwyraźniej zastanawiając się, co może być szykownego w zwykłym, szarym dachu. Odparła: — Nie jest.

– Założyła okulary przeciwsłoneczne i zza ich granatowych szkieł spojrzała na Runę. — Moim chłopakiem — wyjaśniła. Przez chwilę milczała, po czym nagle powiedziała: — Co jakiś czas tam w dole, na rzece, widać wielkie pasażerskie statki. Ciekawe, dokąd płyną. Byłaś kiedyś na rejsie?

Rune odparła: — Opłynęłam miasto statkiem wycieczkowym. Fajnie było, udawałam, że jestem Wikingiem.

– Wikingiem? Takim w rogatym hełmie?

– Dokładnie tak.

– Miałam na myśli prawdziwy rejs.

– To nie.

– Ja też nie. Chciałabym kiedyś popłynąć.

– Masz świetną figurę — zauważyła Rune.

— Dziękuję! — Powiedziała to takim tonem, jakby nikt jej tego wcześniej nie mówił. — Chcesz się sztachnąć?

— Nie, dzięki.

Crystal odwróciła twarz do słońca. Jej uniesione ramiona obejmowały krawędzie leżaka, oddychała miarowo, jak we śnie. — Chyba chciałabym mieszkać na Karaibach. Byłam kiedyś w St. Bart's i parę razy w ośrodku na Paradise Island. Poznałam tam faceta — okazało się, że jest żonaty, a właściwie w separacji. Po powrocie do Nowego Jorku wrócił do żony. Miał też dziecko, wyobrażasz sobie? I nic mi nie powiedział. Widziałam ich razem na ulicy. Wierz mi, nie warto robić w tej branży.

— Tyle to akurat sama wiem.

— Mogłam być tancerką egzotyczną. Wcale nie muszę grać w filmach. Problem z tańcem polega na tym, że... Stoisz w jakiejś klitce, faceci gapią się na ciebie, robią... Sama wiesz, co wtedy robią. To nawet nie jest obrzydliwe, tylko... Jak to się mówi...? — Przez chwilę szukała właściwego słowa, ale na próżno. Poddała się i nałożyła na skórę więcej balsamu. — Czego szukałaś na górze?

— Znałaś Shelly Lowe?

Głowa odwróciła się, ale Runę nie była w stanie stwierdzić, na co patrzą oczy ukryte za metalicznie opalizującymi szkłami. Widziała tylko dwie identyczne, zniekształcone podobizny samej siebie. Crystal odrzekła: — Spotkałyśmy się raz czy dwa, ale nigdy z nią nie pracowałam.

— Dogadywali się z Dannym?

Crystal przekręciła się na brzuch. — Ani tak, ani nie. Danny to dupek. Nikt za bardzo się z nim nie dogaduje. A ty co, prywatny detektyw?

— Mogę ci zaufać?

— Pewnie — padła odpowiedź, wypowiedziana tak niedbałym tonem, że Runę jej uwierzyła.

— Robię film o Shelly Lowe. Wiesz, że była prawdziwą aktorką?

— Wszystkie jesteśmy prawdziwymi aktorkami — odparła szybko Crystal, jakby ją tak zaprogramowano. Ale nie zabrzmiało to, jakby się broniła czy gniewała.

— Chcę nakręcić dokument o jej karierze. Była nieszczęśliwa. Nie lubiła tej roboty.

— Jakiej roboty?

— Filmów dla dorosłych.

Crystal sprawiała wrażenie zaskoczonej. — Naprawdę? Dlaczego nie? Mogła mieć wszystko, czego chciała. Dostaję pięćdziesiąt kawałków rocznie w gotówce za pracę dwa razy w tygodniu. A Shelly mogła zarabiać dwa razy tyle. Tylko...

– Tylko co?

– Teraz ludzie mają pietra. Chodzi o AIDS. Stale się badam, wszyscy tak robią. Ale nigdy nie można mieć pewności... John Holmes umarł na AIDS, a chwalił się, że spał w dziesięcioma tysiącami kobiet.

Ponownie obróciła się na plecy, kierując okulary w stronę palącego słońca.

Po chwili podjęła swoją opowieść. — Shelly była dobra, naprawdę dobra. Dostajemy masę listów od wielbicieli. Niektóre są trochę dziwne — na przykład faceci przysyłają nam swoją bieliznę — ale większość to zwykłe teksty w rodzaju „Kocham cię, myślę o tobie, widziałem wszystkie twoje filmy". Często chcą się z nami umówić. Wiem od Danny'ego, że Shelly dostawała w listach bilety lotnicze i czeki od gości, którzy oglądali jej filmy i chcieli ją do siebie zaprosić. Była jedną z gwiazd wytwórni.

Rune przyglądała się, jak wycieczkowy statek Circle Line ze stłumionym warkotem sunie rzeką Hudson. — Popatrz, mój okręt Wikingów! Powinnaś też się kiedyś przejechać.

Crystal spojrzała nieuważnie w dół. — Danny rzadko rozmawia ze mną o interesach. Uważa, że nie jestem, no wiesz, zbyt bystra. — Okulary podjechały do góry. — A przecież studiowałam.

– Tak?

– Dwuletnie studia. Miałam być technikiem dentystycznym, a zobacz, co teraz mam... Wszystko, czego zapragnę.

Rune odchrząknęła. — Nie powiesz nikomu, że ja...

Crystal zdjęła okulary i pokręciła głową. — Wciąż mi nie powiedziałaś, czego tam szukałaś.

Oczy kobiety znów skryły się za błękitnymi szkłami, ale Rune miała dziwne przeczucie, że może jej zaufać. — Czy Danny mógłby skrzywdzić Shelly?

– Zabić ją? O to ci chodzi?

Chwila wahania. — Tak, właśnie o to mi chodzi.

Odpowiedź utrzymana była w tym samym leniwym tonie, co reszta rozmowy: — Nie

wiem, ale nawet, gdybym wiedziała, nie zeznawałabym przeciwko niemu. Wiesz, co by mi wtedy zrobił?

Najwyraźniej o czymś wiedziała.

Minęła dłuższa chwila, podczas gdy Crystal nakładała na ciało kolejną warstwę balsamu. Wreszcie upuściła tubkę na dach. — Szukałaś w niewłaściwym miejscu.

– O czyn? ty mówisz?

– On nie jest głupi.

– Kto, Traub?

– Tak. Nie trzyma w biurku niczego ważnego. Na przykład żadnych ważnych papierów.

– Dlaczego miałyby mnie interesować jego papiery?

– Chowa je tam, gdzie dekuje towar. W kuchni pod zlewem jest sejf. Wydaje mu się, że nie znam szyfru, ale ja się domyśliłam. Powiedzieć ci?

– No?

– Sto dwa w prawo, siedemdziesiąt cztery w lewo i osiemdziesiąt sześć w prawo. Jego ideał kobiety. Jej wymiary, rozumiesz? Stale nam powtarza, jak powinna wyglądać idealna kobieta.

– A co jest w sejfie? — spytała Rune.

– Wiesz co? Muszę teraz opalić plecy, a potem się zdrzemnę. Cześć.

– Dzięki — rzuciła Rune, ale blondynka jej nie odpowiedziała.

Zbiegła szybko na dół i odszukała sejf. Szyfr okazał się właściwy.

Wewnątrz znajdowały się dziesiątki foliowych woreczków z kokainą i trochę cracku. Ale to nie zainteresowało Rune — zdążyła już poznać upodobania Traubа.

ıym, co zwróciło jej uwagę, była polisa ubezpieczeniowa.

Cienka teczka opatrzona godłem agencji New York Accident & In- demnity. Rune zajrzała do środka. W dokumencie było mnóstwo trudnych wyrazów, wszystkie pisane wielką literą. *Podwójne Zabezpieczenie*, *Kluczowy Pracownik*, *Ubezpieczony* i *Posiadacz Polisy*. Nie mogła dojść, co właściwie oznaczają, ale bez problemu zorientowała się, że ma w ręku polisę na życie Shelly Lowe i że po jej śmierci Danny Traub wzbogacił się o całe pół miliona dolarów.

Zadzwoniła do Sama Healy'ego i poprosiła go o spotkanie. Zamierzała opowiedzieć mu o Tuckerze i Traubie, ale zanim zdążyli się zobaczyć, odebrała w pracy telefon i dlatego

siedziała teraz w kawiarni przy Zachodniej Czterdziestej Szóstej zwanej też Restauracyjną, w samym sercu dzielnicy teatrów.

– Należę do mało elitarnej większości — mówił ten mężczyzna. — Do tych, których Michael Schmidt zdradził, zwolnił albo obraził. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego robisz film o *kimś takim*. W branży jest przecież tylu przyzwoitych ludzi.

– Tak naprawdę to nie jest film o nim.

– I bardzo dobrze. — Franklin Becker wsypał do kawy jeszcze jedną torebkę cukru i zamieszał łyżeczką. Kiedyś odpowiadał u Michaela Schmidta za obsadę. Po rozmowie z producentem w teatrze Rune zaczepiła maszynistę, którego Schmidt objechał za to, że rozrzucił deski. Postawiła biedakowi kawę i delikatnie wyciągnęła z niego nazwiska kilku osób, które mogłyby być skłonne wylać na Schmidta trochę pomyj. Becker był pierwszym, który do niej oddzwonił.

– To będzie dokument o Shelly Lowe — wyjaśniła.

– Tej aktorce, która zginęła w zamachu? To znaczy o jej powiązaniach ze Schmidtem?

– Tak.

Becker przypominał jej trochę Sama. Tak samo wysoki, te same przerzedzone włosy. Jednak w przeciwieństwie do kamiennego oblicza gliniarza na twarzy Beckera odbijała się cała gama emocji. Rune doszła do wniosku, że w przeszłości raczej nie był żonaty, miał za to licznych narzeczonych.

– Co może mi pan o nich powiedzieć? O Shelly i Schmidtcie.

Mężczyzna zaśmiał się.

– No cóż, niejedno. To, co ta dziewczyna zrobiła... To było po prostu niewiarygodne. Od przeszło dwudziestu lat obsadzam przedstawienia na Broadwayu, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem...

Zorganizowaliśmy kilka przesłuchań. Bo Michael woli słowo „przesłuchanie" od „castingu". Dziwny z niego gość. Jeśli z nim rozmawiałaś, to wiesz, że ma bardzo sprecyzowane poglądy. Zwykle producent ma gdzieś najemną siłę roboczą, to znaczy aktorów. Zostawia takie sprawy reżyserowi. Wystarcza mu, że odtwórcy głównych ról zbierają dobre recenzje i ściągają do teatru tłumy. Ale Michael jest inny. Musi mieć wszystkich pod kontrolą: reżysera, aktorów, statystów, aranżerów, muzyków, wszystkich.

Rune nie była pewna, dokąd ten wywód zmierza, ale pozwoliła Beckerowi mówić dalej w swoim tempie.

– Kiedy więc przyszło do kompletowania obsady, Michael stale zerkał mi przez ramię tymi swoimi świdrującymi oczkami. Przeglądaliśmy życiorysy, oglądaliśmy taśmy, gadaliśmy z agencjami aktorski

mi. — Mężczyzna pokręcił głową. — Wszyscy przeszli przez standardowe sito przesłuchań. Wszyscy oprócz Shelly, i to jest najbardziej zadziwiające.

Jakimś cudem zdobyła egzemplarz tekstu nowej sztuki, nie mam pojęcia skąd. Michael strzegł ich jak sztabek złota. Żaden nie poniewierał się po planie, a jednak wpadł w ręce Shelly, która nauczyła się na pamięć głównej roli. Kiedy nadeszła jej kolej, wparowała do gabinetu Michaela i nie mówiąc ani słowa, zaczęła się po nim przechadzać. Żaden z nas nie wiedział, co się właściwie dzieje.

Nagle mnie olśniło. Zdążyłem już osłuchać się z tekstem na tyle, żeby się zorientować, że odgrywa jedną z kluczowych scen, zgodnie ze wskazówkami z początku trzeciego aktu. A potem podaje pierwszą kwestię dialogu i patrzy na mnie jak jakaś primadonna na dyrygenta, który opuścił jeden takt. Zaczynam więc podrzucać jej tekst. Myślałem, że Michael się wścieknie. Nie znosi, kiedy ktoś wymyśli coś sprytnego, na co on sam by nie wpadł. Ale po minucie i na nim zrobiło to wrażenie. Boże drogi, wręcz nie posiadał się z zachwytu! Podobnie zresztą jak ja. Shelly była rewelacyjna. Na koniec powiedzieliśmy jej: „Świetnie, dziękujemy, będziemy w kontakcie", takie zwykłe dyrdymały. Michael był wymijający, jak to on. Ale zauważyłem w jej oczach błysk. Wiedziała, że właśnie wykosiła całą konkurencję.

Wyszła, a my jeszcze raz przeczytaliśmy jej życiorys. Dziwna sprawa: nie miała żadnego doświadczenia zawodowego. Nie grała w żadnej szacownej broadwayowskiej produkcji, ani choćby w jakimś lokalnym teatrze. Miała na koncie parę występów na prowincjonalnych scenach, w Akademii Brooklyńskiej i w teatrach repertuarowych. Gdyby była tak dobra, jak nam się wydawało, musielibyśmy wcześniej o niej słyszeć. Coś tu śmierdziało.

– I Schmidt zaczął węszyć?

– Tak. Dowiedział się, w jakiego rodzaju filmach grywa, i to był jej koniec.

– Ma coś przeciwko pornosom?

– Owszem. Widzisz, on jest bardzo religijny.

– Słucham? — Rune wybuchnęła śmiechem.

– Wcale nie żartuję. Pornografia to dla niego problem moralny. A najśmieszniejsze, że był naprawdę wściekły, bo Shelly doskonale się nadawała do tej roli. Ale nie mógł sobie

pozwolić na zatrudnienie jej. Kiedy się dowiedział, dał upust swojej złości... bardzo głośno.

– Kto by pomyślał... To, jak potraktował tego biednego maszynistę, który dał mi namiary na pana... Myślałam, że go zabije.

– Ale przy tym z jego ust nie padło ani jedno niecenzuralne słowo, prawda?

– Nie pamiętam.

– Jest bardzo zaangażowany w życie swojej parafii i modli się przed każdym przedstawieniem.

– I co z tego? W Biblii wciąż ktoś kogoś płodzi.

– Wierz mi, że są na Broadwayu aktorki, które prywatnie zaliczyły tyle samo mężczyzn — i kobiet — co Shelly Lowe na planie swoich filmów. Ale Michael jest w swojej parafii diakonem. Wyobraź sobie, co napisałaby prasa — ci z *Posta* byliby po prostu zachwyceni — gdyby wyszło na jaw, że główną rolę w nowej sztuce Michaela Schmidta gra gwiazda porno.

— Oczy Beckera rozbłysły. — Pismaki miałyby używanie, podobnie jak my wszyscy, którzy chcielibyśmy draniowi dołożyć... Rozumiesz więc, dlaczego nie mógł do tego dopuścić.

– Shelly musiała być załamana.

Becker wzruszył ramionami. — Była dorosła i dokonała świadomego wyboru, decydując się grać w tych filmach. Nikt jej nie zmuszał. Ale nie poddała się bez walki, co to, to nie.

– Co się stało?

– Po tym, jak zadzwoniłem, żeby przekazać jej złą wiadomość — czułem, że jestem jej to winien — Shelly umówiła się z Michaelem na spotkanie. Zdążyliśmy już obsadzić kogoś innego zamiast niej, ale chyba przemknęło mi przez myśl, że spróbuje użyć swojego uroku, mówiąc oględnie, żeby Michael jednak dał jej tę rolę.

– Shelly nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

Becker spojrzał na nią z uniesioną brwią.

– Nie, żeby zdobyć rolę — dodała Rune. — Nie była taka. Wiem, jak to brzmi, ale zdążyłam ją trochę poznać. Pewnych granic po prostu nie byłaby w stanie przekroczyć.

– Tak czy inaczej, przyszło mi to do głowy. Ale sprawy potoczyły się zupełnie inaczej... — Urwał. — Chyba nie powinienem ci tego mówić.

Rune zmrużyła oczy. — Udawajmy, że tylko plotkujemy. Uwielbiam plotki.

– Potwornie się pokłócili. Zrobiła mu karczemną awanturę.

– Słyszał pan, co mówili?

– Niewiele. Znasz poezje Roberta Frosta?

Rune zastanowiła się. — Czy to on pisał o koniach w śniegu, które powinny dokądś iść?

Becker westchnął ciężko. — Czy nikt już dzisiaj nie czyta? Otóż Frost stworzył takie pojęcie jak *dźwięk sensu*. Chodzi o to, że rozumiemy słowa nawet wtedy, kiedy słyszymy je niewyraźnie. Na przykład przez zamknięte drzwi. No więc dotarł do mnie *sens* ich rozmowy. Nigdy nie słyszałem, żeby Michael aż tak się wściekał. I nigdy wcześniej nie był aż tak przestraszony.

– Przestraszony?

– Bardzo. Po skończonym spotkaniu wyszedł z gabinetu i zaczął się nerwowo przechadzać. Po paru minutach ochłonął i pyta mnie, czy główna rola w sztuce jest już obsadzona i czy podpisaliśmy umowę ze związkiem. Odpowiedziałem, że tak. Widziałem, że mimo wszystko zastanawiał się, jak ją ponownie obsadzić, chociaż wcale tego nie chciał.

– Jak pan myśli, co się wtedy stało?

– Zauważyłem coś ciekawego, jeśli chodzi o Shelly — odparł Becker. — Było widać, że dobrze się przygotowała — choćby to, że udało jej się zdobyć tekst sztuki. Widzisz, w Nowym Jorku pełno jest młodych, początkujących aktorów. Wyrwani ze snu potrafią recytować kwestie z Czechowa, Ibsena i Mameta, ale nie mają zielonego pojęcia o tym, jak funkcjonuje *branża teatralna*. Uważają producentów za bogów. Tymczasem Shelly przy całym swoim talencie stąpała twardo po ziemi. Była wytrawnym strategiem. Zanim przyszła na przesłuchanie, dowiedziała się o Michaelu tyle, ile mogła, zarówno prywatnie, jak i zawodowo. — Becker uśmiechnął się znacząco do Runę, a kiedy nie zareagowała, zmarszczył brwi. — Nie rozumiesz?

– Prawdę mówiąc, nie bardzo.

– Szantaż.

– Szantaż? Shelly go szantażowała?

– Nikt nic nie wie na pewno, ale o Michaelu krążą różne plotki. Kilka lat temu odwiedził jakieś miasteczko w Kolorado czy **Newadzie i** podobno go tam aresztowali. Za to, że poderwał licealistę — mówi się, że chłopak miał siedemnaście lat.

– O kurczę.

– Właśnie. Mniej więcej w tym samym czasie pojawiła się informacja, że Michael zapłacił dwieście tysięcy za prawa do sztuki. *Nikt* tyle nie płaci za coś, co nie jest musicalem.

To musiała być jakaś lewa transakcja — jestem pewien, że posłużył się pieniędzmi firmy, żeby uciszyć miejscowych i nie trafić do pudła.

– Mówił pan, że jest diakonem w swoim kościele?

– Tb było, zanim się nawrócił.

– I myśli pan, że Shelly się o tym dowiedziała?

– Jak już mówiłem, odrobiła pracę domową.

– Schmidt pana zwolnił — zauważyła Rune. — Jest pan do niego uprzedzony.

Becker roześmiał się. — Podziwiam determinację Medei. Ale czy mógłbym jej wybaczyć, że zabiła własne dzieci? Podziwiam Michaela za to, co robi dla nowojorskich teatrów, ale uważam go za nadętego dupka. Wyciągnij z tego własne wnioski.

– Ostatnie pytanie. Czy Schmidt był w Wietnamie? Albo służył kiedyś w wojsku?

– Michael? — Becker znowu się roześmiał. — To by dopiero był widok. O ile wiem, w wojsku słucha się rozkazów, a to mi jakoś nie pasuje do Michaela Schmidta, którego wszyscy znamy i kochamy.

13

Mruży oczy w złotych promieniach słońca, wyglądając wśród porastających suche koryto rzeki pustynnych zarośli śladów Indian, bizonów albo włóczęgów. Na jego biodrze lśni nieodłączna czterdziestka piątka...

Używając palców zamiast celownika obiektywu kamery, Rune spróbowała ująć w kadr sylwetkę Sama Healy'ego. Pomachała mu, a on ruszył wolno w jej stronę.

Świetnie by się prezentował w jej filmie.

Zauważyła, że coś się zmieniło, a dokładnie dwie rzeczy. Po pierwsze, nie był już tak ponury.

A po drugie, z jego twarzy emanowała jakaś niewidoczna siła, której wcześniej tam nie było.

Rune przyjrzała się uważniej i zrozumiała, skąd bierze się ta zmiana. Idący obok dziesięcioletni chłopiec, którego w pierwszej chwili wzięła za przypadkowego przechodnia, musiał być jego synem Adamem. Nic dziwnego, że Healy wyglądał jak opiekuńczy, dumny i odpowiedzialny rodzic.

Sam wykonał gest, jakby chciał ją uścisnąć i pocałować, ale zamiast tego tylko skinął jej głową. — Dzięki, że zechciałaś się ze mną potkać. Tb znaczy z nami.

– Spoko. — Była ciekawa, dlaczego nie powiedział jej wcześniej, że przyjdzie z dzieckiem. Może bał się ją spłoszyć.

Healy dokonał wzajemnej prezentacji, przypieczętowanej uściskiem dłoni. Rune rzuciła: — Miło cię poznać, Adam.

Chłopiec nie odpowiedział, obrzucając ją krytycznym spojrzeniem. Healy przywołał go do porządku: — No, synu. Co się mówi...?

Adam wzruszył ramionami. — Co jedna to młodsza.

Rune roześmiała się, a Healy spiekł raka, po czym jej zawtórował. Uszczypliwa kwestia została wypowiedziana tak gładko, iż nie miała wątpliwości, że to nie pierwszy raz, kiedy mały miał okazję jej użyć.

Ruszyli chodnikiem w kierunku dolnego Manhattanu.

– Lubisz U2? — zagadnął ją Adam, kiedy mijali budynek federalny na Broadwayu, — Są genialni.

– Mają świetne solówki! Da, da, da, dam...

– Właśnie!

– Chociaż generalnie wolę trochę starsze rzeczy. David Bowie, Adam Ant, Sex Pistols, Talking Heads...

– Tak, David Byrne to megageniusz. Mimo że jest taki stary.

– Słucham dużo The Police — dodała Rune. — Praktycznie się na nich wychowałam.

Adam skinął głową. — Słyszałem o nich. Mama często ich puszczała. A Sting nadal nagrywa.

Healy wtrącił: — A co powiecie na... Crosby, Stills & Nash?

Rune i Adam spojrzeli na niego pustym wzrokiem.

– A Jimi Hendrix? The Jefferson Airplane?

Kiedy jego sugestia: — Doorsi? — spotkała się z taką samą reakcją, rzucił pospiesznie: — Dobra, najwyższy czas coś zjeść.

Rune i Healy siedzieli naprzeciwko bogato zdobionego budynku Wool- wortha. Adam, nasycony dwoma hot dogami i czekoladowym napojem, gonił wiewiórki, cienie i strzępy niesionego wiatrem papieru.

– Sam — zaczęła wtedy Rune — załóżmy, że masz kilku podejrzanych i wiesz, że jeden z nich jest winny, ale nie wiesz który.

– Mówisz o wybuchu?

– O jakimkolwiek przestępstwie. Wyobraź sobie, że jesteś zwykłym chodnikiem, który prowadzi dochodzenie.

– Krawężnikiem, nie chodnikiem. A dochodzeniami zajmują się raczej detektywi.

– Okej, jesteś detektywem i masz trzech podejrzanych. Co byś zrobił, żeby wytropić sprawcę?

– Sprawcę — powtórzył z uśmiechem Sam. — Widzisz, mówiłem, że z ciebie urodzony glina.

Z twardym słowiańskim akcentem odparła: — Ja uczyć się angielski z powtórek „Kojaka". — Naraz spoważniała. — Proszę cię, Sam. Co byś w takiej sytuacji zrobił?

– Żeby móc kogoś aresztować, musi zaistnieć prawdopodobieństwo winy.

– To znaczy?

– Musisz mieć jakiś dowód na to, że twój podejrzany z dużym prawdopodobieństwem to przestępstwo popełnił. To może być świadek, sprzeczne alibi, dowody rzeczowe zebrane na miejscu przestępstwa łączące podejrzanego ze sprawą, odciski palców, test DNA... A najlepiej przyznanie się do winy.

– Jak można je zdobyć?

– Sadzamy podejrzanego w pokoju przesłuchań, włączamy kamerę i zadajemy mu pytania. Nie można go aresztować, bo zaraz zjawi się jego prawnik i zakaże mu cokolwiek mówić. Podejrzany może w każdej chwili wyjść, ale najczęściej... udaje nam się go przekonać, żeby jednak został.

– A można podstępem zmusić kogoś, żeby się przyznał?

– Pewnie. To część gry. Ale nic więcej nie powiem, dopóki nie usłyszę, dlaczego tak bardzo interesują cię policyjne procedury.

– Okej. Mam trzech podejrzanych.

– Jakich znowu podejrzanych?

– W sprawie zabójstwa Shelly Lowe.

– Aż trzech? Chcesz powiedzieć, że znasz trzech członków Miecza Jezusowego? Dlaczego nie zawiadomisz Begleya czy kogokolwiek innego z wydziału zabójstw?

– Nie ma żadnego Miecza Jezusowego. To wszystko ściema. Ktoś chce, żeby to wyglądało na robotę fanatyków religijnych.

– Ale...

Szybko podjęła temat, żeby nie zdążył zadać jej tych wszystkich pytań, po których niewątpliwie musiałaby się uciec do wykrętów albo zwykłych kłamstw. — Widzisz, Shelly grała nie tylko w pornosach. Jest taki facet, nazywa się Arthur Tucker. Uczył Shelly aktorstwa. I wiesz, co odkryłam? — Urwała, widząc jego minę. — O co chodzi?

– Runę, miałaś się do tego nie mieszać.

— Ja tylko robiłam wywiady z różnymi ludźmi, którzy ją znali. Do mojego filmu. No i przy okazji dowiedziałam się paru ciekawych rzeczy. — Umilkła i przez chwilę przypatrywała się gargulcom umieszczonym na dwóch trzecich wysokości wieżowca. Pomyślała, że Sam i ona są o krok od swojej pierwszej kłótni. To byłby naprawdę kiepski znak — pokłócić się z kimś, zanim zdążyło się spędzić z nim wystarczającą ilość czasu, namiętnie się całując.

Healy zerknął na Adama, który podkradał się właśnie do brudnego gołębia, i z wahaniem oparł swoją dużą dłoń na jej kolanie.

Rune dalej przyglądała się gargulcom. Stwierdziła, że sympatycznie się uśmiechają, zamiast obleśnie szczerzyć zęby. Miała wrażenie, że to dobry omen, ale nie wiedziała, co właściwie miałby oznaczać.

Healy milczał. W końcu cmoknął zniecierpliwiony. — Dobra, to czego się dowiedziałaś?

— Shelly była też zwykłą aktorką i pisała sztuki. Na krótko przed śmiercią pokłóciła się ze swoim nauczycielem, tym Arthurem Tucke- rem, bo odkrył, w jaki sposób zarabia na życie. Aha, gość walczył na wojnie jako komandos, więc zna się na bombach.

— Ale musiałby mieć jakiś motyw, żeby...

— Miał. Ukradł sztukę, którą napisała Shelly, i podpisał ją własnym nazwiskiem. Sam mi powiedział, że do niczego w życiu nie doszedł, i myślę, że mógł ją zabić, żeby ukraść jej tę sztukę.

— To dosyć naciągane. Kto jeszcze jest podejrzany?

— Michael Schmidt.

Healy zmarszczył brwi. — Brzmi znajomo. Co to za jeden?

– Słynny producent z Broadwayu.

– On?!

– We własnej osobie. Powiedział, że nie pamięta Shelly, ale kłamał. Okazuje się, że niewiele brakowało, żeby dał jej główną rolę w jednym ze swoich przedstawień. Potem dowiedział się, że występuje w pornosach, i wycofał propozycję. Shelly próbowała go szantażować, żeby dostać tę rolę.

– Nie zabija się kogoś...

– Schmidt jest diakonem w swojej parafii. Shelly mogłaby mu złamać karierę. Poza tym jest z niego kawał sukinsyna.

– Bycie sukinsynem nie narusza przepisów kodeksu karnego stanu Nowy Jork. Kto jeszcze jest na liście?

– Inny dupek, Danny Traub. Współwłaściciel studia Lame Duck, gdzie pracowała Shelly.

— Dowiedziałaś się, że miał wykupioną polisę na ten budynek?

— Nie, na *jej życie*.

To go zainteresowało. — Mów dalej.

— Shelly mówiła mi, że pokłóciła się strasznie z którymś ze swoich współpracowników. Myślę, że mogło chodzić o Trauba. Stale z nią flirtował, a ona dawała mu kosza. Poza tym kręci go sado-maso i podnieca bicie kobiet. Włamałam się do jego mieszkania, żeby...

Healy ukrył twarz w dłoniach. — Rune, nie, nie, nie... Nie możesz robić takich rzeczy.

— Nic się nie stało. Jego panienka nie miała nic przeciwko temu. Pozwoliła mi nawet zajrzeć do sejfu.

Healy westchnął ciężko. — Dobrze przynajmniej, że niczego nie ukradłaś. — Popatrzył na nią. — Powiedz mi, że niczego nie ukradłaś!

— A czy ja wyglądam na złodziejkę? Tak czy inaczej, znalazłam polisę na życie Shelly na prawie pół miliona dolarów.

— Bez klauzuli wyłączającej morderstwo?

— Bez. Jego dziewczyna zrobiła mi kopię.

— A więc masz trzech podejrzanych. Czy któryś z nich mógł być tym, który na ciebie napadł?

— Wszyscy są podobnie zbudowani. Ale Schmidt miał zaczerwienione oczy, zupełnie jakby ktoś potraktował go ostatnio gazem łzawiącym.

— Gazem? A co to ma do rzeczy?

— Ten łobuz w czerwonej wiatrówce? — zaczęła nieśmiało Rune. — Tak jakby opryskałam go gazem łzawiącym...

— Tak jakby?

– To była samoobrona — zauważyła niepewnie.

Jednak Healy darował jej wykład o używaniu nielegalnej broni na terenie Nowego Jorku. Zamiast tego wzruszył ramionami. — No nie wiem. Podrażnienie gazem ustępuje po jakichś dwunastu godzinach. A pozostali dwaj?

– Wszyscy wyglądają tak samo. Żadne z nich osiłki.

– Czy któryś wydawał się zaskoczony twoim widokiem? Zakładając, że chciał cię zabić, powinno to na nim zrobić zauważalne wrażenie.

– Nie wydaje mi się — odparła rozczarowana, marszcząc brwi.

– Oczywiście — dodał Healy — najrozsądniej byłoby kogoś wynająć.

– Płatnego mordercę?

Healy w zamyśleniu pokiwał głową. — Nieźle... Trochę za mało, żeby mówić o prawdopodobieństwie winy, ale mimo wszystko... — Roześmiał się nagle i pokręcił głową, jakby budząc się ze snu na jawie. — Słuchaj, zapomnij o tym, co powiedziałem. — Podniósł w górę dłoń, ale nie tę, która spoczywała na jej kolanie. — Nawet nie pracuję w wydziale zabójstw... Nie chcę niczego wiedzieć.

– To opowiedz mi o materiałach użytych do drugiego zamachu.

– Nie.

– Myślałam, że miałeś namierzyć, skąd pochodziły.

– Bo tak było.

– I co?

– Na razie brak wyników, ale kiedy dotrą, opiszę je w raporcie, a raport oddam szefostwu. I na tym będzie koniec.

Rune rzuciła wyzywająco: — W takim razie chyba będę musiała dalej szukać *samą*.

– Rune... — Healy wyraźnie się nad czymś zastanawiał. — Zrobimy tak. Dam cynk chłopakom z dochodzeniówki, żeby sprawdzili tego — jak mu tam? — nauczyciela Shelly. Wygląda na to, że tylko on jeden może mieć jakieś pojęcie o materiałach wybuchowych.

– Naprawdę? Tylko obiecaj mi, że go beze mnie nie aresztujecie. Muszę sfilmować, jak go zgarniają.

– Chyba wiesz, że nie mogę ci tego obiecać.

– Spróbuj. Tak strasznie cię proszę! — Rune zapisała nazwisko Tuckera na papierowej serwetce ze śladami musztardy i wręczyła ją Samowi, po czym zapytała: — A co z pozostałymi dwoma?

– Chcesz znać moje zdanie? Ten numer z ubezpieczeniem wykupionym przez —jak mu tam? — Trauba, jest zbyt oczywisty. A Michael Schmidt? Nie wydaje mi się, żeby taka gwiazda jak on z powodu groźby szantażu ryzykowała odsiadkę za morderstwo.

– No tak, ale gość ma ego jak Wielki Kanion.

. Healy spojrzał na serwetkę. — Zajmijmy się nimi po kolei. Nie ma pośpiechu. Na szczęście morderstwa się nie przedawniają.

– Widzisz? Mówiłam ci, że stworzymy świetny zespół.

– Zespół — powtórzył cicho Healy. Nachylił się, przekrzywiając lekko głowę. Jego spojrzenie pomknęło w stronę, gdzie jeszcze przed chwilą brykał Adam, ale chłopca nigdzie nie było widać. . Sam szybko pochylił się jeszcze bliżej. — Wiesz, że jesteś bardzo ładna?

Ta była dla niej zupełna nowość, ale w tej chwili nie miało to znaczenia. Najbardziej cieszyło ją, że *on* tak myśli. Poczuła, że powieki jej

się przymykają, a usta unoszą na spotkanie jego warg. Wziął ją za rękę, a ona ze zdziwieniem stwierdziła, że jego dłoń lekko drży.

– Nie róbcie tego — odezwał się Adam, niemal przyprawiając oboje o zawał serca, i wspiął się na oparcie ławki, skąd ich szpiegował. — Bo będę miał uraz na całe życie.

Healy szarpnął się do tyłu.

Jego syn wyszczerzył zęby w uśmiechu i dał znak Rune, żeby pomogła mu ganiać gołębie. W przelocie ścisnęła jeszcze kolano Sama i pobiegła do parku.

To do kogo mam się zgłosić?

Recepcjonistka rezydująca na trzecim piętrze w wytwórni Lame Duck obrzuciła sylwetkę Rune chłodnym spojrzeniem i pochyliła się nad czytaną właśnie książką o okultyzmie. — Nie potrzebujemy sekretarek.

– Ale ja chcę grać w filmach.

– Wiesz, jakie filmy się tu kręci?

– Domyślam się, że „Erotyczne przygody niebieskiego króliczka" to nie instruktaż dla wojska — odparła Rune.

Dzięki wykonanemu wcześniej telefonowi wiedziała, że tego dnia Danny Traub jest w domu i zabawia kolejną początkującą aktorkę, o ile w odniesieniu do tej sytuacji można było w ogóle użyć czasownika „zabawiać". Ta kobieta, która naprowadziła Rune na trop polisy ubezpieczeniowej, zapewniła ją, że producent jeszcze przez kilka godzin będzie bardzo zajęty.

Recepcjonistka wsunęła do książki zakładkę i popatrzyła na nią spod pociągniętych brązową kredką powiek.

Rune doszła do wniosku, że w przeciwieństwie do Sama Healy'ego nie

uniewinni tak szybko dwóch pozostałych podejrzanych. Potrzebowała nowych dowodów — przeciwko Danny'emu Traubowi albo Micha- elowi Schmidtowi.

Recepcjonistka dodała: — Chodzi o to, że zatrudniamy tutaj kobiety... pewnego typu.

– To znaczy?

– Trochę bardziej, no wiesz...

– Jakie? — Rune zmarszczyła brwi.

Dziewczyna znacząco spojrzała na jej klatkę piersiową.

– Bardziej...

– Czy pani próbuje mi coś powiedzieć?

– Bardziej rozwinięte.

Oczy Rune zrobiły się okrągłe jak spodki. — Nie słyszała pani o konstytucji?

Recepcjonistka uznała, że na dalszą lekturę najwyraźniej nie ma szans, i zamknęła książkę, nie zaznaczając strony zakładką.

Rune dodała surowo: — Nie wolno nikogo dyskryminować dlatego, że nie wygląda jak Dolly Parton.

– Dolly Parton?

– Chcę tylko dostać się na przesłuchanie. Jeśli się okaże, że nie potrafię grać i mnie nie przyjmą, to trudno. Ale nie może mi pani odmawiać szans tylko dlatego, że nie mam wielkich cycków. To mi pachnie przestępstwem federalnym.

– Federalnym?

Na chwilę zapadło milczenie. Kobieta zastanawiała się, wertując od niechcenia kartki książki.

– Czy mogę dostać formularz do wypełnienia? — zapytała Rune.

– Nie mamy żadnych formularzy. Producent ogląda po prostu taśmę, którą przyniosłaś, albo bierze cię do studia, żebyś, no wiesz, *to zrobiła*. Filmują cię i dzwonią, jeśli się spodobasz. Sprawdzę, czy ktoś mógłby cię teraz przyjąć.

Dziewczyna wstała i przeszła w głąb biura, kołysząc biodrami jak tancerka hula. — Zaczekaj tu.

Po minucie była z powrotem. — Przejdź tam na tyły. Drugi pokój po prawej. — Z rozczarowaniem spojrzała na swoją książkę, myśląc, że znowu będzie musiała szukać właściwej strony.

Również na tym piętrze pomieszczenia oddzielone były niechlujnie wyciętymi płytami gipsowymi, które pamiętała z tak zwanej garderoby Nicole. Ściany

wyglądały na świeżo pomalowane, ale ich powierzchnie zdążyły się już zabrudzić i porysować. Plakaty i rolety kupiono raczej w tanich sklepach z towarami z importu. Nowożeńcy i nowojorscy studenci zwykle kupują tam meble z wikliny, bambusa i plastiku do pierwszych mieszkań. Na podłodze nie było dywanu.

W „drugim pokoju po prawej" Rune zastała mniej więcej to, czego się spodziewała — tłustego brodacza w podkoszulku i czarnych, workowatych spodniach.

Na jej widok mężczyzna dziwnie się uśmiechnął. Nie był to uśmiech lubieżny, ani prowokujący, ani przyjazny. Dziwne **wrażenie** brało się stąd, że chociaż jego wargi rozciągały się w uśmiechu, jego oczy patrzyły na nią jak na przedmiot.

– Jestem Gutman. Ralph Gutman. A ty to...?

– Hm... Dawn.

– Aha, Dawn... I co dalej?

– Dawn Felicidad.

– Podoba mi się. Masz latynoskie korzenie? Bo nie wyglądasz. Ale to i tak bez znaczenia. Podobno szukasz pracy. Jestem wymagającym szefem. Daję ludziom popalić. Ale w tej branży nie ma lepszego producenta ode mnie.

– Chyba o panu słyszałam.

Spojrzenie rezydenta „drugiego pokoju po prawej" zdawało się mówić: *„Oczywiście,* że o mnie słyszałaś!"

– Skąd jesteś? — spytał Gutman. — Pewnie z Jersey.

– Z Ohio.

– Przyjechałaś z Ohio? Chyba nie mieliśmy jeszcze żadnej porno-gwiazdki z Ohio. Podoba mi się. Ohio. Wiesz co, daj sobie spokój z tą *Dawn.* Lepsza będzie *Akron.* Akron Felicidad.

– Aleja...

– Jasne. Moje dziewczyny zgarniają cztery stówy dziennie. Plus zniżka od mojego dilera. Przez dwa miesiące w roku kręcimy w plenerach. Dawniej w Europie, ale przy dzisiejszych budżetach musi wystarczyć Floryda. To ja zrobiłem *Trójkącik bermudzki.*

– Niemożliwe! Naprawdę?

– Ano tak. Nominowali mnie wtedy do Złotego Ogiera. To jak, chcesz tę robotę? — Gutman otaksował ją wzrokiem. — Cycki żadne, ale twarz nie jest zła.

Facet zaraz zginie marną śmiercią i nigdy nie znajdą wszystkich jego kawałków.

– I ładny tyłek. Dlaczego tak długo czekałaś z powiększeniem piersi?

– Bo podobają mi się takie, jakie są.

Wzruszenie ramion. — Jak tam sobie chcesz. Młodo wyglądasz, mogłabyś grać nastoletnie siostrzenice i tym podobne. Zabawiać się z ciocią i wujkiem. Najbardziej popularny rodzaj kazirodztwa.

– Pewnie, że mogłabym.

– Przyniosłaś jakąś rolkę?

– Jedyne, jakie znam, to te od papieru toaletowego.

– Od papieru, to dobre.. — Zaśmiał się, jakby Runę właśnie powiedziała dowcip, po czym wyjaśnił: — Chodzi o taśmę. O próbki twoich filmów.

– Nigdy wcześniej nie grałam w filmach. Ale robię taki jeden numer ze striptizem. Jest tu jakieś miejsce, gdzie mogłabym się przebrać?

– Przebrać? Dziewczyno, na planie codziennie będziesz wyskakiwać z ciuchów na oczach dwudziestoosobowej ekipy, a ty pytasz o przebieralnię?

– Nie, tylko chcę, żeby pan zobaczył pełen efekt. — Ruchem głowy wskazała swoją torbę. — Przyniosłam specjalny strój, myślę, że się panu spodoba. Wystarczy jakieś biuro. To potrwa góra pięć minut.

Udało jej się nieco go zaintrygować. Jeszcze raz zmierzył ją taksującym spojrzeniem i machnął ręką. — Znajdź sobie jakiś pokój i przebierz się. Zaczekam.

Błyskawicznie odszukała w głębi korytarza gabinet Danny'ego Trauba, weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Rozejrzała się szybko: boazeria na ścianach, biurko z podróbki mahoniu, kolejne rośliny doniczkowe, skórzana kanapa.

I dwie szafki na dokumenty.

Zaczęła przeglądać zawartość pierwszej z nich.

Szukała dowodów. Kawałka kabla, książki na temat materiałów wybuchowych, listu od Shelly, w którym nazywa Trauba skończonym sukinsynem, Biblii, z której Traub mógł przepisać cytat o aniołach zagłady... Czegokolwiek, co mogłoby go powiązać z zamachem.

Dowody rzeczowe. Healy powiedział, że bez nich nie może być mowy o prawdopodobieństwie winy.

Niczego takiego jednak nie znalazła. Same umowy i korespondencja biznesowa.

Wszystko, co ma w biurze każdy normalny biznesmen.

Otworzyła drugą szafkę i zaczęła myszkować po szufladach. Kolejne umowy i prawne dokumenty. Nie zauważyła niczego interesującego, dopóki nie doszła do litery L i nie znalazła teczki opisanej: „Shelly Lo- we".

Niestety, nie miała okazji poznać jej zawartości, bo w tej samej chwili drzwi się otworzyły i do gabinetu wszedł Danny Traub.

Widząc ją, zamarł. Zaraz jednak doszedł do siebie, zatrzasnął drzwi i jak zwykle nie zapominając o swojej niewidzialnej publiczności, powiedział w przestrzeń: — No proszę, to znowu ta mała. I na dodatek grzebie mi w szufladach. Ciekawe, czy znalazła coś ciekawego.

Runę zamknęła szafkę, jednym spojrzeniem oceniając dzielącą ich odległość i swoje szanse na ucieczkę. Znajdowali się na trzecim piętrze, dobre dwanaście metrów nad ziemią. Czy skok przez okno z tej wysokości ją zabije? Niewykluczone...

Traub zrobił krok naprzód, kręcąc przy tym głową. — No tak. Nowy Jork, światowa stolica przestępczości... Turyści z Iowa już *w samolocie* trzymają się za portfele. To miasto ma po prostu fatalną reputację.

– Ja tylko...

– I cóż my tu mamy? Młodą damę kradnącą *dokumenty*\ Mój Boże! Czy ona nie wie, że takie tekturowe teczki kosztują po parę centów za sztukę? Wystarczy ukraść sto tysięcy i...

– Chciałam...

– ...i można sobie kupić zestaw stalowych garnków. Albo zafundować po Big Macu sobie i przyjaciołom. Na czarnym rynku może być ciężko je opchnąć... — Z jego twarzy znikł uśmiech. — Dobra. Czego tu, kurwa, szukasz?

Podszedł do miejsca, gdzie stała, i wyjął jej z rąk teczkę. Zerknął na nazwisko na okładce.

Ze zrozumieniem pokiwał głową i wrzucił ją z powrotem do szafki.

Kiedy się odwrócił, Runę opadła na kolana i wyciągnęła z torebki pojemnik z gazem łzawiącym.

Traub był jednak szybszy. Chwycił pojemnik, wyrwał go jej z dłoni i pchnął ją na kanapę. Przyjrzał jej się z bliska, najwyraźniej rozbawiony. Runę wyprostowała się.

– Co tu jest grane? I nie wciskaj mi tylko kitu o zabawie w Sher- locka Holmesa. Ta

pieprzona bomba pozbawiła mnie gwiazdy i jednego piętra, więc nie jestem w nastroju do żartów.

Runę milczała. Traub wycelował w jej twarz pojemnik z gazem.

– Odpowiadaj.

Bez tchu wyrzuciła z siebie: — Nie powiedział mi pan, że wykupił polisę na życie Shelly Lowe.

Mężczyzna zmarszczył brwi. — Polisę?

– Ubezpieczeniową.

– To prawda. Nie powiedziałem. Ale zdaje się, że wcale mnie o to nie pytałaś.

— To chyba coś, o czym warto byłoby wspomnieć, kiedy udziela się wywiadu do filmu o jednej ze swoich gwiazd.

Traub spojrzał na pojemnik z gazem i zważył go w dłoni. — Zadajesz mi te wszystkie durne pytania tylko dlatego, że kręcisz film? O to chodzi? — Oparł się o framugę, a Runę zauważyła blade, grube żyły na jego napiętych mięśniach. Przypominał jej jedną z latających małp z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*, które przerażały ją nawet bardziej niż Zła Czarownica z Zachodu.

— Policja wie, że tu jestem.

Traub zaśmiał się. — To tak, jakby lądujący na plaży w Normandii wołali do Niemców: „Ike wie, że tu jesteśmy". — Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów; jego spojrzenie było jak dotyk języka na całym jej ciele. Runę odsunęła się, skrzyżowała ramiona i zaczęła rozglądać się po biurku w poszukiwaniu czegoś ciężkiego. Zauważyła nóż do papieru, który mógłby się nadać.

— Więc myślisz, że to ja zabiłem Shelly, tak? Podłożyłem bombę, żeby zgarnąć forsę z ubezpieczenia?

— Pan to powiedział.

Traub zaczął przechadzać się w tę i z powrotem. Antrakt dobiegł końca i znów rozglądał się, szukając niewidzialnej publiczności. — Ta laleczka odwaliła kawał dobrej roboty, no nie? Prawdziwa z niej gwiazda, mały Sherlock Holmes w spódnicy. Dobra, skarbie, przyznaję się. To prawda, że firma ubezpieczeniowa wypłaciła mi pieniądze. Dostałem czek na okrągłe pół miliona dolarów.

Runę milczała.

Traub odstawił pojemnik z gazem, spojrzał na nią, po czym wyjął z kieszeni

klucz i obszedł biurko dookoła. Runę pochyliła się, przenosząc cały ciężar na palce stóp. Traub sięgał po broń... **Zastrzeli** ją jak zwykłego włamywacza i policja nic mu nie będzie mogła zrobić.

Mężczyzna zerknął w jej stronę. — Do biegu, gotowi... Chyba tym razem ta mała nam się nie wywinie.

Uśmiechnął się złowieszczo i wyjął z szuflady czarny pistolet.

Widok jej rozszerzonych oczu sprawił mu wyraźną radość.

– Niespodzianka dla naszej małej pani detektyw.

Runę wzdrygnęła się. Miała nadzieję, że zanim mężczyzna pociągnie za spust, zdąży rzucić się naprzód i chwycić pojemnik z gazem, a potem zda się na łut szczęścia.

Drugą ręką Traub sięgnął do szuflady i wyjął z niej jakiś papier

Przez chwilę żadne z nich nawet nie drgnęło.

— Nie wiem, jak ona, ale ja długo nie wytrzymam tego napięcia. Przeczyta to wreszcie czy nie? Czy zrobi papierowy samolocik?

Rune wzięła od niego kartkę i przeczytała:

Drogi panie Traub,

Z ogromną wdzięcznością otrzymaliśmy od pana czek opiewający na kwotę 400 000 dolarów. Pański hojny gest wesprze dalsze poszukiwania leku na tę straszną chorobę i pomoże ulżyć cierpieniom tych, których już ona dotknęła...

Pod listem widniał podpis przewodniczącego Nowojorskiego Stowarzyszenia do Walki z AIDS.

— Och.

Traub wrzucił broń do szuflady. — Ona mówi: „och". „Och"... Zaraz, zaraz... Z wypłaty ubezpieczenia zostało jeszcze nierozliczone sto tysięcy. Ale skoro inkasuję rocznie sto pięćdziesiąt kawałków netto w gotówce, nietrudno się chyba domyślić, że nie zabiję swojej największej gwiazdy dla pieprzonych paru dolców. A tak przy okazji, moje osobiste ubezpieczenie majątkowe opiewa na sto tysięcy dolarów, więc biorąc pod uwagę wszystkie naprawy, jakie trzeba będzie przeprowadzić piętro niżej, na całej tej sprawie więcej straciłem, niż zyskałem.

— Przykro mi.

Traub rzucił jej pojemnik z gazem. — Myślę, że już czas, żeby nasz mały detektyw zszedł ze sceny. Nagrodźmy ją głośnymi oklaskami.

Przez cały czas trwania rozmowy Arthur Tucker nie mógł otrząsnąć się z szoku na myśl, że oto dwóch policjantów

przesłuchuje go jako podejrzanego w sprawie o morderstwo.

Obaj byli bardzo uprzejmi, kiedy wypytywali go o Shelly Lowe. Zachowywali się jakby nigdy nic, ale ewidentnie próbowali wydobyć z niego jakąś informację, którą już znali.

Tucker rozpaczliwie zastanawiał się, o co im może chodzić. Czuł się jak małż bez skorupy, jakby ci dwaj mężczyźni czytali mu w myślach, on zaś nie miał pojęcia, do czego zmierzali.

Jeden z funkcjonariuszy obrzucił ciekawym spojrzeniem kolekcję odznaczeń Tuckera. — Służył pan w wojsku?

– Tak, w pułku spadochronowym.

– Miał pan do czynienia z materiałami wybuchowymi?

Tucker wzruszył ramionami. — Umieliśmy odpalać torpedy i rzucać granatami. Ale to było czterdzieści lat temu... Sugerujecie, że mam tam coś wspólnego z tymi zamachami?

– Nie, proszę pana. Po prostu prowadzimy dochodzenie w sprawie śmierci pani Lowe.

Na twarzy Tuckera odbiła się konsternacja. Zmieszany zapytał ich o Miecz Jezusowy.

Odpowiedzieli mu wymijająco.

Chodziło jednak o coś więcej niż o zwykły unik. Wyraźnie chwytali się wszystkich sposobów, żeby coś z niego wyciągnąć. Na próżno. Zastanawiał się, skąd przyszło im do głowy, że to on może być zabójcą. Podejrzewał, że Shelly musiała zapisać jego nazwisko w kalendarzu. A może prowadziła dziennik — zawsze zachęcał do tego swoich uczniów — i opisała w nim jakąś lekcję. Albo którąś z ich kłótni.

To mogło ich naprowadzić na jego trop.

Wspomnienie Shelly sprawiło, że jego myśli zaczęły błądzić zupełnie gdzie indziej i musiał użyć całej siły woli oraz zdolności koncentracji, żeby na powrót skupić się na tym, co mówili policjanci.

– Shelly Lowe była wyjątkową, fascynującą osobą — odparł tonem przepełnionym żalem i szacunkiem należnym wyjątkowej, fascynującej osobie, która właśnie zmarła. — Mam nadzieję, że depczecie już po piętach tym, którzy to zrobili. Nie pochwalałem tego, co robiła — wiecie, panowie, jak zarabiała na życie — ale tak brutalny akt przemocy... — Zamknął oczy i wzdrygnął się. — To niedopuszczalne. Coś takiego sprawia, że stajemy się barbarzyńcami.

Tucker był niezłym aktorem, ale mimo wszystko gliniarze tego nie kupili. Dalej przyglądali mu się oczyma pozbawionymi wyrazu, jakby nie powiedział ani słowa. Nagle jeden z funkcjonariuszy zagadnął: —

Podobno pisze pan również sztuki teatralne. To prawda?

Tucker miał wrażenie, że na moment serce przestało mu bić w piersi. — Jeśli chodzi o teatr, robiłem chyba wszystko. Zaczynałem jako...

– Proszę odpowiedzieć na pytanie. Pisze pan sztuki?

– Tak.

– Podobnie jak pani Lowe?

– To niewykluczone.

– Przecież był pan jej nauczycielem. Nigdy o tym nie rozmawialiście?

– Tak, chyba rzeczywiście coś tam pisała. Ale skupialiśmy się raczej na aktorstwie niż na pisaniu podczas naszych...

– Zostańmy jeszcze przez chwilę przy tym drugim. Posiada pan może jakąś sztukę, którą napisała?

– Nie — odrzekł stanowczo Tucker. Udało mu się uniknąć drżenia w głosie.

– Czy może nam pan powiedzieć, co robił w czasie, kiedy pani Lowe została zamordowana? Około ósmej wieczorem?

– Oglądałem przedstawienie.

– Jak rozumiem, ma pan na to świadków.

– Jakieś półtora tysiąca. Mam wam podać ich nazwiska?

– To nie będzie konieczne.

Drugi policjant dodał: — Na razie.

– Możemy się tu trochę rozejrzeć?

– Nie bez nakazu.

– Odmawia pan współpracy?

– Cały czas z wami współpracowałem. Ale jeśli chcecie przeszukać moje biuro, musicie mieć nakaz. To bardzo proste.

Nie wpłynęło to na zmianę wyrazu ich twarzy, pozbawionych jakichkolwiek emocji. — Okej. Dziękujemy, że poświęcił pan nam swój czas.

Po ich wyjściu Tucker podszedł do okna i stał tam przez dobre pięć minut, czekając, aż opuszczą budynek. Potem wrócił do biurka i trzęsącymi się rękoma odszukał egzemplarz *Doręczonych kwiatów*. Wsunął go do sfatygowanej skórzanej teczki i zaczął przeglądać maszynopisy piętrzące się na niskiej komodzie, chowając do teczki wszystkie te, na których widniało nazwisko Shelly.

Chwileczkę...

Jednego brakowało. Jeszcze raz wszystko przejrzał. Ani śladu. A był pewien, że tutaj go zostawił. Jezu Chryste... Co się z nim mogło stać?

Podniósł głowę i jego wzrok padł na drzwi, w których tkwiła już nowa szyba, wstawiona w miejsce wybitej podczas niedawnej próby włamania. Wtedy *wydawało* mu się, że nic nie zginęło.

Tucker osunął się ciężko na fotel. Kręcenie reklamy House 0'Leather okazało się żmudną harówką.

Larry tymczasowo uwolnił Runę z obowiązków cateringowych i pozwolił jej nawet stać za kamerą podczas jednej z sesji zdjęciowych.

To był naprawdę długi dzień. Córka skórzanego potentata potrzebowała aż osiemnastu ujęć, żeby wydukać dwie linijki tekstu. Ale Runę się tym nie przejmowała — ostatecznie miała w ręku prawdziwego Arriflexa 35, arcydzieło mechanicznej precyzji. Delikatne wibracje,

jakie wyczuwała pod palcami, rekompensowały jej w znacznym stopniu upokorzenia, jakich ostatnio doznawała w firmie.

Pan Portfel — Rune *nie była w stanie* zapamiętać jego nazwiska — okazał się fajniejszy, niż przypuszczała. Dziękował jej za każdym razem, kiedy przynosiła mu coś do jedzenia albo do picia, a podczas przerw udało im się nawet zamienić parę słów na temat współczesnego kina i Rune uznała, że gość ma całkiem niezły gust.

Całkiem inaczej rzecz się miała z szefową działu reklamy, nieszczęsną Mary Jane. Kręciła się po planie w jaskrawym, niebiesko- -czerwonym kostiumie z poszerzanymi ramionami, w którym wyglądała jak zawodnik drużyny amerykańskiego futbolu. Stale czegoś chciała — a to poprawić światło, a to spojrzeć przez wizjer kamery. A kiedy Rune nie kręciła, zamęczała ją prośbami o zrobienie kserokopii czy przepisanie czegoś na maszynie. Wciąż się nad czymś *zastanawiała* (jej ulubionym zwrotem było: „Tak się tylko zastanawiam... czy nie byłoby lepiej...?"; na drugim miejscu plasował się tekst: „Trzeba było..."). Ratowało ją to, że w przeciwieństwie do Pana Portfela nie posyłała Rune po kawę, co mogło wskazywać, że w swoim poprzednim życiu była popychadłem w jakimś sekretariacie (Rune dobrze wiedziała, jak długo chowa się urazę związaną z systemem służbowych zależności).

Po zakończeniu zdjęć Rune do późna siedziała w biurze, przygotowując rekwizyty do kluczowej sceny, która miała być kręcona za dzień lub dwa. Pomysł podrzucił Bob i polegał on na tym, żeby zrobić z wózka zbliżenie przewracających się kostek domina. Następnie kamera miała

odjechać, ukazując widzom utworzoną z przewróconych kostek nazwę i logo firmy. Do Runę należało wyszukanie i wypożyczenie tysięcy białych, całkowicie gładkich kostek.

Nagle usłyszała jakiś hałas. Podniosła głowę. W drzwiach stał Sam Healy.

– Jeżeli przyszedłeś służbowo, to ja się stąd zmywam — oświadczyła.

– Więc ty rzeczywiście *pracujesz.*

– Nie nazwałabym tego *pracą,* Sam.

Wszedł do środka, a ona otworzyła pękatą lodówkę i podała mu piwo.

– Musimy nakręcić jeszcze jedną scenę do tej durnej reklamy, a potem chłopcy zgarną okrągłe dwieście kawałków czystego zysku.

– Nieźle. — Sam aż zagwizdał. — Fajna robota. I kasa lepsza niż w budżetówce.

– Ale przynajmniej masz swoją godność, Sam.

Oprowadziła go po studiu, po czym puściła kilka ujęć z reklamy House 0'Leather na wiekowej maszynie montażowej.

– Jak chcesz, mogę cię umówić z córeczką tatusia.

– Chyba jednak podziękuję.

Wrócili do biura i usiedli.

Sam odezwał się: — Moi kumple z szóstego posterunku sprawdzili Tuckera. Podobno wyglądał, jakby miał coś na sumieniu. Ale z drugiej strony takie wrażenie robi większość przesłuchiwanych... A teraz najważniejsze — ciągnął. — Zajrzeli do jego wojskowej kartoteki. Okazuje się, że gość właściwie nie wąchał prochu. Po przejściu do cywila nie miał już nic wspólnego z wojskiem. Całe życie spędził w teatrze. Nigdy nie był notowany, nie odnotowano też żadnych jego kontaktów ze światem przestępczym. Regularnie chodzi do kościoła i...

– Ale mimo to potrafiłby...

– Poczekaj, daj mi skończyć. Sprawdzili też, ile wart jest oryginał sztuki nieznanego autora. Góra kilka tysięcy, chyba że zdarzy się cud i przedstawienie chwyci — jak *Koty*, czy coś w tym rodzaju. Ale szansa na to wynosi jeden na milion. Wierz mi, nikt nie zaryzykuje wyroku za morderstwo dla paru tysięcy dolców.

– Ale tamten tekst... Na własne oczy *widziałam,* że zmienił nazwisko autora.

– To oczywiste. Dziewczyna ginie, a gość dochodzi do wniosku, że ukradnie jej tekst i trochę na tym zarobi. Jej spadkobiercy nie będą niczego podejrzewać. Nie ulega wątpliwości, że jest

to kradzież, ale kogo to obchodzi? — Healy zajrzał do jednego z pudełek z dominem, które otaczały Runę. — No i co ty na to?

– Co ja na to?

– Wycofujesz się ze śledztwa?

– Całkowicie.

– Miło mi to słyszeć.

Mam pewne informacje — oznajmił kobiecy głos.

Siedzący za dębowym biurkiem Michael Schmidt trzymał słuchawkę w jednej ręce, a palcami drugiej bębnił w wieczko kartonowego pojemnika z zupą rybną.

Głos — kobiecy i jakby stłumiony — dodał: — Wiem o czymś, co łączy cię ze śmiercią Shelly Lowe.

Palec Schmidta apatycznie dźgał opakowanie solonych chrupek, które kruszyły się jedna po drugiej. — Kto mówi?

– Myślę, że powinno cię to zainteresować.

– Chciałbym wiedzieć, kto mówi.

– Niedługo się spotkamy. O ile się nie boisz.

– Czego chcesz? Pieniędzy? Próbujesz mnie szantażować?

– Szantażować? Zabawne, że o tym wspominasz. Może i tak. Ale przede wszystkim chcę się z tobą spotkać twarzą w twarz.

– Zapraszam do biura.

– Nie ma mowy. Spotkajmy się gdzieś, gdzie jest dużo ludzi.

– Zgoda. Gdzie?

– W południe przed Centrum Lincolna. Tam, gdzie rozstawiają stoliki. Wiesz, gdzie to jest?

– Chodzi o ogródek restauracji?

– Tak. Tam się spotkamy. I masz przyjść sam, rozumiesz?

– Ale...

Rozmowa się urwała.

Schmidt siedział przez okrągłą minutę wpatrując się w błyszczący, czarno-szary aparat. Dopiero po tym czasie zorientował się, że wciąż ściska w dłoni milczącą słuchawkę, i odłożył ją ze złością.

Miał ochotę kląć, ale wiedział, że natychmiast tego pożałuje. Czerpał dumę z faktu, że potrafi być jednocześnie twardym, odnoszącym finansowe sukcesy biznesmenem i głęboko wierzącym katolikiem, czującym odrazę do wulgaryzmów. Kciukiem rozgniótł okruchy chrupków na pył.

Całkiem stracił apetyt na zupę i wyrzucił pojemnik do kosza na śmieci. Wieczko otworzyło się i zawartość chlusnęła do wyścielającego kosz foliowego worka. W pokoju zapachniało rybą i cebulą, co jeszcze bardziej go rozwścieczyło.

Pozostał jednak nieruchomy i złożywszy dłonie, modlił się, dopóki złość całkiem mu nie przeszła. Była to jedna z rzeczy, których się nauczył — nigdy nie podejmować decyzji w stanie, który nazywał „świeckim".

Po pięciu minutach Duch Święty napełnił go spokojem. Decyzja, jaką podjął, była identyczna z postanowieniem, z jakim odkładał słuchawkę. Teraz ponownie ją podniósł i spokojnie wybrał numer.

Mógłbyś wziąć do tego kamerę, którą pożyczyłam z pracy Ma teleobiektyw...

Stu, kucharz, wydawca i stylista żywności z Belvedere Post-Production, zapytał: — A właściwie dlaczego chcesz sfilmować tego gościa?

— Zamierzam wyciągnąć z niego pewne wyznanie. Użyję podstępu.

— Czy to przypadkiem nie jest niezgodne z prawem? Filmować kogoś bez jego wiedzy?

— Nie, jeśli znajduje się w miejscu publicznym. A właśnie tam będzie.

— Ale sam nie jest osobą publiczną.

— Hm. — Rune zmarszczyła brwi. — No to nie wiem. Ale jestem pewna, że nie ma w tym nic złego, i to właśnie zamierzam zrobić.

— Co to za kamera?

— Betacam. Miałeś z nią już do czynienia?

— Tak, wiem o co chodzi. Z deckiem Ampexa?

— Tak. Będziesz kręcił z góry, z balkonu w Centrum Lincolna. I to wszystko. Musisz tylko nagrać, jak z nim rozmawiam.

— Nie powiedziałaś mi jeszcze, po co to wszystko. Co to za wyznanie, które chcesz z niego wydobyć?

— Będę miała magnetofon — odparła szybko Rune. — Dźwiękiem nie musisz się przejmować.

— Nie zrobię tego, jeśli mi nie powiesz, co knujesz.

— Zaufaj mi, Stu.

— Nie znoszę, kiedy ktoś tak mówi.

— Nie lubisz przygód?

— Nie. Lubię gotować i jeść. Lubiłbym pieniądze, gdybym jakieś miał. Ale jedyna rzecz, której zdecydowanie nie lubię, to przygody.

– Umieszczę twoje nazwisko w napisach końcowych.
– Świetnie. Tylko nie zapomnij o numerze więziennym.
– Wszystko jest zgodne z prawem! Problem polega na czym innym.
– Więc jednak jest jakiś problem. Chodzi o to, że mnie pobiją? Zabiją? Zamierzasz zadedykować ten film mojej pamięci?
– Nikt cię nie zabije.
– Ale nie zaprzeczyłaś odnośnie pobicia.
– Nikt cię nie pobije.

– Mam nieodparte wrażenie — odparł Stu — że dodałaś w myślach: „Prawdopodobnie..." Mam rację?

– Posłuchaj, *na pewno* nikt cię nie pobije, obiecuję. Tak lepiej?

– Nie... Mówisz: Centrum Lincolna? Dlaczego akurat tam?

Rune zarzuciła akumulator na ramię. — Żeby było dużo świadków, jeśli jednak oberwiesz.

Rune machnęła identyfikatorem przed nosem strażnika w Avery Fischer Hall. Oczy mężczyzny rozszerzyły się z wrażenia i wpuścił ją do cichego holu.

– Prowadzimy tu obserwację — poinformowała go Rune.

– Tak, proszę pani — odparł i wrócił na swoje stanowisko. — Proszę zawołać, gdyby czegoś pani potrzebowała.

– Co to było? — zainteresował się Stu. — To, co mu właśnie pokazałaś?

– Legitymacja.

– *Widziałem.* Jaka legitymacja?

– FBI.

– Co?! Skąd ją wytrzasnęłaś?!

– Zrobiłam na komputerze w pracy. I dałam do zafoliowania.

– Zaraz... Dlaczego ty mi o tym mówisz? Nie chcę niczego wiedzieć. Zapomnij, że w ogóle pytałem.

Weszli na górę po schodach. Na ścianach wisiały dziesiątki afiszy oper i przedstawień wystawianych w Centrum Lincolna. Rune wskazała jeden z nich. — Popatrz. Po prostu rewelacja. — Był to afisz z „Orfeusza w piekle" Offenbacha.

Stu ledwo tam spojrzał. — Wolę lżejsze granie. Co to za babka?

. Przez chwilę Rune milczała. Zbierało jej się na płacz. — Eurydyka. Przypomina mi kogoś, kogo znałam.

Wdrapali się na samą górę i wyszli na dach. Rune rozstawiła kamerę.

– Tylko nie panoramuj, boję się efektu stroboskopowego. Zamiast wydziwiać, skup się na mnie i facecie, z którym będę rozmawiać. Zależy mi głównie na podwójnym ujęciu, ale na mój znak możesz zrobić zbliżenie jego twarzy. Na przykład podrapię się w głowę — może być? Żeby zrobić zbliżenie, musisz...

– Wiem, jak obsługiwać betacam.

– To dobrze. Masz taśmy na godzinę i baterii na dwie. Ale wszystko nie powinno potrwać dłużej niż kwadrans.

– Mniej więcej tyle, co egzekucja. Jakieś ostatnie życzenie?

Rune uśmiechnęła się nerwowo. — To moja pierwsza główna rola.

– W takim razie trzymam kciuki — zapewnił ją Stu.

Sądziła, że może się nie pojawić. Potem przyszło jej do głowy, że jeśli jednak przyjdzie, usiądzie gdzieś na uboczu, żeby móc niepostrzeżenie sięgnąć po broń z tłumikiem, strzelić jej prosto w serce i uciec — i żeby minęło przynajmniej pół godziny, zanim ktokolwiek zauważy, że nie ucięła sobie drzemki w palącym, sierpniowym słońcu. Widziała taką scenę w jakimś starym filmie, chyba z Peterem Lorrem.

Ale Michael Schmidt ją zaskoczył. Jakby idąc Runę na rękę, zajął miejsce przy stoliku na środku restauracyjnego ogródka otaczającego wielką fontannę w Centrum Lincolna.

Nerwowo rozglądał się wśród tłumu, aż wreszcie ją dostrzegł. Musiał ją rozpoznać, bo w spojrzeniu, jakie w nią wbił, błysnęło zrozumienie, a ułamek sekundy później — wściekłość. Rune zawahała się, wsunęła rękę do kieszeni i włączyła magnetofon. Schmidt zauważył jej gest i odchylił się na krześle, najwidoczniej podejrzewając, że ma przy sobie broń. Wyraźnie się bał. Runę podeszła do jego stolika.

– To ty! — syknął producent. — Byłaś u mnie w teatrze.

Runę usiadła. — Okłamał mnie pan. Nie powiedział, że zaproponował Shelly rolę, a potem się z tego wycofał.

– I co z tego? Dlaczego miałbym ci cokolwiek mówić? Przerwałaś mi ważne spotkanie. Mój umysł pracuje inaczej niż u zwykłych zjadaczy chleba. Nie pamiętam

na zawołanie wszystkich nudnych szczegółów.

– Wiem też o waszej kłótni.

– Sprzeczam się z wieloma ludźmi. Jestem perfekcjonistą... Czego ty właściwie ode mnie chcesz? Pieniędzy? — Jego wzrok ponownie przesunął się po otaczającym ich tłumie. Przypominał spłoszoną zwierzynę.

– Po prostu proszę odpowiedzieć... — zaczęła, ale jej przerwał.

– Ile chcesz? Mów. Proszę...

– Dlaczego musiał ją pan zabić? — spytała brutalnie.

Schmidt nachylił się nad stolikiem. — Skąd pomysł, że ją zabiłem?

– Bo próbowała pana szantażować, żeby dał jej pan tę rolę.

Schmidt mruknął gniewnie: — I co zamierzasz z tym zrobić? Pójdziesz na policję?

Zaniepokoił ją ruch jego rozbieganych oczu. Już dwukrotnie zerknął w stronę sąsiedniego stolika. Runę podążyła za jego spojrzeniem i zobaczyła dwóch mężczyzn siedzących nad nietkniętymi, bajecznie kolorowymi kanapkami.

Jezu Chryste, płatni zabójcy!

Schmidt musiał ich wynająć. Ten chudszy mógł być nawet faćetem w czerwonej wiatrówce. Nie miało dla nich znaczenia, że znajdowali się w miejscu pełnym ludzi — bez wahania sprzątną ją tu i teraz. Albo będą ją śledzić i wykończą w jakiejś ciemnej uliczce, jak Marlona Brando w *Ojcu Chrzestnym*.

Schmidt jeszcze raz zerknął w bok, po czym spojrzał prosto na nią. Mężczyźni lekko się poruszyli.

— Powiedz mi wreszcie, ile chcesz!

Cholera. Koniec zabawy, pora stąd zmykać.

Runę podniosła się z krzesła.

Schmidt patrzył teraz na kieszeń, gdzie ukryła magnetofon. Jego oczy rozszerzyły się.

Głowy obu mężczyzn obróciły się w jej stronę.

Naraz Schmidt rzucił się do tyłu i upadł na ziemię, wrzeszcząc: — Łapcie ją, łapcie!

Wśród pozostałych gości rozeszło się głośne westchnienie przestrachu; zrywali się od stolików, a niektórzy wręcz przykucali na chodniku.

Wynajęci cyngle również się poderwali. Metalowe krzesła z hałasem upadły na bruk. W ich dłoniach błysnęła broń.

Rozległy się krzyki; ludzie rzucali się na chodnik, tłukły się kieliszki, w powietrzu latały talerze. Na ziemię posypał się deszcz sałaty, pomidorów i rogalików.

Runę rzuciła się pędem w kierunku Alei Kolumba i pognała na północ. W pewnej chwili obejrzała się: płatni zabójcy byli tuż-tuż. Mieli niezłą kondycję.

Debile, wokół są setki świadków! Co wam strzeliło do tych zakutych łbów?!

Bolały ją nogi i kłuło w płucach. Ale biegła, ile tchu w piersiach.

Na rogu Siedemdziesiątej Drugiej zerknęła przez ramię. Nigdzie nie było ich widać. Zatrzymała się, oparła o ogrodzenie przy jakiejś opuszczonej parceli i zaciskając kurczowo palce na metalowej siatce, usiłowała złapać oddech.

Na pobliskim przystanku zatrzymał się autobus. Runę ruszyła w jego stronę.

W tym samym momencie zza furgonetki wyskoczyli zaczajeni tam zabójcy.

Runę krzyknęła, rzuciła się na ziemię, przeturlała w kierunku ogrodzenia i przez dziurę w siatce wczołgała na teren parceli. Tam chwiejnie zerwała się na nogi i pomknęła w stronę wznoszącego się po przeciwnej stronie działki budynku. Była to szkoła.

Pusta szkoła.

Podbiegła do drzwi.

Zamknięte.

Runę obejrzała się. Mężczyźni biegli w jej stronę, drobiąc niespiesznie i usiłując nie rzucać się w oczy. Do boków przyciskali pistolety.

Jedyną drogę ucieczki stanowiła długa i wąska uliczka. Po drugiej stronie musiała znajdować się jakaś ulica, drzwi, okno, *cokolwiek*.

Runę biegiem dopadła jej końca, ale uliczka okazała się ślepa. Zauważyła jednak rozchwierutane drzwi. Uderzyła w nie barkiem, ale drewno okazało się solidniejsze, niż sądziła. Runę odbiła się od grubych, dębowych desek i upadła na ziemię.

Dotarło do niej, że to już koniec. Płatni zabójcy byli coraz bliżej. Rozglądali się ostrożnie na boki, nie próbując nawet ukrywać broni.

Runę uklękła i rozejrzała się w poszukiwaniu cegły, kamienia albo chociaż jakiegoś kija. Na próżno. Łkając, osunęła się na ziemię. — Nie, nie, nie... — Mężczyźni byli tuż przy niej. Poczuła na karku chłód lufy.

Zakwiliła i objęła ramionami głowę. — Nie...

W tym samym momencie jeden z napastników powiedział: — Jesteś

aresztowana. Masz prawo zachować milczenie. Masz prawo do adwokata i masz prawo żądać, żeby był obecny przy twoim przesłuchaniu. Jeżeli zrezygnujesz z prawa do milczenia, wszystko, co powiesz, może być użyte przeciwko tobie w sądzie.

Dwudziesty posterunek do złudzenia przypominał nowojorski pośre- dniak, tyle że nie było tam tak wielu — albo *równie wielu* — scenarzystów i aktorów. Ten sam porysowany pleksiglas, tablice ogłoszeniowe zawieszone dziesiątkami zapisanych na maszynie świstków, to samo tanie linoleum i świetlówki pod sufitem. I ten sam kłębiący się tłum interesantów.

Wyjątek stanowili gliniarze, całe mrowie rosłych gliniarzy.

Kajdanki okazały się cięższe, niż sądziła, wcale nie jak bransoletki. Oparła dłonie na podołku i zastanawiała się, czy za rok wyjdzie z pudła.

Jeden z „płatnych zabójców", detektyw Yalkowsky, posadził ją na pomarańczowym krzesełku z włókna szklanego, jednym z sześciu zbitych ze sobą w jedną ławkę.

Policjantka z włosami spiętymi w kucyk jak u Runę, pełniąca obowiązki dyżurnego sierżanta, zwróciła się do niego z pytaniem: — Co tym razem?

– Usiłowanie kradzieży, wymuszenie rozbójnicze, usiłowanie napaści, ucieczka z miejsca przestępstwa, stawianie oporu przy zatrzymaniu, nieuprawnione wtargnięcie...

– Hola, hola! Na nikogo nie napadłam! A wtargnęłam na teren zamknięty tylko dlatego, żeby uciec *przed nim*\ Myślałam, że to płatny zabójca.

Yalkowsky zignorował ją. — Nie złożyła wyjaśnień i nie chce adwokata. Domaga się za to rozmowy z jakimś Healym.

Runę poprawiła go: — Z *detektywem* Healym. To policjant.

– Dlaczego chcesz się z nim widzieć?

– Bo to mój przyjaciel.

Detektyw odparł: — Złotko, możesz się nawet przyjaźnić z samym burmistrzem. Nie zmienia to faktu, że siedzisz po uszy w gównie. Próbowałaś szantażować Michaela Schmidta. To poważna sprawa. Gazety nie zostawią na tobie suchej nitki.

– Może pan po prostu do niego zadzwonić? Proszę...

Policjant zawahał się, po czym rzucił: — Dajcie ją do aresztu, zanim z nim nie pogadamy.

– Do aresztu? — Pani dyżurny sierżant obrzuciła Runę taksującym spojrzeniem i zmarszczyła brwi. — To chyba nie jest dobry pomysł.

Runę zauważyła jej zatroskanie. — Ona ma rację, to bardzo zły pomysł!

Yalkowsky wzruszył ramionami. — Moim zdaniem jest wręcz przeciwnie.

16

Rune i Sam Healy wędrowali przez zachodnią część Central Parku, mijając po drodze pagórek, gdzie gromadzili się wszyscy wyprowadzający psy w Nowym Jorku. Pudle i labradory, szpice i zwykłe kundle

brykały po zakurzonym podłożu, a ich właściciele mozolnie rozplątywali krzyżujące się ze sobą smycze.

Healy milczał.

Rune nie odrywała od niego wzroku.

Odwrócił się i ruszył w głąb parku. Wdrapali się na szczyt mierzącej blisko dziesięć metrów skały i usiedli.

– Sam?

– Rune, nie chodzi o to, że mogli wnieść przeciwko tobie oskarżenie...

– Sam, ja...

– Nie ma żadnych dowodów, że to była próba wymuszenia, poza tym funkcjonariusze się nie wylegitymowali. Ktoś znalazł fałszywy identyfikator FBI, ale póki co nie połączyli tego z tobą. Ale najzwyczajniej w świecie mogli cię zastrzelić! Uciekłaś z miejsca przestępstwa. Gdyby uznali, że jesteś niebezpieczna, już byś nie żyła!

– Przepraszam.

– Rune, ja w pracy codziennie się narażam. Ale dzięki procedurom, odpowiedniemu wsparciu i wielu innym rzeczom mogę zmniejszyć ryzyko, że coś mi się stanie. Tymczasem ty nabijasz sobie głowę jakimiś szalonymi pomysłami o szantażu i płatnych zabójcach, po czym brniesz w to na oślep.

Przez chwilę oboje przyglądali się rozgrywanym przed nimi na trawie meczu softballa. Z powodu upału zawodnicy ruszali się jak muchy w smole. Tam, gdzie piłka uderzała w boisko, wzbijały się w powietrze obłoczki kurzu.

– Były jakieś pogłoski na temat Schmidta i jakiegoś nastolatka z Kolorado. Pomyślałam, że Shelly mogła się o tym dowiedzieć i szantażowała go, żeby dostać rolę.

– Oparłaś ten wniosek na faktach? Czy raczej *wyobraziłaś sobie,* że tak było, i nagięłaś do tego fakty?

– Nagięłam.

– Rozumiem.

Runę zamyśliła się. — Mam w domu zeszyt, w którym zapisuję sobie różne rzeczy. Taki jakby dziennik. Wiesz, co jest napisane na pierwszej stronie?

– „Nigdy nie dorosnę"?

– Na to akurat nie wpadłam, niestety. Napisałam: „Wierz w to, czego nie ma, aż się stanie".

Łup! Przyłożenie. Miotacz patrzył, jak piłka szybuje w stronę przenośnej toalety jakieś trzydzieści metrów od bazy.

– Sam... ten film jest dla mnie bardzo ważny. Nie poszłam na studia. Pracowałam w wypożyczalni kaset wideo, dekorowałam wystawy sklepowe, byłam kelnerką w restauracji, handlowałam na ulicy. Ale nie chcę wiecznie tego robić.

Roześmiał się. — Masz za sobą niezłe pasmo falstartów.

– W studiu filmowym traktują mnie jak dziecko... Okej, wiem, że czasami tak się *zachowuję*. Ale nikt nie wierzy, że stać mnie na więcej. Wiem, że ten film o Shelly wypali, po prostu to czuję.

– To, co zrobiłaś ze Schmidtem, nie było zbyt mądre.

– Był ostatnim z listy moich podejrzanych. Naprawdę myślałam, że to on.

– Ktoś, kto ma nieczyste sumienie, nie wzywa policji, żeby...

– Wiem, pomyliłam się... Chodzi o to, że... Nie potrafię wskazać jednego konkretnego powodu. Mam tylko, jak to się mówi...?

– Przeczucie?

– Właśnie. Że ktoś ją zabił i nie był to żaden Miecz Jezusowy.

– Ja też wierzę w przeczucia. Ale zrób nam obojgu przysługę i zapomnij o tym całym filmie. Albo opowiedz historię dziewczyny, która zginęła, i na tym zakończ. Zamiast mordercy daj ludziom nierozwiązaną zagadkę. Widzowie lubią tajemnice.

– To właśnie znaczy moje imię. Po celtycku...

– Twoje prawdziwe imię?

– Prawda — odparła — może być zaskakująca. Ja naprawdę mam na imię „Runę".

Sam skinął głową. Nie potrafiła stwierdzić, czy jest smutny, gniewa się na nią, czy po prostu odgrywa milczącego kowboja.

– Chyba nie powinno być już więcej zamachów — powiedział nagle Healy. — Tacy jak oni zwykle szybko się nudzą. W dzisiejszych czasach bycie przestępcą jest zbyt ryzykowne. Laboratoria kryminalistyczne pracują pełną parą. Łatwo dać się przyskrzynić.

Runę nie odpowiedziała, więc Healy dodał: — Za parę minut zaczynam dyżur. Pomyślałem, że mogłabyś wstąpić do nas, jeśli masz ochotę. Zobaczyć, jak wygląda robota pirotechnika.

– Serio? No pewnie! Tylko że teraz muszę lecieć do pracy. Kończymy dzisiaj tę durną reklamę.

Healy pokiwał głową. — Będę tam całą noc. — Po czym poinstruował ją, jak trafić na szósty posterunek.

Kostki domina. Gdzie nie spojrzała, wszędzie stały kostki domina.

– Postarał się, złotko — dopingował ją Larry. — W nagrodę będziesz mogła je przewrócić.

Póki co, Rune wciąż je ustawiała. — Podobno miałeś zatrudnić dodatkową pomoc do tego ujęcia.

– Skoro mamy ciebie, nie potrzebujemy nikogo innego. Dasz sobie radę, skarbie.

Rune, klęcząca na płachcie papieru, ustawiając kostki według narysowanego na niej wzoru. Niechętnie musiała przyznać, że ujęcie będzie fantastyczne.

– Ile już tego mamy?

– Cztery tysiące trzysta dwanaście, Larry. Sama liczyłam.

– Świetnie się spisałaś.

Wcześniej, po dwóch godzinach pracy, kiedy połowa kostek stała już na swoich miejscach, Rune niechcący trąciła jedną z nich. Przewracające się kostki uderzały o siebie, wydając odgłos podobny do żetonów do gry w ruletkę w kasynie w Las Vegas. Żeby to szlag...

– Trzeba było zacząć od drugiej strony — odezwała się Mary Jane. — W ten sposób nic by się nie stało.

– Wszystko jest pod kontrolą — wtrącił szybko Larry.

– I to ma być sztuka? — Rune nadąsana wczołgała się na szarą płachtę szerokości sześciu metrów i zaczęła od nowa ustawiać domino.

– Nie zaczynaj.

Wreszcie po kilku godzinach wszystkie kostki znowu były na swoim miejscu i Rune, wstrzymując oddech, wycofała się poza obręb papierowej płachty. Przykucnęła przy pierwszej z brzegu kostce i skinęła głową Larry'emu.

Spojrzała na brodatego operatora, typowego jajogłowego, który zajął miejsce na siodełku dźwigu kamery. Potężny wysięgnik przywodził na myśl koparkę. — Mam nadzieję, że wystarczy ci taśmy. Nie mam zamiaru wszystkiego od początku ustawiać.

– Światła! — Larry uwielbiał zgrywać reżysera. Oświetleniowiec włączył reflektory. Plan zdjęciowy zalała biała jasność i natychmiast zrobiło się gorąco jak w piecu. — Kamera!

– Jest kamera.

Larry dał znak Rune, która pchnęła pierwszą kostkę domina.

Kolejne przewracały się z chrzęstem na papier, kamera sunęła nad nimi ruchem koszącym. Larry mruczał pod nosem niezwykle zaafero

wany, jak przystało na kogoś, kto dostaje dwieście tysięcy dolarów za pięć dni roboty.

Stuk. Ostatnia kostka domina dotknęła podłogi.

Kamera wycofała się, żeby objąć z góry całe logo firmy: krowę w cylindrze.

– Cięcie! — zawołał kategorycznie Larry. — Wyłączyć światła.

Reflektory pogasły.

Runę zamknęła oczy, myśląc, że czeka ją jeszcze spakowanie tysięcy plastikowych prostokącików. Musiała odnieść je do wypożyczalni rekwizytów przed szóstą; Larry i Bob nie zamierzali płacić za kolejny dzień.

Nagle gdzieś z góry rozległ się głos: — Jest tylko jeden problem...

Była to Mary Jane, która obserwowała całej ujęcie z wysokiej drabiny ustawionej na skraju planu.

– Co takiego? — zaniepokoił się Pan Portfel.

– Tak się tylko zastanawiam... Nie wydaje wam się, że logo jest odrobinę przekrzywione? — Kobieta zeszła z drabiny.

Pan Portfel wdrapał się na górę i przyjrzał filmowanemu obrazkowi.

– Rzeczywiście na to wygląda — orzekł.

Mary Jane dodała: — Rogi krowy są nierówne. Lewy i prawy.

Pan Portfel popatrzył na przewróconą kostki domina. — Nie możemy mieć przekrzywionego logo.

Mary Jane weszła na plan i poprawiła karton z wzorem. Potem cofnęła się. — Widzicie? Tak to powinno wyglądać. Trzeba było najpierw zrobić próbę.

Runę już brała oddech, żeby powiedzieć coś, co zagwarantowałoby jej kolejną wizytę w pośredniaku, ale Larry szybko

zacisnął palce na jej ramieniu. — Runę, mógłbym cię prosić na słowo?

W holu Runę odwróciła się do niego wściekła. — Przekrzywione? Sama jest przekrzywiona. Wydaje jej się, że to dzieło sztuki? To nie Kaplica Sykstyńska, Larry, tylko krowa w cholernym cylindrze. Nic dziwnego, że ma krzywe rogi. Ta baba po prostu szuka dziury w całym...

– Rune...

– Następnym razem rogi będą w porządku, za to cylinder będzie krzywo. Mam ochotę wybić jej te...

– Znalazłem ci dystrybutora.

– ...żółte zęby albo...

Larry cierpliwie powtórzył: — Dystrybutora.

Runę na chwilę zatkało. — Co takiego?!

– Znalazłem kogoś, kto mógłby być zainteresowany twoim filmem. Szukają akurat czegoś bezkompromisowego i mrocznego. To nieduża agencja, ale obstawiają telewizje publiczne i kilka lokalnych stacji. Nic wielkiego, ale czasami dobre filmy zwracają uwagę większych sieci telewizyjnych.

– Och, Larry. — Runę uściskała go. — Nie mogę w to uwierzyć.

– No dobra, a teraz grzecznie, tam wrócimy i zrobimy wszystko, żeby królowa śniegu była zadowolona. Okej?

Runę odparła zawzięcie: — Ta wredna suka i tyle.

– Ale jest naszą klientką, Runę, a w tej branży klient ma zawsze co? — Znacząco uniósł brew.

Runę podeszła do drzwi studia. — Nie zadawaj mi pytań, na które nie chciałbyś usłyszeć odpowiedzi.

Najbardziej podobały jej się psy.

Reszta też była niczego sobie. Łuski po pociskach artyleryjskich, granaty ręczne, laski dynamitu podpięte do zapalników czasowych, srebrne cylindry detonatorów — wszystko fałszywki. Ale największą atrakcją były zdecydowanie trzy labradory, które dzgały ją mokrymi nosami i kładły jej wielkie pyski na kolanach, kiedy przykucnęła, żeby je pogłaskać. Drapała je po łbie, a one radośnie dyszały.

Healy i Runę znajdowali się w kwaterze ekipy pirotechnicznej na piętrze budynku, gdzie przy Dziesiątej Ulicy mieścił się szósty posterunek. Trudno było tutaj nie trafić, nad drzwiami od strony korytarza wisiał jaskrawoczerwony wojskowy pocisk

ćwiczebny z wypisaną gotyckimi literami informacją: PIROTECHNIKA.

W największym pomieszczeniu stało osiem sfatygowanych biurek. Ściany pokrywała seledynowa farba, a podłogę wytarte linoleum. Przy jednym z biurek siedziała kobieta w ciemnym swetrze, pogrążona w lekturze jakiegoś technicznego podręcznika. Była bardzo ładna, z tymi swoimi długimi, ciemnymi włosami i nieruchomym spojrzeniem. Była też jedyną kobietą w zespole. Pozostali mężczyźni mieli od trzydziestu paru do czterdziestu paru lat i wszyscy byli ubrani w białe koszule oraz krawaty. W kaburach połyskiwała służbowa broń. Czytali, gawędzili między sobą, przeciągali się albo rozmawiali ściszonymi głosami przez telefon. Na widok Healy'ego kilku z nich uniosło brwi albo dłonie w powitalnym geście.

Na Runę nikt nawet nie spojrzał.

– Mamy największy cywilny oddział rozminowujący na świecie. Trzydziestu dwóch funkcjonariuszy, głównie w stopniu detektywa. Kilku dopiero czeka na awans.

Na jednej ze ścian wisiała stara drewniana tablica z fotografiami policjantów w mundurach. Runę dostrzegła napis głoszący: „Pamięci tych, którzy..."

Tablica zajmowała znaczną część ściany.

Schyliła się i poklepała psa.

– PPDWŁW — odezwał się Healy.

– Dziwne imię — stwierdziła Runę, prostując się.

– To nie imię. Powiedziałem, że to pies przeszkolony do wykrywania ładunków wybuchowych.

– Jeszcze jeden skrót.

– Kwestia oszczędności czasu. — Healy wzruszył ramionami. — Wyobraź sobie, że masz powiedzieć: „Pies przeszkolony do wykrywania ładunków wybuchowych i ja idziemy teraz na spacer". Mogłoby człowiekowi zaschnąć w gardle.

– Wystarczyłoby powiedzieć „pies". — Jeden z obiektów ich dyskusji właśnie przewrócił się na grzbiet. Runę podrapała go po brzuchu. — Naprawdę potrafią wywęszyć ładunek?

– Labradory są do tego po prostu stworzone. Mają najlepszy węch. Można oczywiście korzystać z wykrywaczy oparów azotanu, ale psy są znacznie szybsze. Potrafią wywęszyć plastik, dynamit, TNT, to- vex, semtex...

– Za to komputery nie lejąna podłogę — wtrącił jeden z policjantów.

– Ani nie liżą się po jajach przy ludziach — dorzucił drugi.

Healy usiadł za malutkim biurkiem.

Jakiś detektyw zagadnął go: — Nie żałujesz, że ominęła cię akcja w klinice aborcyjnej?

— Nieszczególnie. — Healy zwrócił się do Rune: — Napijesz się kawy?

— Chętnie.

Healy przeszedł do pomieszczenia gospodarczego. Przy plastikowym stoliku trzech funkcjonariuszy zajadało chińszczyznę. Healy opłukał pod kranem porcelanowy kubek i napełnił go kawą.

Kiedy wrócił, Rune stała przed tablicą ogłoszeniową, oglądając kolorowe zdjęcia różnych eksplozji. Wskazała mu fotografię czerwonego wozu strażackiego, który wyglądał jak wielki koszyk. — Co to za cudo?

– Wóz Pike-La Guardia, dziś już nie używany. Powstał w latach czterdziestych, kiedy niejaki Pike był komendantem ekipy pirotechników, a La Guardia burmistrzem Nowego Jorku. Widzisz tę siatkę? To kawałki okablowania z mostu Triborough. Wkładało się do środka ładunek i wywoziło na poligon. Jeśli po drodze dochodziło do eksplozji, siatka chroniła przed odłamkami. Teraz używa się do tego celu pojazdów przystosowanych do przewozu niewybuchów i niewypałów.

– PPDPNiN, zgadza się?

Healy przytaknął z uśmiechem.

Rune wzięła do ręki grubą plastikową rurę długości około pół metra wypełnioną niebieskim żelem i opatrzoną logiem „DuPont". Ścisnęła ją i wyszczerzyła zęby w uśmiechu. — To dość perwersyjne, nie uważasz?

Sam rzucił okiem na rurę. — Masz w ręku wystarczająco dużo to- vexu, żeby zmienić porządny głaz w kupkę żwiru.

Rune ostrożnie odłożyła rurę na miejsce.

– Rzecz jasna, gdyby ładunek był uzbrojony... To tylko atrapa do ćwiczeń, jak wszystko inne, co tutaj widzisz.

– To też? — Wskazała mu niemal metrowy pocisk artyleryjski.

– Teraz tak, ale kiedy go znaleźliśmy jakiś rok temu, mógł w każdej chwili wybuchnąć. Pod numer alarmowy zadzwoniła rozhisteryzo- wana kobieta i oświadczyła, że trafił ją pocisk. Na miejscu zaraz zjawiła się karetka. Sanitariusze wchodzą do mieszkania i widzą ją leżącą na podłodze. Pytają, kto strzelał i gdzie jest broń, a ona na to: „Nie ma żadnej broni, tylko sam pocisk". Pokazuje im to oto maleństwo i mówi: „Wypadł, kiedy otworzyłam szafę". Miała złamany palec u

nogi. Okazało się, że jej mąż kolekcjonował pociski artyleryjskie i...

Ktoś krzyknął: — Sam!

Healy wszedł do głównej sali. Z gabinetu komendanta wychylił się krępy, krótko ostrzyżony blondyn z kwadratową szczęką. Obrzucił Rune nieuważnym spojrzeniem i zwrócił się do Healy'ego: — Słuchaj, Sam. Służby alarmowe właśnie dostały zgłoszenie, że mamy dziesięć trzydzieści trzy w kinie z pornosami na Times Square. Ktoś znalazł karton, zajrzał do środka, zobaczył zapalnik czasowy i coś, co wygląda na plastik. Siódma Aleja, róg Czterdziestej Dziewiątej. Rubin, pojedziesz z nim!

A miało już nie być kolejnych zamachów... Zanim Rune zdążyła skomentować najnowszą nowinę, Healy i jakiś drugi gliniarz, na oko czterdziestopięcioletni chudzielec, który wyglądał raczej na agenta

ubezpieczeniowego z lat pięćdziesiątych niż na pirotechnika, ruszyli biegiem do szatni. Jednym szarpnięciem otworzyli swoje szafki, wyciągnęli wysłużone płócienne worki i wypadli na zewnątrz. Healy chwycił jeszcze po drodze nieodłączną walizeczkę i zniknął w głębi korytarza.

— Co jest...? — zaczęła Runę, ale Healy nawet się nie obejrzał.

Dokąd on tak pędzi? — myślała, mknąc w ślad za nim pomalowanym na ciemną zieleń korytarzem. Na dole mężczyźni znikneli w drzwiach budynku zbrojowni. Oficer w niebieskim golfie zastąpił jej drogę, nie pozwalając iść dalej. Kiedy znalazła się na ulicy, niebiesko- -biała furgonetka z migającym na dachu kogutem właśnie znikała u wylotu Jedenastej Ulicy. Krótko zawyła syrena, po czym samochód pomknął na północ ulicy Hudson.

Runę dobiegła do rogu, rozpaczliwie wzywając taksówkę, której jak na złość nigdzie nie było widać.

Sam Healy miał procedurę szczegółowo opanowaną. Niezawodna pamięć była jego największym talentem. Wystarczyło, że raz czy dwa rzucił okiem na jakiś spis czy wykres, a wszystkie niezbędne informacje trafiały do mentalnego sejfu.

Ogromna zaleta dla kogoś, kto pracował w ekipie pirotechnicznej, gdzie było mnóstwo rzeczy do zapamiętywania. Zastanawiał się, czy właśnie nie dlatego wybrał taki, a nie inny zawód. Pracy pirotechnika nie dało się porównać z obowiązkami policjantów z patroli miejskich czy oddziałów interwencyjnych. Ci ostatni musieli szybko podejmować decyzje i często improwizowali.

Tymczasem Healy wolał wszystko dokładnie zaplanować, a dopiero potem działać — powoli, krok po kroku.

Furgonetka z klekotem mknęła na północ. Hudson przeszła w Osmą Aleję, minęli Czternastą Ulicę.

Procedura była następująca: wytyczyć martwą strefę w promieniu trzystu metrów wokół kina i w miarę możliwości wszystkich stamtąd ewakuować — bułka z masłem w przypadku pustawego centrum handlowego na Long Island, absolutnie niemożliwe na gęsto zaludnionym Manhattanie. Potem wypuścić robota z jego chwytakami i kamerą zamiast oczu, żeby podjechał jak najbliżej podejrzanego ładunku i dobrze mu się przyjrzał. Później podnieść to cholerstwo...

Furgonetka zakołysała się, hamując ostro między innymi pojazdami miejskich służb alarmowych, które zjechały się tu jak na paradę. Healy i Rubin wyskoczyli z wozu.

... i wywieźć powoli i ostrożnie, bo przewód robota ma tylko piętnaście metrów i równie dobrze można zginąć od odłamków eksplodującej maszyny, jak od samego ładunku. Na koniec wprowadzić robota po rampie do środka pojazdu służącego do przewożenia ładunków wybuchowych...

I przez cały czas modlić się, żeby cholerna bomba wybuchła w środku, bo wtedy nie trzeba będzie tam wchodzić i jej stamtąd wyciągać, kiedy przyjedzie się na poligon.

I żeby siła ewentualnego wybuchu nie zmieniła pojazdu w wielki granat ręczny.

Słowem nie przestawać się modlić, dopóki nie będzie po wszystkim.

To znaczy, o ile w ogóle można posłużyć się robotem, bo bomba znajduje się na otwartej przestrzeni, a nie gdzieś, dokąd nie dotrze urządzenie przypominające pojazd księżycowy, na przykład pod siedzeniem kinowego fotela.

Gdzie oczywiście okazała się tkwić tym razem, o czym ich poinformowano natychmiast po tym, jak przybyli na miejsce.

Healy popatrzył na swojego partnera, Jima Rubina, i skinął głową. — Spróbuję rozbroić ją ręcznie. Wyciągamy kombinezon.

– Jak chcesz, to mogę pójść — zaproponował Rubin.

Musiał to powiedzieć, inaczej po prostu nie wypadało. Gdyby Healy odparł: „Dobra, w takim razie powodzenia", Rubin już by się brał do roboty. Ale Healy tego nie zrobił. Nie takie były zasady. Szedł ten, który był pierwszy na miejscu, pierwszy przyjął zlecenie, pierwszy powiedział: „Ja

pójdę". Każdy z nich by poszedł, gdyby było trzeba, do tego to się sprowadzało. Ale tym razem to Healy zgłosił się pierwszy. Nie wiedział, dlaczego — po prostu czuł, że to jest jego zadanie. Tak już czasami bywało. Z tego samego powodu czasem podnosiło się rękę o pół sekundy później niż wszyscy.

Jednak tego wieczoru Healy czuł się niezwyciężony — na tyle, na ile niezwyciężony może się czuć ktoś, kto usiłuje przenieść ładunek wystarczający, żeby obrócić w gruzy średniej wielkości dom...

— Sam! — zawołała Rune, wyskakując z taksówki. Healy ledwo na nią spojrzał. Popatrzyła mu w oczy i umilkła. Zrozumiał, że zobaczyła kogoś, kogo wcale nie znała.

Szeptem poprosił Rubina: — Do diabła, trzymaj ją jak najdalej stąd. Skuj ją, jeśli będzie trzeba, byleby się tu nie kręciła.

– Sam... — Jeszcze raz się obejrzał. Runę położyła kamerę na chodniku, najwyraźniej dając mu do zrozumienia, że nie przyjechała tutaj z powodu filmu ani Shelly Lowe, tylko dlatego, że się o niego boi. Mimo to odwrócił się do niej plecami.

Podczas gdy Rubin wyprowadzał robota — chcieli podjechać nim tak blisko, jak to będzie możliwe — Healy założył gruby zielony kombinezon saperski, ciężki od kevlarowych i stalowych płytek. Na głowę nasadził hełm i włączył pompę cyrkulacyjną, żeby zapewnić sobie dopływ tlenu.

Rubin stanął w otwartych drzwiach kina i podprowadził robota do miejsca w przejściu między rzędami, gdzie wcześniej kierujący akcją umieścił znak z żółtej samoprzylepnej taśmy. Na głowie miał słuchawki z mikrofonem zainstalowanym na cienkim pręciku, którego koniec znajdował się tuż przed jego ustami. Grube szkła okularów ochronnych zniekształcały mu oczy. Healy przeszedł obok niego i minął robota, rzucając do umieszczonego wewnątrz hełmu mikrofonu: — Jak mnie słyszysz?

– Świetnie, Sam. Masz szczęście, że nie czujesz, jak tu cuchnie.

Healy ruszył w głąb sali, odsuwając na bok stopami puste fiolki po cracku, zużyte chusteczki jednorazowe i opróżnione butelki.

– Mów do mnie, Sam, Mów do mnie...

Healy jednak w milczeniu liczył na palcach. Kierownik kina powiedział, że bomba jest w rzędzie M. Czy to przypadkiem nie piętnasta litera alfabetu? Kurczę, miał nadzieję, że nie. Piętnastka przynosiła mu pecha. Cheryl opuściła go

piętnastego marca, czy aby nie w Idy Marcowe? Jedyny wypadek samochodowy, w jakim uczestniczył, niegroźna stłuczka, zdarzył się na rogu Merritt Parkway i Route 15.

J, K, L, M... Super, M okazało się być *trzynastą* literą alfabetu. Ta myśl zdecydowanie poprawiła mu humor.

– Okej, widzę ją — powiedział. Wnętrze hełmu pachniało stęchlizną i Samowi nagle zabrakło tchu. Obficie się pocił. — Kartonowe pudełko po butach ze zdjętym wieczkiem.

Ukląkł, żeby mieć lepszą równowagę. Kombinezon był koszmarnie ciężki; jeśli człowiek się w nim przewrócił, często nie mógł wstać o własnych siłach. Pochylił się nad pudełkiem i rzucił do mikrofonu: — Jakieś dwieście gramów C-3 albo C-4, zapalnik czasowy z wyświetlaczem u góry. Jeśli dobrze chodzi, mamy dziesięć minut zapasu. Nigdzie nie widzę zapalnika rtęciowego.

Zapalniki rtęciowe zwykle zwiastowały kłopoty; wystarczyło lekko poruszyć ładunek, żeby doszło do detonacji.

Chociaż to, że nie było ich widać, nie znaczyło, że faktycznie ich nie ma.

Żeby się upewnić, wsunął do pudełka ołówek.

– Spróbujesz rozbroić? — zapytał Rubin.

– Nie, zapalnik wygląda na robotę fachowca. Założę się, że gdzieś jest magistrala, widzę obwód elektryczny. Nie będę niczego przecinał, tylko spróbuję wynieść to świństwo na zewnątrz... No dobra, zaczynamy. — Ujął pudełko w dłonie.

Rękawice były specjalnie wzmacniane, ale Healy wiedział, że taka ilość plastiku mogłaby rozerwać stalową osłonę. Zresztą wszyscy w tym zawodzie zdawali sobie sprawę, że ręce najtrudniej jest chronić. Jeśli coś się stało, w najlepszym razie można było pójść na dożywotnią rentę inwalidzką, a ktoś inny podpisywał za nas czeki.

Healy zmrużył oczy — na próżno — i podniósł pudełko z podłogi. Należało być przy tym bardzo ostrożnym. Z pozoru mogłoby się wydawać, że ładunek wybuchowy waży dobrych parę kilo, ale w rzeczywistości całość nie była cięższa niż pół kilograma.

– Brak czujnika ruchu — oznajmił głośno. Nozdrza wypełniała mu ostra woń jego własnego potu. Odetchnął powoli. — A może po prostu mam pewne dłonie.

– Świetnie ci idzie, Sam.

Zegar na zapalniku czasowym wskazywał siedem minut do detonacji.

Healy tyłem wycofał się do przejścia, ostrożnie badając stopami podłoże, i umieścił pudełko w chwytakach robota.

– Co za ohydna nora — zauważył.

– Dobra, przejmuję ładunek — rzucił Rubin.

Healy nie protestował. Opuścił ręce i szedł tyłem przed robotem, dopóki nie poczuł, że Rubin klepie go po ramieniu.

Rubin wyprowadził robota z kina, a następnie wjechał nim po rampie do wnętrza pojazdu przystosowanego do przewożenia ładunków wybuchowych, który ich koledzy z ekipy pirotechnicznej sprowadzili z garażu przy szóstym posterunku. Wyglądał jak mały dzwon nurkowy na kołach. Zręcznie manipulując kontrolkami pilota, Rubin umieścił pudełko w środku. Healy zaczekał, aż robot się wycofa, po czym stanął z boku przy otwartych drzwiczkach i popychając, zamknął je na tyle,

na ile się dało. Następnie zrobił szybko krok naprzód, przekręcił dźwignię i cofnął się.

Rubin pomógł mu zdjąć kombinezon.

– Jak stoimy z czasem? — zapytał.

– Została minuta do wybuchu — odparł Healy.

Rune tymczasem zdołała jakoś przedostać się przez policyjny kordon i podbiegła do Healy'ego. Ścisnęła go za ramię.

Jednym ruchem przesunął ją za siebie.

– Sam, nic ci nie jest?

– Cii. Słuchaj.

– Ale...

– Cii... — powtórzył.

Rozległ się głośny brzęk, jakby ktoś uderzył młotkiem w wytłumione serce dzwonu. Z zaworu z sykiem buchnęły dym i para. W powietrzu rozeszła się kwaśna woń gazu łzawiącego.

– C-3 — stwierdził Healy. — Wszędzie rozpoznałbym ten smród.

– Co się stało? — chciała wiedzieć Rune.

– Ładunek właśnie eksplodował.

– Masz na myśli to coś, co stamtąd wyniosłeś?. Eksplodował, tak po prostu? Sam, przecież mogłeś tam zginąć!

Z jakiegoś powodu Rubin wybuchnął śmiechem. Healy sam z trudem opanował wesołość.

Popatrzył na nią: — Jeszcze tu chwilę pobędę.

– Okej, rozumiem. — Nie podobało jej się to jego szklane, nieprzytomne spojrzenie. Przerażało ją.

– Jutro do ciebie zadzwonię. — Healy odwrócił się i zaczął rozmawiać z jakimś mężczyzną w ciemnym garniturze.

Rune już miała odejść, kiedy zauważyła walizeczkę Sama, stojącą na klapie skrzyni furgonetki.

Nie miała pojęcia, dlaczego to zrobiła. Może dlatego, że przestraszyła się jego spojrzenia, a może dlatego, że spędziła cały dzień, ustawiając niekończące się rzędy kostek domina i znosząc komentarze ograniczonych ludzi.

A może po prostu nie potrafiła łatwo rezygnować z poszukiwań; to zwyczajnie nie leżało w jej naturze, tak jak w naturze Sama Healy'ego nie leżało unikanie niebezpiecznych zadań.

Tak czy inaczej Rune błyskawicznie otworzyła walizeczkę i szybko poszukała niewielkiego notesu. Przekartkowała go, aż znalazła to, czego szukała. Zapamiętała nazwisko i adres.

Spojrzała w kierunku Healy'ego, który stał teraz w otoczeniu kilku funkcjonariuszy. Nikt jej nie zauważył — uwaga wszystkich była skupiona na przezroczystej foliowej torebce, którą trzymał Healy. Chwilę później kino wypełnił niski, teatralny głos Rune, czytającej: — „I trzeci anioł zatrąbił: i spadła z nieba wielka gwiazda, płonąca jak pochodnia, a spadła na trzecią część rzek i na źródła wód...

17

Możemy pogadać, ale nie podawaj mojego nazwiska.

Był późny wieczór tego samego dnia, a oni siedzieli na pokładzie barki Rune, sącząc piwo Michelob Light. Szczupły młody człowiek dodał: — Matka myśli, że miałem wypadek samochodowy. Gdyby się dowiedziała, jak było naprawdę...

Warren Hathaway był świadkiem, którego nazwiska szukała w notesie Sama Healy'ego. W chwili pierwszego zamachu był w kinie Velvet Venus. Rune zadzwoniła do niego z pytaniem, czy zgodziłby się na wywiad.

— Jestem chyba jedynym pechowcem, który przy pierwszej wizycie w kinie porno dał się wysadzić w powietrze... — Widząc jej kpiące spojrzenie, sprostował: — Okej, to nie był mój pierwszy raz. Ale nie jestem stałym bywalcem.

Hathaway miał około metra siedemdziesięciu wzrostu, jakieś trzydzieści lat i był mocno przy kości. Jego szyję otaczał bandaż, na ręce widniały opatrunki. Mówił tak samo głośno jak wcześniej Rune, po tym, jak była

świadkiem wybuchu. Domyśliła się, że eksplozja bomby w kinie chwilowo go ogłuszyła. — Jak mnie znalazłaś?

— Pamiętasz policjanta, który z tobą rozmawiał? Detektyw Healy. Dał mi na ciebie namiar.

Kamera była już przygotowana. Hathaway zerknął na nią niepewnie. — Możesz mi zasłonić twarz? Tak żeby nikt mnie nie rozpoznał?

— Jasne. O nic się nie martw.

Rune włączyła kamerę. — Po prostu opowiedz wszystko, co pamiętasz.

— Okej. Tego dnia przeprowadzałem audyt w wydawnictwie przy Czterdziestej Siódmej. Miałem akurat parę godzin wolnego, więc wybrałem się na Ósmą Aleję do takiego baru, który tam wcześniej widziałem. Podają fantastyczne sałatki owocowe — wyglądały na naprawdę

świeże i pyszne. Wiesz, wielkie kawałki arbuza... Nagle zobaczyłem to kino i pomyślałem: „Cholera, a właściwie... Czemu by nie?" — Pociągnął łyk piwa. — No i wszedłem do środka.

– Jakie było twoje pierwsze wrażenie?

– Przede wszystkim okropny syf. Śmierdziało moczem i jakimś środkiem dezynfekującym. Na widowni sami wielcy faceci, przeważnie czarni... Patrzyli na mnie jak na chodzący deser. Chciałem jak najszybciej usiąść. W całym kinie było góra dziesięć osób, z czego połowa spała. Bez problemu znalazłem wolne miejsce. Leciał jakiś koszmarny film — nawet nie film, tylko jakieś nagranie wideo. Obraz był tak niewyraźny, że prawie nic nie było widać. Po chwili stwierdziłem, że nic tu po mnie, i wstałem. W tym samym momencie nastąpił potężny błysk, rozległ się ogłuszający huk, a ja pamiętam tylko tyle, że obudziłem się w szpitalu głuchy jak pień.

– Ile czasu byłeś w środku?

– W sumie? Może z pół godziny.

– Zdążyłeś się przyjrzeć ludziom na widowni?

– A jakże. Specjalnie się rozglądałem, żeby nikt mnie nie obrobił. Paru gości wyglądało na robotników z doków. Byli też transwestyci, no wiesz, prostytutki. — Hathaway odwrócił wzrok od Runę i pracującej kamery.

Runę skinęła głową ze zrozumieniem. Przeszło jej przez myśl, że Warren Hathaway może więcej wiedzieć o prostytutkach-transwesty- tach, niż chciałby to przyznać.

– Nie zauważyłeś przypadkiem nikogo w czerwonej wiatrówce?

Hathaway przez chwilę się zastanawiał. — Wydaje mi się, że chyba widziałem tam kogoś w czerwonej kurtce. I w kapeluszu.

– Z szerokim rondem?

– Tak. Dziwny gość, strasznie wolno się poruszał. Pomyślałem, że to jakiś starszy facet.

Starszy facet? — zdziwiła się Rune i zaraz zapytała: — Widziałeś go, jak wychodził z kina?

– Chyba tak, ale głowy nie dam.

– Ile mógł mieć lat?

– Przykro mi. Nie mam pojęcia.

– Mógłbyś go jakoś dokładniej opisać?

Hathaway pokręcił głową. — Niestety. Nie zwróciłem na niego większej uwagi. Kim ty właściwie jesteś, reporterką?

– Robię film o dziewczynie, która zginęła w drugim zamachu. O Shelly Lowe.

Obok nich przepłynęła motorówka. Odprowadzili ją wzrokiem.

Hathaway spytał: — Ale to nie było w kinie, prawda?

– Nie. Ktoś podłożył bombę w wytwórni filmów dla dorosłych.

– Okropne, do czego niektórzy się posuwają, żeby coś udowodnić. Ludzkie życie jest dla nich mniej ważne niż deklaracje polityczne albo... — Urwał, po czym dodał z uśmiechem: — Strasznie się zrobiło poważnie. Matka stale mi powtarza, że jestem za poważny i powinienem się rozluźnić. Wyobraź sobie, że słyszysz coś takiego od własnej matki.

– Moja na pewno tak nie mówi.

Mężczyzna popatrzył w obiektyw kamery. — Więc chcesz kręcić filmy, tak? — Zmrużył oczy z zaciekawieniem. — A wiesz chociaż, jaki jest w tej branży ZZI?

– ZZI?

– Zwrot z inwestycji.

Księgowi mieli najwidoczniej takiego samego bzika na punkcie skrótów, co policjanci. Rune odparła: — Zajmuję się stroną kreatywną, a kwestie finansowe pozostawiam innym.

– Jaki jest w ogóle rynek na filmy dokumentalne?

Opowiedziała mu o niezależnej dystrybucji, kinach studyjnych, publicznych stacjach telewizyjnych i nowym, ale szybko rozwijającym się rynku telewizji kablowej.

– Zresztą taki film, jak ten, to chyba nie jest poważna inwestycja. — zadumał się Hathaway. — Pewnie łatwo jest kontrolować budżet. Koszty pośrednie są raczej niskie. Weźmy chociażby takie

środki trwałe — w twoim przypadku praktycznie ich nie ma. Sprzęt możesz wziąć w leasing, amortyzacja nie będzie zbyt wysoka, może z wyjątkiem droższego wyposażenia... Jak będziesz sprytna, możesz mieć świetny wynik finansowy. — Hathaway wpatrywał się w wieczorne niebo, jakby zamiast gwiazd miał przed oczami wielki arkusz kalkulacyjny. — Jeśli twój film odniesie sukces, możesz liczyć na spore zyski netto.

Dopili piwo i Rune wstała, żeby przynieść więcej. Przy okazji wyłączyła kamerę. Mężczyzna zagadnął: — Niewiele ci pomogłem, co?

Starszy facet w czerwonej wiatrówce...

– No skąd, byłeś bardzo pomocny — zapewniła go.

Kiedy wróciła z piwem, poczuła na sobie jego wzrok i już wiedziała, że nadchodzi Pytanie przez duże „P". Nie była w stanie powiedzieć,

jaką przybierze formę, ale jako samotna młoda kobieta w Nowym Jorku mogła się założyć o tysiąc dolarów, że Hathaway zamierza je zadać.

Zgodnie z jej przewidywaniami pociągnął łyk piwa i odchrząknął. — Słuchaj, nie wybrałabyś się ze mną na pizzę albo coś w tym rodzaju?

A więc tym razem była to wersja z pizzą. Typowe.

– Jestem dziś wykończona...

Co z kolei było jedną z typowych odpowiedzi. Ale zaraz dodała:

– *Naprawdę* padam z nóg. Może kiedy indziej?

Uśmiechnął się z zakłopotaniem, co jej się spodobało. — Rozumiem. Czy ty... hm, masz kogoś?

Przez chwilę się zastanawiała, zanim odparła: — Nie mam zielonego pojęcia!

Hathaway wstał, uścisnął jej dłoń jak dżentelmen, na jakiego prawdopodobnie wychowała go matka, i powiedział: — Spróbuję się czegoś dowiedzieć o finansowaniu filmów dokumentalnych. — Coś mu przyszło do głowy i uśmiechnął się. — Nawet jeśli to będzie klapa, będziesz sobie mogła odpisać straty od podatku.

Chyba nie na wiele ci się przydam — usłyszała nazajutrz od Nicole D'Orleans.

– Chodzi o kogoś ubranego w czerwoną wiatrówkę albo kurtkę. Kogokolwiek. Aha, na głowie powinien mieć kapelusz, taki kowbojski. Mógł kręcić się po planie, być fanem Shelly albo kimś, kogo znała...

Nicole pokręciła głową.

– Napadł na mnie na przystani, zaraz po pierwszej rozmowie z Shelly. Potem widziałam go jeszcze raz chwilę po tym, jak

Shelly zginęła, przed budynkiem studia Lame Duck. Poza tym gadałam ze świadkiem pierwszego zamachu — wydaje mu się, że widział kogoś takiego wychodzącego z kina na moment przed wybuchem bomby. Nie potrafił powiedzieć, w jakim był wieku. Może coś ci przychodzi do głowy?

– Przykro mi, ale...

Rozległ się dzwonek do drzwi i Nicole poszła otworzyć.

Wróciła w towarzystwie Tommy'ego Savorne'a, byłego chłopaka Shelly.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się Rune w oczy, była sprzączka paska w kształcie Teksasu.

Pomyślała o Samie Healym, który do tej pory do niej nie zadzwonił.

Nie myśl o nim teraz...

Tommy bezwiednie pocierał kciukiem sprzączkę. Metalowy języczek sterczał dokładnie w miejscu, gdzie znajdowało się Dallas.

– Cześć... — Uśmiechnął się i zmrużył oczy, jakby chciał dodać: „Wybacz, ale zapomniałem, jak się nazywasz".

Wyciągnęła do niego rękę, mówiąc: — Rune.

– Rune, jasne. Jak idzie praca nad filmem?

– Powoli, ale robię postępy.

Tommy zwrócił się do Nicole: — Świetnie dziś wyglądasz.

Na chwilę zapadła cisza.

Dwoje to para, troje to już tłok. Rune podniosła się.

– Lepiej już pójdę. I tak spóźnię się do roboty.

– Nie, dlaczego? Zostań — rzucił Tommy. — Wpadłem tylko na moment, żeby zapytać o coś Nicole. Ale może ty też będziesz zainteresowana. Nie potrzebujesz przypadkiem pracy, Rune?

– Chyba nie powinnam brać niczego nowego. Ledwo radzę sobie z tą, którą mam — odparła.

– A co miałabym robić? — zainteresowała się Nicole.

– Przygotowuję wideo o tym, jak przygotowywać wegetariańskie przystawki, i potrzebuję szefa kuchni.

Rune pokręciła głową. — Rozmawiasz z niewłaściwą osobą. Chyba że mówimy o mrożonkach.

– No, nie wiem — zastanawiała się Nicole. — A musiałabym coś, no wiesz, mówić?

– Nie przed kamerą. Trzeba tylko mieszać ze sobą składniki: czosnek, awokado, kiełki, masło orzechowe... Oczywiście, nie wszystko na raz. To naprawdę świetne przepisy. Zgódź się, skarbie, zobaczysz, będzie fajnie. To jedna z moich inforeklam.

– Na pewno nie trzeba się uczyć tekstu na pamięć?

Tommy odparł: — Skąd, dajemy tekst z offu. Ty tylko pichcisz, a my później dogrywamy komentarz. Możesz mieć tyle ujęć, ile będzie trzeba.

Nicole żerknęła na Rune. — Na pewno nie chcesz?

Tommy spojrzał na nią z nadzieją. — Słowo daję, przydałybyście się obie.

– Już teraz nie wiem, w co ręce włożyć.

– I zapłaciłbyś mi? — upewniła się Nicole.

– Pewnie. I to nie związkową stawkę. Klient jest gotów wyłożyć stówę za godzinę dobrej roboty. Ze wszystkimi przygotowaniami i powtórkami całość potrwa góra trzy godziny.

– A co z moimi paznokciami? — Nicole rozcapierzyła palce z długimi na dwa i pół centymetra paznokciami w kolorze sjeny palonej.

– Daj spokój — skarcił ją żartobliwie Tommy. — Szukasz dziury w całym.

– Śmiało, Nicole — zachęciła ją Rune.

Pociągnięte błyszczykiem wargi rozciągnęły się w uśmiechu. — Nareszcie film, w którym zagram ubrana... Matka od lat suszy mi o to głowę. — Wyciągnęła rękę do Tommy'ego, groźnie błysnęły zabójcze paznokcie. — Umowa stoi — powiedziała i oboje wymienili uścisk dłoni, jakby właśnie podpisali kontrakt na milion dolarów.

– Jutro wieczorem może być? — zapytał. — I pojutrze?

– Jasne, byle wieczorem, bo w ciągu dnia mam zdjęcia. Gdzie jest to twoje studio?

– Nie wynajmuję studia, kręcimy w plenerach. No, możemy to zrobić u ciebie. Masz fantastyczną kuchnię. — Tommy jeszcze raz popatrzył pytająco na Rune. — Na pewno nie zmienisz zdania?

– Może kiedy indziej.

– Trudno... To na razie. — Tommy cmoknął Nicole w policzek. Pomachał Rune na pożegnanie i wyszedł, nie czekając, aż gospodyni odprowadzi go do drzwi.

Rune zagadnęła: — Przystojny facet, samotny i na dodatek gotuje. Czego chcieć więcej?

Ale Nicole miała niewyraźną minę.

– Coś się stało?

– Nie.

– Nicole, o co chodzi?

Po chwili wahania odparła: — O tę robotę u Tommy'ego.

– Co z nią?

– Mam nadzieję, że to wypali. I że niczego nie spieprzę.

– Na pewno sobie poradzisz.

– Wszystko bym dała, żeby wyrwać się z branży.

– Myślałam, że to lubisz.

Nicole podeszła do kanapy i usiadła. — Oglądałaś wczoraj wiadomości? Jakieś babki pikietowały przed kinem wyświetlającym pornosy. Wygadywały okropne rzeczy. Nad wejściem było moje nazwisko. Nie mówiły tego konkretnie o mnie, **ale** nazwisko i tak było widać. **Jedna**

powiedziała, że to przez nasze filmy kobiety są gwałcone, a dzieci molestowane. A inna, że przez nas ruch wyzwolenia kobiet cofnął się o dwadzieścia lat. I tak dalej, i tak dalej... Czułam się straszliwie winna.

Znienacka się rozpłakała.

Rune chwilę się zastanawiała. Jej dłoń spoczęła na kamerze. Obiektyw był wycelowany prosto w Nicole.

Odwracając wzrok, kobieta powiedziała: — Nie chcę nikomu robić krzywdy. Nie chcę ranić ludzi. Ale przecież tamci w kinie zginęli, bo przyszli mnie oglądać. A może kiedyś jakiś facet zobaczy któryś z moich filmów, poderwie sobie dziwkę i złapie AIDS. To takie okropne... — Spojrzała na Rune. Po policzkach płynęły jej łzy. — Kłopot w tym, że tylko to potrafię robić. Potrafię się kochać, ale poza tym jestem zupełnie do niczego. Już próbowałam i nic z tego... To paskudne uczucie, nienawidzić jedynej rzeczy, w której jest się dobrym.

Rune ostrożnie dotknęła jej ramienia. Musiała uważać, żeby jej ręka nie weszła w kadr terkoczącej cicho kamery.

Właścicielem kina przy Czterdziestej Siódmej Ulicy między Broad- wayem a Osmą był pięćdziesięciodwuletni imigrant z Bombaju, od dwunastu lat w Stanach.

Razem z żoną i dziećmi ciężko pracowali, imając się różnych zajęć: najpierw był to kiosk z gazetami, potem wózek z hot dogami, a jeszcze później sklep z butami w Queens. Kolejny sklep, tym razem z elektroniką na Brooklynie, okazał się chybioną inwestycją i pochłonął znaczną część rodzinnych funduszy. Rok wcześniej znajomy dał mu cynk, że jest do kupienia kino. Po kilku wstępnych rozmowach, uciążliwych negocjacjach oraz

wypłaceniu bajońskich sum prawnikowi i księgowemu podpisał wreszcie umowę leasingową, wchodząc w posiadanie wyposażenia oraz czegoś, co prawnik nazywał renomą firmy i co miało stanowić jedno z aktywów, ku niebotycznemu zdumieniu Hindusa.

W ten sposób drobny, śniady mężczyzna stał się właścicielem Różowego Kociaka — kina z widownią na osiemset osób przy Times Square. Chociaż dawniej używano w nim standardowych podwójnych 35-milimetrowych projektorów, obecnie filmy wyświetlane były z projektora wideo, w związku z czym ich ostrość pozostawiała wiele do życzenia, a aktorów i aktorki spowijała rozmyta, tęczowa poświata.

Przez pewien czas eksperymentował z cenami biletów, dopóki nie przekonał się, że maksymalna kwota, jaką klienci są skłonni zapłacić

za seans w ciągu dnia, wynosi dwa dolary dziewięćdziesiąt dziewięć centów — chociaż po dziesiątej wieczorem rosła do czterech dziewięćdziesięciu dziewięciu. Ponieważ czynne przez okrągłą dobę kino pełniło jednocześnie rolę schroniska dla bezdomnych, właściciel odkrył, że niektórzy wolą wysupłać o dwa dolary więcej, byle móc się przekimać do wtóru gardłowych pojękiwań *Zmysłowych kociaków* czy *Żądzy od pierwszego ugryzienia*.

Biletów tutaj nie sprzedawano; widzowie płacili rezygnując z jed- nocentowej reszty, i byli przepuszczani przez bramkę. Następnie wchodzili na salę, mijając po drodze automat do napojów gazowanych nieczynny od 1978 roku.

W mroku widowni odbywały się czasami schadzki, pomimo tablic podkreślających ich nielegalny charakter i ostrzegających przed AIDS. Spotkania te były jednak dyskretne, a transwestyci i przeważnie ciemnoskóre oraz latynoskie dziwki, inkasujący dwadzieścia dolców za swoje wymuszone usługi, zwykle zabierali klientów na balkon, gdzie nie zapuszczali się nawet gliniarze z obyczajówki.

Pomimo mało zachęcających warunków, kino przynosiło jednak dochód. Największe wydatki pochłaniał czynsz. Właściciel i jego żona (oraz od czasu do czasu jakiś kuzyn z olbrzymiego grona przyjezdnych krewnych) na zmianę siedzieli w kasie, obniżając w ten sposób koszty prowadzenia interesu. Projekcje wideo zwalniały ich z kolei z konieczności zatrudniania związkowego operatora.

Właścicielowi udało się także uniknąć jednego z największych finansowych obciążeń, na jakie uskarżała się większość kin. Zgodnie z ustawą o prawie autorskim

był zobowiązany uiszczać opłaty licencyjne za pokaz każdego filmu, nie wyłączając pornosów, czego, rzecz jasna, nie robił. Zamiast tego kupował trzy kasety wideo po czternaście dziewięćdziesiąt pięć sztuka w kiosku z czasopismami dla dorosłych przy Ósmej Alei, wyświetlał je przez tydzień, a potem zwracał. Właściciel kiosku, imigrant z Pakistanu, oddawał mu potem pięć dolarów za każdy taki film, po czym wystawiał je ponownie na sprzedaż za okrągłe czternaście dziewięćdziesiąt pięć.

Było to oczywiście niezgodne z prawem federalnym, zarówno cywilnym, jak i karnym, ale ani FBI, ani producenci filmów nie zaprzątali sobie głowy takimi płotkami, jak on.

Dokonując wyboru repertuaru dla swojego kina, mężczyzna nie okazywał szczególnego entuzjazmu, ale i nie uważał, żeby był to powód do wstydu. Ostatecznie *Kamasutra* została spisana w jego ojczystym

kraju. Sam również nie stronił od seksu; miał jedenaścioro rodzeństwa i siedmioro dzieci. Nie, jedynym powodem do wstydu była dla niego zbyt niska marża zysku. Gdyby wynosiła chociaż o pięć czy sześć procent więcej, byłby zupełnie szczęśliwy.

Tego dnia siedział w kasie, paląc i rozmyślając o potrawce z jagnięciny, którą żona szykowała na kolację w ich mieszkaniu w Queens. Z sali co jakiś czas dobiegały go gniewne pokrzykiwania. Klienci byli tym, co go w tej pracy najbardziej przerażało. Do kina zaglądało wielu narkomanów i takich, którzy zjawiali się po trzecim, czwartym piwie. Byli rośli i potężni — tacy, co to mogą człowiekowi raz, dwa skręcić kark. Kilka razy zdarzyło mu się wezwać na pomoc policję, ale w lot pojął, że o ile nie ma do czynienia z nożownikiem albo kimś uzbrojonym w broń palną, policja nie kiwnie nawet palcem.

Ponieważ sprzeczka na sali nie milkła, poszperał chwilę pod ladą i wyciągnął półmetrową rurkę, zatkaną z obu końców i wypełnioną łożyskami kulkowymi. Taka domowej roboty pałka policyjna. Chwycił ją w garść i wszedł na widownię.

Na ekranie biuściasta blondynka mówiła właśnie, że w łóżku nie próbowała jeszcze tylko jednego i pytała swojego partnera, czy ten nie mógłby jakoś temu zaradzić. Mężczyzna wydawał się więcej niż chętny, ale jego odpowiedź zagłuszyły podniesione głosy dochodzące z pierwszego rzędu.

– Co ty sobie, kurwa, myślisz? To moje!

– Takiego wała. Sam je tu zostawiłem.

– Gówno prawda! Jakie zostawiłem, stary? Siedziałeś trzy rzędy dalej, może nawet cztery. Na własne oczy *widziałem!*

Właściciel uznał za stosowne się wtrącić: — Trochę ciszej. Co tu się dzieje? Jak nie usiądziecie spokojnie, wzywam policję.

Obaj mężczyźni byli czarni. Jeden, bezdomny, miał na sobie jakieś brudne łachmany. Drugi był ubrany w brązowy uniform kuriera. W rękach trzymał zawiniętą w papier paczkę wielkości pudełka po butach. I jeden, i drugi spojrzeli na Hindusa z góry — obaj przewyższali go wzrostem — po czym po kolei przedstawili swoje argumenty, jakby byli w sądzie.

Zaczął bezdomny: — Ukradł mi paczkę. Zostawiłem ją i wyskoczyłem się odlać, a ten...

— Kurwa, człowieku, łżesz jak pies. Widziałem, jak jakiś kolo wszedł, obejrzał z dziesięć minut filmu i wyszedł. A paczka została, fa

cet, sam widziałem. Tamten gość ją tu zostawił, więc teraz jest moja. Tak mówi prawo.

Bezdomny próbował wyrwać mu paczkę, ale długie ręce kuriera trzymały pudełko — pudełko po butach — daleko poza jego zasięgiem. — Spadaj, koleś!

Właściciel przerwał im: — Ktoś to tutaj zostawił? To na pewno zaraz wróci. Ja to wezmę. Co to był za jeden?

Kurier odparł: — A skąd mam, kurwa, wiedzieć? Jakiś białas. Ja je znalazłem, a prawo mówi, że co znalezione, to twoje, człowieku.

Właściciel wyciągnął rękę po pudełko. — Nie, nie. Oddajcie to mnie.

Na co zaprotestował bezdomny: — No przecież mówię, że to moje. Oddawaj...

Stali tak we trzech, gniewnie gestykulując i wyciągając ręce po paczkę, kiedy znajdujące się w środku czterysta gramów C-3 eksplodowało. Prędkość wybuchu wyniosła niemal pięć tysięcy kilometrów na godzinę i błyskawicznie zmieniła całą trójkę w kawałki ważące nie więcej niż kilka kilogramów. Kinowy ekran zniknął, pierwsze cztery rzędy foteli zmieniły się w stos drzazg i odłamków, a podłoga zakołysała- ła się od eksplozji, której siłę dało się odczuć jeszcze półtora kilometra dalej.

Z hukiem wybuchu zmieszał się świst strzelających we wszystkie strony kawałków drewna i metalu, które przecinały powietrze na podobieństwo kul.

Po czym równie niespodziewanie zapadła cisza, a ciemności wypełnił gęsty dym.

W kinie nie ostała się ani jedna żarówka, jednak pod sufitem wciąż kołysało się zielonkawe światełko. Była to kontrolka magnetowidu — dużego, czarnego pudła

zwisającego na grubym kablu w miejscu, gdzie wcześniej znajdowało się pomieszczenie projekcyjne. Po chwili zgasła, a wtedy zapaliła się inna, żółta, informująca o tym, że *Zabawy od tyłu, część III* właśnie się skończyły i teraz lecą *Niegrzeczne cheerleaderki*.

18

Detektyw Sam Healy leżał na kanapie i myślał o kobietach swojego życia.

Nie było ich zbyt wiele.

Kilka typowych studenckich romansów.

Zanim poznał Cheryl, mieszkał z jedną kobietą, a tuż przed zaręczynami zdarzył mu się skok w bok.

Po ślubie zaliczył jeden niewinny flirt — skończyło się na paru drinkach — a i to tylko dlatego, że Cheryl chyba po raz setny poinformowała go, jakim miłym i wrażliwym mężczyzną jest facet rozbudowujący im sypialnię.

Trzeba jednak przyznać, że była mu wierna. Tego akurat był pewien. W pewnym sensie nawet żałował, że go nie zdradzała. Miałby wtedy wymówkę, żeby odegrać Johna Wayne'a: kopniakiem wywalić drzwi, trochę ją sponiewierać, a po wszystkim mogliby paść sobie w ramiona, wyznając wzajemną, dozgonną miłość.

Tyle że w dzisiejszych czasach taki numer by nie przeszedł. Weźmy takiego *Spokojnego człowieka* — Maureen O'Hara wezwałaby gliny zaraz po tym, jak John Wayne by ją tknął, i stary twardziel skończyłby na dołku z zarzutami napaści drugiego stopnia oraz stosowania gróźb karalnych trzeciego stopnia.

Czasy się zmieniły.

A Cheryl...

Zdał sobie sprawę, że już od dobrych dziesięciu minut nie patrzy na ekran telewizora, i wyłączył magnetowid.

Napalone siostrzyczki okazały się niestety nudną chałą.

Znalazł drugiego pilota, tego od telewizora, i przełączył na mecz. Pora coś zjeść. Wszedł do kuchni, zajrzał do lodówki, wyjął jedną z trzydziestu sześciu chłodzących się tam puszek piwa i otworzył. Na kromce pełnoziarnistego chleba położył cztery plasterki żółtego sera

(cztery ze stu dwudziestu ośmiu) i dołożył majonezu z litrowego słoika. Następnie przykrył całość drugą kromką.

Tego ranka Sam Healy był na zakupach.

Wrócił do salonu i stanął w oknie, spoglądając na wyludniony Queens. W budynku naprzeciwko widać było poruszające się za zasłonami sylwetki. Ten widok go przygnębił. Na meczu też nie mógł się skoncentrować; Metsi byli jeszcze mniej zajmujący niż obie napalone siostrzyczki razem wzięte.

Spojrzał na okładkę kasety i doszedł do wniosku, że nie lubi pornosów. Oglądanie ich było równie interesujące, jak obserwowanie kogoś, kto zajada stek. Poza tym nie podobał mu się ostry, wyzywający makijaż i dziwaczna bielizna aktorek. Wyglądały w niej sztucznie, jak ma

nekiny: koronkowe rękawiczki bez palców, podwiązki, czarne skórzane staniki, pomarańczowe kabaretki...

I nie znosił silikonowych cycków.

Podobały mu się kobiety takie jak Cheryl.

I takie jak Rune.

Czy były do siebie podobne? Raczej nie. Dlaczego więc obie miałyby go pociągać?

U kobiet cenił sobie niewinność i urodę... Ale czy Rune można było nazwać niewinną? W końcu pożyczyła mu *Napalone siostrzyczki*, jaki z tego wniosek?

Tak czy inaczej, Sam Healy uważał, że nie mógłby być z kimś takim jak ona. Kiedy widzieli się po raz ostatni, obiecał, że do niej zadzwoni. Ale za każdym razem, gdy chciał podnieść słuchawkę, coś go przed tym powstrzymywało. Wydawało mu się, że tak będzie lepiej. Bardziej po stoicku i bezpieczniej dla niego. No przecież to wszystko było śmiechu warte! Jak ona się ubierała? I te trzy zegarki na ręku. Posługiwała się tylko imieniem, oczywiście fałszywym, czymś w rodzaju pseudonimu scenicznego. A na domiar złego była od niego prawdopodobnie o jakieś piętnaście lat młodsza.

No nie. Znów ta przeklęta piętnastka.

W ogóle nie ma o czym mówić.

Poza tym bawiła się w detektywa, co strasznie go wkurzało. Porządni obywatele, naoglądawszy się telewizyjnej papki, często próbowali zgrywać dzielnych policjantów i w rezultacie tracili życie, ewentualnie przytrafiało się to komuś z ich bliskich.

Dlaczego w takim razie bez przerwy o niej myśli? Dlaczego się z nią spotykał?

Żeby Cheryl, jego już wkrótce była żona, która regularnie umawiała się z innymi facetami, miała być o kogo zazdrosna?

Bo Rune była seksowna?

Bo podobały mu się młodsze kobiety?

Bo...

Dzwonek telefonu.

Sam podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Sam? — Dzwonił koordynator akcji specjalnych szóstego posterunku, drugi po komendancie w hierarchii dowodzenia.

– Cześć, Brad. Co jest?

– Powtórka z rozrywki.

– Miecz Jezusowy?

– Aha. Czterdziesta Siódma niedaleko Ósmej. Przed chwilą był wybuch.

Chryste Panie. Musieli się czuć naprawdę bezkarni, atakując w odstępie jednego dnia.

— Stopień zniszczeń?

– Na zewnątrz nikt nie zginął, ale w środku... Istna jatka.

– Ten sam sposób działania?

– Na to wygląda. Bierz się za to, byle prędko.

Healy zawahał się. Nie miał ochoty owijać w bawełnę. — Myślałem, że nie chcecie tego rozgrzebywać.

Po drugiej stronie na chwilę zapadło milczenie. Koordynator najwyraźniej nie spodziewał się tego rodzaju komentarza. — Chodzi o to, że... Cóż, sprawa zrobiła się trochę polityczna.

– Polityczna?

– No wiesz, burmistrz chciałby zobaczyć sprawców za kratkami.

– Jasne – odparł Healy. — Są jacyś świadkowie?

Odpowiedzią był gorzki śmiech. — Tak, w kawałkach. Tym razem gnoje musieli użyć z pół kilo plastiku.

Sam Healy rozłączył się i wciągnął dżinsową kurtkę. Był już przy windzie, kiedy przypomniał sobie o pistolecie. Wrócił do domu, po czym przez trzy długie jak wieczność minuty czekał na windę. Wreszcie drzwi otworzyły się. Sam wszedł do środka i spojrzał na zegarek. Przynajmniej pora była dobra: Rune na pewno siedzi teraz w pracy i nieprędko dowie się o zamachu. Spokojnie zdąży zakończyć oględziny i zabezpieczyć teren, zanim ona się tam zjawi.

Po raz pierwszy miał tego rodzaju problemy z dziewczyną — żadna inna nie usiłowała węszyć na miejscu przestępstwa.

W tym samym czasie Rune siedziała w metrze i rozmyślała o facetach.

Tych starszych i tych młodszych.

Jej ostatni chłopak, Richard, był prawie w jej wieku, ledwie kilka lat starszy. Wysoki i chudy, o pociągłej, smagłej, francuskiej twarzy, która robiła furorę zarówno wśród hetero jak i homoseksualnej populacji Nowego Jorku (kiedy musiała zostawić Richarda samego w knajpie, na przykład żeby pójść do toalety, po powrocie zastawała go przy barze, gdzie rozanielony barman serwował mu darmowe drinki).

Byli razem około pół roku. W tym czasie Rune świetnie się bawiła, chociaż pod koniec już przeczuwała, że nic z tego nie będzie. Zauważy

ła, że coraz bardziej nużą go jej pomysły na randki: pikniki pod wielkimi klimatyzatorami na dachu śródmiejskiego biurowca, zabawy z dobermanami na jej ulubionym złomowisku w Queens, wyprawy w miasto w poszukiwaniu miejsc słynnych gangsterskich porachunków. Kilkakrotnie rozmawiali o tym, żeby się pobrać, ale żadne z nich nie traktowało tego poważnie. W końcu Richard stwierdził: — Problem w tym, że chyba się zmieniłem. Nie fascynuje mnie już to, co dziwaczne. Natomiast ty...

— Staję się coraz bardziej dziwaczna?

— Nie o to chodzi. Powiedziałbym, że po prostu stajesz się coraz bardziej sobą.

Rune uznała to za komplement, ale niedługo potem i tak się rozstali. Nadal do siebie dzwonili i od czasu do czasu wychodzili razem na piwo. Rune życzyła mu jak najlepiej. Jednocześnie poprzysięgła sobie, że jeśli Richard ożeni się z tą wysoką blondyną z agencji reklamowej, z którą się obecnie spotykał, w prezencie ślubnym podaruje im ponad- metrową wypchaną iguanę, którą już dawno upatrzyła sobie w sklepie ze starociami na Bleecker Street.

Faceci starsi, młodsi...

W gruncie rzeczy nie chodziło o wiek, tylko o stan umysłu.

Matka powiedziała jej kiedyś — podczas jednego z opartych na własnych doświadczeniach niespójnych monologów dotyczących życia dorastających dziewcząt w wieku od lat dwunastu do osiemnastu — że starsi mężczyźni mogą chcieć od niej tylko jednego, Rune przekonała się jednak na własnej skórze, że tego samego chcą od niej *wszyscy* mężczyźni bez względu na wiek. Ze starszymi było o tyle bezpieczniej, że zwykle wcześniej morzył ich sen. W

najgorszym razie zawsze można ich było odstraszyć opowieściami o seksualnych akrobacjach jurnego dwudziestoletniego kochanka, który całymi nocami nie pozwala ci zmrużyć oka.

Nie, żeby miała ochotę przepłoszyć Healy'ego. Wręcz przeciwnie, uważała, że jest cholernie seksowny. Szkoda tylko, że nie zwiększał tempa; naprawdę mógłby sobie darować te szczeniackie podchody i przejść wreszcie do rzeczy. Może troszkę przesadziła, pożyczając mu *Napalone siostrzyczki*, ale sprawiał wrażenie stuprocentowego dżentelmena, a ona chciała się dowiedzieć, co tkwi pod spodem.

tylko co zrobić z seksownym dżentelmenem, który nie dzwoni, chociaż obiecał?

Pociąg zatrzymał się na stacji, Runę wysiadła i po stromych schodach wyszła na ulicę, a następnie skierowała się na zachód.

Zastanawiała się, czy w tym, co czuje do Sama, nie ma przypadkiem czegoś freudowskiego. Obraz ojca i tym podobne. Albo kompleks Edypa...

Fakt, że był od niej sporo starszy.

Był też policjantem.

A matka chyba kopnęłaby w kalendarz, gdyby się dowiedziała.

Ale mimo to...

W delikatesach kupiła karton czekoladowego mleka i paczkę ciastek — miało jej to zastąpić lunch — po czym przeszła jeszcze pół przecznicy i usiadła na hydrancie, pociągając mleko z kartonu przez wygiętą słomkę.

Nagle przypomniała sobie, że Healy jest żonaty. To mógł być powód, dla którego nie zadzwonił.

Nie miała wątpliwości, że mu się podoba — potrafiła wyczuć takie rzeczy — ale pewnie on wciąż kochał swoją żonę.

Jeśli chodziło o facetów, jednego nie potrafiła zrozumieć: dlaczego traktują związek jak swój prywatny biznes. Wbijali sobie do głowy, że skoro zainwestowali już w kogoś tyle czasu, to głupotą byłoby zbyt łatwo się poddać. Ta żona — jak jej tam? Cheryl — na pewno okaże się totalną zdzirą i puści go w skarpetkach. Armia prawników-krętaczy będzie pracować dzień i noc, żeby wycisnąć z niego alimenty, podczas gdy ona będzie się stroić w orientalne jedwabie i puszczać na prawo i lewo. Na pewno zaniedbywała Adama i zamykała go w piwnicy, a sama uprawiała dziki seks z kochankami na podłodze w bawialni...

Modliszka, zwyczajna modliszka!

Sam powinien ją jak najszybciej rzucić.

W słomce zabulgotały ostatnie krople mleka, kiedy zza rogu wypadła furgonetka, minęła ją i zwolniła. Kierowca wrzucił wsteczny, cofnął się z piskiem opon i zatrzymał tuż przed nią.

Silnik jeszcze przez chwilę pracował na jałowym biegu, po czym zgasł. Z samochodu wysiadł Sam Healy. Spojrzał na Runę, potem na dymiące zgliszcza Różowego Kociaka i znowu na Runę. Podniosła z chodnika kamerę i podeszła do niego.

— Ale jak... — zaczął i urwał.

Runę podniosła w górę niewielki czarny przedmiot. — Fantastyczny wynalazek. Policyjny odbiornik radiowy. Dziennikarze korzystają

z nich, żeby jako pierwsi zdobyć gorący temat. Usłyszałam wezwanie. Kod dziesięć trzydzieści trzy.

W kącikach jego warg pojawił się uśmiech i tym razem Sam nie zdołał go powstrzymać. — Nie powinno cię tutaj być. Ale mówiłem to już tyle razy, że na przyszłość chyba sobie daruję.

— Współczuję też kłopotów w domu.

Sam zmarszczył brwi i pokręcił głową. — Jakich kłopotów?

— Chyba popsuł ci się telefon i jesteś odcięty od świata.

Miała wrażenie, że się zaczerwienił, ale jeśli nawet, to i tak nie wyglądał na zawstydzonego. — Wybacz. Powinienem był zadzwonić.

Żadnych wymówek. To jej się spodobało. — Wkurzyłabym się — odparła — gdyby nie to, że mimo wszystko wyglądasz na ucieszonego moim widokiem.

— Może naprawdę jestem.

Zza gruzów kasy kina dobiegł ich czyjś głos: — Sam, jesteś wreszcie.

Odwrócili się. Runę odetchnęła z ulgą, widząc, że tym razem nie jest to Brązowy Garnitur. Umundurowany policjant leniwie im pomachał i zawołał: — Komendant batalionu kazał ci przekazać, że już można wchodzić do środka. Podłączyliśmy oświetlenie, chociaż prawdę mówiąc nie ma tam czego oglądać.

— Mogę? — poprosiła Runę.

Healy nie odwrócił wzroku od fasady budynku.

— Proszę...

— Jeżeli coś ci się stanie, mogę stracić pracę.

— Nic mi się nie stanie. Jestem twarda. Zawsze odbijam się od dna.

Ściągnął wargi, co miało zastąpić zniecierpliwione westchnienie, i skinął głową w sposób, który mógł oznaczać wszystko, ale Rune wiedziała, że znaczy: „Zamknij się i właź do środka".

– Tylko wyłącz kamerę.

– Daj spokój...

– Koniec gadania!

– No dobra, niech ci będzie.

Przez następną godzinę wspólnie przeczesywali zgliszcza. Rune co chwilę podbiegała do Healy'ego z jakimś kawałkiem metalu, drutem albo śrubą w ręce, a on tłumaczył jej, że to część obudowy fotela, fragment przewodu elektrycznego albo jakiś element hydrauliki.

– Ale przecież to jest doszczętnie spalone. Myślałam...

– Wszystko tutaj jest spalone.

– Co racja, to racja — odpowiadała i wracała do swoich poszukiwań.

Tymczasem kupka „ważnych śmieci Sama", jak nazwała ją w myślach Rune, systematycznie rosła, powiększając stertę plastikowych torebek pod tabliczką „Wyjście awaryjne".

– Nic nie znalazłam. Nic!

– Tym razem nie było listu — zauważyła po chwili.

– Ale MO było takie, jak za pierwszym razem.

– *Modus operandi*. Sposób działania przestępcy. — Rune nie omieszkała pochwalić się swoją wiedzą.

– Jako materiału wybuchowego użyto C-3 z zapalnikiem czasowym. Zdajesz sobie sprawę, że te dwa kolejne zamachy obalają twoją teorię, jakoby ktoś chciał zatuszować morderstwo Shelly? Nikt nie będzie podkładał bomb w nieskończoność, żeby ukryć jedno zabójstwo.

– A dlaczego nie? Jeśli to jakiś szczwany lis...

Oboje zaczęli kaszleć; w środku wciąż było gęsto od dymu. Healy dał znak, że pora się zbierać.

Kiedy ciężko dysząc, wyszli na zewnątrz, Rune rozejrzała się po otaczającym kino tłumie gapiów.

Mignęło jej coś czerwonego.

Kurtka. To musiała być czerwona kurtka.

– Popatrz! To on!

Nie dostrzegła twarzy mężczyzny, ale najwyraźniej on ją zauważył, bo odwrócił się i zniknął u wschodniego wylotu Czterdziestej Siódmej.

– Lecę za nim!

– Rune! — zawołał Healy, ale ona już się schyliła, zanurkowała pod żółtą policyjną

taśmą i zaczęła przepychać się przez tłum ciągnący, żeby popatrzeć z bliska na zniszczenia.

Zanim udało jej się wydostać z kłębowiska ciał, tamten był już dwie przecznice dalej. Mimo to w oddali wciąż majaczył jej znajomy kapelusz. Próbowała przebiec przez Broadway, ale właśnie zmieniło się światło i nie zdołała przedostać się na drugą stronę jezdni. Co prawda między samochodami były niewielkie odstępy, ale kierowcy zaraz przyspieszali tak, że nie mogła się przemknąć. Nikt się nie zatrzymał, żeby ją przepuścić. Było to równie frustrujące, co uporczywy ból zęba.

Mężczyzna w czerwonej wiatrówce zatrzymał się i obejrzał, oparty o ścianę budynku. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Po chwili przeciął

ulicę i wmieszał się w strumień pieszych. Rune zdążyła jeszcze zobaczyć, że sztywno się porusza, i przypomniała sobie słowa Warrena Ha- thawaya, który twierdził, że ten, kto podłożył bombę, wyglądał na starszego faceta.

Zawróciła i zdyszana dopadła Healy'ego.

— To był on.

— Facet w czerwonej kurtce?

Przytaknęła. Healy zdawał się być nieco sceptyczny. Rune już chciała mu powtórzyć, czego się dowiedziała od Hathawaya — w końcu był naocznym świadkiem i widział tamtego tuż przed zamachem w kinie Velvet Venus — doszła jednak do wniosku, że wtedy wydałoby się, iż grzebała w walizeczce Healy'ego, a nie była gotowa na to, aby ponieść ewentualne konsekwencje.

Sam nad czymś się zastanawiał. Po chwili podszedł do umundurowanego gliniarza i powiedział mu coś na ucho. Policjant zaraz pospieszył do radiowozu, włączył światła i odjechał.

Healy wrócił do Rune. —A teraz biegnij już do domu.

— Sam...

— Do domu.

Patrzyła na niego, zaciskając wargi, dając mu do zrozumienia — a przynajmniej *usiłując* dać mu do zrozumienia — że, do jasnej cholery, dla niej to nie jest zabawa. Na pewno nie.

Coś w końcu musiało do niego dotrzeć, bo westchnął i rozejrzał się dookoła, jakby w poszukiwaniu niewidzialnej publiczności, która zawsze towarzyszyła Danny'emu Traubowi. Potem powiedział: — Dobra, chodź. — Odwrócił się i szybko wszedł z powrotem do kina, z Rune depczącą mu po piętach.

Naraz przystanął i obejrzał się. Kiedy się odezwał, zabrzmiało to tak, jakby aktor pokroju Nicole wypowiadał kwestię w szkolnym przedstawieniu: — Wiem, że nie zadzwoniłem, chociaż obiecywałem. I jeśli odmówisz, to zrozumiem. Ale może moglibyśmy się spotkać jutro wieczorem? Mam wtedy wolne.

. Ale sobie wybrał miejsce, żeby zaprosić ją na randkę! Spalone kino dla dorosłych..

Nie dała mu czasu, żeby zdążył się zawstydzić swoją propozycją. Uśmiechnęła się .szeroko i odpowiedziała: —. Z przyjemnością przyjmuję pańskie czarujące zaproszenie. Czy godzina dziewiąta będzie dla waćpana odpowiednia?

Sam .patrzył na nią, niczego nie rozumiejąc.

Więc Rune powtórzyła: — Dziewiąta może być?

– Co? Aha, tak, pewnie.

Po czym z trudem powstrzymując uśmiech, ruszył w głąb sali, z plastikową torebką na dowody obijającą mu się o udo.

19

Rune spędziła cały dzień, porządkując rolki naświetlonej taśmy z materiałem zdjęciowym do reklamy House 0'Leather, a następnie upychając je wraz ze wskazówkami dotyczącymi montażu w dużej, białej kopercie.

Potem przyjechał po nią Sam i podrzucił ją do studia postproduk- cyjnego, gdzie technicy mieli wykonać wstępny montaż materiału według scenariusza. Rune powiedziała im jeszcze, żeby przekazali klientowi gotowe kasety tak szybko, jak to możliwe, nawet jeśli miałoby to oznaczać pracę w nadgodzinach.

Dopiero wtedy odetchnęła. — Okej... Koniec pracy, czas na zabawę. Chodźmy potańczyć. — I pociągnęła Sama w kierunku przystani na West Side.

– Tam? — spytał z powątpiewaniem Healy. — Tam chyba nie ma żadnych klubów.

– Poczekaj, a się zdziwisz.

Musiała mu to przyznać — na pewno nie był nudziarzem.

Healy wytrzymał w klubie kilka godzin, zanim w końcu zawołał, przekrzykując hałas: — Trochę nieswojo się tu czuję!

– Dlaczego? — odkrzyknęła.

Właściwie trudno byłoby mu odpowiedzieć na to pytanie. Może chodziło o wystrój — czarne stożki z pianki, które wyglądały jak zastygnięta lawa, do tego migające fioletowe światła i dwumetrowa

bańką akwarium z pleksi — a może o muzykę (Sam zapytał nawet Runę, czy system nagłaśniający nie jest popsuty, a ona musiała mu tłumaczyć, że to zamierzony efekt).

Poza tym nie był odpowiednio ubrany, Runę powiedziała, żeby założył coś niezobowiązującego. Sama miała na sobie żółte leginsy, czarną minispódniczkę i fioletowy podkoszulek na ramiączkach, a na nim czarną koszulkę podziurawioną jak ser szwajcarski.

Natomiast Sam Healy wystąpił w dżinsach i kraciastej koszuli. Jedynym elementem jego garderoby zbliżonym do tego, co mieli na sobie

pozostali klubowicze, była para czarnych butów, tyle że on przyszedł w kowbojkach.

– Chyba źle cię zrozumiałem — stwierdził.

– Zawsze możesz zapoczątkować nowy trend.

Na to się raczej nie zanosiło. Jednocześnie Runę zauważyła, że nikt nie patrzył na niego jak na odmieńca. Dwóch jasnowłosych efebów zwróciło nawet ku niemu swoje pociągłe oblicza z wyraźną zachętą, jakby pytając: „Masz ochotę na szybki numerek?" Runę wzięła Samą za rękę. — Widzisz te zapadnięte policzki? To wyraźna oznaka zaburzeń umysłowych. — Uśmiechnęła się szeroko. — Chodź, zatańczymy. — I zaczęła wirować w rytm muzyki.

– Ale taniec — mruknął Healy, próbując ją naśladować. Po dziesięciu minutach rzucił: — Mam pomysł.

– Oho, skąd ja to znam. Masz już dość?

Healy wytarł czoło i potylicę papierowymi serwetkami zabranymi z baru. — Nikt się tu jeszcze nie odwodnił?

– Na tym polega cała zabawa.

– ty naprawdę lubisz tańczyć.

– Taniec to podstawa! Jestem wolna jak ptak!

– Skoro tak, to przetestujmy jeden lokal, który znam.

– Kiedy naprawdę dobrze ci tu idzie. — Runę wychyliła połowę swojego trzeciego kufla, nie przestając podrygiwać w rytm muzyki.

– Tak uważasz? Poczekaj, aż zobaczysz mnie na prawdziwym parkiecie.

– Co to za miejsce? Znam wszystkie kluby w tym mieście.

– O tym na pewno nie słyszałaś. Wstęp tylko dla wtajemniczonych.

— Naprawdę? Trzeba mieć specjalne zaproszenie?
— Wystarczy znać hasło.
— Super! No to chodźmy!

Hasłem okazało się „siemanko", na które stojąca przy drzwiach dziewczyna sprawdzająca dowody osobiste i stemplująca dłonie wchodzących pieczątką w kształcie Teksasu zareagowała odzewem: — Baw- ta się dobrze!

Weszli do środka, gdzie — zważywszy na obecność czteroosobowej swingującej orkiestry — było niewiarygodnie cicho. A może po prostu tak im się tylko wydawało po ogłuszaj ącym huku, który wypełniał

klub Rune. Kelnerka wskazała im miejsca przy niewielkim stoliku przykrytym kraciastą plastikową serwetą.

– Dwie Samotne Gwiazdy — zamówił Healy.

Rune zerknęła na siedzącą obok dziewczynę: obcisły, biały sweterek, dżinsowa spódnica, rajstopy i białe kowbojki.

– Dziwnie tu, bardzo dziwnie...

– Jesteś głodna?

– Chcesz powiedzieć, że mają tu też restaurację? Można samemu wybrać krowę z obórki na tyłach?

– Podają świetne żeberka.

– Bardzo tu dziwnie.

– Podobało mi się w tamtym klubie — wyznał Sam — ale muszę uważać na hałas. — Dotknął palcem ucha, a Rune przypomniała sobie, że wybuchy uszkodziły mu słuch.

Wypili po jednym piwie, ale to nie ugasiło ich pragnienia, zamówili więc cały dzbanek.

– Często tu przychodzisz? — zapytała.

– Kiedyś tak.

– Z żoną?

Healy milczał przez dobrą minutę. — Czasami. Ale to nie było jakieś nasze wyjątkowe miejsce.

– Nadal ją widujesz?

– Najczęściej kiedy przyjeżdżam po Adama.

Najczęściej. Nie umknęło to jej uwagi.

Healy mówił dalej: — Czasem wpada po jakieś książki, których nie zabrała. Albo po coś z przyborów kuchennych. Takie tam... Właściwie to dotąd cię nie zapytałem, czy się z kimś spotykasz.

Rune odparła: — W tej chwili nie mam chłopaka.

– Naprawdę? Jestem zaskoczony.

– Dlaczego? Na świecie są dużo bardziej zdumiewające rzeczy, na przykład gadające psy i kosmici.

– Byłem pewien, że faceci ustawiają się do ciebie w kolejce.

– Mężczyźni dziwnie na mnie reagują. Najczęściej po prostu mnie ignorują, a ci, którzy tego nie robią, w większości chcą się tylko ze mną przespać, a *potem* mnie ignorują. Niektórzy chcieliby mnie adoptować. Widujesz czasami frajerów, którzy w sobotnie wieczory piorą gacie w pralni samoobsługowej i czytają kolorowe gazety sprzed dwóch tygodni? To ja! Na podstawie tego, czego się dowiedziałam w czasie płu

kania, mogłabym napisać biografię Cher, Vanny White albo Toma Cruise'a.

– Zatańczymy? — zaproponował Sam.

Rune zmarszczyła brwi i rozejrzała się po parkiecie.

Healy dodał: — To się nazywa przytulanka. Najlepszy taniec pod słońcem.

– Czy ja dobrze rozumiem? — upewniła się. — Chodzi o to, żeby się obejmować i tańczyć w tym samym rytmie?

Healy uśmiechnął się. — To prawdziwa taneczna rewolucja.

Tommy Savorne wcisnął przycisk dzwonka Nicole D'Orléans i pomyślał, jakie to dziwne, że za chwilę w drzwiach mieszkania stanie *ona*, a nie Shelly.

Ostatnio często próbował sobie przypomnieć, kiedy zobaczył Shelly po raz pierwszy. Na próżno. To też było dziwne. Miał przecież znakomitą pamięć i żadnego powodu, żeby nie móc sobie przypomnieć ich pierwszego spotkania. A Shelly była osobą, którą trudno było zapomnieć, może z powodu póz, jakie przybierała. Żaden jej gest nie był — jak to się mówi? — przypadkowy. Zawsze doskonale wiedziała, jak powinna stać, siedzieć albo mówić.

Albo jak postąpić.

Przychodziły mu na myśl ostatnie zapamiętane obrazy: Shelly na plaży Asilomar w Pacific Grove albo Point Lobos, na jednym z klifów, gdzie strażnicy leśni zawsze każą turystom odsuwać się od krawędzi. Bez problemu potrafił ją sobie tam wyobrazić.

Tak samo w łóżku.

Ale tego, jak wyglądała, kiedy się poznali... Nie, tego nie mógł sobie przypomnieć.

Chociaż ostatnio bardzo się starał.

Nicole otworzyła drzwi. — Cześć — powiedziała.

– Witaj, maleńka. — Tommy zdjął z głowy kowbojski kapelusz, cmoknął ją w policzek i przytulił, czując dotyk jej rozkosznie ponętnego ciała. Świetnie dziś wyglądała: jasnoniebieska jedwabna sukienka z głębokim dekoltem, szpilki, włosy utapirowane i zaczesane do góry. Makijaż — no cóż, jak zwykle trochę przesadziła, ale da się to złagodzić, stosując folię zmiękczającą. Dźwignął z podłogi torby ze sprzętem i wniósł je do środka.

W uszach Nicole dyndały kolczyki z cyrkoniami. Nawet ładne, ale będą odbijać światło. Będzie je musiała zdjąć.

– Ładnie wyglądasz — pochwalił.
– Dzięki, wchodź. Napijesz się czegoś?
– Czemu nie. Soku. Albo wody mineralnej.
– Całkiem przestałeś pić?
– No.
– Brawo. Anie będzie ci przeszkadzało, jeśli ja...?
– O Boże, nie, skąd. Nie krępuj się.
Nicole napełniła dwie szklanki sokiem pomarańczowym. Do swojej nalała wódki. Butelka w jej dłoni lekko drżała. Tommy uśmiechnął się. — Czyżby trema?
– Chyba faktycznie trochę się denerwuję. Kręcenie pornosa to dla mnie bułka z masłem. A kiedy mam stanąć przed kamerą w ubraniu, zaczyna mnie ściskać w żołądku.
– Pójdzie nam jak z płatka. — Stuknęli się szklankami. — Za twoją nową karierę.
Nicole pociągnęła łyk i odstawiła szklankę. Jej spojrzenie umknęło w bok; najwyraźniej się nad czymś zastanawiała. — Tommy, czy jeśli to wypali, mogłabym się u ciebie zaczepić na stałe?
Tommy jednym haustem opróżnił szklankę do połowy. — Nie widzę przeszkód. — I zaraz dodał: — Powinienem wziąć się za rozstawianie sprzętu. Pokażesz mi kuchnię?
Zaprowadziła go do przestronnego, wyłożonego kafelkami pomieszczenia utrzymanego w bieli, z akcentami chromowanej stali. Na środku spod sufitu zwieszała się na łańcuchach wielka stalowa rama z haczykami, na których wisiały ciężkie, miedziane rondle i patelnie.
– Nada się w sam raz.
– Rok temu ją remontowałyśmy.

Tommy rozejrzał się. — Możemy wykorzystać te garnki. Miedź świetnie wypada na ekranie.

Wspólnie zaczęli ustawiać kamerę i światła.

W pewnym momencie Nicole zapytała: — Trudno ci było, no wiesz, wycofać się z branży?

– Z kręcenia pornosów? Tak, było to bolesne, szczególnie finansowo. Przez pewien czas asystowałem przy różnych produkcjach.

– Tak jak Runę?

– Runę? A, tamta dziewczyna. Tak, coś w tym rodzaju. W końcu załapałem się do pracy jako operator kamery, a jeszcze później sam wyreżyserowałem parę dokumentów.

– Bo wiesz, ja bardzo chciałabym grać. Cały czas myślę, czy nie zapisać się na lekcje. Ostatecznie to żadna filozofia. Shelly miała dobrego nauczyciela. Arthura Tuckera. Mówiła, że sporo jej pomógł. Właściwie to nie \viem, dlaczego się nie odezwał. Nie był na pogrzebie. Mógłby przynajmniej zadzwonić...

– Ten nauczyciel?

– Tak.

– No, nie wiem — mruknął Tommy. — Kiedy ktoś umiera, ludzie dziwnie reagują. Nie umieją sobie z tym poradzić. — Odwrócił się do Nicole i zmierzył ją uważnym spojrzeniem. — *Powinnaś* grać. Kamera cię kocha. Jesteś bardzo piękna.

Na moment ich spojrzenia się spotkały. Miedziany rondel znieruchomiał w dłoni Nicole. Odwróciła wzrok.

Tommy skończył rozstawiać kamerę i światła. Nicole patrzyła, jak szybko i sprawnie radzi sobie ze sprzętem. Oparła się o blat na środku kuchni, w roztargnieniu obracając w rękach miedziany rondel. Jego ruch zdawał się ją hipnotyzować.

– Wiem, że Shelly kręciło występowanie w pornosach. Ale mimo wszystko nie mogę zrozumieć, dlaczego się nie wycofała.

– Dlatego — odparł Tommy, podchodząc do niej — że była dziwką. Tak samo jak ty. — Mówiąc to, wymierzył jej w tył głowy cios długą, ołowianą rurką.

20

Ostatecznie wylądowali u niej na barce.

Najpierw po wyjściu z klubu country and western byli tak zlani potem, że postanowili się trochę przejść. Potem, gdy spacerowali

przez West Village, powiało nocnym chłodem, więc Healy zaproponował kawę w pobliskiej kafejce serwującej cappuccino przy Hudson Street. W lokalu była fontanna; woda tryskała z głowy kozła i spadała do zbiornika wypełnionego monetami.

Jedna z nich okazała się hinduska i Rune spędziła kilka ładnych minut z ręką zanurzoną w wodzie, usiłując ją niepostrzeżenie wyłowić, podczas gdy Sam odwracał uwagę kelnerki.

– Hmm — mruknął. — Drobna kradzież, a ja jestem wspólnikiem.

W końcu Rune wydobyła monetę i wycisnęła zielonkawą wodę z rękawa. — Leżała głębiej, niż myślałam.

Następnie przeszli kolejnych pięć czy sześć przecznic, aż znaleźli się kilka kroków od barki.

– Mieszkam trzy ulice stąd.

– Gdzie? — zapytał.

– Na rzece.

Patrzył na nią przez przepisowe pięć sekund, zanim zadał pytanie, które zawsze słyszała w takiej sytuacji: — *Na rzece?*

– Mam barkę mieszkalną..

– Niemożliwe. Nikt nie mieszka na barce w Nowym Jorku! Muszę to koniecznie zobaczyć.

To zdanie też już wcześniej słyszała.

Nie, żeby miała coś przeciwko temu. I tak zamierzała go do siebie zaprosić.

Po obowiązkowym zwiedzaniu barki Rune uznała, że wypada gościa czymś poczęstować. Tyle że piwo po kawie jakoś nie pasowało, a jedyna butelka brandy została przed rokiem czy dwoma laty otwarta, a jej zawartość wyparowała przez szyjkę prowizorycznie zasłonięta folią, pozostawiając na dnie jedynie ciemnawy osad.

– Przykro mi — rzuciła, unosząc do góry butelkę.

– Może być piwo.

Wyszli na pokład i stali zapatrzeni na panoramę New Jersey, czując drżenie nóg obolałych od tańca, zarazem zmęczeni i podekscytowani.

Rune nie potrafiłaby powiedzieć, jak właściwie do tego doszło. Pamiętała tylko, że powiedziała coś o gwiazdach, które znikały w wielkomiejskiej poświacie; oboje podnieśli głowy i nagle jego twarz przesłoniła jej niebo. Była blisko, coraz

bliżej, aż w końcu zaczęli się całować, i to całkiem na poważnie.

Najpierw poczuła delikatne ukłucie jego wąsów, a zaraz potem dotyk warg. Otoczył ją ramionami. Spodziewała się, że będzie ostrożnie badał grunt, jakby rozbrajał bombę gotową w każdej chwili wybuchnąć.

Sam jednak ją zaskoczył: żadnych oporów, żadnego wahania. Przyszło jej do głowy, że może być pierwszą dziewczyną, z jaką się całował od czasu odejścia Cheryl. Czuła, że jej pragnie, i mocno objęła go za szyję.

Manewrując między sprzętami, dostali się do sypialni.

A tam na środku łóżka siedział wielki, pluszowy smok.

– Co to za potwór? — zdziwił się Sam.

– Bardzo przyjazny.

– Jak ma na imię?

– Persefona. Bo to samica.

– Wyrazy współczucia.

Rune podniosła smoka i przysunęła jego pysk do swojego ucha.

– Mówi, że ci wybacza. Nawet jej się podobasz.

Na chwilę wszystko zamarło. Oboje milczeli. Potem Sam uklęknął na łóżku.

Rune objęła go ramionami. Zaczęli się całować — żarłoczne pocałunki, niecierpliwe dłonie. Pluszowy smok cały czas tkwił między nimi. Rune miała ochotę rzucić jakiś żart na ten temat — o tym, że coś ich jednak dzieli, cha, cha, cha — ale Sam nie przestawał jej całować, coraz bardziej żarliwie.

Zrzuciła więc pluszaka na podłogę.

Kiedy Nicole D'Orléans otworzyła oczy — krztusząc się i z trudem łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami — w pełni odzyskała przytomność, była naga. Ręce miała uniesione nad głową, a nadgarstki przywiązane do metalowej ramy, na której wisiały wcześniej garnki i patelnie. Stopami ledwie sięgała posadzki.

Świetnie. A już się obawiał, że cios był za mocny.

Jeszcze raz sprawdził więzy. Fachowo założone — tak, żeby nie odcinać dopływu krwi, a zarazem żeby ofiara nie mogła się uwolnić.

– Nie! Co ty robisz?! — Nicole zaczęła płakać.

Tommy miał na twarzy czarną kominiarkę. Nagi do pasa pochylał się, usiłując skrępować jej stopy w podobny sposób, co ręce — starannie, z dbałością i oddaniem. Przywiązał jej kostkę do chromowanej półki pod blatem.

– Nieee! — Długie, przeciągłe zawodzenie, pod koniec przechodzące w krzyk. Kopnęła go drugą, nieskrępowaną nogą. Z łatwością się uchylił.

– Dlaczego to robisz, Tommy? Dlaczego...?!

Obiektyw kamery wideo był wycelowany prosto na nią. Wszystkie reflektory były włączone i Nicole pociła się zarówno z gorąca, jak i ze strachu.

Tommy cierpliwie skrępował jej drugą nogę. Zdenerwował się, widząc, że nie ma jej do czego przywiązać. Ostatecznie musiał przeciągnąć sznur przez zawiasy szafki. — Kiepsko to wygląda. — Cofnął się i przesunął obiektyw kamery do góry, żeby niechlujny węzeł znalazł się poza kadrem.

— Co ty robisz?

Tommy oparł dłonie na biodrach. Ze swoim nagim torsem, w obcisłych dżinsach i kominiarce wyglądał jak średniowieczny kat.

— Czego ode mnie chcesz? — zawyła Nicole. — Wypuść mnie!

Czasami wprost nie potrafił uwierzyć, że ludzie mogą być aż tak głupi. Czego od niej chce?

To chyba, kurwa, oczywiste.

— Nakręcimy sobie film, skarbie — odparł. — W końcu robisz takie rzeczy na co dzień. Tyl® że ten będzie inny. Nie będziesz niczego udawać. Wszystko będzie się działo naprawdę. Ten film obnaży twoją duszę.

— Ty-.- — Głos łamał jej się z przerażenia. — Chcesz mnie zgwałcić i to sfilmować... O Boże...!

Tommy wyciągnął z torby jeszcze jeden kawałek sznurka. Zawahał się, przyglądając jej się uważnie.

Nicole zaczęła krzyczeć.

Tommy wziął knebel używany przez amatorów sado-maso — skórzany pasek z przyczepioną pośrodku czerwoną gumową kulką — i wcisnął jej w usta, a następnie związał końce z tyłu jej głowy.

— Sprzedają tyle tego dziadostwa. Skórzane majtki, maski, su- spensoria z lateksu. Moim zdaniem to już przesada. Osobiście stawiam na prostotę. Grunt, to

uchwycić właściwy klimat. To ma być jak rytuał. Coś pójdzie nie tak i klient mi nie zapłaci. Ten, dla którego to robię — nawiasem mówiąc, mam za ciebie dostać dwadzieścia pięć kawałków — ma fioła na punkcie węzłów. Muszą być dokładnie takie, jak trzeba. Kiedyś jeden gość zażyczył sobie rudą, a to wcale nie takie proste. Przez dwa, trzy dni krążyłem po autostradzie, aż w końcu trafiła mi się studentka z college'u. Nakręciliśmy film w jakiejś szopie. Moim zdaniem wypadła po prostu świetnie, ale klient się wkurzył. A wiesz dlaczego? Dziewczyna nie była naturalnym rudzielcem i włosy na cipce miała czarne. Dostałem wtedy tylko pięć kawałków. I co miałem zrobić? Pozwać go do sądu?

Skończył zaciągać skomplikowane węzły, po czym poszperał chwilę w torbie i wyciągnął skórzaną dyscyplinę. Spojrzał na zegarek. Klient

płacił za dwugodzinny film i Tommy nie zamierzał kończyć choćby o sekundę wcześniej. Wyznawał świętą zasadę, że klient ma zawsze rację.

21

Sam Healy i Rune leżeli w łóżku, zapatrzeni w sufit, po którym tańczyły światła odbijające się od powierzchni rzeki.

Healy czuł się po prostu świetnie. Miał ochotę powiedzieć coś w rodzaju: „Nieźle, jak na staruszka", ale z doświadczenia wiedział — było to coś, co szczególnie utkwiło mu w pamięci — że w podobnych sytuacjach mężczyzna nie powinien mówić o sobie.

W tej chwili i może *tylko* w tej chwili byli razem i tylko to się liczyło. Mógłby powiedzieć coś o niej albo o nich obojgu, ale... Przypomniał sobie jeszcze coś: czasami najlepszym rozwiązaniem bywa milczenie.

Rune przytuliła się do niego i zaczęła skręcać włosy na jego piersi w maleńkie loczki.

– Boli — powiedział.

– Myślisz, że można żyć długo i szczęśliwie?

– Nie.

Nic na to nie odpowiedziała, więc dodał: — Uważam, że w życiu jest jak na huśtawce — raz na górze, raz na dole.

Rune odparła: — A ja myślę, że można. — Obok barki przepłynął holownik. Healy naciągnął na siebie prześcieradło.

– Z zewnątrz niczego nie widać... — Odkryła go i wróciła do kręcenia loczków. — Dlaczego rozbrajasz bomby?

– Bo jestem w tym dobry.

Uśmiechnęła się i potarła policzkiem o jego pierś. — Jesteś też dobry w innych sprawach i nie zarabiasz w ten sposób na życie. A przynajmniej mam taką nadzieję.

Proszę, proszę. Więc jednak to *ona* pochwaliła *jego*. To mu się spodobało. ,

– Dzięki temu czuję się wyjątkowy. Niewielu ludzi potrafi rozbroić bombę.

– Ajdika — poprawiła go. — A dlaczego w ogóle zostałeś policjantem?

– Trzeba z czegoś żyć.

Rune poderwała się i zniknęła w kuchni, by wrócić po chwili z dwiema puszkami piwa. Na piersi Sama pacnęła kropla lodowatej wody.

– Hej!

Pocałowała go.

– Chcesz dostać prezent? — zapytał.

– Lubię kryształy i topazy. Złoto jest zawsze w modzie. I srebro, ale tylko masywne.

– A co powiesz na informację?

Rune aż podskoczyła. — Znaleźliście podejrzanego w czerwonej wiatrówce?

– Nie.

– To może odciski palców na listach Miecza Jezusowego?

– Też nie. Ale wiemy, skąd pochodziły materiały wybuchowe użyte w drugim zamachu.

– I chcesz mi to powiedzieć?

– Tak.

– Dlaczego? — spytała z uśmiechem.

Prawdę mówiąc, nie miał zielonego pojęcia. Może dlatego, że w ten sposób mógł sprawić *jej* przyjemność. Powiedzieć coś, co ją uszczęśliwi.

– Bo tak.

– No to skąd się wzięły?

– Skradziono je z bazy wojskowej Fort Ord w Monterey. Złodziejom udało się...

– To w Kalifornii? — upewniła się Rune. Usiadła, ściągając z Sama prześcieradło i ciasno się nim owijając.

– Tak.

Rune zmarszczyła brwi. — Shelly i Tommy mieszkali kiedyś w Monterey.

– Kto?

– Tommy Sayorne, jej były chłopak. Nadal tam mieszka.

Healy pociągnął prześcieradło w swoją stronę. — I co z tego?

— To trochę podejrzany zbieg okoliczności, nie uważasz?

— Materiały skradziono ponad rok temu.

— No tak. — Rune położyła się. Chwilę później dodała: — Tylko że on jest w mieście.

— Tommy?

Przytaknęła. — Od czasu pierwszego zamachu.

W pobliżu rozległo się wycie syreny holownika.

Jeden z helikopterów Trumpa przeleciał nisko nad rzeką, najwyraźniej w drodze powrotnej z Atlantic City.

Runę i Healy popatrzyli na siebie.

Healy stał przy automacie naprzeciwko doku. Runę pociągnęła go za rękaw.

– Mógł być w Wietnamie. Wiek by pasował. A to by znaczyło, że zna się...

– Cii. — Healy uciszył ją gestem dłoni i powiedział do słuchawki: — Tutaj dwa pięć pięć, dzwonię z budki telefonicznej. Dajcie mi koordynatora z szóstki.

– Odbiór, dwa dwa pięć. Jest w terenie. Podaj mi swój numer, to do ciebie oddzwoni.

– Odmawiam, Centrala, to bardzo pilne. Muszę natychmiast rozmawiać z koordynatorem.

W słuchawce zapadła cisza, potem rozległo się kilka trzasków i męski głos powiedział: — Cześć, Sam, tu Brad. Co jest?

– Niewykluczone, że namierzyłem podejrzanego o te zamachy bombowe. Sprawdź w komputerowej bazie przestępstw, krajowym rejestrze karnym oraz wojskowej dochodzeniówce i powiedz mi, co mają na niejakiego Thomasa albo Tommy'ego Savorne'a. Zaczekam.

– Pisze się tak, jak się wymawia?

Healy spojrzał na Runę: — Pisze się tak, jak się wymawia?

Wzruszyła ramionami.

– Chyba tak.

Koordynator zgłosił się po dwóch minutach.

– Ten facet to nie lada ziółko, stary. Thomas A. Savorne, starszy szeregowy, ostatni adres zamieszkania Fort Ord w

Kalifornii. Obecne miejsce pobytu nieznane. Półtora roku temu wydalony ze służby w wyniku ugody zawartej z wojskowym biurem śledczym. Tylko dlatego nie stanął przed sądem wojskowym za kradzież mienia rządowego. Drugi z oskarżonych został uznany za winnego kradzieży i posiadania broni, odsiedział jedenaście miesięcy. Sam, ten drugi gość nadal tam mieszka i podobno handluje bronią, ale FBI jeszcze go nie przyskrzyniło.

– Cholera... Gdzie służył Savorne?

– W wojskach inżynieryjnych.

– Więc zna się na materiałach wybuchowych..

– Coś tam wie na pewno.

Healy odwrócił się do Rune: — Domyślasz się, gdzie on może teraz być?

– Nie... — Nagle ją olśniło. — Jezu, Sam — on miał się dziś wieczorem spotkać z Nicole, współlokatorką Shelly! Może ją też chce skrzywdzić. — Podała mu nazwisko i adres Nicole.

– Okej, Brad, słuchaj uważnie — rzucił Healy do słuchawki. — Podejrzewam dziesięć trzydzieści przy Zachodniej Pięćdziesiątej Siódmej sto czterdzieści pięć. Numer mieszkania?

Spojrzał na Runę, która odparła: — Nie pamiętam. Na drzwiach jest tabliczka z nazwiskiem. D'Orléans.

Healy powtórzył. — Podejrzany prawdopodobnie jest uzbrojony, może mieć przy sobie plastik. Niewykluczone, że wziął zakładnika.

– Ściągnę antyterrorystów.

– I jeszcze jedno... Gość może cierpieć na poważne zaburzenia psychiczne.

– Kurwa, już lepiej być nie może, Sam. Wariat z bombą i zakładnikiem. Nie zapomnę ci tego. Dziesięć cztery.

– Dwa pięć pięć odmeldowuję się.

Runę już szykowała argumenty, chcąc go przekonać, by pozwolił jej pójść ze sobą, ale okazało się, że niepotrzebnie się martwiła. Healy powiedział tylko: — Chodź, pospieszmy się. Muszę wziąć wóz z szóstki.

Zachodnia Pięćdziesiąta Siódma była rozświetlona jak w czasie karnawału przez migające koguty. Niebiesko-białe radiowozy, karetki i opancerzone wozy oddziału antyterrorystycznego blokowały ulicę. W pobliżu zadaszonego wejścia do budynku parkowała furgonetka ekipy pirotechnicznej ze specjalną przyczepą

służącą do przewozu materiałów wybuchowych.

Ale atmosfera wydawała się dość zrelaksowana.

Dwóch antyterrorystów z wielkimi, czarnymi giwerami, przypominającymi te używane w Wietnamie, stało opartych o framugę i paliło papierosy. Hełmy mieli zsunięte na tył głowy i wyglądali zaskakująco młodo —jak dzieciaki grające w palanta na ulicach Bronksu.

Rune domyśliła się, że policja zdążyła na czas. Szybka akcja i po wszystkim. Tommy został zatrzymany. Rozejrzała się za Nicole. Ależ musiała się zdziwić! Pukanie do drzwi, gliniarze wpadający do środka i celujący z broni w Tommy'ego...

I pomyśleć, że to on był mordercą. Jak mogła się tak pomylić? Jak to możliwe, że robił wrażenie takiego niewiniątka? Facet w czerwonej

wiatrówce. Przecież miał nawet kowbojski kapelusz! A rumieniec na twarzy to nie była opalenizna, tylko efekt działania gazu łzawiącego.

Zazdrość. Zabił ją z zazdrości.

Kiedy zbliżyli się do budynku, Healy złapał ją za rękę. — Zaczekaj. Nie powinnaś tego oglądać.

— Ale...

Machnął ręką, więc posłusznie przystanęła, a on zaraz zniknął w drzwiach kamienicy. Nocną ciszę co rusz przerywały komendy padające z policyjnych radiotelefonów. Reflektory omiatały mrok, snopy światła sunęły po eliptycznych orbitach.

Rune włączyła kamerę i maksymalnie otworzyła przesłonę, żeby nagrać, jak policjanci wyprowadzają Tommy'ego.

Wewnątrz zrobił się jakiś ruch i w drzwiach pojawili się jacyś ludzie.

Ale Tommy wcale nie był w kajdankach. Boże, zastrzelili go! Leżał martwy na noszach, przykryty zakrwawionym prześcieradłem.

Rune poczuła, że nogi się pod nią uginają, ale nie opuściła kamery, usiłując złapać ostre ujęcie obojętnych sanitariuszy wynoszących ciało Tommy'ego z mieszkania.

Ponure, poruszające zakończenie filmu.

Morderca Shelly Lowe zginął tak samo, jak zabijał — gwałtownie. Za jego epitafium mogą posłużyć słowa zaczerpnięte z Biblii, odpowiednie dla kogoś, kto podszywał się pod fanatyków religijnych, żeby ukryć swoje własne zbrodnie: kto mieczem wojuje, od miecza ginie...

Obraz w obiektywie pociemniał i zniknął, zasłonięty sylwetką kogoś, kto

oderwał się od grupy wychodzących i szybko szedł w jej stronę.

Runę opuściła kamerę.

Sam Healy odezwał się cicho: — Bardzo mi przykro.

– Przykro?

– Spóźniliśmy się.

Runę nie zrozumiała. — Nie zdążył się przyznać?

– Nie zdążyliśmy go powstrzymać.

– Ale przecież... — Runę ruchem głowy wskazała karetkę.

– Runę, kiedy policja dotarła na miejsce, Tommy'ego już nie było. A to jest ciało Nicole.

Do Healy'ego podszedł jakiś gliniarz w jasnym, chyba poliestrowym garniturze. Wyraźnie zmęczony, poruszał się niespiesznie, jak przystało na państwowego urzędnika. Był chudy i ponury. Powieki zamykały mu się z niewyspania i nudy. Na barkach dźwigał ciężar długich lat przesłuchań opornych świadków i pochylania się nad zwłokami porzuconymi w rynsztokach, na siedzeniach samochodów albo w podrzędnych hotelach.

Zbyt często musiał oglądać takie widoki, jak ten na górze.

Rune wyszeptała: — Nie żyje?

Policjant odparł, zwracając się do Sama: — ZNMP.

— Co? — nie wytrzymała Rune.

Healy rozszyfrował skrót: — Zmarła na miejscu przestępstwa.

Zmarła...

Policjant mówił dalej, jakby jej tam nie było. Rune miała wrażenie, że Sam przedstawił ich sobie, ale nie była pewna. Wydawało jej się, że słyszała jakieś nazwisko, ale zapamiętała tylko jedno. Wydział zabójstw. — Wygląda na to, że była torturowana, a potem uduszona i poważnie okaleczona. Zabójca poćwiartował ciało. — Mężczyzna pokręcił głową, po raz pierwszy okazując cień emocji. — Co za cholerny biznes to porno... Ludzie uzależniają się od seksu jak od każdego innego narkotyku. Ciągle im mało, stale chcą być na haju.

Zwrócił się do Rune: — Może nam pani powiedzieć wszystko, co wie?

Zaczęła mu nieskładnie tłumaczyć, co się stało. Starała się, żeby zeznanie było jak najbardziej dokładne, a szczupłe palce mężczyzny szybko zapisywały jej słowa w tanim notatniku. Mimo to kilka razy zdarzyło jej się przerywać i jąkać. Można

by przypuszczać, że opowiedzenie historii Nicole D'Orleans pójdzie jej jak z nut, a tymczasem nie potrafiła się skupić.

Cały czas miała przed oczami obraz Nicole.

Zabójca poćwiartował ciało...

Opowiedziała detektywowi o swoim filmie, o tym, jak poznała Shelly, o wytwórni, wreszcie o Tommym — o tym, jak kochał Shelly, a ona go rzuciła i wyjechała do Nowego Jorku. Dodała, że znał się na materiałach wybuchowych i ukradł ładunki z bazy wojskowej — w tym miejscu Healy wtrącił kilka szczegółów — i że musiał być wściekły na Shelly, kiedy go opuściła, tak wściekły, że wymyślił tę całą historię

z Mieczem Jezusowym i zamachami bombowymi, żeby kryć własną zbrodnię. Najprawdopodobniej wbił sobie do głowy, że Shelly i Nicole były kochankami, i z zazdrości postanowił zgładzić tę ostatnią w jakimś makabrycznym rytuale.

Na koniec podała mu rysopis Tommy'ego.

Tani długopis detektywa tańczył po papierze, pozostawiając tu i ówdzie rozmazane kleksy. Mężczyzna zamaszyście notował każde jej słowo, nie mając bladego pojęcia o jej dokumencie, o Nicole, o Shelly ani o filmach, w jakich występowały. Pisał bez śladu emocji na swojej chudej, poszarzałej, nieruchomej twarzy. Zapisał wszystkie jej odpowiedzi i rozejrzał się dookoła.

Machnięciem ręki dał znak wymizerowanemu Latynosowi, który wyglądał jak wrak człowieka. Niebieska opaska utrzymywała w jako takim porządku jego ciemne loki.

Healy zapytał: — Wywiadowca?

— Infiltruje gapiów. Nie wie, że zidentyfikowaliśmy podejrzanego. Zaraz dam mu rysopis.

Detektyw skinął Runę na pożegnanie i podszedł do mężczyzny z opaską. Zaczęli rozmawiać z nisko pochylonymi głowami, nie patrząc sobie przy tym w oczy.

— To też jest gliniarz? — zdziwiła się Runę.

— Wywiadowca w cywilu. Ich dzisiejszym kolorem jest niebieski — widzisz tę opaskę na jego głowie? Wkładają je, żebyśmy wiedzieli, że są jednymi z nas. Po zabójstwie mają za zadanie wmieszać się w tłum, rozpytywać i nadstawiać uszu. Ale skoro już wiemy, kto zabił, facet po prostu wyciągnie odznakę i

zacznie oficjalnie przesłuchiwać świadków.

– Uwaga, z drogi! — zawołał jakiś głos. Karetka właśnie ruszała z miejsca. Healy odsunął się na bok. Rune zarzuciła kamerę na ramię i filmowała pomarańczowo-niebieski pudełkowaty pojazd, jak przebija się przez tłum i znika w oddali, wioząc ciało Nicole do kostnicy.

Healy odprowadził ją na najbliższe skrzyżowanie. Rune oparła się o skrzynkę pocztową i zacisnęła powieki.

– Rozmawiałam z nim. Z Tommym. Stał pół metra ode mnie. Tak, jak ty teraz... Morderca... Kto by pomyślał. Wydawał się taki... normalny.

Healy milczał, ze wzrokiem utkwionym w migających światłach policyjnych kogutów. W przeciwieństwie do detektywa z wydziału zabójstw wcale nie był spokojny. Widział, co się stało z Nicole, i to nim

wstrząsnęło. Rune przyszło do głowy, że jedna z zalet pracy pirotechnika musiała polegać na tym, iż częściej miał do czynienia z chemią i elektryką niż z żywymi ludźmi.

Powiedziała cicho: — Ja też miałam tu dzisiaj być. Tommy chciał, żebym przyszła.

– iy?

– Mówił, że kręci film, zwykłe reklamowe wideo. Chryste, Sam, dlaczego on to zrobił? Po prostu nie mogę tego pojąć.

– Facet wysadza w powietrze kilkanaście osób, żeby zatrzeć ślady po zabójstwie swojej dziewczyny, a potem morduje i okalecza inną... Nie mam pojęcia, co nim powoduje.

– Jak myślisz, kiedy od niej wyszedł?

– Brak plam opadowych i stężenia pośmiertnego... Nie więcej niż dwadzieścia, trzydzieści minut przed nami.

– Więc nadal jest w mieście.

– Wątpię. Tutaj ludzie go znają, mogą ich ze sobą skojarzyć. Podejrzewam, że wynajmie wóz, pojedzie na któreś mniejsze lotnisko i złapie jakiś przesiadkowy lot do Kalifornii. Przez Hartford, Albany, albo White Plains.

– Trzeba tam zadzwonić! Podać im rysopis...

– Rune, nie możemy zamknąć każdego lotniska na północnym zachodzie. W mieście szuka go policja, ale prawdopodobnie uda mu się zwiać. Przyskrzynią go, jak tylko wróci do domu. Gdzie to było? W Monterey? Poza tym szuka go żandarmeria wojskowa. A kradzież rządowego mienia i ucieczka przez granicę stanu ściągną mu na kark FBI.

– Och, Sam. — Rune przycisnęła czoło do jego piersi.

Objął ją, co już samo w sobie było wspaniałe, ale jeszcze wspanialszy był fakt, że zrobił to na oczach pół tuzina facetów, z którymi pracował, a on mimo to ją przytulał, bez rozglądania się na boki czy udawania, że tylko pociesza zdenerwowanego świadka. Mocny dotyk jego ramion sprawił, że jej przerażenie częściowo ustąpiło, tak jakby wziął je na swoje barki, a ona mu na to pozwoliła. Sam będzie wiedział, co robić. Rozbroi jej strach jak bombę — w końcu to była jego praca.

Ruszyli przed siebie.

Na południe, przez dzielnicę teatrów i dalej, pod geometrycznymi kształtami zimnych neonów na Times Square, w dół Broadwayu, przechodząc obok gromady czarnoskórych dzieciaków w luźnych ciuchach, z okrągłymi głowami wygolonymi w oryginalne wzory, niewinnych

i nadąsanych. Mijali biznesmenów i eleganckie kobiety w sportowym obuwiu, ulicznych handlarzy, wreszcie parę turystów — Niemców albo Skandynawów — w nylonowych dresach, ściskających w rękach aparaty fotograficzne. Ich głowy, pokryte strąkami jasnych włosów, obracały się z niedowierzaniem, a spojrzenia zdawały się mówić: „I *to* ma być Nowy Jork?!"

Przechodzili pod wielkimi tablicami reklamowymi, na których piętnastometrowe modelki w zmysłowych pozach sprzedawały alkohol, dżinsy i magnetowidy; mijali zalatujące lizolem kina dla dorosłych (niewykluczone, że w którymś leciał właśnie film z Shelly i Nicole). Trudno było stwierdzić, jaki jest aktualny repertuar — reklamy na markizach obiecywały tylko trzy „super gorące" seanse.

– Wiesz... — zaczęła Rune; były to jej pierwsze słowa od momentu, kiedy ruszyli. Głos wciąż lekko jej się załamywał. — Wiesz, że to Trzydziesta Czwarta Ulica była kiedyś centrum rozrywki? Mieściły się tu dziesiątki kin, teatrów i rewii. Mówię o przełomie wieków. Dawno temu.

– Nie wiedziałem.

– Times Square powstał stosunkowo niedawno.

Minęli wielki pomnik przedstawiający kobietę w długiej szacie i ze skrzydłami, która spoglądała w dół na gołębie i bezdomnych.

Kim była?

Jakąś grecką albo rzymską boginią?

Rune pomyślała o Eurydyce, a zaraz potem o Shelly. Uwięziona w podziemnym świecie. Tyle że tym razem nie było pod ręką żadnego Orfeusza z lirą, a jedyną

muzyką był męczący rap dolatujący z tandetnego magnetofonu.

Przystanęli pod budynkiem Flatiron.

– Powinnam wrócić do domu — stwierdziła Rune.

– Chcesz, żebym dotrzymał ci towarzystwa?

Zawahała się. — Nie potrzebuję...

– Nie pytałem, czego *potrzebujesz*, tylko czego *chcesz*.

– To może u ciebie?

– Mieszkanie mam zapuszczone i ciasne, ale za to przytulne.

– Chyba tego mi właśnie trzeba.

– Muszę się tylko uporać z papierami. Zaczekasz na mnie na miejscu? Dałbym ci klucze. — Zapisał jej adres na kartce.

Rune wzięła ją od niego razem z kluczami.

– Zabiorę tylko kilka rzeczy z domu — dodała.

— Za godzinę powinienem tam być. Wszystko w porządku?

Rune próbowała wymyślić jakąś dowcipną i ciętą ripostę, coś godnego kutej na cztery nogi dziennikarki śledczej, ale ostatecznie tylko pokręciła głową i uśmiechnęła się blado. — Nie, nic nie jest w porządku.

Sam nachylił się i pocałował ją. — Wezwać ci taksówkę?

— Przejdę się, dobrze mi to zrobi. — Kiedy się odwrócił, zawołała: — Sam!

Zatrzymał się w pół kroku, ona jednak nie wiedziała, co właściwie miałaby mu powiedzieć.

Na barce uporządkowała kasety z materiałami zdjęciowymi do *Pożegnania smutnej gwiazdy* i odstawiła je na półkę, jednak szkic tekstu narracji wrzuciła do torby. Chciała pokazać go Samowi, poprosić, żeby wczuł się w rolę widza i przeczyta mu go na głos.

Ale nie dzisiaj.

Dopiero jutro rano,

To mogło zaczekać do rana.

Zajrzała do torby i zauważyła maszynopis — ten sam, który ukradła z biura Arthura Tuckera. Wyjęła go i przekartkowała. Cholera, na śmierć o nim zapomniała. Teraz, kiedy Tucker przestał być podejrzanym, powinna mu go zwrócić. Najlepiej wysłać anonimowym listem. Rune rzuciła tekst sztuki na stół, weszła do sypialni i wysunęła szufladę komody. Spakowała spódnicę, podkoszulek, bluzkę, skarpetki i bieliznę (tylko tym razem żadnych postaci z kreskówek Disneya, dziewczyno — weź te niewygodne, koronkowe figi). Na koniec wrzuciła jeszcze do torby szczoteczkę do zębów oraz

kosmetyki do makijażu i zaczęła gasić światła.

Przy oknie w salonie przystanęła i zapatrzyła się na nocną panoramę miasta.

Ta Nicole...

Z tych dwóch zabójstw — Shelly i Nicole — śmierć Nicole wydała jej się tragiczniejsza. Runę było jej bardziej żal. Shelly, mądrzejsza i bardziej utalentowana, była prawdziwą artystką i do tego ryzykantką. Lubiła spacery na skraju przepaści. Do diabła, w końcu *wybrała* Tommy'ego na swojego faceta. Tymczasem Nicole nie lubiła ryzyka. Była słodka i pomimo tego, czym się zajmowała, cały czas niewinna. Malowała paznokcie, pieprzyła się, marzyła o otwarciu sklepu z butami i o szefie agencji reklamowej, za którego wyjdzie za mąż. Ona...

Ten zapach.

Dopiero teraz go poczuła, chociaż dotarło do niej, że musiała być go świadoma już od dłuższego czasu, od kiedy wróciła na barkę. Wydawał jej się znajomy, a zarazem dziwnie przerażający, jak słodko-mdląca chemiczna woń, która już przyprawia człowieka o dreszcze, nim przypomni sobie, że tak pachnie w gabinecie dentysty.

Jakiś detergent? Nie. Woda kolońska? Może. Perfumy?

Jej myśli rozbiegły się niczym stado spłoszonych myszy, a Runę nie była zachwycona wnioskami, jakie jej się nasunęły.

Kadzidełko! Zapach drzewa sandałowego.

Zapach mieszkania Tommy'ego Savorne'a.

Zastanowiła się: uciekać czy szukać gazu łzawiącego?

Błyskawicznie odwróciła się w stronę drzwi wejściowych.

Jednak Tommy był szybszy. Oparł się o nie, zanim zdołała zrobić krok naprzód, i z uśmiechem przekręcił klucz w zamku.

23

Walczyła z nim na śmierć i życie.

Kolanami, łokciami, rękami... Zastosowała wszystkie ciosy zapamiętane z kursu samoobrony, który stale oglądała na wideo tylko dlatego, że instruktor, posiadacz czarnego pasa w taekwondo, był cholernie przystojny.

Ale nic nie zdziałała.

Tommy był bardzo pijany i Runę zrozumiała, dlaczego Warren Hathaway

uznał go za starszego, niż był w rzeczywistości. Wyjaśniło się również, dlaczego aż tak się zadyszał, uciekając przed nią spod kina Różowy Kociak. Teraz też łatwo mu się wyśliznęła, kiedy rzucił się na nią z rękoma..

Chwyciła stojącą w pobliżu lampę i uderzyła go w ramię tak mocno, że aż cały zadrżał. Alkohol odbierał mu co prawda pewność ruchów, ale działał też znieczulająco. Tommy tylko stęknął, odepchnął lampę na bok i wymierzył jej przedramieniem cios prosto w twarz. Runę upadła na podłogę. Spróbowała sięgnąć po gaz łzawiący, ale on znowu był szybszy i cisnął jej torebką przez całą długość pokoju.

— Suka. — Chwycił ją za kucyk, zaciągnął do krzesła i siłą posadził, a następnie szybko skrępował jej kostki i nadgarstki cienkim, miedzianym drutem.

– Nie! — krzyknęła. Drut wbijał się jej w ciało, zadając okropny ból.

Tommy przysiadł na piętach i kołysząc się w przód i w tył, zaczął jej się przyglądać. Miał tłuste włosy, a zagłębienia wokół paznokci zabarwione na ciemnoczerwono, jakby chińską miką. Jego koszula była przepocona, a na dżinsach widniały ciemne plamy. Runę domyśliła się, że to krew Nicole.

Tommy łypnął na nią pożądliwie. — Dobra była?

– Czego ode mnie chcesz?

– Warto było?

– O czym ty gadasz?!

– Przespać się z Shelly. Byłyście jej kochankami, zgadłem? ty i Nicole. — Miał rozbiegane spojrzenie. — Sypiała z Nicole, widziałem, jak to robiły w filmach. Było jasne, że jej się to podoba! Z tobą też lubiła to robić? A *ty* to lubiłaś? — Tommy zmrużył oczy, po czym już spokojnie zapytał: — Pomyślisz o niej, kiedy będziesz umierała?

– To nie ja odebrałam ci Shelly! Ledwo ją znałam. My tylko...

Otworzył torbę i wyjął z niej długi nóż. Drewnianą rączkę znaczyły ciemne plamy. W ręku trzymał coś jeszcze. Kasetę wideo. Popatrzył na telewizor i magnetowid Runę, włączył jedno i drugie i po trzech nieudanych próbach zdołał wsunąć kasetę do środka. Rozległ się cichy trzask, potem szum, a na ekranie pojawił się zamazany, czarno-biały obraz.

Tommy nieuważnie zerkał na telewizor, mamrocząc pod nosem, jakby recytował mantrę: — Dla mnie pornografia to sztuka. Bo *czym* właściwie jest sztuka? Kreacją.

Stwarzaniem czegoś, czego wcześniej nie było. A co pokazuje pornografia? Pieprzenie, czyli akt kreacji. — Na próżno usiłował odnaleźć na pilocie przycisk „przewiń". Odwrócił się do Rune. — Kiedy to do mnie dotarło, to było jak objawienie. Jak przeżycie religijne. Kiedy *piszesz* o pieprzeniu, to nie jest prawdziwe. Ale w filmie... nie da się niczego udawać. Człowiek ma przed oczami cały stwórczy akt. Zajebiście fantastyczna sprawa...

– O Boże, nie. — Rune zaczęła płakać, nie mogąc oderwać wzroku od ekranu telewizora.

Zobaczyła tam:

Nicole, przywiązaną do stalowej ramy w swojej własnej kuchni.

Nicole, szamoczącą się bezskutecznie, żeby uniknąć razów świszczącego bata.

– ...z filmami jest inaczej. Artysta nie może okłamywać widza. To niemożliwe. Dlatego wszystko tam jest. Na twoich oczach rodzi się nowe życie...

Nicole patrzącą błagalnie na swojego oprawcę, może nawet krzyczącą przez knebel.

Nicole zalaną łzami, z twarzą pokrytą brązowo-czarnymi plamami rozmazanego makijażu.

Nicole zamykającą oczy i zbliżającego się do niej z nożem Tom- my'ego.

– ...także religijne. Na początku Bóg *stworzył*... Widzisz, stworzył. To dopiero zajebisty zbieg okoliczności, co? Bóg i twórca. Dzięki pornografii to wszystko się łączy...

Nicole umierającą...

Runę zaniosła się łkaniem.

Savorne popatrzył na ekran smutnym, wygłodniałym wzrokiem.

– Ja naprawdę kochałem Shelly — wybełkotał. — Kiedy ode mnie odeszła, umarłem. Nie mogłem uwierzyć, że już jej przy mnie nie ma. Nie wiedziałem, co robić. Budziłem się i myślałem tylko o tym, że czeka mnie cały dzień bez niej, całe godziny bez jej obecności. Nie wiedziałem, co robić. Byłem jak sparaliżowany. Najpierw ją znienawidziłem, ale później zrozumiałem, że jest po prostu chora. Zwariowała. Wiedziałem już, że to nie jest jej wina, tylko innych ludzi, takich jak Nicole i ty. Ludzi, którzy chcieli ją uwieść.

– Ja jej nie uwiodłam!

Tommy nie zwracał na nią uwagi. Ustawił kamerę i zawahał się.

– Jestem już zmęczony. Strasznie zmęczony. To wszystko jest takie trudne... Ludzie tego nie rozumieją. To tak, jakby pracować w rzeźni, rozumiesz? Założę się,

że tym gościom też się w końcu odechciewa. Ale nie mogą tak po prostu odejść. Mają robotę do wykonania. Ja też się tak czuję.

Włączył reflektory. Oślepiona nagłym blaskiem Runę krzyknęła.

– Kiedy umierają — powiedział cicho mężczyzna — jakaś część mnie umiera razem z nimi. Ale nikt tego nie rozumie.

Spojrzał na nią i dotknął jej twarzy. Runę poczuła metaliczny zapach krwi. Tommy dodał: — Kiedy umrzesz, cząstka mnie umrze razem z tobą. Każdy artysta przez to przechodzi... Pewnej nocy... — Wyglądało na to, że stracił wątek. Usiadł, trzymając w ręku niewielką kamerę i wbił wzrok w podłogę.

Runę szarpnęła się. Drut był cienki, ale nie ustępował.

W końcu Tommy przypomniał sobie, co chciał powiedzieć. — Pamiętam pewną noc, mieszkaliśmy jeszcze w Pacific Grove, niedaleko plaży. To była dziwna noc. Oboje nieźle sobie radziliśmy, kręciliśmy filmy, zarabialiśmy sporo kasy. Ja wtedy reżyserowałem. Tego wieczoru oglądaliśmy z Shelly wstępny montaż. Zazwyczaj widząc siebie na ekranie, podniecała się, szliśmy do łóżka i było fantastycznie. Ale tym razem coś poszło nie tak. Objąłem ją, a ona nie zareagowała. Nic nie powiedziała, tylko spojrzała na mnie w taki dziwny sposób. Zupełnie, jakby zobaczyła własną śmierć. Niedługo potem mnie opuściła. Całymi godzinami o tym myślałem. Przypominałem sobie, jak wyglądała z tym niesamowitym wyrazem twarzy.... — Popatrzył na Rune. W jego spojrzeniu była szczerość i absolutne skupienie. Wyglądał jak człowiek rozprawiający o czymś naprawdę ważnym. — I w końcu zrozumiałem. Seks i śmierć to jedno i to samo...

Na chwilę odpłynął gdzieś myślami, po czym znów spojrzał na Rune, jakby zaskoczony jej widokiem. Wydobył z torby butelkę wódki i pociągnął solidny łyk. Uśmiechnął się. — A teraz nakręcimy film.

Włączył kamerę i skierował obiektyw na Rune.

Reflektory grzały i pot zalewał mu oczy, ale Tommy nawet nie próbował go ocierać.

Rune płakała.

Tommy czule pogładził ostrze noża. — Chcę się z tobą kochać.

Podszedł do niej i oparł jej ostrze na przedramieniu.

Nacisnął i szybkim pociągnięciem przeciął jej skórę.

Krzyknęła.

Kolejne cięcie, tym razem trochę krótsze. Tommy przyjrzał się swojemu dziełu. Na przedramieniu Rune widniał krwawy krzyż.

— Klienci lubią takie rzeczy — wyjaśnił. — Doceniają artystyczne szczegóły. — Dotknął nożem jej szyi. — Chcę się z tobą kochać. Chcę się z tobą...

Pierwszy strzał padł nisko i trochę z boku, trafiając w lampę.

Tommy zaskoczony obrócił się na pięcie. W jego oczach błysnęła panika.

Drugi był celniejszy. Kula przeleciała mu obok głowy jak rozwścieczona pszczoła, wybiła szybę i zniknęła gdzieś w ciemnych odmętach rzeki Hudson.

Trzecia i czwarta trafiły go kolejno w ramię i w głowę. Tommy osunął się na ziemię. Kolana się pod nim ugięły i runął bezwładnie, jak zrzucony z ciężarówki wór ziarna.

Sam Healy, ciężko oddychając, z lufą służbowego Smith & Wesso- na wciąż wycelowaną w głowę mężczyzny, wszedł wolno do środka. Dłoń, w której trzymał broń, drżała, a twarz była śmiertelnie blada.

– Och, Sam! — załkała Rune. — Sam...

– Nic ci nie jest?

Tommy przewrócił się na Rune i jego głowa spoczywała na jej stopie. Rune bezskutecznie usiłowała się od niego odsunąć. Z paniką w głosie, przez łzy zawołała: — Zabierz go ode mnie! Zabierz go, błagam, zabierz go ode mnie!

Healy kopniakiem przewrócił mężczyznę na plecy, upewnił się, że tamten nie żyje, i zaczął rozplątywać drut. — Do diabła, marny ze mnie strzelec. — Próbował obrócić to w żart, ale Rune słyszała wyraźne drżenie w jego głosie.

Kiedy wreszcie ją wyswobodził, przywarła do niego całym ciałem.

Sam cicho powtarzał: — Już wszystko dobrze, już dobrze...

– Chciał mnie zabić i to sfilmować. Próbował zrobić mi to samo, co Nicole.

. Healy sięgnął po krótkofalówkę. — Dwa pięć pięć zgłasza się do centrali.

– Mów dwa pięć pięć.

– Zgłaszam ZNMP na barce cumującej na Hudson w pobliżu Christopher Street. Przyślijcie tu kogoś z wydziału zabójstw, karetkę i dyżurnego lekarza z biura koronera.

– Przyjałem, dwa pięć pięć. tylko ZNMP? Żadnych rannych?

Healy odwrócił się do Rune i zapytał: — Dobrze się czujesz? Nie potrzebujesz lekarza?

Ona jednak wpatrywała się w ciało Tommy'ego i nie słyszała ani słowa z tego, co powiedział.

Było przytulnie.

To było najdziwniejsze.

Rune obudziła się o wpół do ósmej. Śnił jej się koszmar — nie z Tommym i Shelly w rolach głównych, tylko zwykły zły sen, w którym zapominała przygotować się do egzaminu. Często takie miewała. Zaraz jednak odetchnęła, widząc śpiącego obok Sama. Przez chwilę obserwowała, jak spokojnie oddycha, a jego pierś unosi się lekko w miarowym rytmie, po czym wyszła z łóżka i zaczęła zwiedzać pozostałe pomieszczenia.

Przytulny, typowy podmiejski dom.

Nastawiła kawę i tosty, obrzucając szybkim spojrzeniem zawartość lodówki. Butelki piwa, plastry żółtego sera, samo śmieciowe jedzenie. Ciekawe, dlaczego trzymał tam też chrupki ziemniaczane.

Nie, to wszystko nie miało sensu. To normalne, że *ona* niezdrowo się odżywiała, ale. Sam był mężczyzną. I do tego policjantem. Można by przypuszczać, że potrzebuje czegoś bardziej pożywnego niż piwo i chrupki kukurydziane. W zamrażarce znalazła trzy sterty gotowych dań do podgrzania w mikrofalówce, każdą inną. Domyśliła się, że sięga po nie kolejno od prawej do lewej, żeby nie jeść tego samego dwa razy z rzędu.

Obeszła brzydką, żółtą kuchnię z lodówką przyozdobioną wielkimi nalepianymi stokrotkami i wszechobecnymi przyborami z różowego plastiku: kosz na śmieci, wieszaki, uchwyty na ręczniki kuchenne, suszarka do naczyń... Wszędzie stały albo wisiały zdjęcia Adama.

Runę obejrzała je wszystkie, parząc jednocześnie kawę i przypalając pieczywo w tosterze.

Czy to takie uczucie być czyjąś żoną?

Na pewno taką jak Cheryl.

Obeszła jednopiętrowy dom, popijając kawę z białego kubka ozdobionego rysunkami krów.

W jednej z sypialni znajdował się teraz gabinet. Tu i ówdzie widać było puste miejsca po meblach. Wyglądało na to, że Cheryl sobie nie żałowała, sądząc po tym, co zostało, musiała zabrać najlepsze sprzęty.

W salonie wyłożonym białymi chodnikami jej uwagę od razu zwrócił regał. Trochę kieszonkowych wydań popularnych powieści, szkolne

podręczniki, poradniki o wystroju wnętrz. *Rozminowywanie ładunków wybuchowych — broń chemiczna... Miny przeciwpiechotne: taktyka i sposób postępowania*.

Ta ostatnia była mocno sfatygowana. Na okładce widać było plamy po wodzie i Runę zaciekawiona zastanawiała się, czy Sam czytał ją w wannie.

Egzemplarz *Technik detonacji improwizowanych ładunków wybuchowych* sąsiadował ze *Sztuką kuchni francuskiej*.

Sam Healy z pewnością był facetem, w którym łatwo się było zakochać i z którym miło spędzało się czas, ale Runę nie miała wątpliwości, że trudno być jego żoną.

Wróciła do kuchni, usiadła przy stole pokrytym odrapanym laminatem i zapatrzyła się w okno wychodzące na podwórko za domem.

Ta Nicole...

Biedna Nicole, która skusiła sława, łatwe pieniądze, blask reflektorów i kokaina. Dobry Boże — te jej tapirowane fryzury, krzykliwy makijaż, groźnie wyglądające paznokcie, wysmukłe uda... Była słodką, prostą dziewczyną, która nie powinna robić tego, co robiła.

Shelly i Nicole.

Napalone siostrzyczki...

Teraz obie już nie żyły.

Runę pomyślała, że taka przypadkowa śmierć musi być najgorsza. Już lepiej stanąć z nią twarzą w twarz, spojrzeć jej prosto w oczy, może nawet rzucić jej wyzwanie, obrzucając obelgami, niż pozwolić się tak zaskoczyć...

Przez chwilę żałowała, że w ogóle dała się w to wciągnąć — wpadła na pomysł zrobienia filmu, spotkała się z Shelly i Nicole...

Ta cała branża pornograficzna to był gówniany biznes, nienawidziła go. Kiepskie nastawienie jak na kogoś, kto chce kręcić dokumenty, ale, cholera, tak właśnie się teraz czuła.

Powróciły obrazy minionej nocy. Twarze Tommy'ego i Nicole, a co gorsza zakrwawione prześcieradło. Ślady krwi na rękach Tommy'ego. Żar bijący od włączonych reflektorów, wpatrzone w nią przerażające oko kamery, w chwili gdy Tommy ruszył w jej stronę, i odgłos kuli trafiającej go w głowę. Poczuła, że trzęsą jej się ręce, a gdzieś w głębi narasta koszmarna spirala strachu.

Nie, nie, nie...

Z sąsiedniego pokoju rozległ się zaspany głos Sama i zły czar prysł. — Runę, jeszcze wcześnie! Wracaj do łóżka.

— Pora wstawać. Zrobiłam śniadanie. — Już miała dodać: „Jak dobra żona", ale

pomyślała: „Po co wywoływać wilka z lasu?" — Dzisiaj robimy ostateczny montaż reklamy dla House 0'Leather — tej, której ci opowiadałam. Za godzinę muszę być w robocie.

— Rune — zawołał ponownie Healy. — Chodź, chcę ci coś pokazać.

— Spaliłam właśnie dla ciebie tost.

— Rune!

Zawahała się, po czym wstąpiła do łazienki, żeby się uczesać i spryskać perfumami. Jeśli chodzi o mężczyzn o poranku, wiedziała o nich to i owo.

Nie było jej zamiarem paść ofiarą przemocy, a już na pewno nie chciała w tak brutalny sposób rozstać się z życiem. Ale Shelly Lowe była uzależniona — uzależniona od władzy, jaką dawały jej filmy, w których występowała, uzależniona, jak zapewne każdy artysta, od nieposkromionej potrzeby obnażania się, w każdym tego słowa znaczeniu, przed swoją publicznością.

I tak jak wszyscy uzależnieni Shelly musiała się liczyć z tym, że narkotyk całkowicie nią zawładnie.

Zdawała sobie z tego sprawę, a mimo to nie wycofała się. Stawiła czoła swojemu nałogowi i przegrała. Uwięziona między sztuką a pożądaniem, pięknem a seksem, Shelly Lowe zginęła.

Pochowano ją na małym cmentarzu na Long Island, a na jej prostym nagrobku wyryto tylko dwa słowa: „Żyła sztuką", które wydają się być odpowiednim pożegnaniem tej smutnej gwiazdy kina porno.

ŚCIEMNIENIE.

NAPISY KOŃCOWE...

– No i co o tym sądzisz? — zapytała Healy'ego Rune.

– Sama to napisałaś?

Rune skinęła głową. — Chyba za setnym podejściem. Nie jest za bardzo, no wiesz, kwieciste?

Healy popatrzył na nią. — Moim zdaniem to bardzo piękne. — Objął ją ramieniem. — Czy to znaczy, że twój film jest już gotowy?

– A skąd. Muszę jeszcze znaleźć profesjonalnego lektora, który to przeczyta, poświęcić ze trzy tygodnie na montaż i z dziesięciu godzin filmu zrobić dwadzieścia osiem minut. Kręcenie zdjęć to była frajda, teraz zaczyna się prawdziwa praca...

Słuchaj, Sam, tak się zastanawiałam... Czy ktoś już zrobił dokument o ekipie pirotechników?

Sam cmoknął ją w szyję. — Weź sobie dzisiaj wolne, to o tym porozmawiamy.

Szybko oddała mu pocałunek i wyskoczyła z łóżka. — I tak mam już na minusie, jeśli chodzi o Larry'ego i Boba. Ostatnio zapomniałam kupić z rana świeże rogaliki.

– Tę reklamę naprawdę zamówiła firma House 0'Leather? Co to w ogóle za nazwa, Dom Skóry?!

– Ja tam tylko pracuję. Nie odpowiadam za zły gust klienta.

Dopiła kawę, czując, że Sam się jej przygląda.

To było coś więcej niż zwykłe spojrzenie.

Gorzej; to było jedno z tych łzawych spojrzeń, którymi mężczyźni czasami obrzucają kobiety — kiedy ogarnia ich nagle to *uczucie*, które biorą za miłość, a które tak naprawdę znaczy, że mają ochotę na seks, poczucie winy albo po prostu czują się niepewnie. Jedno z tych spojrzeń, od których można się udusić.

Rzuciła lekko: — Muszę już lecieć. — I podeszła do drzwi z kokieteryjnym uśmiechem, który czasami działał jak kubeł zimnej wody na pijanych z miłości facetów.

– A dokąd to? — powiedział Sam niskim głosem gliniarza.

Nie zatrzymam się. Tylko spokojnie. Zachowaj dystans. Nie ma pośpiechu.

– Rune.

Przystanęła.

Wychodząc, puszczę do niego oko, bezczelnie i zalotnie.

– Pozwól tu na chwilę.

No dalej, dziewczyno, mrugaj.

Zamiast tego zawróciła, myśląc, że właściwie nie jest jeszcze *aż tak* spóźniona...

Wchodząc do biura, od razu wyczuła, że coś jest nie tak. Nawet bardzo nie tak.

Powiesiła płaszcz na łuszczącym się starym wieszaku i rozejrzała się.

O co chodzi?

Po pierwsze, poranna poczta wciąż leżała na podłodze. Larry zwykle zanosił ją na biurko Cathy — teraz już biurko Rune — i pierwszy ją przeglądał.

Po drugie, ekspres do kawy milczał. Larry włączał go zawsze zaraz po przyjściu do studia, jednak dzisiaj przewód był wyciągnięty z kontaktu, a w powietrzu nie

unosił się zwykły kwaśny zapach lekkiej spalenizny.

Po trzecie, Bob był już w pracy — o 9.45 rano! Rune widziała jego sylwetkę przez przeszkloną ściankę działową.

Musiało się stać coś naprawdę ważnego.

Dostrzegła ruch dwóch głów, zniekształconych przez szybę ze szkła w bąbelki. Larry też był w pracy, ale *to* akurat nie było dziwne. Zawsze wcześnie przychodził, jakby bał się, że czeki rozpłyną się w powietrzu, jeśli szybko ich nie odbierze.

– To ona. — Zza ścianki dobiegł ją ściszony głos.

Ona. Ten ton nie wróżył niczego dobrego.

– Dobra. Pogadajmy z nią.

Drzwi gabinetu otworzyły się i Larry skinął jej głową. — Rune, możesz do nas zajrzeć na minutkę?

Weszła do środka. Jej szefowie wyglądali na zmęczonych i niewyspanych. W myślach zrobiła rachunek swoich ostatnich przewinień. Lista była długa, ale nie dostrzegła na niej żadnej spektakularnej porażki.

– Siadaj, Rune.

Usiadła.

Bob zerknął na Larry'ego, który oznajmił: — Odebraliśmy dzisiaj telefon od klienta.

– Obaj — uściślił Bob. — Dziś o dziewiątej rano.

– Od Pana Portfela?

Niech to szlag, facet z postprodukcji zawalił termin. Powiedziała: — Kazałam temu kretynowi wysłać im kasetę natychmiast, jak tylko będzie gotowa. Groziłam mu śmiercią. Zaklinał się, że...

– Kaseta dotarła do klienta na czas, Rune. Problem w tym, że reklama się nie spodobała.

Chcą mi obciąć wypłatę. Na pewno o to chodzi. House 0'Leather wynegocjował niższą cenę, więc muszą mi mniej zapłacić.

Westchnęła. — Co im się znowu nie podoba? Założę się, że to cholerne domino. Dajcie spokój, ustawiałam je trzy razy!

Larry bawił się nerwowo trzymaną w ręku monetą. — Nie, ujęcie z kostkami domina było w porządku. Gość stwierdził co prawda, że logo nadal jest trochę krzywe, ale w sumie się nie czepiał.

– Więc chodzi o efekt przenikania? Naprawdę się do tego przyłożyłam...

. .Bob zwrócił .się do Larry'ego. — Pokaż jej, co mu się nie spodobało.

Larry wcisnął przycisk odtwarzacza. Na ekranie pojawił .się kolorowy obraz kontrolny. Po chwili zaczęło się odliczanie od dziesięciu; każdej liczbie towarzyszył przenikliwy sygnał dźwiękowy. Przy trójce ekran pociemniał. A potem:

Rozjaśnienie: . uśmiechnięta córka właściciela wyjaśnia, że House 0'Leather produkuje swoje portfele z najlepszej cielęcej skóry, wyprawionej i barwionej według rodzinnych receptur.

Cięcie. Kolejna scena: . robotnicy wyrabiają w fabryce portmonetki i portfele.

Cięcie. Córka właściciela czule głaszcze portfel (model HL/141).

Płynne przejście do ujęcia z kostkami domina.

Cięcie. Dwie kobiety uprawiają seks oralny na łóżku wodnym, podczas gdy pojawiają się napisy końcowe *Napalonych siostrzyczek*.

– Och — westchnęła Rune.

Ściemnienie.

Larry odezwał się: — Facet zerwał umowę, Rune. Nie zapłaci nam ani centa za reklamę, nie pokryje też kosztów.

– Chyba coś mi się musiało pomylić.

– Chyba — potwierdził z przekąsem Larry.

A Bob dodał: — Nic nie zarobiliśmy, a przy okazji straciliśmy siedemdziesiąt pięć tysięcy dolców.

– Och.

Larry nieco złagodniał. — Wiem, że to był wypadek przy pracy. Nie twierdzę, że tak nie było, ale... Rune, dobry z ciebie dzieciak...

– Zwalniacie mnie, prawda?

Nawet nie pofatygowali się, żeby przytaknąć.

– Zabierz swoje rzeczy i wyjdź.

– Życzymy ci wszystkiego dobrego — dorzucił Bob.

Rune wiedziała, że nie mówi tego szczerze, ale doceniła, że przynajmniej się starał.

To wcale nie znaczy, że jestem do niczego.

Rune wlokła się wzdłuż nabrzeża, obserwując zielonkawe cienie sięgające daleko w głąb pomarszczonej toni rzeki Hudson. Mewy stały na jednej nodze, stroszące pióra w chłodnej, porannej bryzie.

Ostatecznie Einsteina też chyba wykopali ze szkoły za to, że zawalił

matematykę. A Churchill musiał się podać do dymisji.

A później i tak wszystkim pokazali.

Tyle że im ktoś dał drugą szansę.

Niewesoło to wyglądało: żegnaj, dystrybutorze; żegnajcie, pieniądze na lektora i ścieżkę dźwiękową...

Dysponowała trzydziestoma godzinami nie zmontowanej taśmy, której wartość w ciągu pół roku spadnie niemal do zera, bo po upływie tego czasu śmierć Shelly Lowe nikogo już nie będzie obchodzić.

Wróciła na barkę, ułożyła kasety na półce, na wierzch rzuciła scenariusz i weszła do kuchni.

Całe popołudnie spędziła, siedząc na pokładzie, popijając ziołową herbatę i przeglądając książki. W końcu, sama nie wiedząc dlaczego, wybrała stary egzemplarz „Piekła" Dantego.

Zaciekawiło ją, dlaczego akurat ta część, a nie „Czyściec" czy „Raj", była bestsellerem.

Pomyślała o wszystkich poziomach piekieł, do których człowiek jest w stanie zejść.

Głównie chodziło jej o Tommy'ego, ale byli też jeszcze inni.

Danny Traub, który — chociaż przeznaczał pieniądze na zbożny cel — i tak był skurwysynem, czerpiącym przyjemność z dręczenia kobiet.

Michael Schmidt, który miał się za Boga i całkiem bez powodu przekreślił karierę obiecującej aktorki.

Arthur Tucker, który po śmierci Shelly ukradł tekst jej sztuki.

Zastanowiła się, dlaczego staczanie się stanowi w życiu człowieka niemal nieunikniony proces i dlaczego tak trudno jest piąć się w górę, robić to, co próbowała zrobić Shelly. Zupełnie, jakby w grę wchodziła jakaś złowroga siła grawitacji.

Spodobało jej się to określenie — „złowroga siła grawitacji" — i zaraz zapisała je w notatniku, żałując, że nie może go wykorzystać w jakimś scenariuszu.

Czy gdyby Shelly nie zginęła, udałoby jej się wydostać z otchłani tak jak Eurydyce?

Zdrzemnęła się i przebudziła dopiero o zmierzchu. Zachodzące słońce niczym pomarańczowy dysk wbijało się w ziemię gdzieś na równinach New Jersey, a otaczające je powietrze drżało od upału. Rune przeciągnęła się, wzięła prysznic i zjadła na kolację kanapkę z żółtym serem.

Potem przeszła się do automatu i zadzwoniła do Sama Healy'ego.

– Wylali mnie. — Opowiedziała mu całą historię.

– No, nie. Strasznie mi przykro,

– Żałuję tylko, że nie zdążyliśmy tego wysłać do wszystkich stacji telewizyjnych — zażartowała. — Wyobrażasz to sobie? *Napalone siostrzyczki* lecące w czasie najwyższej oglądalności? Kurczę, to by dopiero była rewelacja.

– Potrzebujesz pieniędzy?

– Nie, naprawdę nie ma się czym przejmować. Stale wylatuję z jakiejś roboty. Chyba częściej mnie zwalniają niż zatrudniają. Tak to odbieram, chociaż to chyba niemożliwe.

– Ta co? Masz ochotę pójść w miasto i zalać swoje smutki?

– Nie, na dzisiaj mam już inne plany — odparła. — Może jutro?

– Jasne. Ja zapraszam.

Rozłączyli się, po czym Rune wyjęła z kieszeni jeszcze kilka ćwierć - dolarówek i wybrała numer informacji.

Zużyła niemal wszystkie monety. Trochę to trwało, zanim udało jej się znaleźć szkołę tańca, która gwarantowała, że w jeden wieczór z każdego zrobi mistrza tańców kowbojskich.

Na miejscu okazało się, że w rzeczywistości nie wygląda to wcale tak różowo. Rune musiała naprawdę długo przekonywać instruktora, że nie interesuje jej kurs tańców latynoskich ani zajęcia tańca towarzyskiego ze specjalnym uwzględnieniem układów choreograficznych Freda i Ginger.

Jednak kiedy wreszcie weszła na parkiet, szybko załapała kroki i uznała, że da sobie radę. Następnego wieczoru zaskoczyła Healy'ego, zjawiając się u niego w kraciastej spódniczce i błękitnej bluzce.

– Wyglądam jak szmaciana lalka. Już nigdy nie ośmielę się pokazać na południe od Bleecker Street — mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

Znowu wylądowali w jego teksańskiej knajpie i przetańczyli tam ładnych parę godzin. Sam był zdecydowanie pod wrażeniem jej nowo nabytych umiejętności. Potem jednak na scenę wtargnął jeden z gości i zainicjował amatorski pokaz tańca w cztery pary.

– Co za dużo, to niezdrowo — oznajmiła Rune. Usiedli i zabrali się za półmisek żeberek.

O jedenastej zjawiło się paru znanych Healy'emu policjantów, a pół godziny później lokal był już tak nabity, że postanowili zmienić otoczenie i całą grupą udali się do innego baru, zadymionej

spelunki przy Greenwich Avenue. Rune spodziewała się, że mężczyźni będą rozmawiać o broni, krwi i zastrzelonych przez siebie przestępcach, gliniarze okazali się jednak normalnymi ludźmi, spierającymi się o filmy, burmistrza i politykę Waszyngtonu.

Świetnie się z nimi bawiła i niemal zapomniała, czym się zajmują — do momentu gdy gdzieś w uliczce na tyłach knajpy strzelił gaźnik i cała trójka (z wyjątkiem Sama) automatycznie sięgnęła do kabur, by sekundę później, zdając sobie sprawę ze swojej pomyłki, opuścić ręce i jak gdyby nigdy nic wrócić do rozmowy, nawet na chwilę nie tracąc wątku, ale i nie żartując sobie z tego, co się właśnie stało.

Scena ta jednak przywołała jej na myśl wspomnienie Tommy'ego i Nicole i wieczór przestał ją cieszyć. Była szczęśliwa, kiedy wreszcie znalazła się we własnym łóżku.

Nazajutrz zgłosiła się do pośredniaka przy Szóstej Alei, gdzie znała z imienia większość urzędników. Kolejki znacznie się skróciły, co uznała za oznakę poprawy sytuacji gospodarczej. Do południa zdążyła wszystko pozałatwiać.

W kolejnym tygodniu trzykrotnie spotkała się z Samem. Podskórnie wyczuwała, że chciałby ją częściej widywać, ale dobrze pamiętała, co matka mówiła jej o mężczyznach świeżo po rozstaniu. Angażowanie się w związek ze *starszym* mężczyzną świeżo po rozstaniu nie wydawało jej się najrozsądniejszym posunięciem.

Mimo to stale za nim tęskniła i w czwartek, kiedy rozmawiali przez telefon, poczuła przyjemny dreszcz, słysząc: — Jutro mam wolne, więc może byśmy...

– Wysadzili coś w powietrze?

– Chciałem ci zaproponować piknik w jakimś miłym miejscu.

– Świetnie! Tak bardzo chciałabym wyrwać się z miasta. Na ulicach cuchnie mokrym psem i w dodatku zapowiadają trzydziestosze- ściostopniowe upały. Ala mam akurat umówione spotkanie w restauracji...

– Kręcisz teraz film o restauracji? — zdziwił się.

– Sam, zgłosiłam się tam do pracy jako kelnerka!

– Przełóż to na kiedy indziej. Wyjedziemy za miasto.

– Wbijasz mi nóż w plecy...

– Zadzwonię jutro, to dogadamy szczegóły.

– Nie powiedziałam, że się zgadzam!

– Do jutra.

Rozłączył się.

– Zgadzam się — szepnęła.

25

Kent było niewielkim miasteczkiem w Putnam County, ponad sto kilometrów na północ od Nowego Jorku, niemal na granicy stanu Connecticut. Liczba stałych mieszkańców wynosiła 3 700 osób.

Miasteczko niewiele się zmieniło od dnia, kiedy je założono w 1798 roku. Było zbyt oddalone od Nowego Jorku, żeby ktoś dojeżdżał tam do pracy, chociaż kilka osób podróżowało w tę i z powrotem do Poughkeepsie na zajęcia w Vassar College. Mieszkańcy utrzymywali się głównie z uprawy roli, turystyki oraz typowych zajęć będących podsta

wą małomiasteczkowej gospodarki: sprzedaży ubezpieczeń, handlu nieruchomościami oraz budownictwa.

Przewodniki po okolicy z reguły nie wspominały o Kent. *Mobil Guide* przyznał kilka gwiazdek restauracji w zajeździe przy międzystanowej autostradzie. Na krótką wzmiankę zasłużyły też Muzeum Rolnictwa i wiosenny festiwal kwiatów.

Było to miejsce ciche i spokojne.

Na obrzeżach miasteczka, jakieś półtora kilometra za ostatnim protestanckim kościołem w Kent, znajdował się stary kamieniołom. Ogromne wykopalisko pełniło podwójną rolę: w sobotnie wieczory spotykali się tam nastoletni chłopcy, wybierający to miejsce na randki albo żeby opróżnić sześciopak piwa, zaś w ciągu dnia kamieniołom nieoficjalnie służył jako strzelnica. Tego popołudnia trzech mężczyzn stało przy rozpadającym się drewnianym blacie, pełniącym funkcję podręcznego stojaka dla karabinów oraz magazynu amunicji, tarcz strzeleckich oraz zapasowych magazynków.

Wszyscy trzej stali w pozycji strzelniczej zalecanej przez Narodowe Stowarzyszenie Posiadaczy Broni — prawa stopa cofnięta i ustawiona równolegle do celu, lewa wysunięta naprzód i skierowana palcami w kierunku linii strzału. Byli to wysocy mężczyźni o krótkich włosach, gładko zaczesanych przy pomocy warstwy lakieru. Dwóch było siwych i szczupłych; trzeci, młodszy, miał ciemną fryzurę, piwny brzuch, cienkie nogi i szerokie ramiona. Wszyscy mieli na sobie jasne buty, luźne, cienkie spodnie (dwóch różowe, jeden szare), koszule z krótkimi rękawami i krawaty na gumce. W kieszeni koszuli grubszego mężczyzny tkwiły długopis i ołówek w plastikowej oprawce.

Wszyscy trzej mieli ochronne okulary do strzelania z żółtawymi, wzmacnianymi szkłami w kształcie łzy, a w uszach zatyczki w cielistym kolorze.

Dwóch z nich — grubszy i szczuplejszy — trzymało w rękach kałasznikowy, których magazynki przed chwilą opróżnili, celując do kartonowych sylwetek znajdujących się niecałe pięćdziesiąt metrów dalej. Teraz opuścili je, oparli o ziemię lufami do góry i zaczęli zbierać puste miedziane łuski po pociskach, które zamierzali przez weekend ponownie napełnić.

Trzeci mężczyzna dzierżył kanciastego, niezgrabnego, izraelskiego uzi, z którego wystrzelił dotąd kilka krótkich serii. Broń zakończona była dwudziestopięciocentymetrowym tłumikiem i wydawała przytłumiony odgłos piły łańcuchowej.

Wszystkie trzy karabiny były w pełni automatyczne, co oznaczało, że strzelający z nich mężczyźni złamali właśnie prawo federalne i stanowe. Tłumik stanowił osobne wykroczenie. Mimo to żaden z nich nigdy nie widział w tej części hrabstwa agenta FBI ani Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych. Nic więc dziwnego, że nie kryli się z tą bronią bardziej niż ze swoimi ulubionymi strzelbami myśliwskimi kaliber 30-06 czy dwururkami Remingtona.

Mężczyzna z uzi starannie wycelował i opróżnił magazynek.

Następnie wyjął z uszu zatyczki i polecił:

— Przerwać ogień. — chociaż jego dwaj towarzysze odłożyli już swoją broń na blat, lufami w stronę strzelnicy. Było ich tylko trzech, ale wychowano ich w duchu surowych zasad posługiwania się bronią, których zawsze i wszędzie przestrzegali. Kiedy godzinę wcześniej stawili się na strzelnicy, ten sam mężczyzna popatrzył na pozostałych i zakomenderował. — Z lewej czysto, z prawej czysto, na linii strzału czysto... Ognia!

Były to rytuały, które szanowali i cenili.

Teraz odłożył uzi i przeszedł się na strzelnicę, żeby pozbierać kartonowe sylwetki. Kiedy wrócił, wszyscy trzej zabrali swoje karabiny, wyjęli magazynki, odsunęli ryglę, zabezpieczyli broń i ruszyli w stronę parkingu. Tam karabiny zniknęły w bagażniku cadillaca el dorado.

Podróż trwała zaledwie dziesięć minut. Samochód zatrzymał się na żwirowym podjeździe przed białą, kolonialną rezydencją, zbudowaną za pieniądze ze sprzedaży ubezpieczeń. Trzej mężczyźni obeszli dom ścieżką wyłożoną polnymi

kamieniami i stanęli przed bocznymi drzwiami. Znalazłszy się wewnątrz dużego pomieszczenia wyłożonego ciemnozieloną wykładziną, o ścianach krytych boazerią, rozpostarli na podłodze gruby, szary brezent i rozłożyli na nim karabiny. Zaraz też pojawiły się sfatygowane zestawy do czyszczenia broni, a w powietrzu rozeszła się słodkawa woń rozpuszczalnika.

W ciągu trzydziestu sekund karabiny zostały rozłożone na części i mężczyźni przecierali lufy wycioramі sporządzonymi ze szmatek przeciągniętych przez otwory na czubku aluminiowych prętów. Wszyscy trzej uwielbiali czyścić swoją broń.

W pewnej chwili jeden z dwóch szczuplejszych o imieniu John spojrzał na zegarek, podszedł do biurka — był u siebie w domu — i usiadł w fotelu. Po kilku sekundach rozległ się dzwonek telefonu. Mężczyzna podniósł słuchawkę, przez chwilę słuchał, po czym rozłączył się, wrócił

do swoich towarzyszy i zaczął wcierać olej w skórzany pas przy swoim kałasznikowie.

– Gabriel? — upewnił się Harris, ten ciemnowłosy i tęższy.

John skinął głową.

– Wie już, co się stało?

– Tak.

Trzeci mężczyzna o imieniu William zapytał: — Ktoś się pod nas podszywa?

– Wygląda na to, że jakiś facet chciał zabić dziewczynę — jedną z tych, które sprzedają swoje ciało w tych obrzydliwych filmach. To on podłożył drugą bombę. Policja go zastrzeliła.

– A prasa sądzi, że to on stał za wszystkimi zamachami? — chciał wiedzieć William.

– Na to wygląda. Uważają, że próbował w ten sposób zatrzeć za sobą ślady.

– Media. — westchnął Harris. — Błogosławieństwo i przekleństwo naszych czasów.

John tymczasem skończył składać swojego kałasznikowa, zasunął rygiel zamka, zabezpieczył broń i odstawił karabin na stojak z palisan- dru obok pistoletu maszynowego marki Thompson, półautomatu Remingtona, Enfielda kaliber 303, Ml i karabinu samopowtarzalnego kaliber 30-06. — I co teraz?

Harris odparł: — Cała praca Gabriela pójdzie na marne, jeżeli uznają, że kto inny jest winien tych zamachów. Chociaż z drugiej strony, to niezła zasłona dymna. Gabriel może działać zupełnie swobodnie. Dobrze, że po drugiej bombie od razu zareagowaliśmy i policja znalazła list o trzecim aniele zagłady.

Przy pomocy miniaturowego peryskopu William zaglądał do przewodu lufy, szukając drobin prochu, które mógł

przeoczyć. — Nie możemy się teraz wycofać. Brat Harris ma rację.

— Tak. Nie możemy teraz zrezygnować — przytaknął z namysłem John. Wlał wodę do ekspresu i zaparzył dzbanek kawy bezkofeinowej. Podobnie jak pozostali uważał kawę za grzeszny narkotyk. — Ale nie jestem pewien, czy zgadzam się z wami, jeśli chodzi o Gabriela. Policja nie przerwie ot tak śledztwa w sprawie pozostałych dwóch zamachów. Prędzej czy później eksperci skończą pracę i odkryją, że stał za nimi ktoś inny.

Harris odparł: — Gabriel musi zostać, żeby zakończyć swoją misję. W razie potrzeby nie zawaha się oddać życia.

– Nie powinien tego robić — sprzeciwił się John. — Jest dla nas zbyt cenny.

– W takim razie zrezygnujmy z Nowego Jorku — zaproponował William. — Poślijmy go do Los Angeles. Do Hollywood. Już dawno mówiłem, że tam powinniśmy zacząć. W Kalifornii nikt nie zna Gabriela. Wszystkie jego kontakty są na Manhattanie.

– Z całym szacunkiem — zaprotestował John. — Uważam, że musimy skończyć to, co zaczęliśmy. — Przemawiał ściszonym głosem, jakby sprzeciwiając się towarzyszom, odczuwał fizyczny ból.

Łagodność Johna mogła być zwodnicza. Harris i William strzelali do jeleni i kaczek z entuzjazmem prawdziwych miłośników polowania. John nie. Służył w piechocie morskiej w Wietnamie, ale nigdy nie zająknął się choćby słowem na temat krętych ścieżek swojej wojskowej kariery. Harris i William wiedzieli, że ci, którzy najmniej mówią o zabijaniu, mają zwykle w tej kwestii największe doświadczenie.

Teraz John oznajmił: — Nie możemy się jeszcze wycofać z Nowego Jorku. — Wzruszył ramionami. — Takie jest moje zdanie.

William odchrząknął i splunął w lnianą chusteczkę. — W porządku. Co na to Gabriel?

Harris z trzaskiem zasunął rygiel zamka swojego automatu. — Zrobi wszystko, co mu każemy.

– Powinien jednak działać szybko.

John rozlał kawę do kubków i podał je Williamowi i Harrisowi. — Tak też zrobi.

William przytaknął, po czym zapytał: — Kto tym razem będzie celem?

Spojrzenie Johna padło na wiszący nad biurkiem podświetlany krucyfiks; po chwili popatrzył na pozostałych.

– W chwilach takich jak ta czuję, że przepełnia mnie niezwykła odwaga — wyznał Harris. — Kiedy trzeba zdecydować, kto umrze, a kto będzie żył...

– Gabriel powiedział mi o pewnej osobie. Myślę, że to ciekawy pomysł.

– W takim razie postąpimy zgodnie z jego planem — stwierdził Harris i skinął głową.

– Zgoda.

– Pomódlmy się o powodzenie jego misji.

Wszyscy trzej zamknęli oczy i padli na kolana. **Członkowie rady** starszych Nowego Kościoła Zielonoświątkowców **Chrystusa** Objawio

nego w Putnam, znani też — choć tylko we własnym kręgu — jako Miecz Jezusowy, modlili się, i to tak żarliwie, że ich wąskie wargi poruszały się w niemym błaganiu, a do oczu napływały łzy.

Dziesięć minut później wstali z podłogi, czując się odnowieni i oczyszczeni. Następnie John wykonał telefon do Gabriela czekającego na decyzję w sprawie przesłania, jakie miał przekazać grzesznej Sodomie.

Sam Healy miał dziwny głos.

Rune nie była w stanie określić, na czym to polegało. Zupełnie, jakby stał obok dwóch kilogramów C-4 albo miny lądowej.

– To jak będzie? Słońce i plaża? Czy raczej góry? Tęsknię za świeżym powietrzem, dziką przyrodą, skunksami i borsukami, nawet za robalami i wężami. Dokąd pojedziemy?

Obok budki telefonicznej z hałasem śmigały samochody. Była ósma rano, godzina szczytu.

– Posłuchaj, Rune...

O rany. Skąd ja to znam...

– Coś mi nagle wypadło.

Aha, *coś*.

– Dostałeś wezwanie?

Cisza.

Po chwili milczenia Healy odparł: — Nie chcę cię okłamywać...

Cholera jasna. Nienawidziła takich tekstów. Brzmiało to zupełnie jak: „Usiądź, moja droga..." albo: „Musimy poważnie porozmawiać".

– Cheryl do mnie zadzwoniła — wyznał.

No, to jeszcze nie jest koniec świata.

Jeszcze.

– Coś nie tak z Adamem?

– Nie, wszystko w porządku.

Kolejna pauza.

– Chce się ze mną spotkać. Żeby porozmawiać... o nas.

Powiedział jej o mnie? Rune poczuła, że brzuch wypełnia jej przyjemne ciepło. Powtórzyła: — O nas...

– To znaczy o mnie i o niej — sprostował Healy.

– Aha. — To takie „o nas".

– Wiem, że się umawialiśmy, ale uznałem, że powinienem. ■• Chciałem być z tobą szczery.

– Słuchaj, nie ma sprawy — odparła radośnie Rune. 0 nic nie zapytam. Za nic na świecie go nie zapytam. To ich sprawa, gdzie się spotykają i co będą robić. *Nie zapytam.* — Cheryl zostanie u ciebie na noc? — wypaliła. O, cholera. No nie, tylko nie to... — Wybacz, to nie moja sprawa.

– Nie, nie zostanie. Nawet nie umówiliśmy się na lunch, ani nic takiego. — Sam roześmiał się. — Po prostu chcemy pogadać. Na neutralnym gruncie.

A o czym tu gadać? Przecież ta krowa go opuściła. Powinien jej nienawidzić.

Siląc się na uprzejmość, odparła: — No cóż, mam nadzieję, że wszystko sobie wyjaśnicie.

Szeroki uśmiech. Ależ jestem z siebie dumna.

– Zadzwonię jutro — obiecał.

– Nie mam telefonu, zapomniałeś?

– To ty do mnie zadzwonisz?

– Jasne.

– Nie wydajesz się być wkurzona...

Nie? Poczekaj tylko...

– ...ale pewnie jesteś. A ja naprawdę bardzo cię lubię, Rune. I nie chcę cię okłamywać.

– Szczerość to piękna cecha, Sam. Serio.

Rozłączyli się.

– Pieprzyć szczerość — rzuciła głośno.

Powinien był kłamać jak najęty. Powinien był jej powiedzieć, że ma jakąś bombę do rozbrojenia. Albo że muszą mu wyciąć woreczek żółciowy. Że zdobył bilety na mecz Metsów i zabiera ze sobą Adama.

Przez chwilę stała oparta o budkę, ze wzrokiem utkwionym w graffiti zdobiącym przybrudzoną szybę. Obok przemknął motocykl. Jakiś głos zawołał: — Podwieźć

cię? — ale honda nawet na moment nie zwolniła.

Po twarzy Rune spływały strumyczki potu. Otarła go i ruszyła na zachód w stronę rzeki. Naraz jej but utknął w czymś lepkim. Smoła. Szarpnęła się i oderwała podeszwę oblepioną grubą warstwą czarnej mazi.

Westchnęła, przysiadła na krawężniku i próbowała w miarę możliwości oczyścić but.

Myślała o pikniku. O plaży. I o górach.

Mógł powiedzieć, że go boli głowa. Albo że coś mu zaszkodziło.

Porozmawiać o nas...

Rzuć ją, Healy, pomyślała. Ona się dla ciebie nie nadaje.

Mimo to dobrze wiedziała, jak to się skończy.

Sam wróci do żony.

Było to aż nazbyt oczywiste. Wróci do Cheryl, z jej naklejanymi stokrotkami, jedwabnymi białymi bluzkami i wielkimi cyckami. Do Cheryl i jej zapiekanek z bakłażana. Do Cheryl, która była pewnie zupełnie normalną babką. Zostawiła go, bo nie słuchał jej łzawych i całkowicie uzasadnionych próśb o to, żeby odszedł ze służby.

Na pewno jest cudownym, dobrym człowiekiem i wspaniałą matką.

Boże, jak ja jej nienawidzę...

Rune odwołała rozmowę kwalifikacyjną w restauracji przekonana, że o tej porze będzie już w drodze na plażę. Nie miała pieniędzy, żeby dalej kręcić swój film. Utknęła w wyludnionym Nowym Jorku w upalny sierpniowy weekend. A jej facet zamierzał tego wieczoru przelecieć swoją żonę.

Oj, Sam...

W tej samej chwili jej wzrok padł na witrynę pobliskiego sklepu. Stary, spłowiały i wypaczony szyld zachęcał do korzystania z usług dyplomowanego księgowego w zakresie rozliczeń podatkowych.

Rune uśmiechnęła się i powiedziała głośno: — Dzięki Ci, Panie!

Po czym wstała i zostawiając za sobą czarne ślady, podreptała z powrotem do telefonu.

Otworzyła drzwi barki i wpuściła do środka Warrena Hathawaya objuczonego torbami plażowymi. W sportowych ciuchach —

szortach, ciemnozielonej koszulce z krótkimi rękawami i tenisówkach — wyglądał zdecydowanie mniej obciachowo niż w garniturze.

– Kurczę, Warren, wyglądasz naprawdę odpałowo!

– Odpałowo?

– Wystrzałowo. No wiesz, fajnie.

– Hm, dzięki — zaśmiał się Hathaway.

– A ja? Jak ci się podobam? — Rune wykonała piruet. Na bikini założyła minispódniczkę i czerwony podkoszulek bez rękawów.

– TV też wyglądasz odlotowo. Co tam masz na spódnicy? Elektryczne węgorze?

Rune zerknęła w dół na jaskrawe maźnięcia opalizujące na tle szerszych, krętych linii. — Import z Ameryki Południowej. Moim zdaniem to lądowiska dla statków kosmicznych.

– Aha. Dla statków kosmicznych.

Runę zarzuciła na ramię torebkę w lamparcie cętki i przekręciła klucz w drzwiach wejściowych.

– Ucieszyłem się, kiedy się odezwałaś. Sam miałem do ciebie zadzwonić, to znaczy nawet zadzwoniłem — do firmy, w której pracowałaś. Powiedzieli, że nie masz w domu telefonu. Więc naprawdę dobrze, że się odezwałaś. Już myślałem, że nie uda mi się z tobą skontaktować.

Za nic na świecie nie przyzna mu się, że została wystawiona do wiatru przez faceta ani że potrzebuje kasy na film i Warren był jedyną osobą, która w związku z tym przyszła jej do głowy. Najpierw niech chłopak wypije parę głębszych, potem ewentualnie zapyta go, czy nie ma jakiegoś pomysłu na zdobycie dofinansowania.

Odparła: — Pomyślałam, że fajnie byłoby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Wcale nie zamierzałam wpraszać się na wycieczkę na Fire Island. Masz tam dom?

Szli nabrzeżem w kierunku jego samochodu.

– Niestety. To tylko współwłasność. Ludzie z mojej firmy organizują sobie tam grupowe wypady. Kiedy wspomniałaś, że chciałabyś wyrwać się z miasta, od razu pomyślałem o domku na wyspie.

– Nigdy dotąd tam nie byłam. Ciekawe, skąd wzięła się ta nazwa. Fire Island, wyspa ognia...

Hathaway wzruszył ramionami. — Nie mam pojęcia. Ale sprawdzę i dam ci znać.

Runę zauważyła, że zmarszczył brwi, odnotowując w pamięci zadanie do wykonania. Najwyraźniej miał jeszcze

sporo do nadrobienia, jeśli chodzi o zalecenia mamusi. Ciągle się spinał...

Wrzucili torby do bagażnika i wsiedli do samochodu.

– Zapnij pas — polecił jej.

– Tak jest!

Hathaway uruchomił silnik. Wyjechali na autostradę, kierując się na południe.

Runę nie musiała się nawet gimnastykować, żeby sprowadzić rozmowę na pożądane tory. Nie ujechali nawet kilometra, kiedy Hathaway powiedział: — Wykonałem parę obliczeń, jeśli chodzi o filmy dokumentalne, i wygląda to całkiem zachęcająco. Nie jest to może kopalnia złota, ale można niezle zarobić. Jak chcesz, możemy później omówić szczegóły.

– Jasne!

Warren wrzucił kierunkowskaz i spojrzał w lusterko, ostrożnie zmieniając pas.

Po dwóch godzinach zeszli z promu na Fire Island i piaszczystą ścieżką dotarli do letniego domu, który znajdował się w połowie drogi pomiędzy Kismet a Ocean Beach. Budynek został postawiony jak najmniejszym kosztem: nieheblowane szare deski, szkło, sosna i gruba izolacja z pianki poliuretanowej, której wielkie purchle przebijały przez warstwę farby. Kiedy Warren w końcu otworzył drzwi — zamek stawiał pewien opór — Rune poczuła rozczarowanie. Szyby w oknach były brudne, wszystkie sprzęty pokrywał osad z piasku i soli, a w powietrzu ostrą woń lizolu walczyła o lepsze z zaduchem pleśni.

Rozpadająca się chałupa, romantyczna plaża — i księgowy.

Serdeczne dzięki, Sam.

Chociaż mogło być gorzej. Przynajmniej trafił jej się zamożny księgowy, gotów zainwestować w jej dokument.

Poza tym słońce ostro świeciło, w bagażniku mieli skrzynkę budweisera, paczki chrupek ziemniaczanych, sos serowy i ciastka z kremem, a przed sobą falujący bezmiar Atlantyku.

Czego można chcieć więcej?

Arthur Tucker — tym razem już nie w oficjalnym garniturze, ale w starej roboczej koszuli, luźnych spodniach i butach na gumowej podeszwie — nachylił się z tylnego siedzenia do kierowcy i kazał mu zwolnić.

Znajdowali się na West Side Highway.

– Czego szukamy? — spytał taksówkarz z twardym, obcym akcentem.

– Barki mieszkalnej.

– Akurat! Żartuje pan?

– Mówiłem wolniej... To tutaj — rzucił nagle. — Proszę się zatrzymać.

– Jest pan pewien? — Taksówkarz nie krył wątpliwości. — Tutaj?

Tucker nie odpowiedział. Chevrolet zahamował i stanął. Tucker wysiadł z taksówki, wziął z tylnego siedzenia ciężką, płócienną torbę i zapłacił kierowcy. Celowo nie poprosił o rachunek; wiedział, że im mniej śladów po sobie pozostawi, tym lepiej.

Harris wyrecytował: — „To są ci, co przychodzą z ucisku wielkiego i opłukali swe szaty, i w Krwi Baranka je wybielili".

John przesuwał palcem po stronicy mocno sfatygowanej Biblii: — „I otrze z ich oczu wszelką łzę, a śmierci już odtąd nie będzie, ani żałoby, ni krzyku, ni trudu już odtąd nie będzie...

Pozostali dwaj mężczyźni, Harris i William, rzucili symboliczne: — Amen!

John upił łyk lemoniady i zaznaczył odczytany fragment. W ich kościele nie było księży. Nie potrzebowali święceń tam, gdzie nieubłagana, lecz sprawiedliwa ręka Boga hojnie rozdzielała swoje dary między wszystkich ludzi — to znaczy wszystkich wierzących, unikających okazji do grzechu, *białych* ludzi. Tak więc świeccy wygłaszali kazania i odprawiali nabożeństwa, a John był najpopularniejszym kaznodzieją.

Teraz popatrzył na zegarek i zerknął na swoich towarzyszy, którzy skinęli głowami. Następnie zamówił rozmowę zamiejscową.

Po czwartym sygnale uzyskał połączenie.

– Gabriel? Co słychać...? To dobrze. Bardzo się cieszę. Są tu ze mną bracia Harris i William. Myślami jesteśmy z tobą... Jesteśmy gotowi zrobić to, o co prosiłeś.

John słuchał przez chwilę, kiwając głową. Naraz jego siwiejące brwi uniosły się do góry, a na twarzy odmalowało się podniecenie. — Jaki numer?

Zanotował na kartce nowojorski numer telefonu.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Harrisa: — Gabriel wpadł na genialny pomysł. Ponieważ nikt nie wierzy, że naprawdę istniejemy, postanowił dać im żywy dowód woli Boga. — Rzucił okiem na kartkę i zaczął wybierać numer.

W obecności żony pokój wydawał mu się jakby mniejszy.

Healy miał wrażenie, że urosła. A może po prostu każde pomieszczenie wydaje ci się ciasne, kiedy jest w nim twoja była.

– Jak się masz? — spytał.

– Nieźle, a ty? — odparła Cheryl. — Przytyłeś.

– Nie ćwiczę już tak często jak kiedyś.

– Nie spędzasz w siłowni trzech wieczorów w tygodniu?

Nie odpowiedział, a ona nie kontynuowała tematu.

– Adam mówi, że masz dziewczynę.

– Właściwie nie jest moją dziewczyną.
– Podobno jest bardzo młoda.
– Ale to ty pierwsza... — Cholera. Powinien bardziej uważać.
– Przecież nic nie mówię. Nie spodziewałam się, że będziesz żył jak mnich.
– Tylko się przyjaźnimy.
– Przyjaźnicie się... — Cheryl miała na sobie różową sukienkę i wyglądała, jakby miała wystąpić w reklamie ciast Betty Crocker. Pogodna i zorganizowana pani domu, potrząsająca sitkiem do przesiewania mąki.
Pomyślał, że powinna być bardziej, hm... załamana z powodu ich rozstania.
Siedzieli obok siebie na kanapie. Healy postanowił w duchu, że kupi więcej mebli. Zapytał: — Napijesz się czegoś?
– Nie.
– Nie dostałem jeszcze papierów rozwodowych — zauważył.
– Bo mój prawnik jeszcze ich nie wysłał.
– Myślałem, że zależy ci na czasie — rzucił.
– Nie jestem już tego taka pewna.
– Och.
Słońce rzucało znajome cienie na biały dywanik. Sam dobrze pamiętał dzień, kiedy go kupili. Wybrali go, bo wyglądał elegancko, a kosztował tyle, co nic. Pamiętał też sprzedawcę, młodego mężczyznę o krótko ostrzyżonych, czarnych włosach i brwiach, które tworzyły jedną prostą linię w poprzek jego twarzy. Później zjedli coś w centrum handlowym, a po powrocie do domu kochali się — na starym dywanie.
A dziś gadają już od godziny.

Healy nie był pewien, do czego zmierzała ta cała rozmowa; grunt wydawał się znajomy, ale ton był zdecydowanie inny, tym razem nie miał wrażenia, że ktoś przyciska go do muru, nie był zdesperowany ani zdezorientowany. Może to dlatego, że spotykał się z Runę, a może po prostu zmienił się układ sił i ten dom był teraz bardziej *jego* niż *ich*. Ostatnio zbyt łatwo przychodziło im wchodzić w role wrogów. Doskonale to znał: „To ty, a nie ja..."; „Gdybyś coś wcześniej powiedziała, mógłbym..."; „To nie moja wina..."; „Mów, co chcesz — dobrze wiesz, że to nieprawda..."

Stare kłótnie... Wolałby już chyba codziennie rozbrajać jakąś bombę...

Tym razem jednak żadne nie miało ochoty rzucać się drugiemu do gardła. A po pierwszej, przyjacielskiej wymianie zdań zrobiło się całkiem przyjemnie. Healy otworzył piwo i zaczęli wspominać. Cheryl przypomniała telefon od wspólnego znajomego, który zadzwonił, by powiedzieć, że nie przyjdą z żoną na kolację, bo właśnie się rozstali, i zaproponował, że może wpaść następnego dnia, tyle że bez zapiekanki, bo nie zna przepisu.

Healy zaś przywołał dzień, kiedy po powrocie do domu zastali na stole w jadalni psa obsikującego świecznik.

Oboje się uśmiali, wspominając noc spędzoną w domu rodziców Cheryl: — Pamiętasz, co się działo na stole bilardowym w bawialni...?

– Jak mogłabym zapomnieć...

Po tych słowach zapadła cisza. Chyba poczuli, że nadeszła pora podjęcia decyzji. Healy zwlekał, nie bardzo wiedząc, jakie opcje ma do wyboru. Postanowił zaczekać na pierwszy ruch Cheryl, ale srodze się zawiódł — siedziała ze splecionymi dłońmi i spoglądała przez okno, które tysiące razy myła, na trawnik, który on setki razy kosił...

W końcu Healy odchrząknął. — Słuchaj, kochanie, tak sobie myślę... — Przerwał mu dzwonek telefonu.

Pomyślał, że to Runę i że będzie musiał jakoś ją spławić.

Nie musiał.

– To ty, Sam? — W słuchawce rozległ się głos koordynatora akcji specjalnych. — Mamy robotę.

– Mów.

– Był telefon od tych dupków z Miecza Jezusowego. Ładunek jest w torbie na jakiejś barce na Hudson...

– Na barce? W którym miejscu? — Serce waliło mu jak młotem.

– W pobliżu Christopher. Niedaleko Jedenastej.

– Tb u mojej znajomej — wyszeptał.

– Co? U tej dziewczyny, która tu z tobą była?

– Tak.

– Dobra, bez paniki. Ewakuowaliśmy wszystkich ze strefy zagrożenia. Barka była pusta. Nie ma jej tam.

– Tb gdzie jest?

– Nie wiem, ale przeszukaliśmy całą barkę.

– Co podłożyli tym razem?

– Coś nowego. Posterunkowy obejrzał ładunek, zanim po nas zadzwonił. Wygląda na kawałek C-3 albo C-4 nabity łożyskami kulkowymi. Nieduża siła rażenia, raptem kilkadziesiąt gramów.

– Ładunek przeciwpiechotny. — Łożyska kulkowe albo monety dodane do materiału wybuchowego miały powodować jak najdotkliwsze obrażenia ciała.

– No tak.

– Robot go nie dosięgnie?

– Nie. Leży na pokładzie. Za wąsko.

Healy przywołał w myślach obraz barki Rune. Wiedział, że nie obędzie się bez interwencji pirotechnika.

– Psiakrew! Przykryjcie to cholerstwo kocem antyodłamkowym i zdetonujcie.

– Jest tylko jeden problem. Domyślam się, że twoja przyjaciółka nie zrobiła tego celowo, ale tak się składa, że zacumowała w sąsiedztwie barki ze zbiornikiem propanu. Cztery i pół tysiąca metrów sześciennych. Jeśli zdetonujemy bombę, dojdzie do wybuchu gazu, który zniszczy trzy przecznice na West Side.

– To ją odholujcie.

– Już dzwoniłem. Trzeba co najmniej dwóch godzin, żeby ściągnąć tam holownik i odczepić barkę. Jest umocowana do pomp przeładunkowych na nabrzeżu. Po prostu nie da się tego cholerstwa ruszyć z miejsca.

– Ile mamy czasu do detonacji?

– Czterdzieści pięć minut.

– Zaraz tam będę.

– Jeszcze jedno, Sam. To jakaś dziwna sprawa...

– Dlaczego?

– Ci z Miecza Jezusowego... To nie był zwykły telefon z informacją o podłożeniu bomby. Powiedzieli: „Niech ekipa pirotechników przyjeżdża na barkę cumującą na rzece przy Christopher Street". Zupełnie, jakby im zależało, żeby to był ktoś od nas.

– I myślisz, że dlatego wybrali ładunek przeciwpiechotny?

— Właśnie. Myślę, że chcieli uderzyć właśnie w nas.

— Zrozumiałem. — Healy odłożył słuchawkę i odwrócił się do Cheryl, która przysłuchiwała się rozmowie.

Spodziewał się, że rzuci mu jedno z tych swoich wściekłych spojrzeń. „Takie, które mówiło: „Znowu się zaczyna". To była jej zwykła obrona przed jego uporem i egoizmem. Tymczasem ona wstała, pozwalając, żeby jej biała skórzana torebka upadła na podłogę, podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. — Uważaj na siebie. — On sam zdziwił się, że tak mocno ją przytulił.

Kombinezon utrudniał mu oddychanie.

Sam ostrożnie stąpał po trapie prowadzącym na pokład barki Runę, starając się nie myśleć o tym, kiedy ostatni raz tutaj był. O nich obojgu, leżących razem w łóżku. O pluszowej Persefonie, która stoczyła się na podłogę...

Od razu zauważył torbę i zajrzał do środka.

No tak. Będą kłopoty.

To był jeden z najbardziej skomplikowanych ładunków, z jakimi miał dotąd do czynienia. Czujnik na podczerwień oznaczał, że najmniejsza próba manipulacji skończyłaby się wybuchem bomby. Do tego jeszcze magistralę stanowił pęk przewodów — jakieś dwadzieścia czy trzydzieści cienkich drutów wiodło z zabudowanego źródła zasilania do zapalnika. Przy tradycyjnej, dwużyłowej magistrali wystarczyło przeciąć jednocześnie oba przewody, żeby rozbroić bombę. Ale nikt nie przetnie na raz aż tylu drutów. Zapalnik okazał się cyfrowy, nie miał więc szans fizyczne zablokować mechanizmu zegara.

A na domiar złego w tej plątaninie drucików tkwił jeszcze rtęciowy zapalnik, czuły na każdy przechył.

No, po prostu rewelacja. Zapalnik rtęciowy na barce...

Healy przekazał wszystkie szczegóły koordynatorowi, który wraz z Rubinem i kilkoma innymi pirotechnikami siedział ukryty za workami z piaskiem na samym końcu nabrzeża. Zdecydowali się nie ściągać posiłków; gdyby barka z propanem jednak wyleciała w powietrze, zginęliby wszyscy w promieniu dwóch najbliższych przecznic, a nikt nie chciał ryzykować śmierci większości ekipy.

— Mógłbym odciąć przewód zapalnika rtęciowego — dodał, oddychając ciężko. W tym miejscu nie było magistrali. — Ale nie dam rady dostać się do środka, bo czujnik na podczerwień zdetonuje bombę.

— Na ile czuły jest ten zapalnik? — spytał Rubin przez radio.

— Dosyć czuły. Wygląda na to, że już trzy-czterostopniowy przechył może zamknąć obwód.

— Nie da się zamrozić rtęci?

— Nie dam rady włożyć niczego do torby! Czujnik na podczerwień, zapomniałeś?

— Racja.

— Chyba po prostu będę musiał powoli to stąd wynieść.

Healy szybko opracował w myślach scenariusz. Mógłby przesunąć ładunek po pokładzie aż do trapu. Powinno się udać, bo pokład był

w miarę gładki i ładunek znajdowałby się względnie poziomo. Potem jednak trzeba by go podnieść i znieść po trapie do wozu saperskiego, który czekał już na nabrzeżu jakieś trzy metry od barki.

To będą najdłuższe trzy metry w moim życiu, pomyślał.

Spojrzał na wyświetlacz zapalnika. Do wybuchu zostało siedemnaście minut.

– Potrzebują trochę oleju.

– Jakiego? — spytał Rubin.

– Jakiegokolwiek.

– Zaczekaj...

Piętnaście minut.

Drgnął, kiedy obok niego przykucnął Rubin z puszką smaru.

Healy podziękował mu ruchem głowy — Rubin nie był podpięty do radionadajnika — i wylał olej na pomalowany farbą pokład barki, żeby zmniejszyć tarcie przy przesuwaniu ładunku. Odrzucił puszkę na bok, wyciągnął rękę i chwycił krawędź płóciennej torby. Pomyślał

0Adamie, Cheryl i Rune, po czym delikatnie pociągnął ją ku sobie.

Rune patrzyła, ak Warren Hathaway zbliża się ścieżką do plaży, gdzie opalała się aa szerokim ręczniku.

– Właśnie rozmawiałem z potencjalnymi inwestorami. Oto, co uzgodniliśmy. Nic wielkiego, ale myślę, że powinnaś być zadowolona, zważywszy, że to wój debiut.

Oświadczył, ;e pożyczy jej pieniądze na dokończenie montażu

1postprodukcji — byłaby to zwykła pożyczka bezpośrednia na zaledwie osiem procent. Hathaway dodał: — Oficjalna stopa wynosi dwanaście, ale skoro się przyjaźnimy...

Rune uściskaj go.

– Zszedłbymjeszcze niżej, ale urząd podatkowy może zakwestionować przychody y przypadku, gdy odsetki są poniżej wartości rynkowej.

A co mi tam...

Następnie wjjaśnił, że stworzą coś, co nazwał joint venture — Rune nie słyszaławcześniej tego określenia i strasznie ją ono rozbawiło. Kiedy wreszcieprzestała chichotać, Warren poinformował ją, że pokryje koszt poszukiwań dystrybutora, a potem podzielą się zyskami: ona dostanie osiemdziesiąt procent, on zatrzyma dwadzieścia. Czy to jej odpowiada?

– Bardziej niż odpowiada. To brzmi, jakbyśmy ubijali prawdziwe interesy. Prawdziwe, dorosłe interesy!

– W takim razie dam im znać, że się zgadzasz.

Warren znowu zniknął w domku, pozostawiając Runę samą na plaży. Na wpół drzemała, pogrążona w leniwych rozmyślaniach o Samie Healym i realizowanym filmie. Nawet nie zauważyła, kiedy przysnęła. Po przebudzeniu robiła co w jej mocy, żeby nie myśleć o Samie. Nasłuchiwała szumu fal bijących o brzeg i skrzeczenia krążących w górze mew, który to dźwięk znów ukołysał ją do snu.

Godzinę później obudziło ją pieczenie.

Spojrzała na swoje ramię.

No nie...

Mam ciemne włosy, ciemną karnację i centymetrową warstwę kremu do opalania na całym ciele. To niemożliwe, żebym doznała poparzenia słonecznego trzeciego stopnia...

Jednak wyraźnie czuła, jak na plecach tworzą jej się pęcherze — nieprzyjemne, przyprawiające o dreszcze uczucie, rozchodzące się z wolna po skórze.

Walcząc z zawrotami głowy, powoli usiadła i zarzuciła sobie ręcznik na plecy. Potem wstała i ruszyła w stronę domu.

Już chciała poprosić Warrena, żeby natarł jej plecy kremem na oparzenia, ale ostatecznie doszła do wniosku, że mogłoby się to źle skończyć. Nie, żeby nie był przystojny. Runę z chęcią dałaby Samowi powód do zazdrości, stwierdziła jednak, że skoro mają ze sobą pracować, seks nie powinien wchodzić w grę. Profesjonalizm przede wszystkim.

Na plecach czuła piekący ból i wściekłe swędzenie. Balansując na czubkach palców, zdołała jakoś pokonać rozgrzane betonowe patio i wejść do środka.

Warren pochylał się właśnie nad sportową torbą.

– Mam nadzieję, że masz tam coś na oparzenia słoneczne — odezwała się. — Albo przynajmniej jakiś balsam do ciała. Spiekłam się jak rak.

– Myślę, że to, co mam, szybko powinno ci pomóc.

Rune rozejrzała się. — Nie miałeś ze sobą dwóch toreb?

– Owszem — odparł rzeczowym tonem. — Ale jedną zostawiłem na twojej barce.

– Co za pech.

– Nie, zrobiłem to jak najbardziej celowo. — Mrużąc oczy, zaczął szperać w torbie.

– Żartujesz! A po co?

– Żeby pirotechnicy mieli się czym zająć.

Mówiąc to, wydobył z torby czerwoną wiatrówkę, ostrożnie ją rozwinął, wyjął ze środka kawałek plastycznego ładunku wybuchowego wielkości pięści i wraz z zapalnikiem ułożył na rozchwianym stoliku zbitym z wyłowionych z oceanu desek.

27

Zdołała dobiec tylko do oszklonych drzwi.

Hathaway nie wyglądał na wysportowanego, ale jego mięśnie były twarde jak stal. Chwycił ją za nadgarstki i nie puszczał, po czym zawlókł do jednej z wyłożonych drewnem sypialni. Tak samo, jak wtedy na przystani. To on ją wtedy śledził, to on na nią napadł!

Następnie wymierzył jej siarczysty policzek, po którym osunęła się na podłogę. Nie była nawet w stanie rękoma zamortyzować upadku i uderzyła głową o deski. Przez chwilę leżała zamroczona, czując ból promieniujący z oczodołów w głąb czaszki. Zbierało jej się na wymioty.

– Warren...

– Gabriel — sprostował Hathaway radosnym tonem, jakby właśnie poderwał ją na parafialnej potańcówce. Poszedł po torbę i ładunek wybuchowy, a kiedy wrócił, pociągając ze szklanki mrożoną herbatę, dodał: — Możesz mi mówić: Gabriel.

– Miecz Jezusowy... naprawdę istnieje... — wyszeptała Rune.

– Jak najbardziej, a jego członkom bardzo się nie podobają doniesienia mediów, które zrobiły z nas wymysł jakiegoś psychopatycznego mordercy. Wszystko przez ciebie. Przez ciebie i ten twój film.

– Czego ode mnie chcesz? Co zamierzasz ze mną zrobić?

Hathaway wyjmował z torby narzędzia, przewody i jakieś pudełeczka. — Musisz coś zrozumieć. Wcale nie uważamy, aby można było wyeliminować z tego świata wszelkie zło. Dziwki zawsze istniały, tak samo jak grzech. Zawsze też byli ludzie gotowi z nim walczyć, **nawet** za cenę swojego życia. — Przyjrzał jej się uważnie, a gdy znowu się odezwał, jego opanowanie wydało jej się równie przerażające, co szaleństwo Tommy'ego Savorne'a. — Działamy trochę na podobnej zasa

dzie, co agencje reklamowe. Ludzie dostają od nas konkretny przekaz. Co z nim zrobią, to już ich sprawa.

– Nie byłeś żadnym świadkiem! Sam podłożyłeś pierwszą bombę!

– Wychodziłem z kina, kiedy zatrzymał mnie jakiś mężczyzna i nazwał swoim bratem. Wyglądał na dobrego człowieka. Myślałem, że mogę mu pomóc, skłonić do pokuty i przyjęcia na nowo wiary w Jezusa Chrystusa. Nawet gdybyśmy mieli razem zginąć w wybuchu, trafiłby od razu do Królestwa Niebieskiego. To by dopiero było cudowne. Niestety, okazało się, że wcale nie szuka zbawienia. Zaproponował, że za dwadzieścia dolarów mi obciągnie. Właśnie się odwracałem, żeby odejść, kiedy nastąpiła detonacja. Wybuch urwał mu głowę, ale to, co zostało z jego ciała, ocaliło mi życie. Powiedz, czy to nie ironia losu? Bóg objawia się w zadziwiający i wspaniały sposób.

Rune zdała sobie sprawę, że część obrażeń na jego twarzy musiała być wynikiem użycia przez nią gazu łzawiącego.

Okłamał ją też, mówiąc, że mężczyzna w czerwonej wiatrówce był starszym człowiekiem — żeby odwrócić od siebie podejrzenia. A kapelusz miał ukryć jego łysą głowę...

Hathaway ciągnął: — Zauważyłem cię przed kinem z kamerą. Myślałem, że jesteś jedną z tych grzesznych istot. Zamierzałem cię zabić. Ale potem przyszło mi do głowy, że możesz się nam jeszcze przydać. — Rozejrzał się po pokoju. — I jak widać miałem rację.

– Co chcesz ze mną zrobić?

– Staniesz się żywym dowodem woli Boga.

– Dlaczego ja? Przecież nie kręcę *takich* filmów!

– Ale zrobiłaś dokument o aktorce porno. Wyidealizowałaś ją...

– Nieprawda. Pokazałam, co ta branża z niej zrobiła.

– Dostała to, na co zasłużyła. Powinnaś kręcić filmy o misjonarzach, o chwale Boga...

– Pokażę ci mój film! Zobaczysz, że nikogo nie idealizuję.

Hathaway spojrzał na nią z uśmiechem. — Rune, wszyscy musimy być gotowi do poświęceń. Powinnaś być dumna z tego, co cię wkrótce spotka. Podejrzewam, że przez najbliższy rok twoje nazwisko nie będzie schodzić z nagłówków gazet. Staniesz się sławna.

Usiadł na wąskim łóżku i zaczął rozkładać przed sobą części bomby, uważnie przyglądając się każdej z nich z osobna.

Rune przesunęła się lekko naprzód, wsuwając ostrożnie stopę pod łóżko.

. Hathaway zauważył jej ruch. — Nawet nie myśl o tym, żeby mnie zaatakować. — W jego ręku pojawił się nóż sprężynowy — ten sam, który zapamiętała z napaści na przystani. — Mogę cię skrzywdzić bardzo boleśnie i na wiele sposobów. Dlatego noszę *czerwoną* kurtkę — czasami muszę krzywdzić ludzi, a oni wtedy krwawią.

Rune oparła się plecami o ścianę.

Mężczyzna mówił dalej kojącym tonem, umieszczając jednocześnie biały cylinder w środku kawałka plastiku. — To, co tutaj widzisz, to niecałe sto gramów C-3. — Spojrzał na nią. — Normalnie nie wdawałbym się w takie szczegóły, ale skoro masz ze mną współpracować, to pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć co nieco o naszym wspólnym projekcie. Nie byłoby fair pozwolić ci myśleć, że wystarczy wyrwać przewody i zaczekać, aż zjawi się pomoc. — Podniósł do góry czarne plastikowe pudełeczko, do którego wcisnął materiał wybuchowy. — To bardzo zmyślne urządzenie. Z rteciowym zapalnikiem. Wybuchnie, jeśli podniesiesz ładunek albo spróbujesz odłączyć zapalnik. Bateria jest zabudowana, więc nie odetniesz zasilania. — Podłączył przewody do kolejnego pudełeczka z zegarem. — A to jest zapalnik czasowy. Uruchamiany i uzbrajany elektronicznie. Z magistralą, więc jeśli przetniesz przewód, zapalnik zarejestruje spadek napięcia i zdetonuje bombę. — Uśmiechnął się. — Bóg obdarzył ludzi fantastycznymi umiejętnościami, no nie?

— Proszę cię, zrobię, co zechcesz! Chcesz, żebym nakręciła film o Bogu? Nie ma sprawy.

Hathaway przyglądał jej się chwilę w milczeniu. — Wiesz co, Rune? Niektórzy księża cieszą się z każdego nawróconego

grzesznika, bez względu na to, czy okazuje skruchę z własnej woli, czy na przykład po torturach. — Pokręcił głową. — Ale ja jestem inny. Dla mnie liczy się twoja szczerość, a jakoś w nią nie wierzę w obecnej sytuacji. Dlatego odpowiedź brzmi: nie. Nie chcę, żeby taka mała zdzira jak ty nakręciła film o Bogu.

— Tak? A kim *ty* jesteś? Dobrym samarytaninem?! — wybuchła Rune. — Gówno prawda. Jesteś pieprzonym mordercą, i tyle!

Zerknął na nią przelotnie, podłączając kolejny przewód. — Możesz przeklinać, ile tylko chcesz. Bóg i tak wie, kto jest Mu wierny.

Wstał. — Gotowe. — Umieścił plątaninę pudełek i przewodów na nocnym stoliku, który przesunął na środek pokoju. — A teraz powiem ci, co się zaraz stanie. — Najwyraźniej rozpierała go duma. Rozejrzał się, omiatając krytycznym spojrzeniem ściany i sufit. — Eksplozja

zburzy większość ścianek działowych — w końcu to zwykłe płyty gipsowe — podłogę oraz sufit. Zewnętrzne ściany są zdecydowanie mocniejsze, więc nie powinny się zawalić. Tak czy inaczej, nie powinnaś stawać pomiędzy ładunkiem a ścianą.

Podskoczył kilka razy na podłodze w pobliżu stolika z bombą. — Deski. — Pokręcił głową. — Tego nie wziąłem pod uwagę. — Drewniane odłamki mogą cię poranić. Ogień też stanowi problem. Trudno, będziesz musiała liczyć na łut szczęścia. Jest tu wystarczająco dużo materiału wybuchowego, żeby cię zabić. Powiedziałbym nawet, że ryzyko, iż zginiesz na miejscu, wynosi jakieś dwadzieścia procent. Dlatego proponuję, żebyś zdjęła z łóżka materac i się nim przykryła... — Rozejrzał się. — Najlepiej w tamtym kącie. Siła wybuchu wbije cię wtedy do salonu. Trudno powiedzieć, co się dokładnie stanie, ale jedno mogę ci zagwarantować: trwale stracisz wzrok i słuch. Detonacji C-3 towarzyszy emisja trujących gazów, więc jeśli nawet nie oślepi cię sama eksplozja, zrobi to dym. Najprawdopodobniej stracisz też rękę, nogę albo dłoń. Do tego mogą dojść uszkodzenia płuc spowodowane wdychaniem toksycznych oparów. Trudno to z całą pewnością przewidzieć. Jak już wspomniałem, latające drewniane odłamki mogą stanowić pewien problem. To od nich ginęła większość marynarzy w dziewiętnastowiecznych bitwach morskich — od drzazg, a nie od kul armatnich. Wiedziałaś o tym?

– Dlaczego chcesz mi to zrobić? Po co?

– Po to, żebyś mogła wszystkim o nas opowiedzieć. Dopiero wtedy ludzie uwierzą, że naprawdę istniejemy, i zaczną się bać. A ty, jeśli Bóg pozwoli, będziesz

żyła z ich datków. Oczywiście, możesz też umrzeć. W zasadzie decyzja należy do ciebie. Wystarczy, żebyś to podniosła. — Wskazał jej bombę. — Ale mam szczerą nadzieję, że tego nie zrobisz. Liczę, że uświadomisz sobie, ile dobrego możesz uczynić, jakie przesłanie zanieść naszemu grzesznemu światu.

– Wiem, kim jesteś. Mogę cię...

– Wiesz tylko, że nazywam się Warren Hathaway, a to nie jest moje prawdziwe nazwisko. Poza tym jak zdołasz mnie zidentyfikować, skoro oślepniesz? — Roześmiał się, po czym skinął jej głową i rzucił: — Masz pół godziny. I niech Bóg ci wybaczy.

Rune wpatrywała się w niego skamieniała.

Hathaway uśmiechnął się, pokręcił głową i wyszedł z pokoju. Usłyszała jeszcze kilka uderzeń młotkiem, kiedy zabijał drzwi deskami. Potem zapadła cisza. Chwilę później w czarnym pudełku coś piknęło i za

paliła się czerwona lampka, a wskazówka zegara zaczęła się przesuwać.

Podbiegła do okna i zamachnęła się, żeby wybić pięścią szybę.

W tym samym momencie pokój pociemniał, a Rune wydała stłumiony jęk, widząc, że Hathaway zabija okno grubą płytą ze sklejki.

– Nie, nie, nie — zakwiliła przerażona, że wibracje spowodowane waleniem młotka zdetonują czuły ładunek.

Dziesięć minut.

Płócienna torba znajdowała się już przy szczelinie oddzielającej trap od burty łodzi.

Sam Healy wziął głęboki oddech i popatrzył na pojazd do przewożenia ładunków wybuchowych.

Najdłuższe trzy metry...

– Jak ci idzie, stary? — W słuchawce rozległ się głos koordynatora akcji.

– Jak po maśle — mruknął Healy.

– Nie spiesz się, mamy mnóstwo czasu.

Sam spróbował uspokoić oddech. Wdech, wydech. Wdech, wydech.

Pochylił się nad torbą i ostrożnie zasunął zamek. Niosąc ją za uszy, w żaden sposób nie zdołałby utrzymać ładunku w pozycji poziomej. Musiał chwycić ją od dołu obiema rękami i podnieść.

Zrobił krok do tyłu i przyklęknął na jedno kolano.

Oddychaj, tylko oddychaj...

Ktoś kiedyś powiedział o nim, że ma najpewniejsze ręce w tej branży. No, to teraz mu się przydadzą. Pieprzone zapalniki rtęciowe.

Pochylił się nad torbą.

– Jezu Chryste! — W słuchawkach rozległ się zniekształcony zakłóceniami okrzyk.

Healy zamarł i obejrzał się.

Koordynator akcji, Rubin i pozostali chłopcy z ekipy zerwali się na równe nogi i machając jak wariaci, dawali znaki komuś na rzece. Healy podążył za ich wzrokiem. Cholera! Tuż przy brzegu z prędkością trzydziestu węzłów pędziła motorówka, robiąc potężną falę. Widząc machających pirotechników, sternik i jego pasażerka, blondyna w okularach przeciwsłonecznych, odmachali im radośnie.

Za dziesięć sekund fala uderzy w barkę, zakołysze nią i zdetonuje ładunek.

– Sam, zabieraj się stamtąd! Uciekaj!

Healy jednak stał jak skamieniały, nie mogąc oderwać oczu od numeru rejestracyjnego motorówki. Ostatnie dwie cyfry wynosiły jeden i pięć.

Piętnaście.

O Chryste Panie...

– Uciekaj!

Wiedział, że na nic by się to nie zdało. Nie da się uciekać w saperskim kombinezonie. Poza tym eksplodujący propan niczym ognisty huragan i tak zmiótłby z powierzchni ziemi całe nabrzeże.

Fala znajdowała się już jakieś sześć metrów od barki.

Sam schylił się, podniósł oburącz torbę i zaczął schodzić po trapie.

Trzy metry od barki.

Połowa trapu pokonana.

Półtora metra.

– Dawaj, Sam!

Jeszcze dwa kroki i będzie na nabrzeżu.

Niestety, nie zdążył.

W chwili gdy miał już postawić stopę na deskach przystani, fala uderzyła w barkę. Wstrząs był tak potężny, że łodzią silnie zakołysało, a trap odczepił się i spadł na nabrzeże z wysokości pół metra. Healy stracił równowagę i runął naprzód, nadal ściskając w objęciach bombę.

– Sam!

Lecąc w dół, błyskawicznie przekręcił się na bok, żeby jego ciało znalazło się między ładunkiem a zbiornikiem propanu. Pomyślał: „I tak już nie żyję, więc może przynajmniej zatrzymam odłamki".

Z głuchym łomotem wylądował na nabrzeżu i leżał tam, zaciskając powieki, czekając na śmierć, zastanawiając się, jak bardzo będzie bolesna.

Minęła dobra chwila, zanim dotarło do niego, że nic nie wybuchło. I jeszcze jedna, zanim sobie uświadomił, że słyszy niewyraźną muzykę.

Dźwignął się i spojrzał w stronę worków z piaskiem, za którymi stała skamieniała z przerażenia ekipa.

Powoli rozpiął suwak i zajrzał do torby. Zapalnik rtęciowy zaniknął obwód. Jednak zamiast zdetonować ładunek, uruchomił najwyraźniej tranzystorowe radyjko. Healy ściągnął z głowy hełm.

– Sam, co ty wyprawiasz?!

Zignorował ich.

Tak, zdecydowanie słyszał muzykę. Jakiś popularny kawałek. Wpatrywał się w odbiornik, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu i kompletnie wyczerpany. Rozległo się kilka trzasków, po czym didżej oznajmił: — Słuchacie WJES, najlepszej stacji z chrześcijańską muzyką...

Sam przeniósł spojrzenie na materiał wybuchowy. Ściągnął rękawiczkę i dźgnął go paznokciem. Powąchał. Wszędzie rozpoznałby ten zapach. Znał go doskonale, ale nie ze szkoleń saperskich, tylko z pokoju Adama. Materiał wybuchowy okazał się plasteliną.

Rune nie traciła czasu na próby przebijania się przez ścianę. Padła na kolana i jednym ruchem wyciągnęła spod łóżka to, co jako pierwsze zwróciło jej uwagę, kiedy Hathaway zaciągnął ją do tego pokoju.

Telefon.

Kiedy przyłapał ją na tym, jak przesuwała się na skraj łóżka, wcale nie chciała się na niego rzucić. Po prostu chwilę wcześniej zauważyła na podłodze stary, czarny telefon z tarczą i przesuwając go stopami, wcisnęła aparat głębiej pod materac.

Teraz wyciągnęła go i chwyciła słuchawkę. Odpowiedziała jej cisza.

Tylko nie to!

Aparat nie działał. Jej spojrzenie pobiegło w ślad za kablem. Hathaway albo ktoś inny wyrwał go ze ściany.

Upadła na kolana i przegryzła izolację kryjącą pod spodem cztery cienkie przewody: biały, żółty, niebieski i zielony.

Pięć minut zajęło jej odarcie ich z plastikowych osłonek i dostanie się do miedzianych drucików. W ścianie tkwiło gniazdko telefoniczne z czterema

dziurkami. Runę zaczęła wpychać do nich druciki, wypro- bowując kolejne kombinacje. Skulona przycupnęła na podłodze, przytrzymując brodą słuchawkę.

W końcu przy ostatnim możliwym podejściu, udało jej się uzyskać połączenie.

Zegar na zapalniku wskazywał dwanaście minut.

Odruchowo wybrała numer alarmowy 911.

Tylko co jej z tego przyjdzie? Czy na Fire Island jest *w ogóle* jakaś straż pożarna? A zresztą, jak im wytłumaczy, gdzie się właściwie znajduje?

Niech to szlag!

Rozłączyła się i wykręciła domowy numer Sama.

Nikt nie odbierał i już miała rzucić słuchawką, ale w porę się opamiętała i ostrożnie wcisnęła widełki, jakby nie chciała zmarnować tych

kilku ostatnich połączeń, które być może jeszcze jej pozostały, tym razem wybrała numer centrali telefonicznej i zdyszanym głosem poprosiła o pilne połączenie z szóstym posterunkiem policji na Manhattanie. Była zdumiona, kiedy pięć sekund później w słuchawce rozległ się głos dyspozytora.

– Zdarzył się nagły wypadek, muszę natychmiast mówić z Samem Healym z ekipy pirotechnicznej!

W słuchawce zatrzeszczało. Słyszała, jak ktoś w centrali opowiada dowcip o Polaczkach, po czym nastąpiła kolejna seria trzasków.

– Dajcie go do telefonu — usłyszała. Znowu rozległy się trzaski, po czym ktoś ze śmiechem spuentował dowcip.

Dalsze zakłócenia.

O Boże, błagam...

Wreszcie z oddali dobiegł ją głos Sama.

Ktoś inny powiedział: — Centrala do dwa pięć pięć. Mam na linii stacjonarnej jakąś kobietę. Mówi, że to nagły wypadek. Chcesz z nią rozmawiać?

– Jestem w terenie. Dowiedz się, co to za jedna i czego chce.

– Sam, to ja! — krzyknęła Rune.

Ale on tego nie słyszał.

28

Powiedzcie mu, że dzwoni Rune! — krzyknęła do dyspozytora. — Szybciej!

Po chwili jakość połączenia nieco się poprawiła, chociaż wciąż było słychać pojedyncze trzaski.

– Sam! — Rune nie mogła powstrzymać się od płaczu. — Zamknął mnie w jednym

pokoju z bombą! Zamachowiec z Miecza Jezusowego.

– Gdzie jesteś?

– W letnim domku na Fire Island. Chyba w Fair Harbor. Uzbroił ładunek.

Siedem minut.

– Gdzie jest ten facet?

– Wyszedł. To Warren Hathaway... świadek pierwszego zamachu. Wraca promem do Bay Shore.

– Okej, w tej chwili wysyłam tam helikopter. Opisz, jak wygląda ten dom. — Wykonała jego polecenie.

Healy rozłączył się na dwadzieścia przerażająco długich sekund.

– Okej, co to za ładunek?

– Duży kawał tego, jak mu tam, C-3. Zapalnik z zegarem. Wybuchnie za około sześć minut.

– Chryste, Rune, wiej stamtąd...

– Zabił deskami drzwi i okna.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza. Czyżby słyszała, jak Sam wzdycha? Kiedy znów się odezwał, jego głos był kojący jak valium: — Dobra, zaraz sobie z tym poradzimy. Tylko uważnie mnie słuchaj, okej?

– Co mam robić?

– Powiedz mi wszystko, co wiesz. — Rune przekazała mu, co Hathaway mówił jej o bombie. Miała wrażenie, że Sam w pewnym momencie zagwizdał, chociaż równie dobrze mogły to być zakłócenia na linii.

Pięć minut.

– Jak duży jest ten pokój?

– Jakieś sześć na cztery i pół metra.

Milczenie.

– W porządku, zrobimy tak. Odsuń się jak najdalej od ładunku, przykryj materacami albo poduszkami, to najprawdopodobniej przeżyjesz.

– Ale on powiedział, że stracę wzrok i słuch!

Cisza.

– Tak — przyznał po chwili Sam. — Może się tak zdarzyć.

Cztery minuty i dwadzieścia sekund.

– Problem w tym, że jeśli spróbujesz sama rozbroić ładunek, a on wybuchnie, to zginiesz.

– Sam, dam radę. Powiedz mi tylko jak. Co mam zrobić?

Healy jeszcze się wahał. W końcu powiedział: — Nie wyciągaj zapalnika z materiału wybuchowego. Jest tam czujnik ciśnieniowy. Trzeba obejść magistralę i odciąć przewód zasilający. Ale będziesz musiała utrzymać wystarczający poziom napięcia, żeby oszukać galwanometr.

– Nic z tego nie rozumiem!

– Słuchaj. Spójrz na bombę. Obok baterii zobaczysz takie nieduże pudełko.

– Szare. Widzę.

– Z dwoma metalowymi bolcami.

— Tak.

Healy ciągnął: — Przeprowadź kawałek drutu o bardzo cienkim przekroju...

— Co to do diabła *znaczy*? — Runę nie panowała nad łzami.

— Przepraszam... Chodzi o to, żeby był jak najcieńszy... Przeprowadź kawałek drutu od jednego z tych bolców do zacisku baterii, tam, gdzie tkwi główny przewód zasilający. Zrozumiałaś, co powiedziałem?

— Tak.

— Potem przetnij przewody zapalnika.

Trzy minuty trzydzieści sekund.

— Okej — odparła.

— Znajdź kawałek jakiegoś przewodu, zedrzyj izolację, owiń jeden drucik — nie wszystkie, tylko jeden — wokół bolca na szarym pudełku, a drugi koniec wokół zacisku zapalnika. Dopiero wtedy możesz przeciąć pozostałe przewody.

— Dobra, dam radę. — Spojrzała na plastikowe elementy i spróbowała to sobie wyobrazić.

Healy dodał: — Tylko pamiętaj, że nie da się oszukać zapalnika rtęciowego. Dlatego nie możesz ruszać samej bomby.

Odpowiedziała mu przez łzy: — Ajdika, Sam, nie bomby — pamiętasz?

— Helikopter już do ciebie leci. Miejscowa policja będzie czekała na gościa, kiedy zejdzie z promu w Bay Shore. Wyślemy też oddział do Fair Harbor.

— Och, Sam, a może lepiej schowam się pod ten materac?

Healy zawahał się. Zakłócenia na linii narastały. między nimi niczym odgłos nadciągającej burzy. Nagle powiedział: — „Wierz w to, czego nie ma, aż się stanie".

Dwie minuty.

— Do zobaczenia wkrótce, Sam. — Runę wyrwała kabel z aparatu. Zębami zdarła

izolację z końcówki białego przewodu i połączyła drucikiem bolec i baterię w taki sposób, jak opisał to Sam.

Dziewięćdziesiąt sekund.

Teraz przeciąć przewody zasilające. Schylając się nad bombą, poczuła oleistą woń materiału wybuchowego, zaledwie kilka centymetrów od swojej twarzy. Chwyciła zębami jeden z czarnych przewodów i zaczęła żuć. Jej łzy kapały na plastik.

Przewód był grubszy, niż myślała.

Pięćdziesiąt sekund.

Poczuła, że ukruszył jej się ząb. Przeszyła ją błyskawica bólu i zaskoczona z sykiem wciągnęła powietrze.

Czterdzieści.

Trzydzieści...

Przewód wreszcie pękł.

Nie miała już czasu, żeby przegryźć drugi. Czy Sam mówił, że trzeba przeciąć oba przewody? Chyba tak. Cholera. Cofnęła się, ściągnęła z łóżka materac i naciągając go na siebie, położyła się w kącie, który wskazał jej Warren Hathaway. Będzie głucha i ślepa...

Trzydzieści, dwadzieścia dziewięć, dwadzieścia osiem, dwadzieścia siedem...

Runę modliła się do Boga, który — miała taką nadzieję — był zupełnie inny od tego, którego zawłaszczyli członkowie Miecza Jezusowego.

Czternaście, trzynaście, dwanaście, jedenaście...

Runę przycisnęła brodę do piersi.

Warren Hathaway był dumny ze swojej precyzji. Kiedy nie konstruował bomb, był rzeczywiście księgowym — chociaż nie dyplomowanym — i olbrzymią przyjemność sprawiało mu kreślenie rzędów cyfr na bladozielonym arkuszu przy pomocy wiecznego pióra albo cienkopisu — takiego, który nie pozostawiał wgłębień na papierze. Czerpał satysfakcję z dokładności i dbałości o detale.

Poza tym uwielbiał oglądać spektakularne eksplozje.

Kiedy więc z okien domku na plaży nie wystrzeliła lawina szklanych odłamków, a plaża pod jego stopami nie zadrżała od potężnego wybuchu, poczuł w żołądku ukłucie paniki. Nie posunął się do prze-

mu w głowie — ale chwycił młotek i szybkim krokiem pokonał niecałe sto metrów dzielące go od budynku.

Udręki Hioba...

Był pewien, że ustawił wszystko jak trzeba. Nie można mu było zarzucić, że nie zna się na swoim fachu. Spłonka znajdowała się pod odpowiednio grubą warstwą plastiku. Materiał wybuchowy był doskonałej jakości, a bateria naładowana.

Ta mała zdzira zdołała jakimś cudem zniszczyć jego dzieło..

Wszedł do środka i z całej siły uderzył młotkiem w deski zagradzające drzwi do pokoju. Dobił je w miejscach, gdzie wystawały gwoździe, a potem podważył ich wystające główki pazurem młotka. Gwoździe po

woli wychodziły, a drewno wydawało głośne, przeraźliwe trzeszczenie godne nawiedzonego domu.

Przy pierwszym gwoździu ze środka rozległ się przerażony głos dziewczyny, pytającej kto to.

Przy drugim zaczęła krzykiem wzywać pomocy.. Te kobiety. Czasami. bywały wprost niewiarygodnie głupie. Dziwki...

Przy trzecim gwoździu odpowiedziała mu cisza.

Znieruchomiał i nasłuchiwał. Nawet najmniejszego szelestu.

Wyrwał ostatni gwóźdź i drzwi się otworzyły.

Rune stała na środku pokoju, pomiędzy nim a stolikiem, patrząc na niego bezczelnie. Włosy lepiły jej się do spoconej twarzy, powieki były zmrużone. Wierzchem dłoni otarła sobie usta i przełknęła ślinę. W drugiej ręce ściskała nogę od stołu albo krzesła.

Na ten widok ogarnął go śmiech, ale zaraz zmarszczył brwi. Jego wzrok ominął Runę i spoczął na bombie. Przyjrzał jej się z zawodową ciekawością. Udało jej się zrobić obejście magistrali.

Jeszcze raz zmarszczył brwi. — Jak to zrobiłaś? Skąd...?

Uniosła drewnianą nogę niczym pałkę.

— Ty dziwko — rzucił Hathaway. — Myślisz, że mnie powstrzymasz?

Ruszył w jej stronę, ale już po pierwszym kroku potknął się o kabel od telefonu, który przeciągnęła pod drzwiami.

Runął ciężko na podłogę. Udało mu się zamortyzować upadek ręką, ale kość nadgarstka pękła z głośnym trzaskiem. Mężczyzna krzyknął z bólu i spróbował poderwać się na nogi. W tym samym momencie Rune zdzieliła go w ramię kawałkiem drewna, przebiegła obok i

wypadła za drzwi. Cios był silny i Hathaway z krzykiem osunął się na złamaną rękę.

Zaraz jednak znów się podźwignął. Przyklęknął, wpierając drugą stopę mocno w podłogę i zdrową ręką sięgnął do kieszeni po nóż. Nie spuszczał przy tym wzroku z Rune. Powoli wstał, wpatrując się w nią, jakby była samym diabłem wcielonym.

Rune odczekała odpowiednią chwilę, po czym cisnęła nogą od stołu, która przeleciała tuż obok Hathawaya.

To, co wydarzyło się potem, pamiętała jak przez mgłę.

Rune padła na podłogę i przywarła do ściany salonu.

Hathaway wykonał niezgrabny ruch, w panice usiłując pochwycić kawałek drewna, zanim doleci do celu.

Jego próba okazała się daremna. Pokój wypełnił oślepiający błysk i kula ognia, kiedy noga od stołu uderzyła w bombę i zapalnik rtęciowy zdetonował ładunek C-3.

A potem rozpętało się piekło. Piasek, drzazgi, odłamki płyty gipsowej, dym, kawałki metalu — wszystko wirowało jak w oku cyklonu.

Hathaway nie pomylił się co do ścian — zewnętrzne rzeczywiście wytrzymały, podczas gdy wewnętrzne rozsypały się w drobny mak, a ich fragmenty świstały wokół Runę jak w podmuchach huraganu. Podłoga zapadła się o kilkanaście centymetrów. Nie było ognia, ale dym okazał się tak gryzący, jak jej to obiecał. Leżała zwinięta w kłębek, dopóki gardło całkiem jej się nie ścisnęło, a kaszel stał się tak uporczywy, że dźwignęła się z podłogi i nie zaglądając do sypialni, wytoczyła się na zewnątrz.

Ogłuszona wybuchem i oślepiona łzami osunęła się na kolana i wolno wyczołgała na plażę, kaszląc i plując od gorzkich chemicznych oparów.

Fire Island w weekendy świeciła pustkami, więc wybuch nikogo nie zaalarmował. Na plaży nie było żywego ducha.

Runę padła na piasek i przewróciła się na plecy, mając nadzieję, że bijące o brzeg fale dotkną jej stóp. W myślach przynaglała je, sama nie wiedząc, skąd bierze się w niej to obsesyjne pragnienie, żeby dotknąć wody. Może chodziło o jakąś pierwotną formę terapii, a może po prostu chciała poczuć na skórze dotyk czegoś, co wydawało się być żywe...

Gdy pierwsza zimna fala polizała jej stopy, Runę otworzyła oczy i omiotła spojrzeniem horyzont.

Helikopter!

Zobaczyła, że zniża lot. I jeszcze jeden. Cały tuzin! Nadlatywały prosto na nią, przychodząc jej z pomocą. Zaczęła się śmiać, głośnym, głębokim śmiechem, którego nie słyszała, lecz czuła całym swoim ciałem, kiedy helikoptery jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności zmieniły się w stado tłustych mew i kołowały, nie zwracając na nią absolutnie żadnej uwagi, lądując niezgrabnie na twardym, mokrym piasku.

Następnych kilka tygodni Rune spędziła sama. Takie było jej życzenie. Parę razy spotkała się z Samem, ale uznała, że oboje powinni trochę ochłonąć, były to więc kontakty czysto przyjacielskie.

I służbowe. Wybuch na wyspie miał swoje konsekwencje. Rune przekazała policjantom, że na krótko przed tym, jak Hathaway zamknął ją w sypialni, słyszała go rozmawiającego przez telefon. Niewykluczone, że kontaktował się z innymi członkami Miecza Jezusowego. Nowojorska policja namierzyła numer i rozpoczęła własne dochodzenie. Trzy dni po tym, jak Gabriel został rozerwany na strzępy, trzej starsi rangą członkowie Miecza Jezusowego zostali aresztowani.

Była też sprawa Arthura Tuckera. Kiedy Rune wróciła z Fire Island na swoją barkę, odkryła ślady włamania. Najpierw myślała, że nic nie zginęło, potem jednak zauważyła, że zniknął maszynopis sztuki, który wyniosła z biura Tuckera.

Zadzwoniła do niego, grożąc, że zawiadomi policję i powie, że przywłaszczył sobie sztukę nieżyjącej kobiety. Na co on odparł zrzędliwie: — Śmiało. Ostatecznie na maszynopisie są twoje odciski palców, a ja już zgłosiłem tamto włamanie sprzed tygodnia — tuż po tym, jak zrobiłaś ze mną wywiad. Bardzo mi nie na rękę, że przez ciebie pół świata uważa mnie teraz za podejrzanego o morderstwo. To pachnie pomówieniem.

Koniec końców osiągnęli jednak kompromis. Uzgodnili, że żadne z nich nie wniesie oskarżenia, a jeśli Tucker zarobi cokolwiek na sprzedaży tekstu, przekaże ćwierć zysku na rzecz Nowojorskiego Stowarzyszenia do Walki z AIDS.

A potem stało się coś bardzo dziwnego.

Larry — ten sam Lany, który stanowił połowę duetu zarządzającego L&R Productions — pewnego dnia zjawił się na jej barce.

– Co z tobą, Runę? Czemu nie założysz tu sobie telefonu?

– Larry, w tym tygodniu wyczerpałam już swój limit złego traktowania..

– Kurczę, to cholerna barka mieszkalna!

– Napijesz się czegoś?

– Nie zabawię długo. Wpadłem tylko, żeby ci powiedzieć, że pan House 0'Leather to kompletny dupek.

– Przeze mnie straciliście zlecenie. Nie możesz mnie przywrócić do pracy.

Parsknął tym swoim australijskim śmiechem. — Złotko, nawet na to *nie licz*. Chodzi o to, że zadzwonił do mnie pewien gość, który ma układy w PBS. Wygląda na to, że szykuje się tam jakaś seria filmów młodych dokumentalistów...

– Och, Larry!

– Dobrze już, dobrze. Zarekomendowałem cię. Mają nawet budżet. Niewielki, dziesięć tysięcy na film, ale jeśli się w tym nie zmieścisz, nie masz czego szukać w tej branży.

Zapisał jej nazwisko. Runę spróbowała go objąć w pasie i prawie jej się to udało. Uściskała go z całej siły. — Kocham cię.

– Jak to spieprzysz, nie chcę cię znać. Aha, tylko nie mów o niczym Bobowi. Zrobił sobie taką szmacianą laleczkę z twoim imieniem i co wieczór wbija w nią igły...

– Co za stek nonsensu, Larry.

– Bzdur, Runę, bzdur. Popracowałabyś trochę nad językiem.

Pięć minut po jego wyjściu Runę już wisiała na telefonie. Dystrybutor z początku trzymał ją na dystans i rzucił niezobowiązująco, by przedstawiła mu propozycję scenariusza, a oni rozważą, czy go sfinansują.

– Jaką propozycję? Ja mam już gotowy cały materiał.

– Naprawdę? — Entuzjazm w jego głosie był zdecydowanie większy, niż przystoi komuś ze świata show biznesu. — Wszyscy inni przysyłają jednostronicowe szkice scenariusza.

Kiedy zadzwoniła dwa dni później, oznajmił jej, że sprzedał PBS *Pożegnanie smutnej gwiazdy*. Mieli go wyświetlić we wrześniu, w programie poświęconym młodym twórcom filmowym. Wkrótce

miała otrzymać czek na pokrycie kosztów postprodukcji.

W tym momencie Sam Healy znów pojawił się na horyzoncie i zaczął spędzać coraz więcej nocy na barce. Z początku trochę narzekał na kołysanie, ale robił to głównie dla zasady; Rune domyśliła się, że w głębi duszy uważa, iż to kobieta powinna wprowadzić się do niego, a nie na odwrót.

Poza tym nadal spotykał się z Cheryl. Za każdym razem informował o tym Runę — *szczerość, ta cholerna szczerość* — ale wyglądało na to, że chodzi im przede wszystkim o uzgodnienie wszystkich nudnych szczegółów ważnych dla dwojga ludzi, których już tylko krok dzieli od rozwodu. Niemniej jednak droga Cheryl jak dotąd nie wniosła pozwu i raz czy dwa, kiedy Rune nocowała u Sama, zdarzało mu się **odbierać** późnym wieczorem telefony i rozmawiać z kimś przez trzydzieści,

czterdzieści minut. Rune nigdy nie słyszała, co mówił, ale mogłaby się założyć, że nie rozmawia z policyjnym dyspozytorem.

Adam doszedł do wniosku, że bardzo ją lubi i często pytał ją o radę w kwestii aktualnie modnych zespołów rockowych i zakupu fajnych używanych ciuchów („I bardzo dobrze, Sam. Chyba nie chcesz, żeby twój syn wyglądał jak ostatni frajer?"). Raz nawet wybrali się we dwoje na mecz Metsów po tym, jak Healy kupił bilety, ale nie mógł pójść, bo zatrzymał go budzik tykający w walizce w wynajętej szafce w zarządzie portu. Rune i Adam świetnie się wtedy bawili; kiedy jakiś facet próbował ją podrywać, mówiąc, że ma uroczego braciszka, Adam zareagował: — Proszę zostawić moją mamę w spokoju!

Potem przez większą część drogi do domu zaśmiewali się na wspomnienie miny niedoszłego adoratora.

Tego dnia była niedziela. Sam spędził u niej noc. Teraz oglądał mecz, a Rune wertowała *Timesa*, zbierając się na odwagę, żeby przyrządzić śniadanie. Gorączkowo zastanawiała się, na ile ryzykowne byłoby usmażenie gofrów. Nagle jej uwagę zwrócił pewien artykuł. Wyprostowała się gwałtownie.

Healy zerknął w jej stronę.

Pokazała mu nagłówek. — Pamiętasz tego gościa, którego parę dni temu znaleźli w bagażniku na lotnisku La Guardia?

– Tego z mafii?

– Tak.

– Co z nim? — spytał.

– Sekcja zwłok wykazała, że nie żył już od tygodnia.

Healy odwrócił się z powrotem do telewizora. — Jankesi przegrywają, a ty się przejmujesz martwymi mafiosami.

– Asystent koronera, który wykonał sekcję, nazywa się Andy Llewellyn.

Ale uwaga Healy'ego była już całkowicie skupiona na tym, żeby pomóc chłopcom z Bronksu zaliczyć ósme przyłożenie.

– Muszę coś załatwić — rzuciła Rune. — Będziesz tu, jak wrócę?

Pocałował ją. — Dadzą radę — rzucił mimochodem.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Jankesi — wyjaśnił.

– Będę trzymać kciuki — obiecała szczerze.

Rune wybrała się na długi spacer, który ku jej wielkiemu zdumieniu zaprowadził ją aż na Times Square. Weszła do jednego z barów, gdzie

zamówiła colę i porcję frytek, które następnie przykryła grubą warstwą kiszonej kapusty, keczupu oraz musztardy i z trudem zjadła przy pomocy czerwonego szpikulca, które podawano tam zamiast plastikowych widelczyków.

Jeszcze nie skończyła, kiedy coś poderwało ją z miejsca i kazało wyjść na zewnątrz do budki telefonicznej. Wykonała stamtąd dwa połączenia zamiejscowe i pięć minut później siedziała już w taksówce. Przez całą drogę powrotną na barkę zastanawiała się nad jednym: czy Sam pożyczy jej pieniądze na samolot.

Boeing 727 przelatywał właśnie nad miejscem, gdzie przestwór jeziora Michigan — o wiele bardziej błękitnego niż Zatoka Nowojorska — dotykał północnego brzegu gdzieś w okolicy Wilmette. Krucha, ażurowa kopuła świątyni bahaickiej wyrastała z ciemnozielonej kępy drzew.

Rune, wpatrzona w wizjer małej kamery wideo marki JVC, straciła z oczu świątynię, kiedy samolot wykonał lekki skręt. Zwolniła migawkę. Podwozie wysunęło się, stawiając opór powietrzu i wprawiając cały samolot w drżenie. Rozległ się sygnał dźwiękowy, rozbłysły światła i pięć minut później koła dotknęły pasa na lotnisku O'Hare. Ogłuszający ryk odwracacza ciągu rozwiał jej ostatnie obawy związane z lądowaniem.

– Serdecznie witamy w Chicago — oznajmił steward.

No nie wiem — pomyślała Rune, rozpinając pas.

Całe miasto jest płaskie... Nie tak, jak Nowy Jork, gdzie cała energia koncentruje się na jednej skalistej wysepce. Rozciąga się aż po horyzont, przelewa się przez palce,

wydaje się słabe i... — Rune zawiesiła głos; miniaturowy dyktafon brzęczał cicho.

– Rozczłonkowane? — podsunął taksówkarz.

– Rozczłonkowane? — *Pstryk.* Rune wyłączyła nagrywanie.

Spojrzała na tył głowy kierowcy; nieco przerzedzone na czubku włosy miał zaczesane do tyłu i spięte w długi kucyk. We wstecznym lusterku dostrzegła demoniczną kozią bródkę.

– Rozmyte? — Chłopak nie rezygnował.

Pstryk.

– ...Wydaje się słabe i rozmyte... Ogromne połacie ziemi ciągną się między kępami...

– A może: „rozciągają"? — spytał kierowca. — Już wcześniej kilka razy użyłaś „ciągną się".

– Naprawdę? — Chłopak wyrwał ją z zamyślenia i Rune całkiem straciła wątek. Z westchnieniem wrzuciła dyktafon do torby.

– Pisarka? — zainteresował się taksówkarz.

– Kręcę filmy — odparła. Po namyśle uznała, że nie do końca jest to zgodne z prawdą: trudno uznać za zawód coś, co nie przynosi stałych dochodów. Z drugiej strony „Kręcę filmy" brzmiało znacznie lepiej niż „Pracuję dorywczo jako kelnerka w barze z bajglami przy Szóstej Alei", co właśnie niedawno zgodziła się robić.

A zresztą, jak miałby to sprawdzić?

Kierowca — jak się okazało, student wieczorowy dorabiający jako taksówkarz — uwielbiał filmy i zanim jeszcze minęli Lawrence Avenue, stwierdził, że Rune powinna nakręcić dokument o Chicago.

Wyłączył taksometr i przez następne pół godziny pokazywał jej miasto.

– „Chicago" znaczy: „dzika cebula" — poinformował ją. — To byłby niezły wstęp do twojego filmu.

Opowiedział jej o Kapitanie Streeterze, zamieszkach w Haymar- ket, pułkowniku McCormicku, Williamie Wrigleyu, Carlu Sandburgu, Sullivanie i Adlerze, Białych Pończochach i Niedźwiadkach, katastrofie statku pasażerskiego Eastland, Wieży Wodnej, Stevie Goodmanie, Wielkim Billu Thompsonie, burmistrzu Daleyu, dziwacznej rzeźbie Picassa, śnieżycach, wichurach i wilgotności powietrza, Saulu Bellowie oraz polskiej, niemieckiej i szwedzkiej kuchni.

– Ta kiełbasa — rzucił z podziwem.

Miał też sporo do powiedzenia o Wielkim Pożarze; pokazał jej miejsce, gdzie wybuchł — na zachodzie, w pobliżu

rzeki — i gdzie został ostatecznie ugaszony, daleko na północy.

— To dopiero byłby świetny pomysł. — Podekscytowany obejrzał się do tyłu. — Film o katastrofach, które dotknęły wielkie miasta. San Francisco, Drezno, Nagasaki...

W końcu dotarli do jej hotelu. Rune podziękowała, myśląc, że chociaż pomysł jest rzeczywiście godny uwagi, nigdy takiego filmu nie nakręci. Miała już dosyć wszelkich kataklizmów.

Wymienili się imionami i numerami telefonów. Kierowca nie chciał przyjąć napiwku, więc Rune obiecała mu, że on i jego taksówka zagrają w jej filmie o Chicago, jeśli takowy kiedykolwiek powstanie.

Następnie zameldowała się w hoteliku tuż obok Parku Lincolna. Pokój wychodził na jezioro i Rune spędziła kilka długich minut, siedząc w oknie i podziwiając widok.

Łazienka okazała się fantastyczna — tyle ręczników, że mogłaby każdym osuszyć inną część ciała, i tyle luster, że odkryła znamię w okolicach krzyża, o którego istnieniu dotąd nie miała pojęcia. Malutkie mydełko zapachowe posłużyło jej do umycia twarzy; potem przyszła kolej na buteleczki z szamponem i odżywką do włosów. Rune miała używanie — zważywszy, że w domu do wszystkiego, nie wyłączając zmywania, wystarczała jej wyschnięta kostka zwykłego mydła. Postanowiła zatrzymać czepek pod prysznic. Po kąpieli włożyła swoją jedyną sukienkę z niebieskiego jedwabiu, którą przed czterema laty dostała w paczce od matki (ponieważ od tamtej pory miała ją na sobie zaledwie trzy razy, doszła do wniosku, że wciąż można ją uznać za nową).

Przejrzała się w sięgającym podłogi lustrze.

Oto ja w sukience, w hotelu z widokiem na przepiękne jezioro rozkołysane szmaragdowymi falami, w mieście, które doszczętnie się spaliło, aby potem odrodzić się z popiołów...

Włączyła biurową lampę i wyjęła przybory do makijażu, po czym wzięła się za coś, czego nie robiła niemal od roku — za malowanie paznokci. Na ciemnoczerwony kolor. Sama dobrze nie wiedziała, dlaczego wybrała akurat ten odcień, ale wydawał jej się wyrafinowany i szykowny. — w sam raz dla kogoś, kto wybiera się do teatru.

To tutaj John Dillinger zarobił kulkę — zagadnął ją młody człowiek o kwadratowej szczęce i rudawozłotych włosach. Rune jadła hamburgera w na wpół wyludnionym klubie folkowym. Opierając się o bar,

mężczyzna pokazał jej palcem dawny budynek kina Biograph po przeciwnej stronie ulicy.

— Zdradziła go kobieta w czerwonej sukience — dodał zaczepnym tonem, najwyraźniej gotów do flirtu.

Jednak zaraz się zniechęcił; błysk w jego oczach zgasł, kiedy Rune zapytała go, czy na chodniku widać jeszcze plamy krwi.

Teatr Haymarket mieścił się w niedużym, piętrowym, wiktoriańskim budynku przy Lincoln Avenue, kawałek na północ od Fullerton, jedną przecznicę od dawnego kina Biograph. Rune odebrała w kasie bilet i weszła na niewielką widownię. Odszukała swoje miejsce i zaczęła kartkować program. Minutę po ósmej zgasły światła i kurtyna poszła w górę.

Rune nie była pewna, co myśleć o sztuce. O ile uwielbiała kino, generalnie nie przepadała za przedstawieniami teatralnymi. Zanim człowiek zdążył się przyzwyczaić do malowanych dekoracji oraz sztuczne

go sposobu mówienia i poruszania się aktorów, dwie godziny mijały jak z bicza trzasł i trzeba było wracać do rzeczywistości, a to bywało bardzo bolesne.

Jednak ta była całkiem niezła. W przeciwieństwie do większości współczesnych sztuk tutaj przynajmniej był jakiś wątek, który można było śledzić. Główna bohaterka, młoda kobieta grana przez ładną brunetkę Rebekę Hanson, ze względu na rodzinę spychała swoje życie uczuciowe na boczny tor. Punktem kulminacyjnym była jej decyzja, żeby w wieku trzydziestu dwóch lat wyprowadzić się z domu.

Było też parę sprytnych sztuczek, jak scena, w której jeden aktor rozmawiał z drugim, który nagle w retrospekcji stawał się kimś innym. Zdarzały się momenty zabawne, smutne i znowu zabawne. Rune popłakała się, kiedy bohaterka postanowiła opuścić swojego chłopaka z małego miasteczka i wyjechać do Europy.

Publiczność była zachwycona i co najmniej połowa widzów zgotowała aktorom owację na stojąco. Przedstawienie okazało się dość długie; zanim ucichły ostatnie brawa, wybiła za kwadrans jedenasta. Gdy tylko rozbłysły światła, wszyscy poza Rune opuścili widownię.

Zaczekała, aż aktorzy zejdą ze sceny, i weszła za kulisy.

Nikt jej nie zatrzymywał.

Garderoba Rebeki Hanson znajdowała się na końcu korytarza.

Rune zatrzymała się przed nimi, zebrała na odwagę i zapukała.

— Proszę!

Nacisnęła klamkę.

Shelly Lowe właśnie kończyła zmywać z twarzy makijaż. Posłała jej uśmiech — dosyć blady, jak stwierdziła Rune.

—- Tak mi się wydawało, że widziałam cię na widowni — powiedziała. — Wygląda na to, że musimy pogadać.

30

Przeszły Lincoln Avenue, mijając po drodze zamknięte sklepy i niemal wyludnione bary, aż do szerokiego skrzyżowania Halsted i Fullerton, gdzie skręciły na wschód.

Daleko przed nimi światła ulicy ginęły w otchłani ciemności. Rune zastanawiała się, czy ta pustka to jezioro, park czy po prostu niebo.

Spojrzała na Shelly, ubraną w dżinsy, jedwabną bluzkę i reeboki.

– Inaczej teraz wyglądasz. Podobnie, ale inaczej.

– Mała operacja plastyczna. Oczy i nos. Zawsze chciałam mieć zadarty.

– Arthur Tucker od początku o wszystkim wiedział, prawda?

– W pewnym sensie to był jego pomysł. Jakieś pół roku temu dowiedział się, co robię — jak wiesz, nie robiłam z tego tajemnicy. Okropnie się wtedy pokłóciliśmy.

– Rozmawiałam z nim i odniosłam wrażenie, że nie przepada za pornografią.

– To prawda, ale nie chodziło mu wcale o moralność. Uważał, że kręcenie tego rodzaju filmów — jak on to powiedział? — umniejsza mnie. Tak to ujął. Stępia moją kreatywność, jak alkohol albo narkotyki. Zastanowiłam się nad tym i stwierdziłam, że ma rację. Mimo to odparłam, że nie stać mnie, żeby tak z dnia na dzień odejść z branży. Powiedziałam, że musiałabym zwariować, żeby rzucić tę robotę. Zwariować albo umrzeć.

– A on na to: „No to umrzyj". Wtedy zaczęłam myśleć o tym, żeby zniknąć, tak jak Gauguin. Ale każde miasto, które było na tyle duże, żeby mieć własny teatr, miało też swój rynek filmów porno. Istniało ryzyko, że ktoś mnie rozpozna, chyba że... — Uśmiechnęła się. — Chyba że naprawdę umrę. Tydzień później ci fanatycy religijni podłożyli pierwszą bombę w kinie. W wiadomościach podali, że niektórych ciał nie udało się zidentyfikować, tak wielka była siła wybuchu. Zaczęłam fantazjować, jak by to było, gdyby ktoś omyłkowo wziął jedną z tych ofiar za mnie. Mogłabym wyjechać do San Francisco, Los Angeles, a nawet do Londynu... Z czasem stało się to moją obsesją. Nie mogłam uwolnić się od tej myśli. W końcu doszłam do wniosku, że może mi się to udać.

– Zdobyłaś ładunek od kumpla Tommy'ego z wojska? Z Monte- rey? Tego, który był razem z nim sądzony?

Shelly uniosła do góry brew.. Runę nie mogła się przyzwyczaić do jej widoku jako brunetki. W jasnych włosach było jej bardziej do twarzy. — Jak się tego wszystkiego dowiedziałaś? — zapytała.

– Mam swoje kontakty.

– Facet handluje bronią na czarnym rynku. Wcześniej był specem od materiałów wybuchowych. Zapłaciłam mu, żeby zrobił bombę i wyjaśnił mi, jak ją zdetonować.

– A potem czekałaś. Na kogoś takiego jak ja. Na świadka.

Przez chwilę Shelly milczała. Na wprost nich, nieco w bok, rozciągał się park; pary przechadzały się po równo przyciętej trawie między

dębami i klonami. — Czekałam — przyznała cicho. — Ktoś musiał mnie zobaczyć w oknie na chwilę przed wybuchem.

– Chciałaś, żebym to sfilmowała. Pamiętam, że mnie o to prosiłaś. Potem bomba wybuchła, tyle że ciebie już tam nie było, a przy telefonie leżało ciało, które skombinował dla ciebie Andy Llewellyn.

Shelly uśmiechnęła się, a Rune przyszło do głowy, że był to uśmiech pełen podziwu. — O nim też wiesz? Tego też się dowiedziałaś?

– Jego nazwisko było w twoim kalendarzu. Później przypadkiem natknęłam się w gazecie na artykuł o pewnym morderstwie. Pisali o nim w związku z sekcją zwłok. Pomyślałam, że gdyby ktoś szukał ciała, to byłby właściwy adres.

Po chwili milczenia Shelly odparła: — Ciało... W porę przypomniałam sobie o Andym. Poderwał mnie kiedyś w barze — zabawny, miły facet, oczywiście jak na kogoś, kto całymi dniami ma do czynienia z truposzami. Marnie zarabia, więc z radością przyjął ode mnie trzydzieści tysięcy w zamian za zwłoki, zaaranżowanie sekcji i sfałszowanie analizy dentystycznej, która miała potwierdzić, że ofiara to ja. Wiesz, jak łatwo jest zdobyć niezidentyfikowane ciało? Każdego roku w mieście umierają dziesiątki nikomu nie znanych ludzi... — Pokręciła głową. — Tamtego dnia funkcjonowałam jak na automatycznym pilocie. Ciało leżało już w biurze w studiu Lame Duck, gdzie zostawiliśmy je z Andym wcześniej tego samego wieczoru, zanim przyszłam do ciebie nagrywać wywiad. Ładunek był w telefonie. Ty czekałaś na zewnątrz. Zawołałam cię, potem schowałam się w studiu, wcisnęłam

kilka przycisków w nadajniku radiowym i bomba wybuchła. W torebce miałam resztę oszczędności, w gotówce, oryginalne wydanie sztuki Moliera, pierścionek matki, trochę biżuterii i nic więcej. Wszystkie karty kredytowe, prawo jazdy, karty do bankomatu zostały w torebce w tamtym pokoju w Lame Duck.

– Nie bałaś się, że ktoś cię rozpozna?

– Oczywiście, że tak. Ale Chicago to nie Nowy Jork. Mają tu tylko kilka kin i księgarni dla dorosłych. Nie ma tylu plakatów z Shelly Lowe, co na Times Square, ani tylu moich kaset na wystawach. Poza tym przeszłam operację plastyczną.

– I przefarbowałaś włosy.

– Nie, to mój naturalny kolor. — Shelly odwróciła się do niej. — Rozmawiamy teraz, patrzysz na mnie z odległości kilku kroków — i co o mnie myślisz? Wydaję się być tą samą osobą, którą filmowałaś wtedy na barce?

Nie, zdecydowanie miała przed sobą kogoś zupełnie innego. Oczy wciąż były niebieskie, ale spojrzeniu brakowało dawnego blasku laserowej wiązki. Inaczej się poruszała, głos, uśmiech też były inne. Wydawała się jednocześnie starsza i młodsza.

Rune odparła: — Pamiętam, że kiedy cię filmowałam, z początku robiłaś wrażenie strasznie twardej i... sama nie wiem, opanowanej.

– Shelly Lowe była dziewczyną z jajami.

– Ale później coś się zmieniło i pod koniec wywiadu byłaś już kimś zupełnie innym.

– Wiem. Właśnie dlatego... — Odwróciła wzrok.

Znowu ruszyły przed siebie. Rune uśmiechnęła się domyślnie.

– To dlatego włamałaś się na barkę i ukradłaś taśmę. Za bardzo się wtedy otworzyłaś.

– Przepraszam.

– Wiesz, że podejrzewaliśmy Tommy'ego o podłożenie tamtej bomby?

– Słyszałam. Wiem o Nicole... To strasznie smutne. — Jej twarz pobladła. — Danny, Ralph Gutman i wszyscy inni byli po prostu obleśni, ale Tommy mnie przerażał. Dlatego od niego odeszłam. Z powodu tych jego filmów. Podejrzewam, że kiedy zwykły ból przestał go podniecać, zaczął filmować prawdziwe zbrodnie. Sama nie wiem...

Przez kilka minut spacerowały w milczeniu. Nagle Shelly zaśmiała się smutno i spytała: — Nigdy nie zrozumiem, jak udało ci się mnie wytropić. Tutaj, w Chicago.

– Przez twoją sztukę, *Doręczone kwiaty*. Pierwszy raz zobaczyłam ją na biurku

Arthura Tuckera. Wykreślił twoje nazwisko i zastąpił swoim. Myślałam... Cóż, myślałam, że cię zamordował, żeby ukraść tę sztukę. Naprawdę wyprowadził mnie w pole.

– Nie zapominaj, że to nauczyciel aktorstwa. I jeden z najlepszych aktorów, jakich znam.

– Za ten występ powinien dostać Oskara — zgodziła się Rune. — Potem przypomniałam sobie nazwę teatru. Haymarket. Była zapisana na pierwszej stronie maszynopisu. Zadzwoniłam i zapytałam, co teraz grają. Okazało się, że... *Doręczone kwiaty*.

Shelly odparła: — Sztuka była jego pomysłem. Mieliśmy udawać, że to on ją napisał. Sztuka autorstwa Arthura Tuckera miała większe szanse na wystawienie, niż gdyby napisała ją Becky Hanson. Arthur przekazuje mi tantiemy.

– Stowarzyszenie do Walki z AIDS nic nie dostaje?

– Nie, a powinno?

Rune roześmiała się i odrzekła: — Prawdopodobnie tak. Ale od naszej umowy sporo się zmieniło. — Myśląc przy tym: „Cholera, ten facet *naprawdę* jest świetnym aktorem”.

– Arthur namówił tutejszy teatr, żeby wystawił moją sztukę, i przekonał ich, żebym to ja zagrała główną rolę... Później sporo o tym myślałam. To było bardzo dziwne — miałam okazję wyreżyserować własną śmierć. Dobry Boże, co za szansa dla aktorki! Tylko pomyśl — mogłam stworzyć całkiem nową postać i to jak najbardziej dosłownie. Stworzyć nowego człowieka.

Jeszcze przez kilka minut szły Clark Street, a potem zatrzymały się przed wiktoriańską kamienicą z piaskowca. Shelly wyjęła klucze z torebki.

Rune powiedziała: — Nie znam się na teatrze, ale sztuka mi się podobała. Nie wszystko zrozumiałam, a jeśli wszystkiego nie rozumiem, to zwykle znaczy, że coś jest naprawdę dobre.

– Krytykom się podoba, a teatr planuje gościnne występy w Nowym Jorku. Będzie bolało jak cholera, ale nie będę mogła z nimi pojechać. Jeszcze nie teraz. Nie przez najbliższych kilka lat. Taki mam plan i muszę się go trzymać. Shelly jeszcze przez jakiś czas powinna spoczywać w pokoju.

– Jesteś tu szczęśliwa? — zapytała Rune.

Kobieta ruchem głowy wskazała jedno z okien. — Ledwo wiążę koniec z końcem, mieszkam w kawalerce na drugim piętrze. Miesiąc temu zastawiłam ostatnią diamentową bransoletkę, bo potrzebowałam gotówki. — Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się: — Ale występy w teatrze? Tak, jestem szczęśliwa.

Runę spojrzała na ozdobną bramę z kutego żelaza. — No to mamy problem.

– To znaczy?

– Powstał o tobie film.

– Masz na myśli ten, który kręciłaś, kiedy zginęłam? — Shelly przyjrzała jej się uważnie. — Ale przecież po zamachu... Nie było już o kim opowiadać. Nie skończyłaś go, prawda?

Runę oparła się o bramę i spojrzała Shelly w twarz. — Niedługo pokaże go PBS.

Oczy Shelly rozszerzyły się. — Och, Runę, nie możesz... PBS idzie na cały kraj, ktoś może to zobaczyć!

– Nie jesteś do siebie podobna.

– Wystarczająco, żeby ludzie skojarzyli pewne fakty.

Rune rzuciła obronnym tonem: — Wykorzystałaś mnie. Nie byłaś ze mną szczera.

– Wiem, że nie mam prawa o nic cię prosić...

– Wcale nie chciałaś mi pomóc w nakręceniu tego filmu. Zwyczajnie mnie wykorzystałaś.

– Błagam cię, Rune. Wszystkie moje plany... Właśnie zaczynają się realizować. Po raz pierwszy w życiu jestem szczęśliwa. Nikt nie wie, co kiedyś robiłam — mam na myśli tamte filmy. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to wspaniałe uczucie nie być traktowaną jak rzecz. Jak cudownie jest niczego się nie wstydzić...

Rune odparła: — Ale ten dokument to *moja* wielka szansa. Całymi miesiącami nim żyłam. Przez niego wyleciałam z pracy i kilka razy mało nie zginęłam. To wszystko, co mam, Shelly. Nie mogę z tego zrezygnować.

W oczach aktorki błysnęły łzy. — Pamiętasz, jak wtedy, na twojej barce, przeglądałyśmy książkę o mitologii? Rozmawiałyśmy o Orfeuszu i Eurydyce. Shelly Lowe nie żyje, Rune. Nie sprowadzaj jej z powrotem. Proszę cię, nie rób tego. — Oczy Shelly były całkiem okrągłe, pełne łez. Zacisnęła palce na jej ramieniu. — Spójrz na mnie, Rune! Proszę. Jak Orfeusz. Spójrz na mnie i odeślij mnie z powrotem do krainy umarłych.

Powierzchnia rzeki Hudson marszczyła się; nadchodziła burza. Rune bała się, że wyłączą prąd.

Tylko tego mi dzisiaj trzeba. Mój film ma premierę w telewizji, a w Nowym Jorku brakuje prądu.

W świetle błyskawicy znad Jersey jak w stopklatce zobaczyła Sama Healy'ego, otwierającego jednym ruchem dwie puszki piwa.

Zaczęło padać; deszcz zacinał o ściany barki gnany gwałtownymi podmuchami wiatru.

– Mam nadzieję, że cumy wytrzymają — rzuciła Rune.

Healy wyjrzał przez bulaj, po czym z powrotem przeniósł spojrzenie na kolację spoczywającą na niebieskim laminowanym stoliku do kawy. Widok zimnej pizzy z anchois zdawał się go bardziej niepokoić niż nieplanowany rejs do Zatoki Nowojorskiej.

– Dużo ci zapłacili za ten film?

– Skąd. To telewizja publiczna, robi się ją z miłości — odrzekła Rune, włączając telewizor. — Jeśli będę miała szczęście, może obejrzy

go jakiś lubieżny producent, który nie ma co robić ze swoją furą pieniędzy.

– Podpisałaś się prawdziwym imieniem i nazwiskiem?

– Nie wierzysz, że Rune to moje prawdziwe imię?

– Nie. — Pociągnął łyk piwa. — A powinienem?

– Film wyreżyserowała Irene Dodd Simons.

– Ładnie. Więc to *tak* się nazywasz.

– Może tak, może nie. — Rune uśmiechnęła się tajemniczo i rozsiadła na starej kanapie kupionej w sklepie z używanymi rzeczami. Obicie było nierówne od czasu, kiedy wycięła w nim dziury, szukając ukrytych pieniędzy, ale wystarczyło się trochę umościć, a była całkiem wygodna.

Healy spróbował zrobić to samo, zrezygnował i klapnął na podłodze. Usunął anchois z połowy pizzy, przekładając je na drugą połowę.

– Rozbrajasz bomby — zauważyła Rune — a boisz się kilku małych rybek?

Ekran rozjaśnił się intensywnymi, nieco rozmytymi barwami typowymi dla starych odbiorników. Kontury zniekształcała lekka poświata. Potężne głośniki ryknęły na cały pokój.

Obejrzeli zapowiedzi przyszłych programów — naukowego poświęconego amniopunkcji i przyrodniczego, w którym dorosłe sępy karmiły młode kawałkami czegoś surowego i czerwonego.

Healy odłożył pizzę.

Potem jakiś Anglik w średnim wieku zapowiedział serię *Debiuty filmowe*. O Irene Dodd Simons mówił, że to młoda, obiecująca doku- mentalistka z Manhattanu, która co prawda nie posiada

formalnego filmowego wykształcenia, ale zdobyła doświadczenie, kręcąc reklamy telewizyjne.

– Gdyby tylko wiedzieli, jakie — westchnęła Rune.

Na ekranie pojawiło się zbliżenie twarzy mężczyzny. — A teraz — oznajmił — pierwszy film z naszej serii, zatytułowany *Pożegnanie smutnej gwiazdy*...

Ekran rozjaśnił się z wolna, ukazując krzykliwą mozaikę kolorów Times Square o zmierzchu. Widać było przechodzących mężczyzn w płaszczach deszczowych.

Kobiecy głos zaczął czytać: — *Filmy dla dorosłych. Niektórych pornografia podnieca, innych odpycha, a jeszcze innych skłania do perwersyjnych, zbrodniczych czynów. Oto historia utalentowanej młodej ko*

biety, która w świecie filmów pornograficznych odnalazła sławę i śmierć, ściągniętą na samo dno przez złowrogą siłę grawitacji...

– Ty to napisałaś? — zdziwił się Healy.

– Cii.

Obraz Times Square zlał się w niewyraźną kolorową plamę, z której powoli wyłoniły się zarysy czarno-białej szkolnej fotografii z uroczystości zakończenia liceum.

– Ciekawy efekt.

– *...młodej aktorki, która nigdy nie znalazła tego, czego szukała, i pogrzebała swój smutek w jedynym świecie, który znała — w świecie tandetnych fantazji...*

W zbliżeniu twarz na szkolnej fotografii z wolna nabierała ostrości.

– *Oto historia Nicole D'Orléans, życia i śmierci smutnej gwiazdy filmów porno.*

Na ekranie pojawiło się ujęcie Nicole, kręcone z ręki przez niewidzialną kamerę. Siedziała u siebie w mieszkaniu, twarzą do okna, a po policzkach płynęły jej łzy. Jej głos był ledwie słyszalny: — Kłopot w tym, że tylko to potrafię robić. Potrafię się kochać, ale poza tym jestem zupełnie do niczego. Już próbowałam, i nic z tego... To paskudne uczucie, nienawidzić jedynej rzeczy, w której jest się dobrym...

Powrót do czarno-białej fotografii, na której tle pojawiły się napisy początkowe.

Healy zapytał: — Kto to czyta? Ta dziewczyna jest fantastyczna.

Rune milczała przez chwilę. Potem odparła: — Zatrudniłam profesjonalną aktorkę. Z Chicago.

– Aktorkę? Znam ją?

– Wątpię. — Rune rzuciła swój kawałek pizzy na stolik i przysunęła się do Sama, opierając mu głowę na piersi. Napisy właśnie się skończyły, a zdjęcie Nicole

Nakładem C&T

zbladło, przechodząc w ponury obraz zimnego neonu kina przy Ósmej Alei.

Nakładem C&T

Jeffery Deaver ŚMIERĆ NA MANHATTANIE

Rune nie jest raczej kobietą o wymiarach czy wzroście modelki, ale przy swoim metrze sześćdziesiąt wzrostu i podobieństwie do Audrey Hepburn chyba też może podobać się Richardowi. Właśnie go poznała, z nadzieją na dłuższy związek... I jemu również opowie historię, w jaką się wplątała, licząc na męską pomoc w jej rozwikłaniu.

Bo pracując w wypożyczalni kaset wideo, Rune zaprzyjaźniła się z panem Kellym — klientem, który już kilkanaście razy wypożyczył stary film kryminalny „Śmierć na Manhattanie" — opartą na faktach historię tajemniczego napadu na bank. Ukradziono wtedy milion dolarów, a ukrytego łupu nigdy nie odnaleziono. I dla Rune to zachowanie starszego pana mogło być jedynie nieszkodliwym

dziwactwem, gdyby pan Kelly nie został, niemal na jej oczach, zamordowany...

Nakładem C&T

Kr

Jeffery Deaver PŁYTKIE GROBY

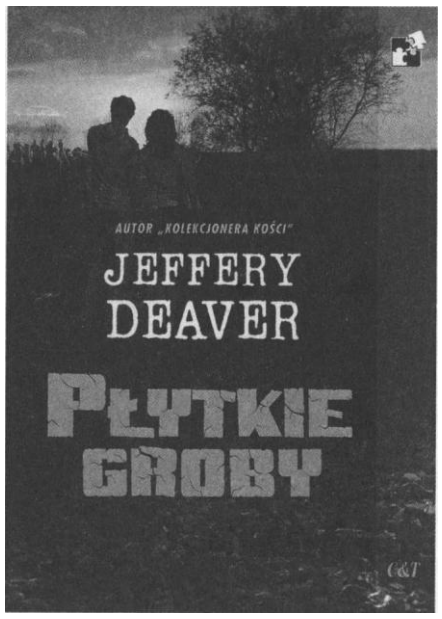

John Pellam, były kaskader, jest dokumentalistą i przemierza kraj w poszukiwaniu plenerów do filmów. Kiedy jedzie główną ulicą miasta, mieszkańcy zwykle tłoczą się, głośno domagając się szansy na swoje pięć minut sławy. Ale nie w cichym i spokojnym Cleary. Tutaj Pellam doświadcza całkiem innego przyjęcia.

Najpierw ktoś wypisuje „Żegnamy" na jego samochodzie. Potem tajemniczo ginie jego współpracownik — podobno w wypadku. I niby pod wpływem narkotyków. Wyraźnie podrzuconych.

Wszystkich dokoła interesuje jedno: kiedy Pellam wyjedzie. No, może poza Meg Torrens, która wyraźnie czegoś oczekuje od przybysza...

Sr
Jeffery Deaver KRWAWA RZEKA

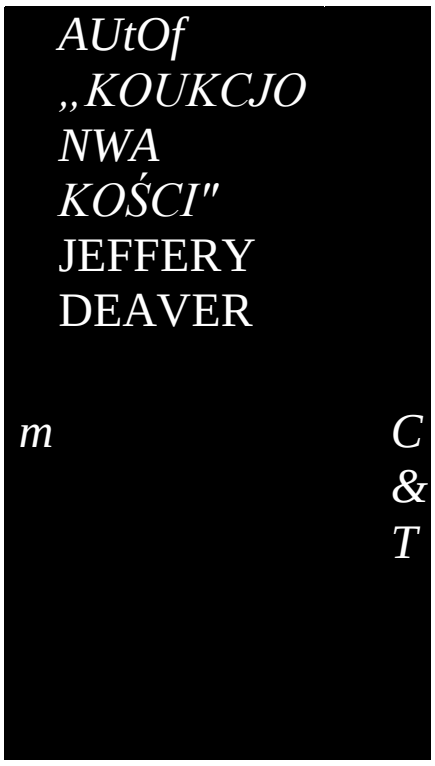

O Johnie Pellamie mówią, że jest „chodzącym katalogiem gotowych plenerów". Jako dokumentalista został teraz zatrudniony na planie filmu w stylu historii o Bonnie i Clydzie, kręconym nad rzeką w miasteczku Maddox, w stanie Missouri.

Rzeczywistość przewyższa jednak ten gangsterski obraz, gdy w spokojnym dotąd mieście strzela się na ulicy. Po, ze zginął Vince Gaudia — miejscowy czarny charakter, — mogło nawet ucieszyć policjantów. Ale ofiarą padł także ten porządny gliniarz Donnie

Buffett, co już rozsierdziło miejscowy wydział śledczy.

A w całe to wydarzenie wplątał się Pellam, kiedy wracał ze sklepu z kartonem piwa i został potrącony przez płatnego zabójcę. To nic, że niechcący. To nic, że potłukły się butelki. Ważne — i najgorsze — że Pellam widział twarz tamtego...

Nakładem

Br

Jeffery Deaver PIEKIELNA DZIELNICA

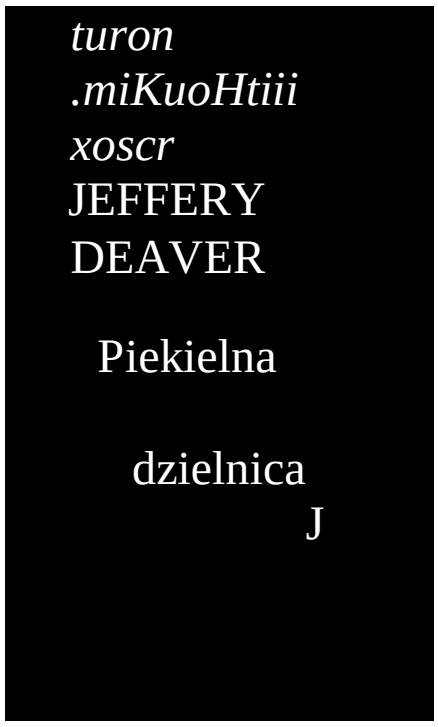

John Pellam postanawia nakręcić film dokumentalny. o historii Hell's Kitchen — okrytej niesławą dzielnicy gangów nowojorskich. Te gangi to już historia, ale ciągle jeszcze żyją tacy, którzy pamiętają tamte czasy. Jak Ettie Washington, która okazała się kopalnią wiedzy dla Pellama.

Tyle że niespodziewanie oskarżono Ettie o podpalenie starej kamienicy, w której mieszkała od lat. I teraz trzeba zrobić wszystko, by oczyścić jej dobre imię. Chociaż inspektor Lomax — specjalista od pożarów — wie swoje. A tajemniczemu podpalaczowi też bardzo

zależy, by Pellam nie był zbyt dociekliwy w swym prywatnym śledztwie...

Nakładem C&T

Br

Jeffery Deaver LEKCJA JEJ ŚMIERCI

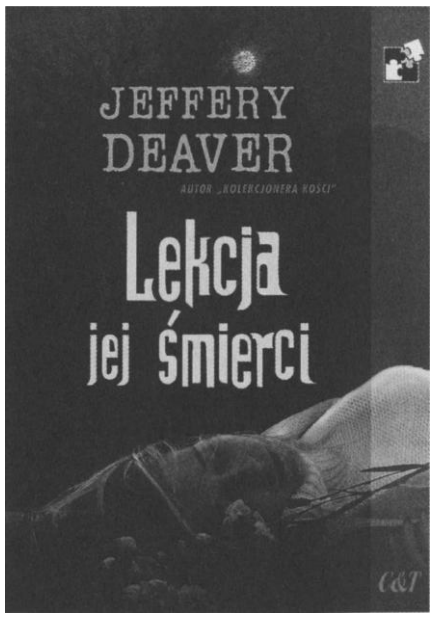

New Lebanon to miasto uniwersyteckie. Tylko jak długo jeszcze? Skoro już druga studentka została bestialsko zamordowana.

Miejscowi żyją w strachu, bo podobno chodzi o zbrodnie rytualne, a Księżycowy Zabójca jest ciągle na wolności.

By go osaczyć, Bill Forde musi mieć czas, fundusze i ludzi. Tyle że szeryfowi Ribbonowi potrzebny jest teraz szybki sukces, a nie drobiazgowe, długotrwałe śledztwo, bo nowe wybory wkrótce.

A przy takim postępowaniu kolejne tragedie są nieuchronne. I ofiary. Bo morderca lubi dawać lekcje — policjantom nawet bardzo. Zwłaszcza gdy mają córki sprawiające problemy...

Br

Jeffery Deaver MODLITWA O SEN

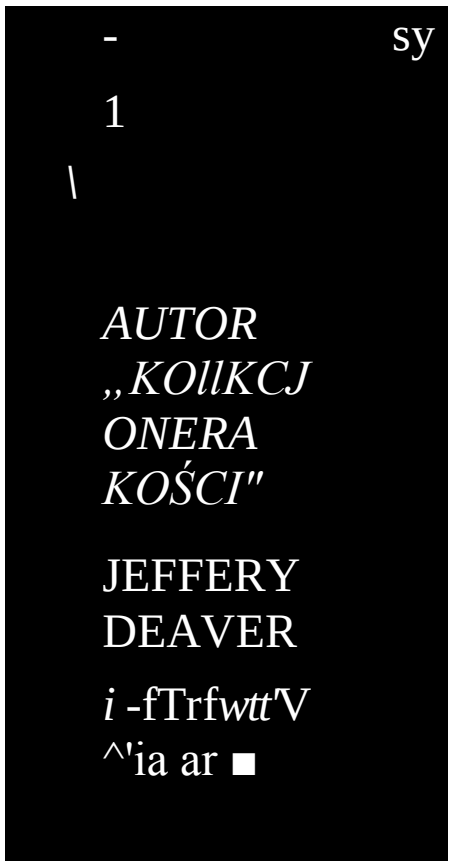

Z zakładu dla umysłowo chorych ucieka Michael Hrubek, pacjent ze schizofrenią paranoidalną, i ma przed sobą ścisle określony cel: odnaleźć Lis Atcheson — to jej zeznania sprawiły, że uznano go za potwora i skazano na zamknięcie.

Podczas burzy, sprzyjającej szaleńcowi, ścigają go teraz trzej ludzie: psychiatra Kohler — przekonany o niewinności swego pacjenta, zawodowy tropiciel Heck — liczący na nagrodę za

schwytanie szaleńca, i Atcheson — mąż Lis, który musi dopaść Hrubeka, nim ten skrzywdzi jego żonę.

Tyle że z szaleńcem można wygrać chyba tylko jego metodami i sposobem myślenia. Choć trzeba pamiętać, by się od niego „nie zarazić" i nie stać się krwiożerczą bestią. Zwłaszcza gdy na jaw wychodzą kolejne dziwne tajemnice i z każdą godziną tej upiornej nocy ciężej utrzymać nerwy na wodzy...

Nakładem

Nakładem C&T

Est

Peter Abrahams

BIAŁE PLAMY

BIAŁE PLAMY

Nick Petroy jest prywatnym detektywem. Jego specjalnością jest odszukiwanie zaginionych osób. Takich jak Amanda, córka Lizy Rummel. I pewnie w krótkim czasie Petrov sprowadziłby do domu — i na dobrą drogę — tę zbuntowaną nastolatkę, gdyby nie dziwna przypadłość...

W trakcie tego zlecenia Nick budzi się bowiem... w szpitalu. I niedługo potem doktor Tully postawi mu szokującą diagnozę: rak mózgu. A do tego jeszcze Nick odkrywa, że ma luki w pamięci z ostatnich kilku dni. Tych dni, kiedy szukał Amandy. I bliski był rozwiązania tej sprawy — jak mgliście sądzi.

Ile z tym koszmarnym wyrokiem można żyć, nie wiadomo. Ale jest szansa, że tego czasu wystarczy Nickowi na rozwikłanie sprawy. Dopóki ktoś nie zacznie mu mocno przeszkadzać...

Nakładem C&T

Nakładem C&T

Nakładem *C&T*

Sr"

James W. Nichol NOCNA TAKSÓWKA

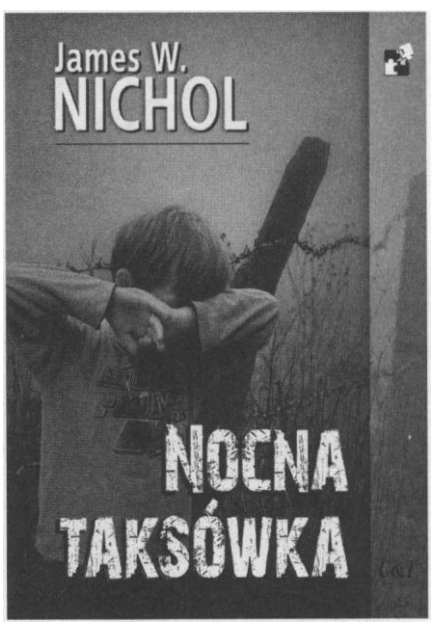

Walker Devereaux został porzucony na środku wiejskiej drogi, kiedy miał trzy lata. Teraz ma lat dziewiętnaście i opuszcza dom i ludzi, którzy go przygarnęli. Wyrusza do Toronto, bo tam wiedzie go trop z fotografii, jaką miał przy sobie wtedy, a którą pokazano mu zgodnie z prawem, gdy wkroczył w dorosłość.

Kim są jego rodzice? I dlaczego go zostawili? Skoro mama, jak mgliście to kojarzy, kochała go... Tych pytań z każdym odkryciem pojawia się więcej. I są coraz bardziej zagmatwane. Nawet gdy może liczyć na pomoc Kristy — dziewczyny z przedsiębiorstwa taksówkowego, gdzie się zatrudnił, by mieć z czego żyć w obcym mieście.

A do tego jeszcze ktoś — nie wiedzieć skąd — bardzo chce go zniechęcić do odkrycia prawdy...